

Mary Higgins Clark

PUSTA KOŁYSKA

Rayowi, jak zawsze z miłością...

„Pójdź ku starości wraz ze mną!

Wkrótce rozkosze nadejdą

Tych chwil ostatnich, co miały zapowiedź w początku samym”.

Robert Browning

„...albowiem niektórzy pacjenci, pomimo świadomości, że znajdują się w poważnym stanie, wracają do zdrowia wyłącznie dzięki dobroci opiekującego się nimi lekarza”.

Hipokrates

Gdyby Katie nie miała myśli zaprzątniętych wygraną sprawą, z pewnością nie wjechałaby tak szybko w zakręt, jednak wciąż jeszcze przepełniała ją satysfakcja, że doprowadziła do wyroku skazującego. Osiągnęła to z najwyższym trudem. Roy O'Connor był jednym z najlepszych obrońców w New Jersey. Przewodniczący składu nie zgodził się na ujawnienie zeznań oskarżonego złożonych we wstępnej fazie śledztwa, co było poważnym ciosem dla oskarżenia. Mimo to Katie zdołała przekonać przysięgłych, że Teddy Copeland podczas napadu z bronią w rękę z zimną krwią zamordował osiemdziesięcioletnią Abigail Rawlings.

Siostra panny Rawlings, Margaret, zjawiała się w sądzie, by wysłuchać wyroku, a następnie podeszła do Katie.

- Była pani wspaniała, pani DeMaio - powiedziała. - Nie wierzyłam, że się pani uda, bo wygląda pani jak uczennica, ale kiedy pani przemawiała, udowodniła pani wszystko, co chciała. Sprawiała pani, że oni niemal poczuli, co ten człowiek zrobił Abby. Co teraz się z nim stanie?

- Biorąc pod uwagę jego przeszłość, mam nadzieję, że wsadzą go za kratki na resztę życia - odparła Katie.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Margaret Rawlings. Jej oczy, wyblakłe i wilgotne, wypełniły się łzami. - Ogromnie brakuje mi Abby - wyznała, ocierając je ukradkiem. - Zostałyśmy tylko we dwie. Ciągle myślę, jak bardzo musiała się bać. Byłoby okropnie, gdyby uszło mu to na sucho.

Nie uszło mu to na sucho! Ta triumfalna myśl sprawiła, że Katie odruchowo przycisnęła pedał gazu. Nagły wzrost prędkości sprawił, że tył wjeżdżającego właśnie w zakręt samochodu gwałtownie skreślił w bok na pokrytej gołoledzią nawierzchni.

- Nie! - Rozpaczliwie zacisnęła ręce na kierownicy. Droga była pogrążona w ciemności. Samochód zjechał na

przeciwny pas ruchu i obrócił się wokół własnej osi. W oddali pojawiły się światła jakiegoś pojazdu.

Zakręciła kierownicą, usiłując wyprowadzić wóz z poślizgu, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Samochód wpadł na pobocze, które także było pokryte warstewką lodu, zawahał się przez chwilę na krawędzi nasypu, niczym narciarz szykujący się do zjazdu, po czym runął w dół stromego zbocza.

Katie dostrzegła jakiś ciemny kształt: drzewo. Zaraz potem rozległ się ogłuszający łoskot, samochód raptownie znieruchomiał, Katie zaś została rzucona z ogromną siłą najpierw na kierownicę, a potem w tył, z powrotem na fotel. Uniosła w obronnym geście ręce, by zasłonić twarz przed ostrymi odłamkami rozprysniętej przedniej szyby. Poczowała ostry ból w przegubach dłoni i kolanach. Zgasły reflektory i oświetlenie tablicy przyrządów. W atłasowej ciemności, która spłynęła na nią ze wszystkich stron, rozległo się przenikliwe zawodzenie syreny.

Ktoś otworzył drzwi samochodu. Poczowała powiew zimnego powietrza.

- Mój Boże, to Katie DeMaio!

Znała ten głos. To był Tom Coughlin, sympatyczny młody policjant. W ubiegłym tygodniu zeznawał na rozprawie.

- Straciła przytomność.

Usiłowała zaprotestować, ale nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa. Nie mogła także otworzyć oczu.

- Krwawi z ramienia. Zdaje się, że ma przeciętą tętnicę. Ktoś trzymał jej ramię i ścisnął je mocno.

- Mogła doznać obrażeń wewnętrznych - odezwał się inny głos. - Szpital Westlake jest niedaleko stąd. Zostań z nią, a ja wezwę karetkę.

Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Wszystko w porządku, nic mi nie jest. Po prostu nie mogę się z wami porozumieć.

Czyjeś ręce przeniosły ją na nosze. Poczowała ciężar koca, a na twarzy krople marznącego deszczu.

Wniesiono ją do samochodu. Samochód ruszył. Nie, to karetka. Drzwi otwierały się i zamykały. Gdyby tylko mogła dać tym ludziom do zrozumienia, że ich słyszy, że nie jest nieprzytomna!

Tom podawał informacje na jej temat.

- Kathleen DeMaio, mieszka w Abington. Jest zastępcą prokuratora. Nie, nie jest mężatką. Wdowa po sędzim DeMaio.

Wdowa po Johnie. Okropne uczucie samotności. Ciemność zaczęła ustępować. Coś świeciło jej prosto w oczy.

- Odzyskuje przytomność. Ile ma pani lat, pani DeMaio?

Jakie praktyczne pytanie, na które tak łatwo udzielić odpowiedzi. Wreszcie mogła mówić.

- Dwadzieścia osiem.

Opaska, którą Tom założył jej na ramię, została usunięta. Zszywano jej ranę. Ukłucia bolały, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

Prześwietlenie. Gabinet lekarza dyżurnego.

- Miała pani szczęście, pani DeMaio. Trochę siniaków, ale żadnych złamań. Zrobimy pani transfuzję. Ma pani trochę za mało krwinek. Proszę się niczego nie obawiać. Wszystko będzie w porządku.

- Ja tylko... - Przygryzła wargę. Powoli rozjaśniało jej się w głowie. Niewiele brakowało, a zaczęłaby bełkotać o swoim okropnym, bezpodstawnym, dziecięcym strachu przed szpitalem.

- Mamy zawiadomić twoją siostrę? - zapytał Tom. - Wygląda na to, że zatrzymają cię tutaj do rana.

- Nie trzeba. Molly dopiero co wstała po grypie.

Mówiła tak cicho, że Tom musiał nachylić się nad nią, by cokolwiek usłyszeć.

- W porządku, Katie. O nic się nie martw. Zajmę się twoim samochodem.

Odwieziono ją do odgradzonej parawanem części izby przyjęć i podłączono do kroplówki. Krew sączyła się przez przezroczystą rurkę. Mogła już normalnie myśleć.

Bardzo bolały ją kolana i lewe ramię. Wszystko ją bolało. Była w szpitalu, zupełnie sama.

Pielęgniarka odgarnęła jej włosy z czoła.

- Wszystko będzie dobrze, pani DeMaio. Dlaczego pani płacze?

- Nie płaczę. Płakała.

Zawieziono ją do pokoju. Pielęgniarka wręczyła jej papierowy kubek z wodą i pastylkę.

- To pomoże pani odpocząć.

Katie była pewna, że to środek nasenny. Nie chciała go. Będą ją po nim dręczyły koszmary. Ale o ileż łatwiej było nie protestować...

Pielęgniarka wyłączyła światło i cicho stąpając, wyszła z pokoju. Było chłodno. Pościel wydawała się zimna i szorstka. Czy szpitalna pościel zawsze jest taka? Katie osunęła się w ramiona snu wiedząc, że nie uda jej się uniknąć koszmarów.

Jednak tym razem przybrały odmienną formę. Jechała kolejką górską w lunaparku. Wagonik wspinał się coraz wyżej, a potem ruszył w dół do szaleńczego zjazdu i wypadł z trasy na zakręcie. Obudziła się, drżąc na całym ciele, na ułamek sekundy przed zderzeniem z ziemią.

W okna uderzał marznący deszcz ze śniegiem. Katie wstała chwiejnie z łóżka. Okno było lekko uchylone; przez szparę wciskał się do środka wiatr, poruszając roletą. Dlatego

w pokoju było tak zimno. Zamknie okno, opuści roletę i może uda jej się zasnąć. Rano wróci do domu. Nienawidziła szpitali.

Podeszła niepewnie do okna. Szpitalna koszula sięgała jej zaledwie do kolan. Zmarzły jej nogi. I jeszcze ten deszcz ze śniegiem... Teraz już prawie sam deszcz. Oparła się o parapet i spojrzała w dół.

Parking zalewały strumienie lodowatej wody. Katie sięgnęła do rolety, wciąż spoglądając przez szybę.

Ktoś otwierał bagażnik samochodu. Okropnie kręciło jej się w głowie... Zachwiała się i wypuściła z dłoni roletę, która z trzaskiem podjechała do góry. Katie chwyciła się mocniej parapetu, wpatrując się w otwarty bagażnik. Spływało do niego coś białego. Koc?... Duży pakunek?...

Chyba mi się śni, pomyślała. Nagle przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać krzyk. Spoglądała prosto w oświetlony bagażnik samochodu. Poprzez zasłonę z siekącego wściekle o szyby deszczu ze śniegiem dostrzegła, jak biała substancja rozchyła się, a spod niej wyłania się twarz - groteskowo obojętna twarz martwej kobiety.

Dzwonek obudził go punktualnie o drugiej. Przez lata zdążył się przyzwyczaić do nagłych pobudek o każdej porze, dzięki czemu oprzytomniał w okamgnieniu. Ochlapał twarz lodowatą wodą nad umywalką w pokoju badań, po czym zawiązał krawat i przyczesał włosy. Skarpetki wciąż jeszcze były mokre. Zdjął je z ledwo ciepłego kaloryfera, krzywiąc się, wciągnął je na nogi i włożył buty.

Sięgnąwszy po płaszcz, skrzywił się ponownie. Był zupełnie przesiąknięty wodą. Powieszenie go przy grzejniku nie dało żadnych rezultatów. Jeśli go założy, niemal na pewno dorobi się zapalenia płuc.

Poza tym, białe włókna z koca mogły łatwo przyczepić się do granatowego materiału. Potem trudno byłoby mu to wyjaśnić.

W szafie wisiał stary prochowiec. Założy go, a płaszcz zostawi tutaj. Jutro z samego rana odda go do pralni. Prochowiec nie miał podpinki. Przemarznie na kość, ale nic na to nie mógł poradzić. Poza tym, stary łach nie rzucał się w oczy; był burozielony i nieco zbyt obszerny, odkąd jego właściciel stracił trochę na wadze. Gdyby ktoś zauważył samochód - gdyby ktoś zauważył go w samochodzie - istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że zostanie rozpoznany.

Podszedł szybkim krokiem do szafy, otworzył ją, zdjął prochowiec z drucianego wieszaka i powiesił na jego miejscu ciężki, mokry płaszcz. Prochowiec czuć było starością - irytujący zapach kurzu nieprzyjemnie podrażnił mu nos. Krzywiąc się z odrazą, założył go i zapiął.

Następnie stanął przy oknie i rozchyliwszy nieco zasłony, wyjrzał na zewnątrz. Na parkingu stało jeszcze tyle samochodów, że obecność lub nieobecność jego pojazdu nie powinna zostać niezauważona. Przygryzł nerwowo wargę, gdy dostrzegł, że naprawiono lampę w tylnej części parkingu, do

tej pory zawsze pogrążonej w ciemnościach. Teraz tył jego samochodu był wyraźnie widoczny na tle jasnej plamy światła. Będzie musiał pozostać w cieniu rzucanym przez inne pojazdy i jak najszybciej włożyć ciało do bagażnika.

Już czas.

Otworzył szafę ze sprzętem medycznym, nachylił się i wprawnymi dłońmi wymacał kształt przykrytego kocem ciała. Wsunął jedną rękę pod kark, drugą pod kolana i z cichym sapnięciem dźwignął zwłoki. Za życia ważyła około sześćdziesięciu kilogramów, ale w ciąży sporo przytyła. Kiedy przenosił ją na leżankę, jego napięte mięśnie odczuwały każdy gram dodatkowego ciężaru. Następnie, przy świetle małej latarki, zawinął ciało w koc.

Przed zamknięciem szafy dokładnie przyjrzał się jej podłodze. Usatysfakcjonowany, otworzył drzwi wiodące na parking, wziął w dwa palce kluczyk od bagażnika samochodu, po czym bezszelestnie podszedł do leżanki i podniósł z niej martwą kobietę. Każda z najbliższych dwudziestu sekund mogła przynieść katastrofę.

Osiemnaście sekund później był już przy samochodzie. Na policzkach czuł ukłucia kropli marznącego deszczu, a zawinięty w koc ładunek ciążył mu niezmiernie. Przerzuciwszy go na jedno ramię, spróbował wsunąć kluczyk do zamka. Na szczelinie utworzyła się cienka warstewka lodu. Zdrapał ją niecierpliwie, i już w chwilę później kłapa uniosła się powoli. Zerknął w górę, na szpitalne okna. W jednym z pokoiów na pierwszym piętrze roleta podjechała raptownie w górę. Czyżby ktoś mu się przyglądał? Tak bardzo chciał jak najprędzej włożyć ciało do bagażnika i zatrzasać kłapę, że popełnił błąd: nagły podmuch wiatru odchylił skrawek koca, odsłaniając twarz zmarłej. Skrzywił się ze zniecierpliwieniem i pośpiesznie zamknął bagażnik.

Przez ułamek sekundy światło padało na twarz. Czy ktoś to widział? Ponownie spojrział w okno z podniesioną roletą. Nie był pewien, czy ktoś tam stoi. Co stamtąd widać? Będzie musiał sprawdzić, kto zajmuje ten pokój.

Błyskawicznie otworzył drzwi, wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wyjechał z parkingu, szybko nabierając prędkości, ale światła włączył, dopiero gdy znalazł się na szosie poza terenem szpitala.

Aż trudno uwierzyć, że to już druga jego podróż tej nocy do Chapin River. Całe szczęście, że akurat wychodził z pracy, kiedy Vangie wybiegła z gabinetu doktora Fukhito i zawołała go głośno.

Była bliska hysterii, gdy utykając na prawą nogę, szła ku niemu korytarzem.

- Panie doktorze, nie mogę umówić się z panem w tym tygodniu. Jutro lecę do Minneapolis. Pójdę do lekarza, u którego się kiedyś leczyłam, do doktora Salema. Może nawet zostanę tam, żeby przyjąć poród.

Gdyby jej wtedy nie spotkał, wszystko ległoby w gruzach.

Na szczęście udało mu się ją nakłonić, by weszła z nim do gabinetu. Cały czas mówił do niej, uspokajał, wreszcie podał szklankę wody. W ostatniej chwili zrozumiała, co chce jej zrobić, gdyż zerwała się z krzesła i próbowała wybiec z pokoju. Jej piękną, arogancką twarz wykrzywił grymas strachu.

Zaraz potem owładnęło nim przerażenie, gdyż uświadomił sobie, że choć udało mu się ją uciszyć, szanse na zdemaskowanie nadal są bardzo duże. Ukrył ciało w szafie i próbował przeanalizować sytuację.

Największe zagrożenie stanowił jej jaskrawoczerwony samochód - najnowszy lincoln continental o agresywnej, chromowanej przedniej części nadwozia i rzucającej się w oczy sylwetce. Należało jak najprędzej pozbyć się go z

parkingu. Gdyby został tu po godzinach przyjęć, ktoś na pewno zwróciłby na niego uwagę.

Znał jej adres w Chapin River. Wiedział też, że mąż Vangie, pilot United Airlines, miał wrócić do domu dopiero nazajutrz. Postanowił odprowadzić jej samochód do garażu i podrzucić do domu torebkę, aby wyglądało na to, że Vangie wróciła tam po wizycie w szpitalu.

Zadanie okazało się nadspodziewanie łatwe. Z powodu paskudnej pogody ruch na drodze był minimalny, natomiast posiadłości w Chapin River miały co najmniej po dwa akry powierzchni. Domy stały daleko od szosy, zaś docierało się do nich długimi, krętymi drogami dojazdowymi. Otworzył drzwi garażu za pomocą promiennika podczerwieni zamontowanego na obudowie tablicy przyrządów lincolna i wprowadził samochód do środka.

Klucz do drzwi frontowych znajdował się na tym samym kółku co kluczyki samochodowe, ale okazało się, że nie musiał z niego korzystać, gdyż drzwi łączące garaż z domem były otwarte. We wszystkich pokojach paliło się światło, włączone prawdopodobnie przez urządzenie zegarowe. Przebiegł korytarzem do części sypialnej, szukając głównej sypialni. Mieściła się w ostatnim pomieszczeniu po prawej stronie. W domu były jeszcze dwie mniejsze sypialnie, z których jedną przeznaczono na pokój dziecienny, o czym świadczyły ściany pokryte świeżą tapetą w rozmaite zwierzątka oraz zupełnie nowe łóżeczko dla niemowlęcia.

Wtedy właśnie wpadł mu do głowy pomysł, by upozorować samobójstwo. Jeśli kobieta urzęduje pokój dziecienny już na trzy miesiące przed spodziewanym terminem porodu, to groźba utraty dziecka mogła być wystarczającym motywem samobójstwa.

Wszedł do głównej sypialni. Królewskich rozmiarów łóżko było niestarannie nakryte białą, obszytą kordonkiem

narzutą, a na taborecie leżały szlafrok i koszula nocna. Gdyby tylko udało mu się przywieźć tu ciało i położyć je na łóżku! Było to ryzykowne, nie tak bardzo jednak jak porzucenie zwłok gdzieś w lesie, gdyż wtedy policja z pewnością wszczęłaby intensywne śledztwo.

Położył na taborecie jej torebkę. W połączeniu z samochodem w garażu będzie wyglądało na to, że Vangie wróciła ze szpitala do domu.

Następnie przebył na piechotę sześć kilometrów dzielące go od szpitala. To także było ryzykowne; co by zrobił, gdyby zauważyli go policjanci z radiowozu patrolującego tę zamożną osadę? Nie potrafiłby wytłumaczyć, co tutaj robi. Udało mu się jednak przebyć całą drogę w niecałą godzinę. Wszedł do szpitala tylnym wejściem, prowadzącym na parking. Zbliżała się dziesiąta wieczorem.

Płaszcz, buty i skarpetki miał zupełnie przemoczone. Drżał z zimna na całym ciele. Uświadomił sobie, że nie może przenieść zwłok, dopóki istnieje choćby minimalna szansa na to, że kogoś spotka po drodze. Nocna zmiana obejmowała służbę o północy. Postanowił zaczekać kilka godzin. Wejście do izby przyjęć znajdowało się we wschodniej części budynku, dzięki czemu nie groziło mu spotkanie z sanitariuszami lub policjantami wiozącymi ofiarę nocnego wypadku drogowego.

Nastawił budzik na drugą i położył się na kozetce. Ze snu wyrwał go dopiero dzwonek.

Teraz skręcał z drewnianego mostku w Winding Brook Lane. Jej dom położony był po prawej stronie.

Wyłączyć światła; skręcić w drogę dojazdową; objechać budynek; cofnąć samochód pod drzwi garażu; zdjąć skórzane rękawiczki; założyć chirurgiczne; otworzyć garaż; otworzyć bagażnik; przenieść zawinięty w koc pakunek do drzwi

łączących garaż z domem. Dokoła panowała całkowita cisza. Za kilka minut będzie bezpieczny.

Uginając się pod ciężarem ciała, poszedł szybko do głównej sypialni. Położył zwłoki na łóżku i ściągnął z nich koc.

W sąsiadującej z sypialnią łazience wrzucił kryształki cyjanku do malowanej w kolorowe kwiatki szklanki, nalał wody, po czym wylał niemal całą zawartość do umywalki. Następnie starannie spłukał umywalkę i wrócił do sypialni. Położył szklankę w pobliżu dłoni martwej kobiety, tak by kilka kropli trucizny pociekło na prześcieradło. Z całą pewnością na naczyniu odkryją mnóstwo jej odcisków palców. Pojawiło się już stężenie pośmiertne. Ręce Vangie były lodowato zimne.

Starannie złożył koc.

Leżała na łóżku twarzą do góry, z szeroko otwartymi oczami i ustami wykrzywionymi w grymasie przerażonego protestu. Nie szkodzi. Większość samobójców zmieniała zdanie, kiedy już było za późno.

Czy coś pominął? Nie. Torebka z kluczami do domu leżała na taborecie, w szklance został osad cyjanku potasu... Powinna być w płaszczu czy raczej bez? Zostawi ją w płaszczu. Im mniej będzie jej dotykał, tym lepiej.

A buty? Czy wchodząc do domu nie powinna zdjąć butów?

Podniósł skraj długiej sukienki, w której ostatnio chodziła niemal bez przerwy, i poczuł, jak krew raptownie napływa mu do głowy. Opuchnięta prawa stopa tkwiła w rozdeptanym mokasynie, lewą natomiast okrywała jedynie pończocha.

Drugi mokasyn musiał gdzieś spaść, ale gdzie? Na parkingu, w gabinecie, w domu? Wybiegł z sypialni i rozglądając się uważnie, wrócił do garażu. Nic.

Zdenerwowany niepotrzebną stratą czasu zajrzał do bagażnika, lecz również bez rezultatu.

Prawdopodobnie pantofel zsunął się na parking. Gdyby stało się to w gabinecie, na pewno usłyszałyby stukot, z jakim spadłby na podłogę. Dno szafy ze sprzętem medycznym było puste, nie miał co do tego żadnej wątpliwości.

Z powodu opuchniętych stóp Vangie chodziła wyłącznie w starych mokasynach. Słyszał, jak żartowała na ten temat z recepcjonistką.

Będzie musiał wrócić i dokładnie przeszukać cały parking. A jeśli pantofel został znaleziony przez kogoś, kto wiedział, w jakim obuwii chodziła kobieta? Jej śmierć z pewnością wywoła wiele komentarzy. Przypuśćmy, że ktoś powie: „Wiecie co? Znalazłem jej mokasyn na parking. Pewnie zgubiła go, kiedy wracała w poniedziałek do domu.” Ale nawet gdyby przeszła bez obuwia tylko kilka kroków, pończocha na stopie byłaby zupełnie mokra. Policja z pewnością zwróciłaby na to uwagę. Musi koniecznie pójść na parking i znaleźć pantofel!

Wracając do sypialni, zajrzał do szafy. Na podłodze wałało się mnóstwo pantofli, większość na absurdalnie wysokich obcasach. Nikt nie uwierzy, że w takim stanie i przy takiej pogodzie założyła coś podobnego. Dostrzegł dwie lub trzy pary ocieplanych butów zasuwanych na suwak, ale z pewnością nie udałoby mu się wbić ich na obrzmiałe stopy.

Wtedy zobaczył to, czego szukał: proste sznurowane pantofle na niskim obcasie, takie, jakie zwykle noszą kobiety w ciąży. Sprawiały wrażenie niemal zupełnie nowych, ale z pewnością były używane przynajmniej raz. Złapał je z ulgą, pobiegł do sypialni, zdjął mokasyn ze stopy martwej kobiety i wsunął jej na nogi znalezione pantofle. Prawy był nieco za ciasny, ale udało mu się go jakoś zasznurować. Wepchnąwszy pojedynczego mokasyna do szerokiej kieszeni płaszcza,

wsadził sobie zwinięty koc pod pachę, po czym wyszedł szybko z domu.

Kiedy zjawił się ponownie na przyszpitalnym parkingu, przestało już padać, ale noc była wietrzna i bardzo zimna. Zatrzymał samochód w najdalszym końcu. Gdyby spotkał strażnika, miał zamiar powiedzieć, że otrzymał telefoniczne wezwanie do pacjentki. Jeśliby komuś przyszło do głowy sprawdzić autentyczność tej historii, odegrałby scenę świętego oburzenia, twierdząc, że ktoś zrobił mu głupi dowcip.

Jednak najlepiej byłoby, żeby nikt go nie widział. Trzymając się w cieniu krzewów rosnących na wysepce pośrodku parkingu, skierował się ostrożnie ku miejscu, gdzie poprzednio stał jego samochód.

Logicznie rzecz biorąc, pantofel mógł się zsunąć w chwili, kiedy przerzucił ciało na jedno ramię, by otworzyć bagażnik. Pochylony nisko nad ziemią zbliżał się do tylnego wejścia do budynku. W tym skrzydle w żadnym z pokoiów pacjentów nie paliło się światło. Spojrzał na środkowe okno na pierwszym piętrze. Roleta była opuszczona. Ktoś ją poprawił. Nachylił się ponownie i przeszedł na drugą stronę krzewów. Jeśli ktoś go wtedy zobaczył... Wściekłość i zdenerwowanie sprawiły, że w ogóle nie czuł gryzącego zimna. Gdzie podział się ten pantofel? Koniecznie musiał go znaleźć.

Nagle parking zalały dwa strumienie światła. Samochód zahamował z piskiem opon. Kierowca, który najprawdopodobniej chciał podjechać pod izbę przyjęć, zorientował się, że skręcił w niewłaściwym kierunku. Zawrócił i szybko wyjechał z parkingu.

Musiał stąd jak najprędzej zniknąć. Dalsze poszukiwania nie miały żadnego sensu. Miał już zamiar się wyprostować, kiedy poślizgnął się i wyciągnął przed siebie rękę, by uchronić się przed upadkiem. Dłoń przesunęła się po mokrych gałęziach krzewów, a w chwilę potem poczuł pod palcami

skórę i charakterystyczny kształt. Podniósł go i wyprostował się. Nawet w półmroku nie mógł mieć żadnych wątpliwości; mokasyn. Znalazł go.

Kwadrans później otwierał drzwi swojego domu. Ściągnawszy prochowiec powiesił go w szafie w holu. W dużym lustrze na jej drzwiach dostrzegł swoje odbicie. Przez dłuższą chwilę ze zdumieniem przyglądał się brudnym, mokrym plamom na kolanach, potarganym włosom, umazanym rękom, niezdrowym rumieńcom na policzkach oraz wybałuszonym oczom z rozszerzonymi źrenicami. Wyglądał jak człowiek w stanie głębokiego szoku. Przypominał karykaturę samego siebie.

Nie zwlekając, pobiegł na górę, rozebrał się, wcisnął ubranie do foliowej torby, wziął prysznic, po czym założył piżamę i szlafrok. Był zbyt podekscytowany, by marzyć o śnie, a poza tym odczuwał ogromny głód.

Gospodyni zostawiła na półmisku plasterki pieczeni z jagnięcia. W lodówce znalazł świeży kawałek brie i chrupiące, cierpkie jabłka. Starannie przygotował sobie posiłek i zaniósł go na tacy do biblioteki, po czym nalał sobie sporą porcję whisky i usiadł przy biurku. Jedząc, rozmyślał nad wydarzeniami minionej nocy. Gdyby wczoraj nie został w gabinecie nieco dłużej, by sprawdzić rozkład zajęć na najbliższe dni, minąłby się z Vangie. Poleciałaby do Minneapolis i nie mógłby zrobić nic, by ją powstrzymać.

Otworzył zamek środkowej szuflady, wysunął ją i wyjął fałszywe dno. Pod spodem leżała plastikowa teczka z wpinanymi stronami. Wziął czystą kartkę, by dokonać ostatniego wpisu.

15 lutego

O godzinie 20.40 lekarz zamykał drzwi swojego gabinetu. Pacjentka właśnie wyszła z pokoju doktora Fukhito. Podeszła do lekarza i poinformowała go, że postanowiła wrócić do

Minneapolis, by urodzić dziecko pod opieką jej dawnego lekarza, Emmeta Salema. Pacjentka była na krawędzi hysterii, lecz lekarz zdołał namówić ją, by weszła do jego gabinetu. W tym stanie nie mogła opuścić szpitala. Lekarz z żalem musiał podjąć decyzję o jej wyeliminowaniu. Rozpuścił w szklance wody cyjanek potasu i zmusił pacjentkę, by wypiała truciznę. Zgon nastąpił punktualnie o godzinie 21.15. Płód liczył sobie 26 tygodni. Lekarz uważa, że po urodzeniu dziecko miało duże szanse na przeżycie. Całkowita i szczegółowa dokumentacja medyczna umieszczona w tej teczce powinna zastąpić wpisy znajdujące się w szpitalu Westlake.

Z głębokim westchnieniem odłożył pióro, wpiął kartkę i zamknął teczkę. Następnie wstał z fotela i podszedł do ostatniego segmentu regału z książkami. Kiedy sięgnął za jeden z tomów i nacisnął ukryty przełącznik, część regału odchyliła się na ukrytych zawiasach, odsłaniając sejf w ścianie. Szybko otworzył go i schował teczkę - jego podświadomość zarejestrowała fakt, że jest ich coraz więcej. Mógł z pamięci wyrecytować umieszczone na nich nazwiska: Elizabeth Berkeley, Anna Horan, Maureen Crowley, Linda Evans... W sumie ponad siedemdziesiąt. Porażki i sukcesy jego medycznego geniuszu.

Zamknął sejf, wepchnął na miejsce fragment regału, po czym ruszył powoli na górę. Zdjąwszy szlafrok, położył się w masywnym łóżku i zamknął oczy.

Teraz, kiedy było już po wszystkim, dopadło go potworne zmęczenie graniczące niemal z chorobą. Czy niczego nie przeoczył ani nie zapomniał? Fiolkę z cyjankiem schował do sejfu. Mokasyny. Pozbędzie się ich jutro wieczorem. Wydarzenia kilku minionych godzin kołatały mu się po głowie jakby gnane jakimś niepowstrzymanym wichrem. Kiedy robił to, co musiał zrobić, był zupełnie spokojny. Teraz

jednak, podobnie jak w poprzednich wypadkach, jego system nerwowy stanowczo protestował.

Jutro rano w drodze do szpitala zawiezie rzeczy do pralni. Hilda nie grzeszyła zbytnią wyobraźnią, ale nawet ona zwróciłaby uwagę na wilgotne plamy z błota na kolanach spodni. Potem musi dowiedzieć się, kto przebywał w pokoju na pierwszym piętrze wschodniego skrzydła i co ten ktoś mógł zobaczyć. Teraz nie powinien tym sobie zaprzętać głowy. Teraz musi zasnąć. Podniósłszy się na łokciu, otworzył szufladę nocnego stolika i wyjął z niego małe pudełko pastylek. Łagodny środek uspokajający był tym, czego najbardziej potrzebował. Dzięki niemu może uda mu się przespać pozostałe dwie godziny.

Wziął w palce małą kapsułkę, włożył ją do ust i połknął bez popijania. Następnie ułożył się wygodnie na wznak i zamknął oczy. Czekając, aż środek zacznie działać, powtarzał sobie w duchu, że jest całkowicie bezpieczny. Choć bardzo się starał, to jednak nie mógł odepchnąć od siebie myśli, że nie jest w stanie dostrzec najbardziej oczywistego dowodu swojej winy.

Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to wolelibyśmy, żeby skorzystała pani z tylnego wyjścia - powiedziała pielęgniarka. - Na głównym podjeździe zrobiła się prawdziwa szklanka. Robotnicy dopiero zaczęli z nią walczyć. Taksówka już na panią czeka.

- Mogę nawet wyjść przez okno, bylebym tylko wróciła do domu! - odparła energicznie Katie. - A najgorsze w tym wszystkim jest to, że i tak muszę tu wrócić w piątek. W sobotę czeka mnie mały zabieg.

- Naprawdę? - Pielęgniarka zerknęła na kartę. - A co się stało?

- Odziedziczyłam po matce pewien przykry problem. Podczas każdego okresu mam bardzo obfite krwawienia.

- Chyba właśnie dlatego miała pani tak mało krwinek, kiedy tu panią przywieźli. Proszę się nie obawiać. Łyzeczkowanie to nic poważnego. Kto jest pani lekarzem?

- Doktor Highley.

- On jest najlepszy. Będzie pani leżała w zachodnim skrzydle. Kładzie tam wszystkie swoje pacjentki. Mają warunki jak w luksusowym hotelu. - Pielęgniarka ponownie spojrzała na kartę Katie. - Chyba nie spała pani zbyt dobrze?

- Prawie wcale.

Katie skrzywiła się z niesmakiem, zapinając bluzkę. Była zachlapaną krwią. Nie założyła lewego rękawa, który kołysał się pusty nad zabandażowanym ramieniem. Pielęgniarka podała jej płaszcz.

Ranek był pochmurny i przeraźliwie zimny. Katie uznała, że luty należy do miesięcy, które najmniej lubi. Gdy wyszła na parking, zadrzała na wspomnienie nocnego koszmaru. To na tę stronę wychodziło okno jej pokoju. Podjechała taksówka i Katie z ulgą podeszła do samochodu, krzywiąc się nieco z

powodu bólu, który nadal odczuwała w kolanach. Taksówkarz energicznie wdepnął w pedał gazu.

- Dokąd, pszepani?

Z okna pokoju na pierwszym piętrze, który przed chwilą opuściła, obserwował ją pewien mężczyzna. W rękę trzymał kartę zostawioną przez pielęgniarkę na biurku. Kathleen N. DeMaio, Woodfield Way 10, Abbington. Miejsce zatrudnienia: prokuratura okręgowa.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz niepokoju. Katie DeMaio.

Według informacji zamieszczonych w karcie minionej nocy otrzymała silny środek nasenny.

Z historii choroby wynikało, że nie brała regularnie żadnych leków, w tym także pastylek nasennych ani uspokajających, w związku z czym była bardzo podatna na ich działanie. Po takiej dawce powinna być mocno oszołomiona.

W karcie odnotowano także, że pełniąca nocny dyżur pielęgniarka znalazła ją o 2.08 siedzącą na krawędzi łóżka, bardzo pobudzoną i skarżącą się na senne koszmary.

Roleta podjechała raptownie w górę. Katie DeMaio musiała być przy oknie. Jak wiele zobaczyła? Jeśli widziała cokolwiek, to nawet gdyby wmówiła sobie, że to tylko nocny koszmar, jej zawodowa podejrzliwość kazałaby zainteresować się sprawą. Oznaczało to dla niego ryzyko nie do przyjęcia.

Siedzieli blisko siebie przy stoliku w odległym kącie baru przy 87 Ulicy. Popijali kawę, nie zwracając uwagi na leżące na talerzu angielskie bułeczki. Rękaw jej błękitnej mundurowej marynarki stykał się ze złotymi dystynkcjami na jego mankiecie, a palce jej lewej dłoni były splecione z palcami jego prawej.

- Bardzo za tobą tęskniłem - powiedział cicho.

- Ja za tobą też, Chris. Właśnie dlatego żałuję, że spotkaliśmy się dzisiaj rano. To tylko pogorszyło sytuację.

- Joan, daj mi jeszcze trochę czasu. Przysięgam na Boga, że znajdziemy jakieś wyjście. Musimy je znaleźć.

Potrząsnęła głową. Spojrzał na nią i z żalem musiał przyznać, że dziewczyna sprawia wrażenie bardzo nieszczęśliwej. Jej orzechowe oczy były zamglone, a jasnobrązowe, zebrane z tyłu głowy włosy, odsłaniały bledszą niż zwykle skórę.

Nie wiadomo który raz zadał sobie pytanie, dlaczego nie zerwał z Vangie w ubiegłym roku, kiedy przeniesiono go do Nowego Jorku. Dlaczego usłuchał jej błagań, by spróbować jeszcze raz, mimo że dziesięć lat starań mających na celu uratowanie ich małżeństwa nie przyniosło żadnych rezultatów. A teraz miało się urodzić dziecko. Przypomniał sobie, jak paskudnie pokłócili się z Vangie tuż przed jego wyjazdem. Czy powinien powiedzieć o tym Joan? Nie, to nie miało żadnego sensu.

- Jak ci się podobało w Chinach? - zapytał. Natychmiast poweselała.

- Fascynujące, po prostu fascynujące.

Joan była stewardesą w Pan American. Poznali się pół roku temu na Hawajach, podczas przyjęcia wydawanego przez Jacka Lane'a, kolegę Chrisa z United Airlines.

Joan mieszkała w Nowym Jorku na Manhattanie, wspólnie z dwiema innymi stewardesami Pan American.

To wręcz nieprawdopodobne, jak niektórzy ludzie czują więź ze sobą niemal od pierwszej chwili, kiedy się poznali. Powiedział jej, że jest żonaty, ale przyznał też uczciwie, że kiedy przeniesiono go z Minneapolis do Nowego Jorku chciał się rozstać z Vangie. Ostatnia, desperacka próba uratowania małżeństwa zakończyła się fiaskiem. Bez czyjejkolwiek winy. To małżeństwo w ogóle nie powinno być zawarte.

A potem Vangie powiedziała mu o dziecku.

- Przyleciałeś już wczoraj wieczorem - zauważyła Joan.

- Tak. W Chicago mieliśmy kłopoty z silnikiem, więc druga część lotu została odwołana. Wróciliśmy prosto do Nowego Jorku. Wynająłem pokój w Holiday Inn na 57 Ulicy.

- Dlaczego nie pojechałeś do domu?

- Dlatego że nie widziałem cię od dwóch tygodni, a koniecznie chciałem, musiałem cię zobaczyć. Vangie spodziewa się mnie najwcześniej o jedenastej, więc nie musisz się niczym martwić.

- Chris, przecież wiesz, że złożyłam podanie z prośbą o przeniesienie na trasy południowoamerykańskie. Otrzymałam zgodę. W przyszłym tygodniu przenoszę się do Miami.

- Joan, nie!

- To jedyne wyjście, Chris. Naprawdę bardzo mi przykro, ale bycie kochanką żonatego mężczyzny nie leży w mojej naturze. Nie chcę nikomu rozbijać rodziny.

- Przecież nie zrobiliśmy nic niewłaściwego!

- Sądzisz, że ktoś nam uwierzy? Wystarczy chociażby to, że za godzinę będziesz okłamywał swoją żonę. Poza tym nie zapominaj, że jestem córką prezbiteriańskiego pastora. Wyobrażam sobie reakcję taty, gdyby dowiedział się, że żyję z żonatym mężczyzną, którego żona spodziewa się oczekiwanego przez dziesięć lat dziecka. Jestem pewna, że

byłby ze mnie bardzo dumny. - Wypiła do końca kawę. - Bez względu na to co mówisz, wydaje mi się, że jeśli nie będzie mnie w pobliżu, macie szansę zbliżyć się do siebie. Zaprzęłam ci głowę akurat wtedy, kiedy powinieneś myśleć wyłącznie o niej. Nie uwierzysz, jak silną więź między dwojgiem ludzi potrafi stworzyć dziecko. - Delikatnie wysunęła palce z jego dłoni. - Chyba powinnam już pójść do domu. To był długi lot. Jestem bardzo zmęczona. Ty też lepiej wracaj do domu.

Popatrzyli sobie w oczy. Joan dotknęła jego twarzy, jakby chciała wygładzić głębokie, wyrażające troskę zmarszczki, które pojawiły się na jego czole.

- Myślę, że byłoby nam bardzo dobrze ze sobą. - A potem dodała. - Sprawiasz wrażenie ogromnie zmęczonego.

- Ostatniej nocy prawie nie zmrużyłem oka. - Spróbował się uśmiechnąć. - Jeszcze nie zrezygnowałem, Joan. Klnę się na Boga, że przyjadę po ciebie do Miami, a kiedy tam się zjawię, będę już wolny.

Taksówka podwiozła ją pod sam dom. Katie z trudem wspięła się po frontowych schodach, przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. - Dzięki Bogu, z powrotem w domu... - mruknęła.

Miała wrażenie, że nie było jej tu kilka tygodni, nie zaś zaledwie jedną noc. Ponownie zachwyił ją utrzymany w spokojnych, zielonobrazowych barwach wystrój holu i salonu, a także zwieszające się ze ścian rośliny, które przykuły jej uwagę, kiedy zjawiała się tu po raz pierwszy.

Wzięła do ręki doniczkę z afrykańskimi fiołkami i wciągnęła głęboko w płuca aromatyczny zapach ich liści. Wciąż jeszcze czuła nieprzyjemną woń środków dezynfekujących i lekarstw. Całe ciało miała sztywne i obolałe, chyba jeszcze bardziej niż rano, kiedy wstała z łóżka.

Ale przynajmniej znalazła się z powrotem w domu.

John. Gdyby żył, gdyby mogła go zawiadomić wczoraj wieczorem...

Powiesiła płaszcz i usiadła na brzoskwiniowej kanapie w salonie, zapadając się głęboko w miękkie poduszki. Spojrzała na wiszący nad kominkiem portret Johna. John Anthony DeMaio, najmłodszy sędzia w okręgu Essex. Doskonale pamiętała chwilę, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Przyjechał wtedy z gościnnym wykładem do szkoły prawniczej w Seton Hall.

Kiedy wykład dobiegł końca, studenci otoczyli Johna ciasnym wianuszkiem.

- Sędzio DeMaio, mam nadzieję, że Sąd Najwyższy odrzuci apelacje w sprawie Collinsów?

- Sędzio DeMaio, zgadzam się z pańską decyzją w sprawie Reicher kontra Reicher.

A potem przyszła kolej na Katie.

- Panie sędzio, muszę panu powiedzieć, że nie zgadzam się z pańską decyzją w sprawie Kiplinga.

John uśmiechnął się.

- Ma pani do tego całkowite prawo, panno...

- Katie. Kathleen Callahan.

Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego wyjechała wtedy z tą Kathleen. On jednak od tej pory zawsze ją tak nazywał: Kathleen Noel.

Tego samego dnia poszli na kawę. Nazajutrz wieczorem zaprosił ją na kolację do restauracji „Monsignor II” w Nowym Jorku. Kiedy przy ich stoliku zjawili się skrzypkowie, poprosił, by zagrali „Wiedeń, miasto moich snów”. Nucił cicho w takt melodii: „Wien, Wien, nur du allein...”

- Byłaś kiedyś w Wiedniu, Kathleen? - zapytał, gdy utwór dobiegł końca.

- Nigdy nie wyjeżdżałam z kraju, z wyjątkiem szkolnej wycieczki na Bermudy. Przez całe cztery dni lało jak z cebra.

- Chciałbym kiedyś zabrać cię za granicę. Przede wszystkim pokazałbym ci Włochy. To przepiękny kraj.

Odwiózłszy ją do domu, powiedział:

- Masz najbardziej urocze błękitne oczy, w jakie kiedykolwiek miałem przyjemność spoglądać. Nie wydaje mi się, żeby dwanaście lat różnicy to było zbyt wiele. A co ty o tym myślisz, Kathleen?

Pobrali się trzy miesiące później, jak tylko skończyła studia.

Ten dom. John wychowywał się w nim, a potem odziedziczył go po rodzicach.

- Jestem do niego bardzo przywiązany, Kathleen, ale najważniejsze jest to, co ty czujesz. Może wolałabyś coś mniejszego?

- Jako dziecko mieszkałam w trzypokojowym mieszkaniu w Queens. Spałam na kanapie w pokoju stołowym. Słowo

„prywatność” znalazłam tylko ze słownika. Ten dom jest wspaniały!

- Cieszę się, Kathleen.

Ogromnie się kochali, ale oprócz tego byli także dobrymi przyjaciółmi. Opowiedziała mu o gnębiącym ją nocnym koszmarze.

- Ostrzegam, że co jakiś czas budzę się, wrzeszcząc jak wariatka. To się zaczęło, kiedy miałam osiem lat, wkrótce po śmierci ojca. Leżał w szpitalu po zawale serca, kiedy dopadł go drugi zawał. Staruszek, który leżał z nim w pokoju, naciskał dzwonek, ale pielęgniarka nie zareagowała. Kiedy wreszcie ktoś przyszedł, żeby zobaczyć co się dzieje, było już za późno.

- I wtedy zaczęły się twoje koszmary?

- Tyle razy wysłuchałam tej historii, że wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Śni mi się, że jestem w szpitalu, chodzę od łóżka do łóżka i szukam taty. Widzę mnóstwo ludzi, których dobrze znam. Wszyscy śpią. Są wśród nich koleżanki ze szkoły, kuzyni, przyjaciele... Ja jednak uparcie szukam ojca, bo wiem, że mnie potrzebuje. Wreszcie podbiegam do pielęgniarki i pytam ją, gdzie mogę go znaleźć, a ona odpowiada z uśmiechem: „Och, on już nie żyje. Oni wszyscy nie żyją. Ty też tutaj umrzesz.”

- Biedactwo...

- Zdaję sobie świetnie sprawę, że to całkowity nonsens i że powinnam to przезwyciężyć, ale przysięgam ci, że oblewa mnie lodowaty pot na samą myśl o tym, że mogłabym kiedyś znaleźć się w szpitalu jako pacjentka.

- Spróbujemy się z tym uporać.

Powiedziała mu też jak to było naprawdę po śmierci ojca.

- Okropnie mi go brakowało. Byłam jego ukochaną córeczką. Molly miała już szesnaście lat i chodziła z Billem, więc chyba nie odczuła tego tak bardzo. Ja jednak przez cały

okres nauki w szkole myślałam, jak by to było wspaniale, gdyby mógł widzieć przygotowywane przez nas przedstawienia i ceremonie rozdawania świadectw. Okropnie przeżywałam każdy Dzień Ojca, kiedy dzieci idą ze swoimi tatusiami na uroczysty obiad.

- Nie miałaś jakiegoś wujka, który podjąłby się zastępstwa?

- Owszem, był taki jeden. Nigdy go o to nie poprosiłam, bo potem zbyt długo musiałabym go trzeźwić.

- No wiesz, Kathleen! - Oboje prasknęli śmiechem. - Cóż, kochanie... Mam zamiar wyrwać z twojej duszy ten korzeń smutku.

- Już pan to zrobił, panie sędzio.

Miesiąc miodowy spędzili we Włoszech. Ból pojawił się podczas podróży. Wrócili na otwarcie jesiennej sesji sądu. John przewodniczył sądowi okręgu Essex, Katie zaś zatrudniła się w okręgu Valley, w charakterze asystentki sędziego zajmującego się sprawami kryminalnymi.

Miesiąc po powrocie z podróży poślubnej John zgłosił się na badania. Jednodniowy pobyt w szpitalu Mt. Sinai przeciągnął się do trzech dni wypełnionych dodatkowymi testami. A potem nadszedł wieczór, kiedy czekał na nią przy windzie, nienagannie elegancki w ciemnoczerwonym welurowym szlafroku, z bladym uśmiechem na twarzy. Podbiegła do niego, jak zwykle świadoma spojrzeń rzucanych na niego przez innych pasażerów windy, wiedząc, że nawet w piżamie i szlafroku John sprawia imponujące wrażenie. Chciała mu to powiedzieć, lecz on ją uprzedził.

- Mamy kłopoty, kochanie.

Nawet wtedy powiedział „mamy”. Podczas tych niewielu tygodni stali się niemal jedną osobą. Kiedy znaleźli się w jego pokoju, wyjaśnił jej, co miał na myśli.

- To złośliwy nowotwór. Wygląda na to, że w obu płucach jednocześnie. A ja przecież nawet nie palę, na litość boską!

Śmiech, którym wybuchnęli, pełen był rozpacz, żalu i przerażenia. John Anthony DeMaio, przewodniczący sądu okręgowego w Essex, były prezes oddziału Stowarzyszenia Prawników w New Jersey, w wieku niespełna trzydziestu ośmiu lat został skazany na Sześć Miesięcy Życia bez możliwości ułaskawienia ani odwołania do wyższej instancji.

Wrócił do pracy.

- Umrzeć w tobie? - Wzruszył ramionami. - Dlaczego nie? Obiecuj mi, że wyjdiesz znowu za mąż, Kathleen.

- Może kiedyś... Ale trudno będzie mi znaleźć kogoś, kto cię zastąpi.

- Cieszę się, że tak myślisz. Wykorzystamy każdą chwilę, jaka nam została.

Nawet w samym środku zamętu, wiedząc, że czas ucieka im bezpowrotnie, starali się dobrze bawić.

Pewnego dnia wrócił do domu i powiedział:

- Myślę, że to już koniec z pracą.

Nowotwór rozszerzał się błyskawicznie. Ból narastał coraz bardziej. Początkowo John musiał co jakiś czas jeździć do szpitala na chemoterapię; koszmary pojawiły się znowu i nie opuszczały jej ani na chwilę. Zawsze jednak wracał, co oznaczało, że zostało im jeszcze trochę czasu. Zrezygnowała z pracy. Pragnęła spędzić z nim każdą minutę.

Pod koniec zapytał:

- Czy nie chciałabyś sprowadzić tu z Florydy swojej matki, żeby z tobą zamieszkała?

- Broń Boże! Mama jest wspaniała, ale mieszkałyśmy razem aż do chwili, kiedy dostałam się do college'u, i to w zupełności wystarczy. Poza tym, ona uwielbia Florydę.

- Cóż, w takim razie cieszę się, że Molly i Bill mieszkają w pobliżu. Na pewno zajmą się tobą, a ty przecież bardzo lubisz ich dzieci.

Umilkli oboje. Bill Kennedy był chirurgiem - ortopedą. Mieli z Molly sześcioro dzieci, a mieszkali dwa miasteczka dalej, w Chapin River. W dniu swojego ślubu Katie i John oznajmili Billowi i Molly, że postanowili poprawić ich wynik.

- Będziemy mieli siedmioro! - oświadczył John.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy pojechał na chemoterapię, by już nie wrócić. Był tak słaby, że zatrzymano go na noc w szpitalu. Rozmawiał z nią, gdy w pół słowa zapadł w śpiączkę. Oboje mieli nadzieję, że śmierć zastanie go w domu, lecz jeszcze tej samej nocy umarł w szpitalu.

Tydzień później Katie zgłosiła się do pracy w biurze prokuratora okręgowego i została przyjęta. Okazało się, że podjęła słuszną decyzję. W jej nowej instytucji wiecznie brakowało rąk do pracy, w związku z czym zazwyczaj prowadziła jednocześnie więcej spraw, niż pozwalały na to jej fizyczne możliwości. Nie miała czasu na rozmyślania nad przeszłością. Codziennie, nawet w weekendy, musiała być skoncentrowana nad bieżącymi zadaniami.

Taki tryb życia był znakomitą terapią. Towarzyszący rozpaczcy gniew oraz wściekłość wywołana świadomością, że oboje zostali oszukani przez los, a Johna w okrutny sposób pozbawiono należytą mu części życia, wykorzystwała w pracy nad przydzielonymi jej sprawami. Występując przeciwko zbrodniarzom, odnosiła wrażenie, że w ten sposób zwalcza przynajmniej jeden z przejawów zła, które odbierało ludziom życie.

Zatrzymała dom. Odziedziczyła cały, dość rozległy majątek Johna, lecz mimo to zdawała sobie sprawę, że będąc dwudziestoosmioletnią kobietą zarabiającą rocznie dwadzieścia dwa tysiące dolarów, postępuje głupio,

mieszkając w domu wartym ćwierć miliona dolarów, w dodatku otoczonym pięcioakrową posiadłością.

Molly i Bill namawiali ją, by wszystko sprzedała.

- Nie ułożysz sobie na nowo życia, dopóki tego nie zrobisz - powtarzał Bill.

Prawdopodobnie miał rację.

Katie otrząsnęła się ze wspomnień i wstała z kanapy. Dość roztkliwiania się nad sobą. Powinna zadzwonić do Molly. Jeśli siostra bezskutecznie próbowała skontaktować się z nią wczoraj wieczorem, to dzisiaj zapewne będzie w siódmym niebie. Wciąż liczyła na to, że Katie wreszcie „kogoś spotka”. Lepiej, żeby nie zadzwoniła do biura i nie dowiedziała się w ten sposób o wypadku.

Być może przyjedzie tutaj i zje z Katie obiad. W domu były składniki na dobrą sałatkę i wszystko, co było niezbędne do przyrządzenia Krwawej Mary. Molly wечно stosowała jakieś diety, ale za nic nie zrezygnowałaby z poobiedniej Krwawej Mary. „Na litość boską, Katie, czy ktoś, kto urodził sześcioro dzieci, może nie mieć apetytu?” Hałaśliwa obecność Molly szybko rozproszy atmosferę smutku i osamotnienia.

Katie przypomniała sobie, że ma na sobie zakrwawioną bluzkę. Najpierw porozmawia z Molly, a potem, czekając na jej przyjazd, wykąpie się i przebierze.

Zerknąwszy w lustro wiszące nad kanapą przekonała się, że siniak pod lewym okiem przybrał soczyście fioletową barwę. Jej oliwkowa cera, którą matka nazywała „czarną irlandzką” - w związku z pochodzeniem ojca, ma się rozumieć - była teraz nieprzyjemnie żółtawa. Sięgające do ramion ciemnobrązowe włosy, zwykle błyszczące i ułożone w naturalne fale, zmatowiały i przykleiły się do karku.

- Niektórzy wyglądają jeszcze gorzej! - mruknęła z ponurym sarkazmem.

Lekarz upomniął ją, by nie zamoczyła opatrunku. Owinie ramię folią, dzięki czemu bandaż pozostanie suchy. Kiedy sięgnęła po słuchawkę, zabrzączał dzwonek telefonu. To na pewno Molly, pomyślała. Założę się, że jest czarownicą.

Usłyszała jednak głos Richarda Carrola, lekarza sądowego.

- Jak się czujesz, Katie? Właśnie powiedziano mi, że miałaś wypadek.

- To nic wielkiego. Próbowałam pojechać na skróty, ale jak na złość tuż przede mną wyrosło drzewo.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem, około dziesiątej. Wracałam z biura do domu. Zostałam dłużej, żeby nadrobić trochę zaległości. Spędziłam noc w szpitalu i dopiero co wróciłam do domu. Wyglądam paskudnie, ale w gruncie rzeczy nic mi nie jest.

- Kto cię odwiózł? Molly?

- Nie, ona jeszcze o niczym nie wie. Wzięłam taksówkę.

- Nadal jesteś Samotnym Kowbojem, zgadza się? Dlaczego, do stu piorunów, nie zadzwoniłaś do mnie?

Katie roześmiała się. Troska, którą wyraźnie słyszała w głosie Richarda, była jednocześnie miła i niepokojąca. Richard przyjaźnił się z mężem Molly. Podczas minionych sześciu miesięcy Molly kilka razy zapraszała Katie i Richarda na małe przyjęcia. Ale Richard był zbyt bezpośredni i cyniczny... W jego towarzystwie zawsze czuła się odrobinę niespokojna. Poza tym, na razie nie miała zamiaru z nikim się wiązać, a już szczególnie z żadnym z mężczyzn, z którymi często współpracowała.

- Na pewno cię zawiadomię, kiedy następnym razem wjadę na drzewo - powiedziała.

- Chyba weźmiesz kilka dni zwolnienia?

- Skądże znowu. Zapytam Molly, czy nie wpadłaby do mnie na szybki lunch, a zaraz potem jadę do biura. Mam co

najmniej dziesięć spraw, nad którymi muszę solidnie popracować, a w piątek czeka mnie ważna rozprawa.

- Jesteś szalona, ale chyba nie ma sensu ci tego powtarzać. Dobra, muszę już kończyć. Dzwoni drugi telefon. Zajrzę do twojego gabinetu około wpół do szóstej i wyciągnę cię na drinka.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Katie wykręciła numer Molly. Po głosie siostry zorientowała się, że jest czymś wstrząśnięta.

- Przypuszczam, że już wiesz, Katie?

- O czym?

- Właśnie przyjechali ludzie z twojego biura.

- Gdzie przyjechali?

- Do naszych sąsiadów, Lewisów. To ta para, która sprowadziła się zeszłego lata. Biedny człowiek! Właśnie wrócił do domu z nocnego lotu i znalazł ją... Swoją żonę, Vangie. Popełniła samobójstwo. Katie, ona była w szóstym miesiącu ciąży!

Lewisowie, Lewisowie... Tak, Katie poznała ich podczas noworocznego przyjęcia u Molly i Billa. Vangie była bardzo ładną blondynką, a Chris pilotem linii lotniczych.

Głos Molly docierał do niej jak przez watę.

- Katie, dlaczego dziewczyna, która tak bardzo pragnęła dziecka, miałyby popełnić samobójstwo?

Pytanie zawisło w powietrzu. Przez ciało Katie przebiegł lodowaty dreszcz. Długie jasne włosy widziane w blasku żarówki oświetlającej wnętrze bagażnika... Jej okropny sen. Niesamowite, jakie sztuczki potrafi płatać ludzki umysł. Kiedy tylko Molly wymieniła imię kobiety, Katie natychmiast przypomniała sobie nocny koszmar. Twarz, którą dostrzegła przez okno szpitalnego pokoju była twarzą Vangie Lewis.

Richard Carroll zatrzymał samochód na Winding Brook Lane tuż przy ostrzegawczych taśmach rozpiętych przez policję. Wstrząsnął nim fakt, że Lewisowie byli sąsiadami Molly i Billa Kennedych. Kiedy Richard odbywał staż w szpitalu St. Vincent, Bill już tam pracował. Później on zrobił specjalizację z medycyny sądowej, Bill zaś z ortopedii. Obaj byli przyjemnie zaskoczeni, kiedy wpadli na siebie w budynku sądowym okręgu Valley. Bill występował wówczas jako ekspert w procesie o popełnienie błędu w sztuce lekarskiej. Powierzchna przyjaźń sięgająca czasów St. Vincent pogłębiła się. Teraz często grywali razem w golfa, a w drodze powrotnej z klubu Richard nieraz wpadał do Kennedych na drinka.

Pewnego dnia poznał w biurze prokuratora okręgowego siostrę Molly, Katie DeMaio, i natychmiast zainteresował się młodą prawniczką. Patrząc na nią, wracało się myślą do czasów, kiedy Hiszpanie podbili Irlandię i pozostawili po sobie potomków o oliwkowej cerze i ciemnych włosach, tak bardzo różniących się od błękitnookich tubylców. Jednak kiedy zaproponował, by poznali się nieco bliżej, spotkała go grzeczna odmowa, toteż z filozoficznym spokojem uznał, że nie warto tracić czasu i sił na ponawianie zabiegów. Miał do wyboru wystarczająco wiele atrakcyjnych kobiet, którym bardzo odpowiadało jego towarzystwo.

Jednak opowieści Molly, Billa, a także ich dzieci o tym, jaka niezwykła jest Katie, oraz jak bardzo przeżyła śmierć męża, na nowo obudziły jego zainteresowanie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, uczestnicząc w przyjęciach wydawanych przez Molly i Billa Kennedych, miał okazję stwierdzić, że Katie DeMaio intryguje go znacznie bardziej, niż chciałby się do tego przyznać.

Richard wzruszył ramionami. Przyjechał tu służbowo. Trzydziestoletnia kobieta popełniła samobójstwo. Jego zadanie polegało na znalezieniu wszelkich oznak, które mogłyby wskazywać na to, że Van - gie Lewis nie zginęła z własnej ręki. Później przeprowadzi autopsję. Zacisnął szczęki na myśl o dziecku, które nosiła. Nie dała mu najmniejszej szansy. Jak to się miało do macierzyńskiej miłości? Zmarła Vangie Lewis nie budziła w nim najcieplejszych uczuć.

Młody policjant z Chapin River wprowadził go do domu. Salon znajdował się po lewej stronie holu. Na kanapie, ściskając nerwowo dłonie, siedział zgarbiony mężczyzna w mundurze kapitana linii lotniczych. Był bledszy niż większość nieboszczyków, z jakimi Richard miał do tej pory do czynienia, a jego ciałem wstrząsały silne dreszcze. Richard poczuł krótkotrwały przyływ współczucia. Mąż. To musi być niezły kopniak wrócić do domu i dowiedzieć się, że twoja żona popełniła samobójstwo. Postanowił zamienić z nim później kilka słów.

- Którędy? - zapytał policjanta.

- Tam. - Młody funkcjonariusz wskazał ruchem głowy tylną część domu. - Kuchnia jest na wprost, sypialnie po prawej stronie. Zwłoki leżą w głównej sypialni.

Richard ruszył szybko we wskazanym kierunku, starając się po drodze wchłonąć atmosferę domu. Urządzono go kosztownie, ale bez odrobiny polotu. Salon przypominał tysiące innych salonów, umeblowanych przez pozbawionych wyobraźni dekoratorów wnętrz, mających swoje biura przy głównych ulicach niezliczonych małych miasteczek w całym kraju. Richard dysponował bardzo wyczulonym zmysłem postrzegania barw - w głębi duszy uważał, że pomaga mu to w pracy. Niewłaściwie dobrane odcienie wywoływały u niego taką samą reakcję jak fałszywie zagrany akord.

W kuchni zastał Charleya Nugenta, detektywa z Wydziału Zabójstw. Mężczyźni skinęli sobie głowami.

- Jak to wygląda? - zapytał Richard.

- Najpierw ją zobacz, a potem pogadamy.

Vangie Lewis po śmierci nie stanowiła przyjemnego widoku. Długie jasne włosy przybrały kolor zgaszonego brązu, na twarzy zamarł bolesny grymas, nogi zaś i ręce, w których rozgościło się na dobre stężenie pośmiertne, sprawiały wrażenie, jakby ktoś rozciągnął je na naprężonych drutach. Zapięty płaszcz z powodu cięży nie sięgał nawet do kolan, a spod długiej sukni w kwiaty wystawały jedynie podeszwy pantofli.

Richard podciągnął sukienkę powyżej kostek. Elastyczne legginsy były ciasno opięte na opuchniętych nogach. Krawędzie prawego pantofla wbiły się głęboko w nabrzmiałe ciało.

Fachowym ruchem podniósł ramię martwej kobiety, przytrzymał je przez chwilę, po czym opuścił. Następnie przyjrzał się wywołanym przez truciznę zmianom zabarwienia skóry w okolicy ust.

- Jak długo nie żyje? - zapytał Charley, stając obok niego.

- Tak na oko od dwunastu do piętnastu godzin. Jest już dość sztywna. - Richard mówił obojętnym głosem, ale coś nie dawało mu spokoju. Uległo zakłóceniu jego poczucie harmonii. Zapięty płaszcz. Pantofle na nogach. Dopiero co wróciła do domu, czy właśnie zamierzała wyjść? Dlaczego tak nagle postanowiła odebrać sobie życie? Szklanka leżała obok niej na łóżku. Schylił się i powąchał; natychmiast poczuł charakterystyczny, gorzko - migdałowy zapach cyjanku potasu. Niewiarygodne, jak wielu samobójców wybierało właśnie cyjanek po masowym samobójstwie wyznawców Jonesa w Gujanie. Wyprostował się.

- Zostawiła list?

Charley pokręcił głową. Richardowi przemknęło przez głowę, że Charley znakomicie nadaje się do tej roboty. Zawsze miał ponurą minę, opadające powieki nadawały jego oczom smutny wyraz, a w dodatku nie mógł pozbyć się problemów z łupieżem.

- Żadnych listów ani nic w tym rodzaju. Dziesięć lat temu wyszła za pilota. To ten facet w salonie. Wygląda na zupełnie załamane. Oboje są z Minneapolis. Przenieśli się na wschód niecały rok temu. Zawsze chciała mieć dziecko. Kiedy wreszcie zaszła w ciążę, była w siódmym niebie. Zaczęła urządzać pokój dziecienny i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę gadała tylko o dziecku.

- A potem zabiła je i siebie?

- Mąż twierdzi, że ostatnio stała się bardzo nerwowa. Rozpaczała, że na pewno straci dziecko, albo dla odmiany histeryzowała przed porodem. Chyba zdawała sobie sprawę, że ma objawy zatrucia ciążowego.

- W związku z czym popełniła samobójstwo? - zapytał sceptycznym tonem Richard. Wiedział, że Charley także w to nie wierzy. - Przywiozłeś ze sobą Phila? - Phil był jednym z najstarszych, obok Charleya, pracowników Wydziału Zabójstw.

- Rozmawia teraz z sąsiadami.

- Kto ją znalazł?

- Mąż. Właśnie wrócił z lotu. Wezwał pogotowie i policję. Richard przez chwilę przyglądał się poparzeniom dokoła ust Vangie.

- Albo chciała wlać to w siebie jednym haustem, albo próbowała wypluć, ale było już za późno... - mruknął w zamyśleniu. - Możemy poprosić tu męża i zamienić z nim kilka słów?

- Jasne.

Charley skinął głową młodemu policjantowi, który odwrócił się i szybko pomaszerował długim korytarzem.

Kiedy Christopher Lewis wszedł do pokoju, wyglądał tak, jakby lada chwila miały go chwycić torsi. Był niemal zielony na twarzy, czoło zaś miał pokryte potem. Rozpiął kołnierzyk koszuli, rozluźnił krawat i wbił ręce w kieszenie.

Richard przyglądał mu się badawczo. Lewis sprawiał wrażenie wstrząśniętego i zdenerwowanego, ale z całą pewnością nie wyglądał na człowieka, którego całe życie legło właśnie w gruzach.

Richard widział śmierć niezliczoną ilość razy. Widział bliskich pogrążonych w niemej rozpacz, a także takich, którzy krzyczeli głośno, szlochali i rzucali się na ciała zmarłych. Niektórzy dotykali ostrożnie martwej dłoni, jakby próbując zrozumieć, co się stało. Przypomniawszy sobie młodego mężczyznę, którego żona zginęła w strzelaninie, kiedy wysiadali z samochodu, by pójść na zakupy. Gdy Richard dotarł na miejsce zdarzenia, oszołomiony mąż obejmował ciało żony, przemawiając do niej, tak jakby mogła go usłyszeć.

To właśnie była rozpacz.

Richard nie zawahałby się dać głowy za to, że wśród uczuć, jakich doświadczał teraz Christopher Lewis, nikt nie doszukałby się rozpacz.

- Kapitanie Lewis, doskonale zdajemy sobie sprawę, że to dla pana bardzo ciężkie chwile, ale musimy zadać panu kilka pytań - powiedział Charley.

- Tutaj? - Było to nie tylko pytanie, lecz przede wszystkim protest.

- Zaraz dowie się pan dlaczego. To nie potrwa długo. Kiedy po raz ostatni widział pan żonę?

- Dwie noce temu. Miałem lot na wybrzeże.

- Kiedy wrócił pan do domu?

- Jakąs godzinę temu.
- Czy w ciągu tych dwóch dni rozmawiał pan z żoną? - Nie.
- W jakim stanie psychicznym znajdowała się ostatnio?
- Już panu mówiłem.
- Chciałbym, żeby zechciał pan powtórzyć to doktorowi.
- Vangie zrobiła się bardzo nerwowa. Bała się, że może nie donosić ciąży.
- Czy pan także obawiał się takiej ewentualności?
- Bardzo przybrała na wadze, tak jakby zatrzymywała płyny, ale dostała na to pigułki. Zdaje się, że to nic niezwykłego.
- Zadzwoił pan do jej lekarza, żeby się upewnić?
- Nie.
- Aha... Kapitanie Lewis, proszę rozejrzeć się i sprawdzić, czy wszystko w pokoju wygląda tak jak powinno. Wiem, że to dla pana trudne, ale proszę się przyjrzeć uważnie ciału żony i zastanowić się, czy nic nie budzi pańskich podejrzeń. Na przykład szklanka. Jest pan pewien, że pochodzi z waszej łazienki?

Chris postąpił jak mu kazano. Blednąc coraz bardziej przesuwał spojrzenie po zwłokach żony. Charley i Richard ani na chwilę nie spuszczaali z niego oka.

- Nie - szepnął wreszcie. - Nic nie zauważyłem...
- W porządku, proszę pana. - Charley zachowywał się teraz rzeczowo i konkretnie. - Jak tylko zrobimy parę zdjęć, zabierzemy ciało w celu dokonania autopsji. Czy możemy panu w czymś pomóc? Może chce się pan z kimś skontaktować?
- Muszę zadzwonić do kilku osób. Przede wszystkim do rodziców Vangie. Będą zrozpaczeni. Pójdę do swojego gabinetu.

Kiedy wyszedł z sypialni, Richard i Charley spojrzeli na siebie.

- On coś zauważył - stwierdził Charley. Richard skinął głową.

- Wiem.

Dwaj mężczyźni wpatrzyli się ponuro w zwłoki.

Katie opowiedziała Molly o wypadku i zaproponowała obiad. Okazało się jednak, że dwunastoletnia Jennifer i sześcioletni bliźniacy są w domu, ponieważ kończy im się grypa. - Z Jennifer nie ma żadnych problemów, ale wołałabym nie zostawiać chłopców samych, bo nawet się nie obejrzę, jak rozsypią po całym domu zawartość kosza na śmieci.

Umówiły się, że Molly przyjedzie po Katie i zabierze ją do siebie.

Czekając na siostrę, Katie wykąpała się, a także zdołała umyć włosy i wysuszyć je, posługując się tylko prawą ręką. Założyła gruby wełniany sweter i dobrze skrojone tweedowe spodnie. Czerwień swetra dodawała nieco koloru jej bladej twarzy, a rozpuszczone włosy opadały luźno na ramiona. Kąpiąc się i ubierając, usiłowała wytłumaczyć sobie w jakiś racjonalny sposób koszmar, który nawiedził ją minionej nocy.

Czy naprawdę była przy oknie? A może to też stanowiło jedynie część koszmaru? Może roleta zwinęła się sama, budząc ją ze snu. Zamknęła oczy i ponownie ujrzała przerażającą scenę. Wszystko wydawało się takie realne: blask żarówki oświetlającej bagażnik padał na szeroko otwarte oczy, długie włosy i mocno wygięte brwi. Obraz był niezwykle ostry, i właśnie ta ostrość najbardziej ją przerażała. Nawet we śnie rozpoznała twarz kobiety.

Czy powinna powiedzieć o tym Molly? Oczywiście, że nie. Molly i tak ostatnio bardzo się o nią niepokoiła. „Katie, jesteś okropnie blada. Zbyt dużo pracujesz. Jesteś zamknięta w sobie”. To właśnie Molly namówiła ją na zabieg. „To nie może ciągnąć się w nieskończoność. Takie krwawienia są bardzo niebezpieczne, jeśli nic się nie zrobi, żeby je powstrzymać”. A potem dodała: „Katie, musisz sobie uświadomić, że jesteś młodą kobietą. Powinnaś wziąć urlop, odprężyć się, pojechać na prawdziwe wakacje”.

Rozległo się donośne trąbienie; Molly zajechała przed dom swoim poobijanym kombi. Katie wbiła się z trudem w ciepłą bobrową kurtkę, postawiła kołnierz i zeszła po schodkach tak szybko, jak pozwalały jej na to opuchnięte kolana. Molly otworzyła jej od środka drzwi, pochyliła się, by ją pocałować, a następnie obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem.

- Nie mogę powiedzieć, żebyś wyglądała kwitnąco. Co ci się naprawdę stało?

- Mogło być dużo gorzej.

W samochodzie unosił się ledwo wyczuwalny zapach masła orzechowego i gumy do żucia. Był to przyjemny, znajomy zapach i Katie natychmiast poczuła, że robi się jej raźniej. Jednak dobry nastrój zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- U nas jest teraz potworne zamieszanie - poinformowała ją Molly. - Policja nie dopuszcza nikogo do domu Lewisów, a jakiś detektyw z twojego biura zadaje wszystkim pytania. Złapał mnie akurat wtedy, kiedy wychodziłam. Powiedziałam mu, że jestem twoją siostrą, po czym wspólnie wykonaliśmy numer pod tytułem „Jaka jesteś wspaniała”.

- To był pewnie Phil Cunningham albo Charley Nugent.

- Duży facet o mięsistej twarzy. Sympatyczny.

- Phil Cunningham. To dobry człowiek. O co pytał?

- O nic wielkiego. Czy zauważyliśmy, kiedy wyszła z domu albo wróciła, i o takie różne...

- A zauważyliście?

- Kiedy bliźniaki chorują i marudzą, nic bym nie zauważyła, nawet gdyby obok zamieszkał Robert Redford. Poza tym, od nas nawet w pogodny dzień prawie nie widać domu Lewisów, a co dopiero w nocy i przy padającym deszczu.

Przejechały przez drewniany mostek tuż przed skrzyżowaniem w Winding Brook Lane. Katie przygryzła wargę.

- Czy możesz podwieźć mnie do domu Lewisów? Molly spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Po co?

Katie spróbowała się uśmiechnąć.

- Cóż, jestem zastępcą prokuratora okręgowego, a także doradcą komendy policji w Chapin River, cokolwiek to ma oznaczać. Właściwie nie musiałabym się tam pokazywać, ale skoro już tu jestem, chyba będzie lepiej, jeśli to zrobię.

Przed dom właśnie zajeżdżał ambulans z zakładu medycyny sądowej. Richard stał w drzwiach i przyglądał się, jak kierowca cofa pojazd pod samo wejście. Kiedy Molly zatrzymała swój samochód, podszedł szybkim krokiem.

- Katie przyjechała do nas na obiad, ale pomyślała sobie, że powinna tu zajrzeć - wyjaśniła mu Molly. - Może i ty byś przyszedł, jeśli możesz?

Podziękował za zaproszenie i pomógł Katie wysiąść z samochodu.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedział. - Jest tu coś, co mi się nie podoba.

Wiedząc, że za chwilę zobaczy martwą kobietę, Katie poczuła suchość w ustach. Przypomniała sobie twarz widzianą we śnie.

- Mąż jest w gabinecie - poinformował ją Richard.

- Znam go. Ty na pewno też. Był na noworocznym przyjęciu u Molly... Nie, ty się wtedy spóźniłeś. Oboje wyszli przed twoim przyjściem.

- Porozmawiamy o tym później. To tutaj.

Zmusiła się, by spojrzeć na twarz i natychmiast ją rozpoznała. Zaciśnęła powieki, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Czyżby traciła zmysły?

- Dobrze się czujesz, Katie? - szybko zapytał Richard. Dlaczego robi z siebie idiotkę?

- Nic mi nie jest - odparła, stwierdzając, że jej głos brzmi w miarę normalnie. - Chciałabym porozmawiać z kapitanem Lewisem.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Richard otworzył je po cichu bez pukania. Chris Lewis stał plecami do nich, trzymając w ręku słuchawkę. Mówił cicho, ale wyraźnie:

- Wiem, że to niewiarygodne, ale przysięgam ci, Joan! Ona nic o nas nie wiedziała!

Richard bezszelestnie zamknął drzwi. Spojrzeli z Katie na siebie.

- Powiem Charleyowi, żeby tu został - podjęła natychmiast decyzję. - Zasugeruję Scottowi konieczność przeprowadzenia dokładnego śledztwa.

Scott Myerson był prokuratorem okręgowym.

- A ja sam przeprowadzę sekcję, jak tylko przywiozą mi zwłoki - odparł Richard. - Kiedy stwierdzimy ze stuprocentową pewnością, że zabił ją cyjanek, trzeba będzie ustalić, gdzie go zdobyła. Teraz chodźmy do Molly, ale nie możemy siedzieć u niej zbyt długo.

Dom Molly, podobnie jak jej samochód, stanowił oazę normalności. Wracając z pracy, Katie często wpadała tu na kieliszek wina lub kolację. Witał ją zapach dobrego jedzenia, tupot dziecięcych stóp na schodach, jazgot telewizora, wrzaski i krzyki. Po dniu spędzonym wśród morderców, porywaczy, chuliganów, rabusiów, zboczeńców, podpalaczy i obwiesiów mniejszego kalibru mogła dzięki temu wrócić do rzeczywistego świata. Jednak, mimo gorących uczuć, jakimi obdarzała rodzinę Kennedych, po każdej takiej wizycie tym bardziej doceniała idealny spokój panujący w jej domu - naturalnie z wyjątkiem chwil, kiedy próbowała wypełnić

wszechobecną pustkę wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby żył John i gdyby mieli dzieci.

- Katie! Doktor Carroll! - Bliźniacy przybiegli w podskokach, żeby się przywitać. - Widziałaś te radiowozy, Katie? Coś się stało u sąsiadów!

Peter, starszy o dziesięć minut, zawsze pełnił rolę rzecznika dwójki.

- U naszych sąsiadów! - zawtórował mu John. Molly nazywała ich „Peter i jego echo”.

- Znikajcie, utrapieńcy! - poleciła stanowczo. - I nie przeszkadzajcie nam, kiedy będziemy jedli.

- A gdzie reszta? - zapytała Katie.

- Dzięki Bogu Billy, Dina i Moira poszli rano do szkoły, a Jennifer leży w łóżku. Właśnie u niej byłam. Znowu zasnęła, biedactwo. Wciąż jeszcze nie czuje się najlepiej.

Usiedli przy kuchennym stole. W obszernej kuchni panowało pogodne ciepło. Molly wyjęła z piecyka zapiekanki, zaproponowała drinki, za które podziękowali, i nałóżła wszystkim kawy. Była znakomitą kucharką. Wszystko, co przygotowała, smakowało najlepiej, jak można było sobie wyobrazić. Jednak kiedy Katie spróbowała przełknąć pierwszy kęs, przekonała się, że ma zupełnie ściśnięte gardło. Zerknęła na Richarda; nałożył sobie na zapiekanke górę musztardy i pałaszował z widoczną przyjemnością. Zazdrościła mu umiejętności podziału życia na prywatne i służbowe. Na jednym poziomie potrafił zajadać się smaczną zapiekanką, podczas gdy na innym - była tego pewna - przez cały czas rozmyślał nad sprawą Vangie Lewis. Miał zmarszczone czoło i zmierzwiłone włosy, jego szaroniebieskie oczy spoglądały na nią w zamyśleniu, a szerokie plecy pochyliły się nieco nad stołem, kiedy bębnił lekko w blat dwoma palcami. Mogła iść o zakład, że nie daje mu spokoju to samo pytanie: Z kim rozmawiał Chris Lewis?

Katie dokładnie pamiętała swoją jedyną rozmowę z Chrisem. Odbyła się podczas noworocznego przyjęcia u Kennedych i dotyczyła porwań samolotów. Chris okazał się inteligentnym i sympatycznym rozmówcą, a jeżeli dodało się do tego interesujący, nieco kanciasty wygląd, należało uznać go za atrakcyjnego mężczyznę. Pamiętała także, że on i Vangie przez cały czas trzymali się z dala od siebie oraz że nie okazał nadmiernego entuzjazmu, kiedy złożyła mu gratulacje w związku ze zbliżającymi się narodzinami dziecka.

- Molly, co sądzisz o Lewisach? - zapytała. - Chodzi mi o ich wzajemne układy.

Molly zawahała się.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że nie było z tym najlepiej. Ona okropnie przejmowała się swoją ciążą, więc zawsze kierowała rozmowę na temat dzieci, a on nie był tym specjalnie zachwycony. Martwiłam się tym, bo w pewnym sensie jej ciąża była częściowo moją zasługą.

Richard przestał bębnić palcami po stole i wyprostował się gwałtownie.

- Jak to?

- Chodzi o to, że... Przecież mnie znasz, Katie. Zeszłego lata pobiegłam do nich tego samego dnia, kiedy się sprowadzili, i zaprosiłam ich na kolację. Przyszli, a Vangie od razu opowiedziała mi o tym, jak bardzo chce mieć dziecko i że ogromnie się niepokoi, czy to jej się uda, ponieważ przekroczyła już trzydziestkę. - Molly wysączyła resztkę Krwawej Mary i spojrzała z żalem na pustą szklankę. - Powiedziałam jej więc o Liz Berkeley. Nie mogła zająć w ciążę, dopóki nie zgłosiła się do pewnego ginekologa, który jest uważany za eksperta w dziedzinie leczenia bezpłodności. Niedawno urodziła córeczkę i oczywiście nie posiadała się ze szczęścia. Lekarz nazywa się Highley. Vangie natychmiast

poszła do niego i kilka miesięcy później zaszła w ciążę, ale wtedy zaczęłam żałować, że jej o tym wspomniałam.

- Doktor Highley? - zapytała ze zdziwieniem Katie. Molly skinęła głową.

- Tak. Ten sam, który...

Katie potrząsnęła głową i jej siostra umilkła w pół zdania.

Edna Burns lubiła swoją pracę. Była księgową i zarazem recepcjonistką dwóch lekarzy tworzących zespół realizujący Koncepcję Macierzyństwa Westlake. „Doktor Highley to gruba ryba - mówiła przyjaciółkom. - Ożenił się z Winifred Westlake, a ona wszystko mu zostawiła. Teraz on gra pierwsze skrzypce”.

Doktor Highley był ginekologiem - położnikiem. Według słów Edny: „Nie uwierzyłybyście, jak cieszą się jego pacjentki, kiedy wreszcie uda im się zająć w ciążę. Zupełnie jakby były pierwsze na świecie! Bierze od nich straszne pieniądze, ale trzeba mu przyznać, że potrafi czynić cuda.

Z drugiej strony - ciągnęła Edna - jeżeli ktoś ma w sobie coś, czego chce się pozbyć, też powinien zgłosić się właśnie do niego. Wiecie, co mam na myśli” - dodawała z porozumiewawczym mrugnięciem.

Doktor Fukhito był psychiatrą. Koncepcja Macierzyństwa Westlake opierała się na medycynie holistycznej; według jej zasad poczęcie i urodzenie dziecka było możliwe dopiero po doprowadzeniu do harmonii ducha i ciała. Wielu kobietom nie udawało się zająć w ciążę wyłącznie z powodu nadmiernych obciążeń emocjonalnych. Wszystkie pacjentki musiały odbyć przynajmniej jedną rozmowę z doktorem Fukhito, ale od tych, które zaszły w ciążę, wymagano zgłaszania się na regularne konsultacje.

Edna lubiła opowiadać przyjaciółkom, że Koncepcja Macierzyństwa Westlake została stworzona przez starego doktora Westlake'a, który zmarł, nie zdążywszy wprowadzić w czyn swoich zamiarów. Potem, osiem lat temu, jego córka Winifred poślubiła doktora Highleya, kupiła zbankrutowaną klinikę River Falls, nadała jej nową nazwę, oddając cześć ojcu, i usadowiła tam męża. „Ona i doktor szaleli za sobą - mówiła Edna, wzdychając głęboko. - Była od niego o dziesięć

lat starsza i niezbyt ładna, ale mimo to zostali prawdziwymi kochankami. Kilka razy w tygodniu kazał mi kupować dla niej kwiaty i pomimo wielu zajęć chodził z nią na zakupy. Powiadam wam, jej śmierć to był dla wszystkich prawdziwy wstrząs. Nikt nie przypuszczał, że ma aż tak słabe serce.

Ale - dodawała filozoficznie - on nadal pracuje jak szaleniec. Widywałam już pozornie bezpłodne kobiety, które zachodziły w ciążę po dwa albo i trzy razy. Ma się rozumieć, wielu z nich nie udaje się donosić dziecka, ale przynajmniej mają nadzieję. Powinnyście zobaczyć, jaką opieką się je otacza! Czasem doktor Highley kładzie je w klinice na dwa miesiące przed terminem rozwiązania. To oczywiście kosztuje fortunę, ale wierzcie mi, jeśli chcesz urodzić dziecko i masz pieniądze, zapłacisz każdą cenę, żeby tylko ci się udało. Zresztą, same niedługo będziecie mogły o wszystkim przeczytać. „Newsmaker” właśnie przygotował artykuł o nim i o koncepcji Macierzyństwa Westlake. Ukaże się w czwartek. Przyszli w zeszłym tygodniu i sfotografowali go w gabinecie przed ścianą obwieszoną zdjęciami dzieci, które dzięki niemu przyszły na świat. To bardzo miłe. A jeśli myślicie, że on teraz ma dużo roboty, to poczekajcie, co będzie się działo po ukazaniu się tego artykułu. Telefon będzie dzwonił od rana do wieczora”.

Edna była urodzoną księgową. Prowadzone przez nią rachunki mogły służyć za wzór dokładności. Uwielbiała wypisywać wszelkiego rodzaju kwity i odczuwała coś w rodzaju zmysłowego zadowolenia, dokonując znaczących przelewów na konto swego pracodawcy. Niewielka, lecz rzucająca się w oczy tabliczka na jej biurku informowała pacjentki o tym, że wszystkie należności muszą być uiszczane w gotówce, że nie przedstawia się miesięcznych rachunków oraz że wszelkich wyjaśnień w kwestiach finansowych udziela panna Burns, czyli ona.

Doktor Highley osobiście powiedział Ednie, że, o ile nie otrzyma od niego innych poleceń, po pierwszej wizycie ma natychmiast zapisywać pacjentkę na następną. Gdyby pacjentka nie pojawiła się, należy zadzwonić do niej, wyjaśnić sprawę i ustalić nowy termin wizyty. Była to bardzo zdrowa zasada, która - co Edna stwierdziła ze sporą satysfakcją - przynosiła kolosalne zyski.

Doktor Highley zawsze chwalił Ednę za utrzymywanie rachunków w nienagannym porządku oraz za to, że książka wizyt była zawsze pełna. Obsztorcował ją tylko raz, kiedy usłyszał, jak rozmawia z jedną z kobiet o problemach innej pacjentki. Musiała przyznać, że postąpiła bardzo głupio, ale tego dnia wypijała do lunchu kilka Manhattanów, co osłabiło jej czujność.

Doktor zakończył wykład następującym zdaniem:

- Jeśli jeszcze raz zdarzy ci się coś takiego, będziesz mogła poszukać sobie nowej pracy.

Wiedziała, że mówił zupełnie serio.

Edna westchnęła głęboko. Była zmęczona. Wczoraj obaj lekarze mieli wieczorne godziny przyjęć, a drzwi gabinetów prawie się nie zamykały. Potem popracowała jeszcze trochę nad rachunkami. Dziś nie mogła się doczekać, żeby wreszcie pójść do domu. Kiedy już tam dotrze, żadna siła nie zmusi jej do wyjścia. Założy szlafrok, przygotowuje sobie odpowiedni zapas Manhattanów, a następnie otworzy konserwową szynkę leżącą w lodówce i zasiądzie przed telewizorem.

Zbliżała się druga po południu. Jeszcze trzy godziny i będzie wolna. Korzystając z chwili spokoju, zajrzała do kalendarza pod wczorajszą datę, by upewnić się, że nie zapomniała zaplanować kolejnej wizyty żadnej z pacjentek. Zmarszczywszy lekko brwi oparła na ręce szeroką, pokrytą piegami twarz. Włosy miała w nieładzie. Nie uczesała ich

wczoraj wieczorem, gdyż po paru drinkach poczuła się trochę zmęczona.

Edna była otyłą czterdziestoczworoletnią kobietą wyglądającą o dziesięć lat starzej. Całą młodość spędziła, opiekując się rodzicami. Kiedy niedawno zobaczyła swoje zdjęcie ze Szkoły Sekretarek Drake'a, zdziwiła się, że ćwierć wieku temu była taką ładną dziewczyną - odrobinę zbyt pulchną, niemniej jednak na pewno atrakcyjną.

Nagle coś zwróciło jej uwagę na pokrytej zapiskami stronie: wczorajsza wieczorna wizyta Vangie Lewis.

Vangie przyszła przed ósmą i dość długo rozmawiała z Edną. Była w nie najlepszym stanie psychicznym. Szczerze mówiąc, Vangie zawsze chętnie narzekała, ale była tak ładna, że Edna z przyjemnością na nią patrzyła. W czasie ciąży znacznie przybrała na wadze; zdaniem Edny zatrzymywała mnóstwo wody w organizmie. Modliła się, żeby Vangie bezpiecznie urodziła dziecko. Tak bardzo go przecież pragnęła.

W związku z tym nie miała jej za złe paskudnego nastroju. Vangie naprawdę nie czuła się najlepiej. W zeszłym miesiącu zaczęła nosić rozdeptane mokasyny, ponieważ przestały na nią pasować wszystkie pantofle. Pokazała Ednie stopy.

- Popatrz, prawa jest tak opuchnięta, że mogę chodzić tylko w tych trepach, które kiedyś zostawiła nasza sprzątaczką. Lewy bez przerwy mi spada.

Edna próbowała ją rozbawić.

- Skoro zaczęłaś nosić te szklane pantofelki, będę musiała nazywać cię Kopciuszkiem, a twojego męża Pięknym Księciem.

Wiedziała, że młoda kobieta szaleje na punkcie swojego męża. Jednak tym razem Vangie zrobiła kwaśną minę i odparła ze zniecierpliwieniem.

- Daj spokój. Przecież Piękny Książę został mężem Śpiącej Królowej, a nie Kopciuszka.

Edna roześmiała się.

- Widocznie mamie wszystko się pomieszało. Według niej to Piękny Książę przyniósł Kopciuszkowi szklany pantofelek. Zresztą, wszystko jedno. Zanim się spostrzeżesz, urodzisz dzidziusia i znowu będziesz mogła chodzić w normalnych butach.

Wczoraj wieczorem Vangie podciągnęła długą sukienkę, którą zaczęła nosić, by ukryć opuchniętą nogę.

- Spójrz, Edno - powiedziała. - Już prawie nie mieszczę się w te przeklęte trepy. I za co? Mój Boże, za co? - pytała ze łzami w oczach.

- Po prostu wpadłaś w psychiczny dołek, kochanie - odparła Edna. - Dobrze, że przyszedłeś porozmawiać z doktorem Fukhito. Na pewno pomoże ci się odprężyć.

Właśnie w tej chwili doktor Fukhito poprosił przez interkom panią Lewis. Vangie wstała i ruszyła korytarzem w kierunku drzwi gabinetu. Po kilku krokach potknęła się, gdyż z lewej stopy spadł jej zbyt luźny mokasyn.

- Do diabła z nim! - krzyknęła z wściekłością i nie zatrzymując się poszła dalej. Edna podniosła mokasyna z podłogi, by oddać go Van - gie, kiedy skończy rozmowę z doktorem Fukhito.

W każdy poniedziałek Edna zostawała w pracy do późnego wieczora, by uzupełnić wpisy w księgach rachunkowych. Kiedy około dziewiątej zaczęła szykować się do wyjścia, Vangie jeszcze się nie pojawiła. Edna postanowiła zaryzykować i powiedzieć przez interkom doktorowi Fukhito, że zostawi pantofel w korytarzu przed drzwiami jego gabinetu.

Doktor Fukhito jednak nie odpowiadał. Oznaczało to, że Vangie wyszła ze szpitala drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na parking. Zupełne szaleństwo. Przecież przy

tej pogodzie natychmiast przemoczy sobie nogę i zaziębi się na śmierć!

Edna zamknęła biuro i z mokasynem w dłoni wyszła na parking w samą porę, by zobaczyć, jak prowadzony przez doktora Highleya czerwony lincoln Vangie rusza właśnie z miejsca. Pobiegnęła za nim kilka kroków, machając rękami, ale nie zwrócił na nią uwagi, w związku z czym wsiadła do swojego samochodu i pojechała do domu.

Być może doktor Highley umówił się już z Vangie na następną wizytę, ale Edna postanowiła zadzwonić do niej, by się upewnić. Szybko wykrciła numer Lewisów. Po drugim dzwonku w słuchawce odezwał się męski głos:

- Dom państwa Lewisów, słucham?

- Proszę z panią Lewis - powiedziała Edna w sposób, jakiego nauczono ją w Szkole Sekretarek Drake'a: rzeczowo, ale uprzejmie. Była ciekawa, czy rozmawia z kapitanem Lewisem.

- Kto mówi?

- Sekretarka doktora Highleya. Chciałam ustalić termin następnej wizyty pani Lewis.

- Proszę zaczekać.

Zorientowała się, że jej rozmówca zasłonił mikrofon. Docierały do niej przytłumione głosy. Co się stało? Być może Vangie zachorowała. Jeśli tak, to należy jak najszybciej zawiadomić doktora Highleya.

- Mówi detektyw Cunningham z biura prokuratora okręgowego - odezwał się ponownie męski głos. - Bardzo mi przykro, ale pani Lewis zmarła nagle. Proszę przekazać jej lekarzowi, że jutro rano skontaktuje się z nim ktoś od nas.

- Umarła?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Edna. - Mój Boże, co się stało?

- Wygląda na to, że odebrała sobie życie - odparł detektyw po krótkim wahaniu, po czym połączenie zostało przerwane.

Edna powoli odłożyła słuchawkę. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

Przyszły dwie pacjentki umówione na drugą po południu: pani Volmer do doktora Highleya i pani Lashley do doktora Fukhito. Edna przywitała je odruchowo.

- Dobrze się czujesz, Edno? - zapytała pani Volmer. - Wydajesz się czymś bardzo przejęta.

Pani Volmer często rozmawiała z Vangie w poczekalni. Edna otwierała już usta, by powiedzieć jej o śmierci młodej kobiety, ale jakiś wewnętrzny głos kazał jej najpierw poinformować doktora Highleya.

Właśnie wyszła pacjentka z pierwszej trzydzieści.

- Poproś panią Volmer, Edno - powiedział lekarz przez interkom. Edna zerknęła na kobiety; gdyby teraz coś mu powiedziała, usłyszałyby każde jej słowo.

- Panie doktorze, czy mogę wejść do pana na chwilę? Chciałabym zamienić z panem kilka słów.

Zabrzmiało to bardzo fachowo i opanowanie. Była z siebie dumna.

- Naturalnie.

Nie wydawał się zbyt zachwycony. Highley był dość szorstki w obejściu, ale kiedy chciał, potrafił też być bardzo miły. Widziała to na własne oczy wczorajszego wieczora.

Przemaszerowała korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalała jej obfita tusza. Ciężko sapiąc, zapukała do jego drzwi.

- Wejdz, Edno - rozległ się głos, w którym bez trudu dało się usłyszeć nutę irytacji.

Nieśmiało otworzyła drzwi i wślizgnęła się do gabinetu.

- Panie doktorze, myślę, że powinien pan o tym wiedzieć - zaczęła natychmiast, jak tylko znalazła się za progiem. - Przed chwilą zadzwoniłam do pani Lewis, żeby umówić ją na następną wizytę. Powiedział mi pan, że powinna teraz przychodzić raz w tygodniu.

- Zgadza się. Na litość boską, Edno, zamknij drzwi. Słysząc cię w całym szpitalu.

Postąpiła zgodnie z jego żądaniem, a następnie, ściszywszy głos, powiedziała:

- Telefon odebrał jakiś detektyw. Powiedział mi, że popełniła samobójstwo i że jutro przyjdą z panem porozmawiać.

- Co zrobiła? - zapytał ze zdumieniem.

Teraz, kiedy wreszcie mogła o tym mówić, słowa popłynęły jej z ust wartkim strumieniem.

- Wczoraj wieczorem była taka przygnębiona, prawda, panie doktorze? Chyba oboje to zauważyliśmy. Rozmawiała ze mną w taki sposób, jakby przestało jej na wszystkim zależeć. Ale pan też na pewno zwrócił na to uwagę. Pomyślałam sobie, że bardzo ładnie pan postąpił, odwożąc ją wczoraj wieczorem do domu. Machałam, ale pan mnie nie zauważył. Ze wszystkich ludzi na świecie chyba pan wie najlepiej, jak jej było ciężko.

- Edno, z iloma osobami rozmawiałaś na ten temat?

W jego głosie pojawiło się coś, co sprawiło, że nagle ogarnęło ją wielkie zdenerwowanie.

- Z nikim, panie doktorze - wymamrotała, unikając wzroku Highleya. - Dowiedziałam się dopiero przed chwilą...

- Nie powiedziałaś nic pani Volmer albo komuś innemu w recepcji?

- Nie, panie doktorze.

- Ani temu detektywowi?

- Nie.

- Pamiętaj, Edno: kiedy jutro zjawi się tutaj policja, powiemy im wszystko o stanie psychicznym, w jakim znajdowała się pani Lewis. Ale teraz słuchaj uważnie. - Wycelował w nią palec wskazujący i pochylił się do przodu w fotelu. Odruchowo cofnęła się o krok. - Nie życzę sobie, żebyś rozmawiała na temat pani Lewis z nikim innym, rozumiesz mnie? Z nikim. Pani Lewis była neurotyczką o szalenie nie zrównoważonej psychice, a my nie możemy sobie pozwolić na to, żeby jej samobójstwo kojarzono w jakikolwiek sposób z naszym szpitalem. Jak by to wyglądało, gdyby w gazetach rozpisywano się o tym, że była moją pacjentką? A już szczególnie nie życzę sobie, żebyś plotkowała o niej z innymi pacjentkami; wiele z nich także ma ogromne kłopoty z donoszeniem płodu. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, panie doktorze... - wykrztusiła Edna. Powinna była domyślić się, że przejrzy ją na wylot.

- Lubisz swoją pracę?

- Tak, panie doktorze.

- W takim razie z nikim, absolutnie z nikim, nie rozmawiaj o tej sprawie. Jeśli usłyszę z twoich ust choć jedno słowo, jesteś tu skończona. Jutro będziemy mówić z policją, i na tym koniec. Dla wszystkich innych stan umysłu pani Lewis ma pozostać tajemnicą. Czy to jasne?

- Tak.

- Umówiłaś się na dzisiejszy wieczór z przyjaciółkami? Wiesz, że kiedy wypijesz, nie potrafisz utrzymać języka za zębami.

Edna była bliska płaczu.

- Wracam prosto do domu. Nie czuję się zbyt dobrze. Muszę być w formie, kiedy będę przesłuchiwana przez policję. Biedny mały Kopciuszek... - Przełknęła łzy napływające jej do oczu i w tej samej chwili dostrzegła

nieprzyjazne, zdegustowane spojrzenie Highleya. Wyprostowała się i otarła ukradkiem oczy. - Powiem pani Volmer, że już może ją pan przyjąć. I proszę się nie obawiać, doktorze - dodała z godnością. - Szanuję dobre imię naszego szpitala. Wiem, jak wiele znaczy pańska praca dla pana i pańskich pacjentek. Nie puszcze pary z ust.

Przez pozostałą część popołudnia była bardzo zajęta. Rozmawiając z pacjentkami, ustalając terminy kolejnych wizyt, odbierając wpłaty i przypominając kobietom o uregulowaniu zaległych należności, udało jej się na jakiś czas przestać myśleć o Vangie.

Wreszcie wybiła piąta i Edna mogła wyjść do domu. Opatulona w sztuczne cętkowane futro, w pasującym do tego stroju kapeluszu na głowie, wyruszyła w drogę do swego mieszkania w Edgeriver, sześć mil od szpitala.

W klinicznie bezosobowym prosektorium w kostnicy okręgu Valley, Richard Carroll ostrożnie wyjął martwy płód z ciała Vangie Lewis. Jego długie, delikatne palce podniosły małe ciało. Przy okazji zauważył wyraźny wyciek płynu owodniowego. Vangie Lewis nie mogłaby długo nosić swojego dziecka. Oceniał, że ważyło około kilograma. Chłopiec.

Syn pierworodny. Potrząsnął ze smutkiem głową, wkładając płód do metalowego pojemnika. Vangie znajdowała się w stanie zaawansowanego zatrucia ciążowego. Niewiarygodne, że jakiś lekarz dopuścił do takiej sytuacji. Ciekawe, ile miała białych krwinek. Na pewno przerażająco dużo.

Posłał już do laboratorium próbki płynów. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że kobieta umarła w wyniku zażycia cyjanku potasu. Usta i gardło były bardzo poparzone. Przełknęła potężny haust.

A oparzenia dokoła ust? Richard przyjrzał im się dokładnie. Spróbował wyobrazić sobie chwilę, kiedy wypłała truciznę. Zaczęła przetykać, poczuła pieczenie, rozmyśliła się i spróbowała ją wypluć. Płyn pociekł jej po wargach i brodzie.

Nie bardzo mu to pasowało.

Do jej płaszcza przywarły cienkie, delikatne włókna. Prawdopodobnie pochodziły z jakiegoś koca. Również oddał je do analizy. O ile mógł sobie przypomnieć, kobieta leżała na białej narzucie. Chciał, aby porównano nie zidentyfikowane włókna z pochodzącymi z tej narzuty. Płaszcz wyglądał na bardzo znoszony, nie można więc było wykluczyć możliwości, że włókna znalazły się na nim przy jakiejś innej okazji.

Ciało kobiety było tak obrzmiałe, że z pewnością nie mogła ubierać się w to, co chciała, tylko w to, w co mogła się zmieścić.

Wyjątek stanowiło obuwie. Kolejny zastanawiający szczegół. Pantofle sprawiały wrażenie modnych i kosztownych, a co ważniejsze, były prawie nowe. Było bardzo mało prawdopodobne, by Vangie wychodziła w nich w poniedziałek z domu i wcale ich nie zabrudziła. Na pantoflach nie sposób było dostrzec śladów błota lub wilgoci, mimo że nogawki obcisłych legginsów były zachłapane sporo powyżej kostek. Czyżby wróciła do domu, postanowiła znowu wyjść, zmieniła pantofle, a potem popełniła samobójstwo?

To także nie miało najmniejszego sensu.

Jeszcze jedna rzecz: pantofle były bardzo ciasne, szczególnie prawy. Z trudem zdołała go zawiązać. Zakładanie go musiało przypominać zaciskanie imadła. Biorąc pod uwagę, że dobierając resztę stroju, kierowała się wyłącznie wygodą, dlaczego miałyby wybrać pantofle, które sprawiały ból gorszy od śmierci?

Ból gorszy od śmierci...

Richard wyprostował zgięte plecy. Właściwie już skończył. Jak tylko otrzyma z laboratorium wyniki analiz, będzie mógł powiedzieć Scottowi Myersonowi o swoich ustaleniach.

Spojrzał jeszcze raz na płód. Cyjanek dotarł do jego krwiobiegu; podobnie jak matka, dziecko umarło w strasznych cierpieniach. Richard przyglądał mu się uważnie. Cud życia wciąż jeszcze budził jego ogromne zdumienie, narastające w miarę kolejnych zetknięć ze śmiercią. Podziwiał precyzję konstrukcji ciała oraz harmonię wszystkich jego części - mięśni i włókien, kości i ścięgien, żył i tętnic - niesamowity stopień komplikacji układu nerwowego, zdolność organizmu do leczenia ran, jego upór w chronieniu nie narodzonych.

Nagle pochylił się nad płodem, wyjął go z metalowego pojemnika i zbliżył do światła. Czy to możliwe?...

Było to jedynie podejrzenie, ale takie, które koniecznie należało sprawdzić. Zrobi to dla niego Dave Broad. Dave kierował badaniami prenatalnymi w szpitalu Mt. Sinai. Pośle mu ten płód i poprosi o opinię.

Jeśli jego podejrzenia znajdą potwierdzenie, okaże się, że kapitan Chris Lewis miał bardzo poważny powód, by niepokoić się ciążą żony.

Może nawet na tyle poważny, by ją zabić.

Scott Myerson, prokurator okręgu Valley, zaprosił na piątą do swego gabinetu Katie, Richarda oraz dwóch detektywów z Wydziału Zabójstw wyznaczonych do prowadzenia sprawy samobójstwa Vangie Lewis. Gabinet Scotta w niczym nie przypominał miejsc pracy prokuratorów pokazywanych w filmach: był mały, pomalowany na zgniłżółty kolor, zastawiony mocno sfatygowanymi meblami uginającymi się pod ciężarem szaroburych akt. Okna pokoju wychodziły na więzienie okręgowe.

Katie zjawiła się pierwsza i ostrożnie usiadła w jedynym w miarę wygodnym fotelu. Scott spojrział na nią z lekkim uśmiechem. Był niewysokim mężczyzną o zaskakująco niskim głosie. Dzięki dużym okularom w grubych oprawkach, czarnemu, starannie przystrzyżonemu wąsikowi oraz nienagannie skrojonemu garniturovi o tradycyjnej linii, przypominał raczej bankiera niż przedstawiciela prawa. Cały dzień spędził w sądzie, na rozprawie, w której występował jako oskarżyciel, i rozmawiał z Katie tylko przez telefon. Teraz zobaczył jej zabandażowane ramię, podsiniaczone oko i grymas bólu, jaki przemknął przez jej twarz, kiedy zajmowała miejsce w fotelu.

- Dziękuję, że przyszałaś - powiedział. - Doceniam to, bo wiem, jak bardzo jesteś zajęta. Myślę jednak, że jutro powinnaś wziąć Wolny dzień.

Katie potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest, a rano na pewno nie będę już taka obolała.

- Jak chcesz. Pamiętaj jednak, że gdybyś poczuła się gorzej, masz natychmiast jechać do domu. - Zmienił ton na bardziej oficjalny. - A teraz sprawa pani Lewis. Co wiesz na ten temat?

Kiedy mówiła, do pokoju wszedł Richard w towarzystwie dwóch detektywów. Bez słowa usiedli na trzech rozkładanych krzesłach.

Scott słuchał uważnie, postukując ołówkiem w blat biurka, a następnie zwrócił się do detektywów:

- A wam co udało się ustalić? Phil Cunningham wyjął notatnik.

- Że Lewisowie już dawno skończyli miesiąc miodowy. Od czasu do czasu bywali u sąsiadów. - Spojrzał na Katie. - Twoja siostra też zapraszała ich parę razy. Wszyscy lubili Chrisa Lewisa, natomiast Vangie uważali za wrzód na tyłku. Była o niego diabelnie zazdrosna, nie interesowało ją życie miasteczka... W ogóle nic ją nie interesowało. Na przyjęciach zazwyczaj wisiała mu na ramieniu i wściekała się, kiedy rozmawiał z jakąś kobietą dłużej niż pięć minut. Miał dla niej wiele cierpliwości. Jedna z sąsiadek wyznała, że po jednym z takich przyjęć mąż powiedział jej, że gdyby to na niego trafiło, zamordowałby Vangie gołymi rękami. A potem zaszła w ciążę i zrobiła się już zupełnie nie do zniesienia. Od rana do wieczora gadała tylko o dzieciach.

Teraz przyszła kolej na Charleya.

- Dzwoniła sekretarka jej lekarza, żeby ustalić termin następnej wizyty. Powiedziałem, że wpadniemy do niego jutro rano.

- Chciałbym zadać mu kilka pytań dotyczących stanu zdrowia Vangie Lewis - powiedział cicho Richard.

Scott natychmiast spojrzał na niego.

- Zrobiłeś autopsję?

- Tak. To na pewno cyjanek. Umarła natychmiast. Usta i gardło były bardzo poparzone... co prowadzi do najważniejszej sprawy.

Na szafce z aktami stał dzbanek z wodą i papierowe kubki. Richard wstał z krzesła, podszedł do szafki i nalał sobie sporą porcję.

- Teraz uważajcie - powiedział. - Załóżmy, że w kubku jest wodny roztwór cyjanku potasu, a ja postanowiłem popełnić samobójstwo. W związku z tym pociągam dużego łyka. - Zrobił to. W kubku pozostała niemal połowa zawartości. Pozostali obserwowali go z napięciem.

Pokazał im kubek.

- Sądząc z ilości cyjanku jaką stwierdzono w jej organizmie, Van - gie Lewis wypła mniej więcej tyle co ja przed chwilą. Na razie wszystko się zgadza, ale pojawił się pewien problem. Otóż oparzenia znajdują się także dokoła ust, na szyi, a nawet na karku. Mogło to nastąpić jedynie wtedy, gdyby wypluła trochę płynu... Nawet nie trochę, tylko całkiem sporo. Jeśli jednak połknęła tyle, ile pokazałem, to znaczy, że miała puste usta. Niemożliwe, żeby pociągnęła następnego łyka i dopiero wtedy wszystko wypluła, ponieważ reakcja następuje natychmiast, nigdy z takim opóźnieniem.

- A czy nie mogła przełknąć połowy tego, co miała w ustach, a wypluć resztę? - podsunął Scott.

Richard wzruszył ramionami.

- Nie wskazuje na to ani ilość płynu, jaka trafiła do organizmu, ani ta, która rozlała się po twarzy. Na prześcieradle znaleźliśmy tylko kilka kropli, podobnie jak w szklance. Wynika z tego, że jeśli szklanka była pełna, pani Lewis musiała najpierw zachlapać sobie usta i twarz, a potem wypić resztę jednym haustem. Tak się mogło zdarzyć, ale ja w to nie wierzę. Pojawił się także problem z butami.

Wyjaśnił w skrócie, dlaczego nie wierzy, by Vangie Lewis mogła czuć się wygodnie w pantoflach, które znaleziono na jej nogach. Słuchając go, Katie przypomniała sobie twarz młodej kobiety. Twarz widziana we śnie i martwa twarz, którą

zobaczyła w sypialni domu Lewisów, przesuwając się jej przed oczami, nakładając się na siebie... Z trudem skoncentrowała się ponownie na rozmowie. Charley mówił coś do Scotta.

- ...Richard, jak i ja uważamy, że mąż zauważył coś, o czym nam nie powiedział.

- I jeszcze ta jego rozmowa telefoniczna - dodała Katie. - Wspomniałam ci o niej wcześniej.

- Rzeczywiście. - Prokurator okręgowy odchylił się do tyłu w fotelu. - W porządku. Wy dwaj - wskazał Charleya i Phila - dowiedzcie się wszystkiego na temat kapitana Lewisa. Ustalcie, kto to jest ta Joan, o której wylądował jego samolot i sprawdźcie, do kogo dzwoniła ostatnio Vangie Lewis. Niech Rita porozmawia z lekarzem pani Lewis. Najbardziej zależy mi na informacjach dotyczących jej stanu fizycznego i psychicznego.

- Jeśli chodzi o stan fizyczny, to już mogę wam co nieco powiedzieć - odezwał się Richard. - Gdyby nosiła to dziecko trochę dłużej, nie musiałaby korzystać z cyjanku.

- To też trzeba sprawdzić. Skąd zdobyła cyjanek?

- W domu nie znaleźliśmy najmniejszego śladu - oświadczył Charley. - Wiemy jednak, że zajmowała się ogrodem, więc może latem zostawiła sobie trochę...

- Na wypadek, gdyby przyszła jej ochota popełnić samobójstwo? - zapytał Scott bez śladu rozbawienia w głosie.

- Macie coś jeszcze?

Richard zawahał się.

- Może i tak... - odparł z wahaniem. - Ale to nic pewnego, a poza tym, w świetle tego, czego dowiedzieliśmy się do tej pory, wydaje mi się, że obszczekuję niewłaściwe drzewo... Dajcie mi jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Kto wie, może wtedy będę mógł powiedzieć coś konkretnego.

Scott skinął głową.

- Daj mi znać. - Podniósł się z miejsca. - Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do jednego: nie zamykamy tej sprawy. - Spojrzał na Richarda. - Jeszcze jedno pytanie: Czy istnieje możliwość, że zabito ją gdzieś indziej, a potem przywieziono do domu i położono w łóżku?

Richard zmarszczył brwi.

- Nie mogę tego wykluczyć... Jednak układ plam opadowych wskazuje na to, że od chwili śmierci leżała w tej samej pozycji.

- W porządku. Tak mi tylko przyszło do głowy... Spróbujmy uwinąć się z tym do jutrzejszego wieczoru.

Katie wstała z fotela.

- Wiem, że to zupełne szaleństwo, ale... - Zachwiała się i niemal natychmiast poczuła, że Richard obejmuje ją ramieniem.

- Nie wyglądasz najlepiej - przerwał jej.

Przez chwilę chciała opowiedzieć im o zwariowanym śnie, jaki nawiedził ją w szpitalu, lecz głos Richarda pomógł jej wrócić do rzeczywistości. Wyszłaby na kompletną idiotkę. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- To samo dotyczy mojej głowy - mruknęła.

Nie mógł pozwolić, by Edna zniszczyła wszystko, nad czym pracował. Zacisnął mocno dłonie na kierownicy, by opanować ich drzenie. Koniecznie musi się uspokoić.

Cóż za ironia, że akurat ona zobaczyła go wyjeżdżającego lincolnem z parkingu! Naturalnie uznała, że Vangie była z nim w samochodzie, ale wystarczyło, żeby powiedziała o tym policji, a byłoby po wszystkim. Bez trudu mógł sobie wyobrazić ich pytania: „Odwiózł pan panią Lewis do domu? A co pan zrobił później? Wezwał pan taksówkę? Która była wtedy godzina? Panna Burns twierdzi, że wyjechał pan z parkingu kilka minut po dziewiątej wieczorem”.

Sekcja zwłok z pewnością wykaże, że Vangie umarła mniej więcej o tej porze. Co by pomyśleli, gdyby powiedział im, że w taką pogodę wrócił do szpitala na piechotę?

Należało uciszyć Ednę. Na fotelu pasażera stała jego lekarska torba. Jej jedyną zawartość stanowił przycisk do papieru zabrany z biurka. Zwykle nie woził ze sobą torby, ale dziś wziął ją, by ukryć w niej mokasyny. Miał zamiar pojechać na kolację do Nowego Jorku i wyrzucić je do śmietników położonych w oddalonych od siebie punktach miasta. W ten sposób zniknęłyby na zawsze.

Jednak akurat dzisiaj Hilda przyszła wyjątkowo wcześnie. Rozmawiała z nim w holu, podczas gdy on zakładał szary tweedowy płaszcz, a następnie podała mu kapelusz i torbę. Nie miał żadnych szans na przełożenie mokasynów z kieszeni prochowca do torby. Co by pomyślała, gdyby to zobaczyła? Ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Prochowiec wisiał w głębi szafy. Hilda z pewnością nie będzie grzebać po kieszeniach. Wieczorem, kiedy skończy z Edną, wróci do domu, a mokasynów pozbędzie się jutro wieczorem.

Całe szczęście, że Edna mieszkała niedaleko szpitala. Dzięki temu miał okazję poznać jej dom. Wielokrotnie

przywoził jej papierkową robotę, kiedy musiała zostać w łóżku z powodu ischalgii. Dla pewności sprawdzi tylko numer segmentu. Upozoruje morderstwo popełnione podczas włamania. Oczywiście zostanie wszczęte śledztwo, ale nikt nie powinien połączyć zabójstwa samotnej księgowej z osobą jej pracodawcy ani Vangie Lewis.

Zabierze jej portmonetkę i całą biżuterię, jaką uda mu się znaleźć. Pamiętał mgliście, że Edna ma broszkę w kształcie motyla z miniaturowym rubinem pośrodku oraz zaręczynowy pierścionek z małym brylancikiem. Pokazała mu te skarby, kiedy przed kilku miesiącami przywiózł jej do domu porcję dokumentów wymagających uzupełnienia.

- To pierścionek mojej matki, panie doktorze - poinformowała go z dumą. - Zakochali się w sobie z moim ojcem już na pierwszej randce, a on kupił go jej podczas drugiej. Czy uwierzy pan, że oboje mieli wtedy już po czterdzieści lat? Tata dał mi go po śmierci mamy. To było trzy lata temu, a jak pan wie, umarł w dwa miesiące później. Oczywiście mama miała mniejsze palce, dlatego noszę go na serdecznym. A tę broszkę dostała od niego na dziesiątą rocznicę ślubu.

Z trudem dotrwał wówczas do końca nużącej przemowy, ale teraz uświadomił sobie, że, podobnie jak wiele innych rzeczy, uzyskane wtedy informacje mogły okazać się bardzo użyteczne. Siedział wówczas przy jej łóżku i zobaczył, że Edna trzyma tanią, plastikową szkatułkę na biżuterię w szufladzie nocnej szafki. Zabranie broszki, pierścionka i portmonetki nie będzie przedstawiało żadnych problemów, a policja nabierze przekonania, że morderstwo zostało popełnione na tle rabunkowym.

Potem pozbędzie się biżuterii, portmonetki i mokasynów, i to będzie koniec.

Jeśli nie liczyć Katie DeMaio.

Potań nerwowo górną wargę. Usta miał zupełnie suche.

Na razie musi skoncentrować się na Ednie. W jaki sposób dostanie się do jej mieszkania? Czy powinien zadzwonić do drzwi, by wpuściła go do środka? A jeśli okaże się, że nie jest sama?

Na pewno będzie sama. Był tego całkowicie pewien. Pojedzie do domu po to, by się upić. Poznał to łatwo po jej nerwowych, szybkich ruchach, kiedy obserwował ją z korytarza. Była podekscytowana i z pewnością nie mogła się doczekać jutrzejszego dnia, kiedy będzie mogła powiedzieć policji wszystko, co wiedziała.

Oblał go lodowaty pot na myśl o tym, że przed rozmową z nim mogła podzielić się swymi spostrzeżeniami z pacjentkami siedzącymi w poczekalni. Ludzie tacy jak Edna potrzebowali publiczności. Zauważcie mnie! Ja istnieję!

Już niedługo, Edna, już niedługo...

Wjechał na teren osiedla, na którym mieszkała. Ostatnio postawił samochód na tyłach segmentu, na jednym z miejsc przeznaczonych dla gości. Czy teraz powinien postąpić tak samo? Było ciemno, zimno i wiał przenikliwy wiatr. Przy takiej pogodzie nikt nie wychodził na dwór dla przyjemności, a wszyscy wracający do domów z pewnością będą się bardzo śpieszyć. Czarny, zwyczajny samochód nie powinien zwrócić niczyjej uwagi. Edna zajmowała mieszkanie w skrajnym segmencie. Gęste krzewy usiłowały zasłonić zardzewiałe ogrodzenie oddzielające osiedle od stromego kilkumetrowego urwiska nad odgałęzieniem głównej linii kolejowej.

Okno sypialni wychodziło na parking. O ile sobie przypominał, parapet znajdował się nisko nad ziemią, a wzdłuż ściany rosły splątane chaszczki. Może okno będzie otwarte? Przeczucie podpowiadało mu, że o tej porze Edna powinna już być mocno pijana. Mógłby wejść i wyjść przez to okno, co utwierdziłoby policję w przekonaniu, że morderstwa

dokonał spłoszony włamywacz. Jeśli mu się to nie uda, zadzwoni do drzwi, wejdzie, zabije ją i natychmiast odjedzie. Gdyby okazało się, że jednak ktoś go zauważył, powie, że przywiózł jej trochę dokumentów wymagających uzupełnienia, ale zorientowawszy się, że jest pijana, postanowił ich nie zostawiać. Widocznie zbrodniarz zjawił się później. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie podejrzewał zamożnego lekarza o dokonanie rabunkowego napadu na jego biedną jak mysz kościelna sekretarkę.

Usatysfakcjonowany wynikami swego rozumowania zwolnił nieco, wjechał na teren osiedla. W zimną lutową noc parterowe segmenty, wszystkie takie same, sprawiały ponure wrażenie.

Na parkingu stało kilka samochodów. Wjechał w puste miejsce między wozem campingowym a dużym kombi. Niepozorny samochód zniknął w czarnej czeluści między znacznie większymi pojazdami. Następnie wciągnął chirurgiczne rękawiczki, przełożył przycisk do papieru do kieszeni płaszcza, po czym wyślizgnął się na zewnątrz, zamknął za sobą cicho drzwi i zniknął w głębokim cieniu budynku. W duchu podziękował bogom za to, że Edna mieszkała w ostatnim segmencie. Dzięki temu miał całkowitą pewność, że nie pomyli adresu.

Roleta w oknie sypialni była spuszczone, ale opierała się o doniczkę stojącą na parapecie, dzięki czemu bez problemu mógł zajrzeć do środka. Pokój oświetlał jedynie poblask wpadający z holu. Okno było lekko uchylone. Edna siedziała prawdopodobnie w salonie lub kuchni. Do jego uszu docierał przytłumiony odgłos włączonego telewizora.

Rozejrzawszy się szybko dokoła, upewnił się, że nikogo nie ma w zasięgu wzroku, po czym silnymi jak stal palcami, okrytymi cienką gumą chirurgicznych rękawiczek, uniósł okno, bezszelestnie podciągnął roletę i zestawiał doniczkę na

ziemię. Policja łatwo ustali, którądy złodziej dostał się do wnętrza. Potem oparł dłonie na parapecie i podciągnął się do środka. Jak na tak dużego mężczyznę był bardzo sprawny fizycznie.

W przyćmionym świetle rozejrzał się po utrzymanej w idealnej czystości sypialni. Na łóżku leżała bawełniana narzuta, na ścianie wisiał krucyfiks oraz oprawione w ramki zdjęcia dwojga starszych ludzi, zaś dość sfatygowana mahoniowa szafka nakryta była koronkową serwetą.

Nadeszła pora, by zrobić to, co musiał zrobić, a co budziło jego niekłamanie obrzydzenie. Sięgnął do kieszeni po przycisk do papieru. Postanowił nie poprzestać na jednym uderzeniu. Kiedyś czytał o pewnym lekarzu, któremu udowodniono morderstwo, ponieważ cios został zadany z nadzwyczajną precyzją. Nie pozwoli, by zdradziła go jego medyczna wiedza. To za jej sprawą znalazł się dzisiaj w tym miejscu.

Ruszył na palcach krótkim korytarzem. Po prawej stronie łazienka, po lewej, w odległości dwóch metrów, wejście do salonu. Ostrożnie zajrzał do środka. Mimo włączonego telewizora pokój był pusty. Nagle do jego uszu doszło skrzypnięcie krzesła; prawdopodobnie Edna siedziała przy stole w połączonej z salonem kuchni. Zachowując maksymalną ostrożność, wślizgnął się do pokoju. Nadeszła najważniejsza chwila. Gdyby teraz kobieta zauważyła go i krzyknęła...

Jednak była odwrócona do niego plecami. Otulona w wełniany niebieski szlafrok siedziała na krześle przy stole. Jedną ręką spoczywała na blacie obok wielkiej szklanki do koktajli, druga leżała na kolanach. Wysoki szklany dzbanek był prawie pusty. Edna opuściła nisko głowę, a równomierny oddech świadczył o tym, że pograżyła się w głębokim śnie. Wokół siebie roztaczała silną woń alkoholu.

Intruz błyskawicznie ocenił sytuację. Jego spojrzenie padło na gorący grzejnik stojący niedaleko stołu. Był to stary model, z ostro zakończonymi, wystającymi żeberkami. Może jednak nie będzie potrzebował przycisku do papieru...

- Edno!... - szepnął cicho.

- Co?... Och... - Spojrzała na niego półprzytomnymi oczami, po czym zaczęła niezgrabnie gramolić się z krzesła. - Panie doktorze...

Potężne pchnięcie posłało ją w kierunku grzejnika. W chwili, kiedy głowa kobiety uderzyła w żeliwne żeberka, przed jej oczami eksplodowały oślepiające światła. Ból, Boże, jaki ból! Edna jęknęła rozpaczliwie, ale zaraz potem ciepło płynącej, obfitym strumieniem krwi otuliło ją nieprzeniknioną ciemnością, ból zaś nasilił się, osiągnął szczyt, zelżał i wreszcie zupełnie zniknął.

Mężczyzna odskoczył do tyłu, by uniknąć zachlapania krwią, po czym nachylił się, obserwując uważnie swoją ofiarę. Puls na szyi przyspieszył raptownie, a następnie zniknął. Kobieta przestała oddychać. Morderca schował przycisk do kieszeni. Nie będzie mu już potrzebny.

Nie będzie też musiał pozorować kradzieży. Policja z pewnością dojdzie do wniosku, że Edna potknęła się i upadła, rozbijając głowę o grzejnik. Miał szczęście. Oznaczało to, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Wrócił szybko do sypialni, wychylił głowę przez okno, rozejrzał się uważnie dokoła, po czym wyskoczył na zewnątrz, pamiętając o tym, by postawić doniczkę na parapecie, opuścić roletę i przymknąć okno tak, jak zrobiła to Edna.

Ledwo zdążył uporać się z tym zadaniem, kiedy usłyszał natarczywy dźwięk dzwonka - dzwonka do jej drzwi! Pośpiesznie obrzucił wzrokiem teren wokół siebie i pod stopami. Na suchej, twardej ziemi nie zostały żadne ślady jego

butów, parapet był idealnie czysty, bez warstwy kurzu, którą mógłby naruszyć, wchodząc i wychodząc przez okno.

Pobiegł do samochodu, uruchomił silnik, a następnie nie włączając świateł, opuścił teren osiedla. Zapalił je dopiero na szosie.

Kto dzwonił do drzwi Edny? Czy ten ktoś spróbuje wejść do środka? Edna była martwa. Już nic nie powie na jego temat. Udało mu się, ale jakże niewiele brakowało...

Adrenalina pulsowała mu w żyłach. Teraz pozostało już tylko jedno zagrożenie: Katie DeMaio.

Bezzwłocznie przystąpi do usuwania tego zagrożenia. Dzięki wypadkowi zyskał wygodny pretekst, by przystąpić do leczenia.

W karcie szpitalnej Katie zapisano, że miała za mało krwinek. Po wypadku otrzymała transfuzję. Pod pretekstem przygotowywania jej do operacji zleci kolejną transfuzję, a jednocześnie przepisze jej kumadynę, która zmniejszy krzepliwość krwi, niwecząc dobroczynne działanie zabiegu przetaczania krwi. Kiedy Katie DeMaio zjawi się w piątek w szpitalu, będzie jej groziło całkowite wykrwawienie.

Być może przeprowadzi wówczas operację, nie podając jej już żadnych środków wpływających na zmniejszenie krzepliwości krwi, ale gdyby jednak zaistniała taka potrzeba, wstrzyknie dodatkowo heparynę. Zastępca prokuratora okręgowego z całą pewnością nie przeżyje zabiegu.

W przypadku Katie DeMaio zbyt mała ilość krwinek, kumadyna i heparyna okażą się równie skuteczne, jak cyjanek potasu w przypadku Vangie Lewis.

Richard i Katie wyszli razem z gabinetu Scotta. Wiedziała, że byłby zły, gdyby zasugerowała, że chce wrócić do domu taksówką. Kiedy jednak wsiedli do jego samochodu, Richard powiedział:

- Najpierw kolacja. Dobry stek i butelka wina wspomogą wydzielanie soków w twoim organizmie.

- Jakich soków? - zapytała ostrożnie.

- Śliny, soków żołądkowych... Jakichkolwiek.

Wybrał małą restaurację w wiejskim stylu, przycupniętą niepewnie na wysokim zachodnim brzegu rzeki Hudson. Niewielką salę, oświetloną migotliwymi płomykami świec, ogrzewał ogień buzujący w kominku.

- Och, jak tu miło - powiedziała Katie. Właściciel dobrze znał Richarda.

- Bardzo nam miło, doktorze Carroll - przywitał go, po czym zaprowadził ich do stolika przy kominku i wysunął krzesło dla Katie.

Usiadła z uśmiechem, myśląc, że albo Richard przypadkiem odgadł jej myśli, albo wygląda na tak zmęczoną i zmarzniętą, jak się czuła.

Richard zamówił butelkę St. Emilion. Kelner przyniósł ją wraz z gorącym czosnkowym chlebem. Siedzieli w przyjaznym milczeniu, sącząc trunek i skubiąc smakowite pieczywo. Katie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy znaleźli się w takiej sytuacji: przy małym stoliku, oddzieleni od pozostałych gości, wpatrując się sobie w oczy.

Richard był potężnie zbudowanym mężczyzną o zdrowym, krzepkim wyglądzie. Miał gęste ciemnobrązowe włosy, silne, regularne rysy twarzy i szerokie bary. Kiedy się zestarzeje, będzie przypominał lwa - pomyślała.

- Uśmiechnęłaś się - zauważył Richard. - Ciekaw jestem, o czym myślałaś.

Powiedziała mu.

- Lwa, powiadasz... - Zastanowił się przez chwilę. - Zgoda, ale w zimowej szacie. Chcesz wiedzieć o czym ja myślę?

- Jasne.

- Kiedy twoja twarz odpoczywa, oczy robią się bardzo smutne.

- Bez udziału mojej woli. Wcale nie uważam, żebym była smutna.

- Czy wiesz, że już od pół roku chciałem się z tobą umówić, ale udało mi się to dopiero teraz, kiedy o mało nie zginęłaś w wypadku?

- Nigdy mi tego nie zaproponowałeś - odparła wymijająco.

- Bo sobie tego nie życzyłaś. Wysyłasz sygnał, którego nie sposób nie zauważyć: „Proszę nie przeszkadzać”. Dlaczego?

- Mam takie zasady, że nigdy nie umawiam się na prywatne spotkania z ludźmi, z którymi pracuję.

- Jestem w stanie to zrozumieć, ale przecież nie o tym teraz mówimy. Oboje wiemy, że dobrze czujemy się w swoim towarzystwie, ty jednak nie chcesz z tego korzystać. Proszę, oto menu - powiedział zupełnie innym, rzeczowym tonem. - Specjalnością zakładu są l'entrecote i stek au poivre - poinformował ją, a widząc jej wahanie zaproponował: - Spróbuj tego poivre. Jest fantastyczny - oczywiście pod warunkiem, że krwisty.

- Wolę dosmażony - odparła przekornie Katie, ale widząc jak skrzywił się z niesmakiem, wybuchnęła śmiechem. - Żartowałam. Niech będzie prawie surowy.

Twarcz Richarda wypogodziła się. Zamówił sałatkę i pieczone ziemniaki, po czym odchylił się do tyłu na krześle i zmierzył Katie uważnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie chcesz z tego korzystać? - zapytał.

- Z czego? Z sałatki i ziemniaków?

- Nie. I przestań robić uniki... W porządku, nie postępuję uczciwie. Próbuję cię przyszpilić, a ty nie możesz mi uciec. Powiedz mi chociaż, co robisz, kiedy nie siedzisz w biurze ani u Kennedych. Wiem, że jeździsz na nartach.

- Owszem. Mam przyjaciółkę z college'u, rozwódkę. Pierwszej zimy po śmierci Johna wyciągnęła mnie do Vermont, a teraz przez cały sezon wynajmujemy do spółki z dwoma małżeństwami chatę w Sto we. Kiedy tylko mogę, jeżdżę tam na weekendy. Marny ze mnie narciarz, ale bardzo to lubię.

- Ja też kiedyś jeździłem - powiedział Richard. - Musiałem zrezygnować z powodu wywichniętego kolana. Myślę, że spróbowałbym jeszcze raz. Może kiedyś weźmiesz mnie ze sobą. Moim ulubionym sportem jest żeglarstwo - ciągnął, nie czekając na odpowiedź. - Ubiegłej wiosny popłynąłem na Karaiby i włączyłem się z wyspy na wyspę.. . „Jasność bezchmurnego dnia wypełniona wezbranymi żaglami, co ścigają się z wiatrem chłuszczącym zieloną wodę...” Jest już twój stek - dokończył jakby nigdy nic.

- Lubisz też cytować Williama Carlosa Williamsa - zauważyła mimochodem.

W głębi duszy liczyła, że zaimponuje mu tym, iż rozpoznała fragment utworu, ale Richard w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Owszem - potwierdził. - Sałatka jest wyśmienita, nie uważasz? Potem siedzieli długo przy kawie. Richard zdążył jej opowiedzieć prawie wszystko o sobie.

- Na studiach zaręczyłem się z dziewczyną z sąsiedztwa. Chyba już wspomniałem, że mieszkałem wtedy w San Francisco?

- I co się stało?

- Wciąż przesuwaliliśmy termin ślubu, aż w końcu wyszła za mojego najlepszego przyjaciela, ktokolwiek nim jest. - Uśmiechnął się. - Oczywiście żartuję. Jean była bardzo miłą dziewczyną, ale czegoś nam brakowało. Któregoś wieczoru, kiedy po raz kolejny rozmawialiśmy o ślubie, powiedziała: „Owszem, kochamy się, ale oboje wiemy, że potrzeba czegoś więcej”. Miała rację.

- Nie żałujesz teraz, że nie stało się inaczej?

- Chyba nie. To było siedem lat temu. Trochę się dziwię, że w tym czasie nie przydarzyło mi się to „coś więcej”. - Chyba nie oczekiwał od niej żadnej odpowiedzi, gdyż natychmiast zmienił temat i zaczął mówić o sprawie Lewisów. - Jestem po prostu wściekły. Każda niepotrzebna śmierć działa na mnie w taki sposób. Vangie Lewis była młodą kobietą. Powinna przeżyć jeszcze wiele lat.

- A więc jesteś pewien, że to nie było samobójstwo?

- Niczego nie jestem pewien. Zanim wyrobię sobie jakieś zdanie, potrzebuję znacznie więcej informacji.

- Nie potrafię sobie wyobrazić Chrisa Lewisa w roli mordercy. Przecież w dzisiejszych czasach tak łatwo o rozwód...

- W tym wypadku w grę może wchodzić coś innego - powiedział Richard i zacisnął na chwilę usta. - Zaczekajmy jeszcze trochę.

Dochodziła dziesiąta trzydzieści, kiedy skręcili w podjazd przed domem Katie. Richard obrzucił krytycznym spojrzeniem kamienny fronton budynku.

- Jak duży jest ten dom? - zapytał. - Ile masz pokoi?

- Dwanaście - odparła z ociąganiem. - Należał do Johna.

- Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że kupiłaś go za pensję zastępcy prokuratora okręgowego.

Wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwi samochodu.

- Zaczekaj - powiedział szybko. - Pomogę ci. Może być ślisko.

Nie miała zamiaru zapraszać go do środka, ale nie dał jej szansy na to, by pożegnała się z nim na progu. Wyjął jej z dłoni klucz, włożył go do zamka, przekręcił, otworzył drzwi i wszedł za nią do wnętrza.

- Nie mam zamiaru zostać - poinformował ją - ale bardzo chciałbym zobaczyć dom, w którym mieszkasz.

Katie włączyła światło, po czym z mieszanymi uczuciami obserwowała, jak Richard ogląda najpierw hol a potem salon. Gwizdnął przeciągle.

- Bardzo tu ładnie. - Podeszedł do portretu Johna i przyjrzał mu się uważnie. - Z tego, co słyszałem, był z niego równy gość.

- Owszem. - Katie dopiero teraz uświadomiła sobie z czymś w rodzaju zażenowania, że pokój był zastawiony zdjęciami przedstawiającymi ją i Johna. Richard oglądał je po kolei.

- Wycieczka za granicę?

- Nasza podróż poślubna.

- Jak długo byłaś mężatką, Katie?

- Rok.

Dostrzegł grymas bólu, który przemknął przez jej twarz. Oprócz bólu było tam jednak coś jeszcze, coś przypominającego zdziwienie, jakby nadal nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

- Kiedy dowiedziałaś się, że jest chory? To był rak, o ile się nie mylę?

- Wkrótce po powrocie z podróży poślubnej.

- A więc potem już nigdzie razem nie pojechaliście, prawda? Pełniłaś wartę u wrót śmierci... Wybacz mi, Katie. Moja praca czyni mnie gruboskórnym. Myślę, że powinienem

już sobie pójść. - Zawahał się. - Nigdy nie zaciągasz zasłon, kiedy jesteś tu sama?

Wzruszyła ramionami.

- A po co? Przecież nikt mnie tu nie napadnie.

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, ile jest teraz napadów i włamań. W tej okolicy stanowiłabyś najlepszy cel, szczególnie gdyby ktoś dowiedział się, że mieszkasz sama. Pozwolisz?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do okna i zaciągnął zasłony.

- Lecę już. Zobaczymy się jutro. Jak dostaniesz się do biura? Zdążą wyszykować ci wóz?

- Nie, ale pożyczą mi inny. Ktoś ma go przyprowadzić z samego rana.

- To dobrze. - Zatrzymał się z ręką na klamce, a następnie powiedział z doskonale imitowanym irlandzkim akcentem: - Opuszczam cię, Katie Scarlett. Zamknij dobrze drzwi na wypadek, gdyby komuś przyszła ochota wdrzeć się do Tary.

Pochylił się, pocałował ją w policzek i wyszedł.

Katie z uśmiechem zamknęła drzwi. Przed oczami pojawiło jej się wspomnienie z dzieciństwa. Miała wtedy pięć lat i korzystając z nieuwagi rodziców, wyszła w świątecznej sukience bawić się w błocie na podwórzu. Matka chciała ją wtedy ukarać, ale rozbawiony ojciec powiedział jak Gerald O'Hara: „To ziemia, Katie Scarlett”. A potem do matki: „Nie gniewaj się na nią. Wszyscy dobrzy Irlandczycy kochają ziemię”.

Zegar melodyjnie wybił godzinę. Po odejściu Richarda salon wydał się jej bardzo pusty. Szybko wyłączyła światło i poszła na górę.

Zdażyła położyć się do łóżka, kiedy zadzwonił telefon. Pewnie Molly chce się dowiedzieć, jak się czuję - pomyślała,

sięgając po słuchawkę. Jednak w odpowiedzi na swoje „Halo?” usłyszała głos mężczyzny:

- Pani DeMaio?

- Tak.

- Mówi doktor Highley. Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno, ale przez cały wieczór próbowałem skontaktować się z panią. Dowiedziałem się, że miała pani wypadek i spędziła noc w naszym szpitalu. Jak się pani czuje?

- Całkiem nieźle, panie doktorze. To bardzo miło, że zechciał pan zadzwonić.

- A co z krwawieniem? Zdaje się, że wczoraj wieczorem otrzymała pani transfuzję.

- Obawiam się, że wciąż to samo. Myślałam, że okres już mi się skończył, ale wczoraj zaczęło się od nowa. Nie jestem pewna, czy właśnie dlatego nie straciłam panowania nad kierownicą.

- Cóż, jak już mówiłem, powinna pani była zająć się tą sprawą co najmniej rok temu. Ale teraz to już bez znaczenia. Za tydzień będzie pani miała wszystko za sobą. Chcę jednak przeprowadzić jeszcze jedną transfuzję, żeby wzmocnić panią przed zabiegiem, a także dać pewne leki. Czy może pani przyjechać do szpitala jutro po południu?

- Naturalnie. I tak chyba bym tam zajrzała. Słyszał pan o pani Lewis?

- Owszem. Okropne, nadzwyczaj smutne wydarzenie. W takim razie zobaczymy się jutro. Proszę zadzwonić rano, to ustalimy konkretną godzinę.

- Oczywiście. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję, doktorze. Katie odłożyła słuchawkę. Kiedy zgasiła światło, przyszło jej do głowy, że podczas pierwszej wizyty doktor Highley nie wywarł na niej zbyt korzystnego wrażenia. Może z powodu okazywanej przez niego rezerwy, a nawet wyniosłości?

Oto kolejny dowód, jak łatwo można popełnić błąd, oceniając ludzi - pomyślała. To bardzo miło z jego strony, że skontaktował się ze mną osobiście.

Bill Kennedy nacisnął przycisk dzwonka przy drzwiach domu Lewisów. Bill, chirurg - ortopeda pracujący w szpitalu Lenox Hill, operował przez cały dzień i dopiero po powrocie do domu dowiedział się o śmierci Vangie Lewis. Wysoki, przedwcześnie osiwiąły, typ nieśmiałego naukowca w promieniującym ciepłem domu, który stworzyła dla niego Molly, stawał się innym człowiekiem.

Jej niezwykła energia sprawiała, że mógł zapomnieć o kłopotach swoich pacjentów i odprężyć się. Dziś jednak atmosfera była zupełnie inna. Molly dała wcześniej jeść dzieciom i nakazała im surowo, by nie pokazywały się na oczy. Opowiedziała mu w skrócie, co stało się z Vangie.

- Zadzwoiłam do Chrisa i zaprosiłam go na kolację i na noc, żeby nie musiał sam spać w pustym domu. Odmówił, ale idź do niego i spróbuj go przekonać. Jestem pewna, że zgodzi się przynajmniej na kolację.

W drodze do sąsiedniego domu Bill usiłował wyobrazić sobie szok, jakiego by doznał, gdyby wrócił z pracy i przekonał się, że utracił Molly. Jednak w wypadku Chrisa Lewisa sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł myśleć, że małżeństwo kapitana Lewisa w jakikolwiek sposób przypominało związek jego i Molly. Bill nigdy jej tego nie powiedział, ale pewnego dnia, kiedy pił kawę w barze niedaleko szpitala, zobaczył Chrisa siedzącego przy stoliku w towarzystwie bardzo ładnej, dwudziestokilkuletniej dziewczyny. Wszystko świadczyło o tym, że łączyło ich coś więcej niż zwykła znajomość.

Czy Vangie dowiedziała się o tej dziewczynie? Może właśnie z tego powodu popełniła samobójstwo? Ale żeby w tak gwałtowny sposób... Wrócił pamięcią do ostatniego lata. Vangie i Chris przyszli na przyjęcie pod gołym niebem. Vangie nieostroźnie zdejmowała z rusztu szaszłyk i oparzyła

sobie palec. Zachowywała się tak, jakby doznała poparzeń trzeciego stopnia: narobiła okropnego wrzasku i pobiegła do Chrisa, który długo musiał ją uspokajać. „Ma niski próg tolerancji bólu” - wyjaśnił zażenowany Chris. Zanim Bill zdążył przynieść z domu środek na oparzenia i założyć opatrunek, lekkie zaczerwienienie zdążyło już zupełnie zniknąć.

W jaki sposób ktoś taki jak Vangie mógł znaleźć w sobie dość odwagi, żeby zażyć cyjanek potasu? Przecież było powszechnie wiadomo, że śmierć, choć niemal natychmiastowa, następowała w straszliwych męczarniach. Nie. Bill mógłby przysiąc, że gdyby Vangie Lewis postanowiła popełnić samobójstwo, zażyłaby większą ilość środków nasennych i po prostu zapadła w sen. Co dowodzi, jak wielką zagadką są tajniki ludzkiego umysłu... nawet dla kogoś takiego jak on, kto uważa się za znawcę dusz.

Drzwi otworzył Chris Lewis. Od chwili, kiedy Bill zauważył go w towarzystwie tamtej dziewczyny, zachowywał się wobec niego z pewną rezerwą. Po prostu nie lubił facetów, którzy uganiają się za spódniczkami, kiedy ich żony są w ciąży. Teraz jednak widok zasmuconej twarzy Chrisa i wyraz autentycznej rozpaczyny malujący się w jego oczach wywołały jego współczucie. Niewiele myśląc, objął młodszego mężczyznę.

- Ogromnie mi przykro.

Chris skinął obojętnie głową. Wydawało mu się, że stopniowo opadają z niego kolejne warstwy odporności i okropna prawda toruje sobie powoli drogę do jego umysłu. Vangie umarła. Czy targnęła się na życie z powodu ich ostatniej kłótni? Nie mógł w to uwierzyć, lecz jednocześnie czuł się samotny, przerażony i winny. Dał się przekonać Billowi i zgodził się pójść na kolację. Musiał wyrwać się z tego domu, w którym nie potrafił spokojnie myśleć. Molly i

Bill byli dobrymi ludźmi. Czy może im zaufać i podzielić się z nimi swoją wiedzą? Czy może komukolwiek zaufać? Wciąż lekko oszołomiony sięgnął po marynarke i poszedł z Billem.

Bill nalał mu podwójną szkocką, a Chris pociągnął spory łyk. Kiedy szklanka była już w połowie pusta, zmusił się, by odsunąć ją od ust. Whisky paliła w gardle i piersi, torując sobie drogę przez usztywniające go napięcie. Uspokój się - pomyślał. Uspokój się. Bądź ostrożny.

Dzieci przyszły powiedzieć dobranoc. Grzeczne dzieci, wszystkie, co do jednego, i bardzo ładne. Najstarszy, Billy, przypominał ojca. Jennifer była ciemnowłosa pięknoscia, natomiast młodsze dziewczynki, Dina i Moira, miały jasne włosy, jak ich matka. Bliźniaczki. Chris o mało się nie uśmiechnął. Identyczne bliźniaczki. Zawsze chciał mieć dzieci, a teraz jego nie narodzone dziecko umarło razem z Vangie. Kolejny powód, żeby czuć się winnym. Nie cieszył się jej ciążą. Choć to było jego dziecko, nie pragnął go ani przez chwilę, a Vangie doskonale o tym wiedziała. Co, kto doprowadził ją do samobójstwa? Kto? Tak, to było właściwe pytanie, gdyż wczorajszego wieczoru Vangie nie była sama.

Nie powiedział o tym policji. Otworzyłby w ten sposób pudełko z robakami, wręcz zaprosiłby ich do wszczęcia śledztwa. Dokąd by wtedy doszli? Do Joan. Do jego drugiej kobiety. Do niego.

Wczoraj wieczorem recepcjonista widział go wychodzącego z motelu. Postanowił wrócić do domu i przeprowadzić z Vangie ostateczną rozmowę. Przygotował sobie nawet w pamięci listę tematów, jakie poruszy. Pozwoli jej zatrzymać dom, do osiągnięcia przez dziecko pełnoletności będzie przekazywał na jego utrzymanie dwadzieścia tysięcy rocznie, wykupi wysoką polisę ubezpieczeniową na życie, czyniąc ją jedyną spadkobierczynią, a także zobowiąże się do pokrycia kosztów edukacji dziecka. Vangie będzie mogła bez

przeszkód chodzić do tego japońskiego psychiatry, na którego punkcie dostała bzika. Tylko pozwól mi odejść, Vangie. Proszę, pozwól mi odejść. Nie mogę dłużej żyć z tobą. To niszczy nas oboje...

Dotarł do domu około północy. W chwili, kiedy drzwi garażu uniosły się w górę, zorientował się, że coś jest nie w porządku. Niewiele brakowało, a wjechałby w bagażnik lincolna. Vangie zaparkowała samochód na jego miejscu... Nie, ktoś zaparkował samochód na jego miejscu, gdyż ona nigdy w życiu nie zdołałaby wprowadzić szerokiego wozu w ciasną przestrzeń między filarami a prawą ścianą. Garaż był bardzo duży - na tyle duży, że w jednej jego części mogły się zmieścić dwa samochody. Właśnie z tej części korzystała Vangie. Potrzebowała każdego wolnego centymetra. Była beznadziejnym kierowcą, a w dodatku miała bardzo ograniczone pole widzenia. Po prostu nie potrafiła prawidłowo oceniać odległości. Chris trzymał swoją corvette w drugiej, węższej części, lecz tej nocy zastał tam bezbłędnie zaparkowanego lincolna.

Dom był pusty. Torebka Vangie leżała na szafce w sypialni. Chris zdziwił się, ale nie zaniepokoił. Najwidoczniej wyszła z zamiarem spędzenia nocy poza domem. Z zadowoleniem pomyślał, że może wreszcie znalazła sobie jakąś przyjaciółkę, której mogłaby się zwierzać. Zawsze namawiał ją, by więcej czasu spędzała z ludźmi. Tylko dlaczego zostawiła torebkę? Albo o niej zapomniała, albo spakowała rzeczy do większej torby i uznała, że mała torebka do niczego jej się nie przyda.

Dom podziałał na niego przygnębiająco; postanowił wrócić do motelu. Nie powiedział Joan o tym, że zamierza pojechać do domu. Starał się wspominać jej o Vangie tak rzadko, jak tylko było możliwe, gdyż Joan odbierała każdą taką wzmiankę jako przypomnienie o swojej roli intruza.

Gdyby powiedział jej, że w wyniku porannej kłótni Vangie postanowiła spędzić noc poza domem, Joan byłaby niezmiernie przygnębiona.

A potem, następnego dnia rano, znalazł Vangie martwą. Ktoś przed północą przyprowadził jej samochód, a później przywiózł ciało. Do tego jeszcze te pantofle. Miała je na nogach tylko raz, a i tak musiał później wysłuchiwać nie kończących się narzekań. Było to jakoś około Bożego Narodzenia, kiedy zabrał ją do Nowego Jorku, by trochę się rozerwała. Rozerwała, dobry Boże! Cóż za okropny dzień! Przedstawienie, jej zdaniem, było do niczego, w restauracji nie podawano kotletów z cielęciny, na które miała ogromną ochotę, a w dodatku prawy pantofel niemiłosiernie obcierał jej kostkę.

Ostatnio bez przerwy nosiła te brudne mokasyny. Prosił ją, żeby sprawiła sobie jakieś przyzwoite pantofle, ale zawsze słyszał w odpowiedzi, że tylko te są wystarczająco wygodne. Co się z nimi stało? Przeszukał dokładnie cały dom, lecz bez rezultatu. Na to pytanie mógł chyba odpowiedzieć ten ktoś, kto przywiózł ją ostatniej nocy.

Nie powiedział o niczym policji. Nie chciał mieszać w to Joan. „Pojechałem do motelu, ponieważ pokłóciłem się z żoną. Chciałem się z nią rozwieść. Potem postanowiłem wrócić do domu i przeprowadzić z nią zasadniczą rozmowę. Nie zastałem jej, więc wróciłem do motelu”. Nie uważał za stosowne wywlekanie tego wszystkiego na wierzch. Nawet sprawa pantofli mogła nie mieć większego znaczenia. Być może Vangie chciała, by znaleziono ją w odpowiednim stroju. Wstydziła się swoich opuchniętych nóg. Była próżna.

Powinien był jednak powiedzieć gliniarzom, że tu był i że zastał samochód żony zaparkowany w innym miejscu niż zwykle.

- Wejdź do salonu, Chris - powiedziała łagodnie Molly. - Kiedy coś zjesz, na pewno poczujesz się lepiej.

Podniósł z wysiłkiem wzrok. W rozproszonym świetle padającym na twarz Molly po raz pierwszy dostrzegł podobieństwo między nią i Katie DeMaio.

Katie DeMaio. Jej siostra. Nie wolno mu nic powiedzieć Molly i Billowi. W jaki sposób mogłaby szczerze mu doradzić, czy powinien poinformować policję o swoich podejrzeniach, jeśli jej własna siostra była zastępcą prokuratora okręgowego? Będzie musiał sam podjąć decyzję.

Przesunął dłonią po piekących oczach.

- Chętnie coś przekąszę, Molly - powiedział. - Cokolwiek to jest, pachnie bardzo apetycznie. Ale zaraz potem muszę uciekać. Właściciel zakładu pogrzebowego ma przyjechać po ubranie Vangie. Jej rodzice będą chcieli zobaczyć ją przed ceremonią.

- Gdzie się odbędzie? - zapytał Bill.

- Jutro po południu trumna poleci do Minneapolis. Ja też będę w tym samolocie. Pogrzeb został wyznaczony na pojutrze. Lekarz sądowy wydał ciało dziś po południu.

Okropne słowa dźwięczały w jego uszach. Trumna... Ciało... Pogrzeb... Boże, to chyba jakiś koszmar! - pomyślał. Chciałem się od ciebie uwolnić, ale nie chciałem, żebyś umierała. To ja sprawiłem, że zdecydowałaś się popełnić samobójstwo. Joan ma rację. Powinienem być zostać przy tobie.

O ósmej wrócił do domu. Pół godziny później, kiedy zjawiał się właściciel zakładu pogrzebowego, Chris miał już spakowaną walizeczkę z bielizną i nową sukienką, którą Vangie dostała na Gwiazdkę od rodziców.

Paul Harsey był łagodnie współczujący. Szybko spisywał potrzebne informacje. Urodzona 15 kwietnia, zmarła 15 lutego

- dokładnie na dwa miesiące przed swoimi trzydziestymi pierwszymi urodzinami.

Chris potarł bolące czoło. Coś się nie zgadzało. Nawet w tej jakby przeniesionej z sennego koszmaru sytuacji, kiedy nic się nie zgadzało, to coś nie dawało mu spokoju.

- Przecież dziś nie jest piętnasty, tylko szesnasty - zauważył.

- W świadectwie zgonu napisano wyraźnie, że pani Lewis zmarła między ósmą a dziesiątą wieczorem wczoraj, piętnastego lutego - odparł Halsey. - Panu się wydaje, że umarła dzisiaj, ponieważ znalazł pan ją dziś rano, ale lekarz sądowy przeprowadzający sekcję zwłok potrafi bardzo dokładnie ustalić godzinę śmierci.

Chris wpatrywał się w niego bez słowa, czując, jak kolejne fale zdumienia niszczą zarówno jego wyczerpanie, jak i poczucie nierzeczywistości. Kiedy przyjechał do domu o północy, ujrzał w garażu samochód Vangie, w sypialni zaś jej torebkę. W drogę powrotną do motelu wyruszył po mniej więcej półgodzinie. Wróciwszy rano, uznał za oczywiste, że Vangie przyjechała po jego wyjeździe i dopiero wtedy popełniła samobójstwo.

Tymczasem jednak okazało się, że o północy nie żyła już od trzech lub czterech godzin. Oznaczało to, że ktoś przywiózł ją po północy do domu, położył na łóżku i wcisnął jej do ręki pustą szklanę.

Ktoś, komu bardzo zależało na tym, by wszystko wskazywało na to, że Vangie targnęła się na swoje życie.

A może zabiła się gdzie indziej, a ktoś przywiózł ją tutaj tylko dlatego, że nie chciał mieć nic wspólnego z tą sprawą? Niemożliwe. Van - gie nigdy nie odważyłaby się zadać sobie bólu, jaki towarzyszył działaniu cyjanku potasu. Została zamordowana, a zabójca upozorował samobójstwo.

- O, Boże! - szepnął Chris. - O, mój Boże...

Ujrzał przed sobą twarz Vangie: duże, okolone długimi rzęsami, często rozdrażnione oczy; krótki, prosty nos; opadające na czoło włosy koloru miodu; małe usta o doskonałym kształcie. W ostatniej chwili na pewno zorientowała się, co się dzieje, ale ktoś ją przytrzymał i zmusił do przełknięcia trucizny, podstępnie zabijając ją i dziecko, które w sobie nosiła. Z pewnością ogromnie się bała. Jego serce ścisnął ogromny żal, a oczy wypełniły się łzami. Nikt, a już szczególnie mąż, nie mógł pozwolić, by ta zbrodnia pozostała nie ukarana.

Jeśli jednak powie o wszystkim policji, a oni rozpoczną śledztwo, prędzej czy później dojdą do nasuwającego się nieodparcie wniosku.

- Muszę im powiedzieć - wymamrotał do przyglądającego mu się ze zdumieniem przedsiębiorcy pogrzebowego. - Muszę im powiedzieć, chociaż i tak dojdą do wniosku, że to moja wina.

Odłożył powoli słuchawkę. Katie DeMaio niczego nie podejrzewała. Nawet ze wzmianki o Vangie Lewis można było wysnuć wniosek, że prokuratora okręgowego interesował wyłącznie stan psychiczny młodej kobiety.

Ale wypadek Katie miał miejsce niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Zastępca prokuratora okręgowego wciąż jeszcze była w stanie lekkiego szoku.

Ilość krwinek w jej krwi była już bardzo niska. Kiedy jutro do krwiobiegu dostanie się kumadyna, krzepliwość zmniejszy się jeszcze bardziej, a po kolejnych krwawieniach pojawią się zawroty głowy i wyraźne osłabienie. Będzie na tyle zdezorientowana, że z pewnością nie uda jej się odróżnić nocnego koszmaru od prawdziwych wydarzeń.

Chyba że rzekome samobójstwo wywołało zbyt wiele pytań. Chyba że ludzie prokuratora podejrzewali, iż ciało przenoszono z miejsca na miejsce.

Niebezpieczeństwo nadal było ogromne.

Siedział w bibliotece domu rodziny Westlake - teraz jego domu. Budynek został wzniesiony w stylu elżbietańskim i przypominał ogromny dwór. Zdobily go łukowato sklepione przejścia, sięgające od podłogi do sufitu szafy na książki, marmurowe kominki, tapety z ręcznie odciskanymi wzorami i witraże Tiffany'ego. Był to dom, którego teraz nie dałoby się wznieść za żadne pieniądze. Dzisiejsi budowniczowie nie dysponowali odpowiednimi umiejętnościami.

Dom Westlake. Szpital Westlake. Koncepcja Macierzyństwa Westlake. Nazwisko dobrze mu się przysłużyło, zapewniając błyskawiczny awans, zarówno społeczny, jak i zawodowy. To on był tym wybitnym położnikiem, który poznał Winifred Westlake podczas podróży przez ocean, poślubił ją i przeniósł się do Ameryki, by kontynuować dzieło jej ojca.

Wspaniały pretekst do opuszczenia Anglii. Nikt, nawet Winifred, nie wiedział o latach przed podjęciem pracy w szpitalu Jezusa Chrystusa w Devon.

Pod koniec zaczęła zadawać pytania.

Zbliżała się już jedenasta, a on jeszcze nie jadł kolacji. Świadomość tego, co musi zrobić Ednie, całkowicie pozbawiła go apetytu. Teraz jednak, kiedy było już po wszystkim, nastąpiła gwałtowna reakcja. Odczuwał potworny, niemal zwierzęcy głód. Przeszedł do kuchni. Hilda zostawiła mu posiłek w kuchence mikrofalowej: kura z ryżem. Wystarczy, żeby podgrzał ją przez kilka minut. Kiedy miał czas, chętnie sam przygotowywał sobie jedzenie, gdyż potrawy Hildy, choć dość smacznie przyrządzone, były zupełnie bez polotu.

Hilda doskonale wywiązywała się z roli gospodyni. Lubił wracać do wysprzątanego domu, pociągać drinka, kiedy miał na to ochotę, siedzieć do woli w bibliotece nad notatkami, nie obawiając się, że w każdej chwili ktoś może wejść i go zaskoczyć, jak czasem zdarzało się w jego szpitalnym gabinecie.

Potrzebował poczucia swobody, jaką dawał mu ten dom. Pozbył się gospodyni, którą zatrudnił jeszcze ojciec Winifred. Wredna suka, wpatrująca się w niego wrogimi, opuchniętymi od płaczu oczami. „Panna Winifred prawie nigdy nie chorowała, dopóki...”

Spojrzał na nią tak, że nie dokończyła zdania. Wiedział jednak, co chciała powiedzieć: „Dopóki nie wyszła za pana za mąż”.

Kuzyn Winifred także go nie znosił i próbował nawet sprawiać kłopoty po jej śmierci. Nie mógł jednak niczego udowodnić, z tego prostego powodu, że żadne dowody nie istniały. Jego oskarżenia uznano za nerwową reakcję niedoszłego spadkobiercy i przestano zwracać na nie uwagę.

A pieniędzy wcale nie było tak wiele. Winifred wydała większość majątku na zakup szpitala. Badania, które obecnie prowadził, wymagały ogromnych nakładów finansowych. Większość pieniędzy musiała pochodzić z jego praktyki lekarskiej. Rzecz jasna, nie mógł ubiegać się o jakąkolwiek dotację, ale jakoś wiązał koniec z końcem. Kobiety były gotowe wydać każdą sumę, żeby tylko zajść w ciążę.

Hilda nakryła do stołu w małej jadalni usytuowanej tuż obok spiżarni, zwanej też pokojem śniadaniowym. Nigdy nie jadał posiłków w kuchni, ale główna jadalnia o wymiarach sześć na dziewięć metrów była zdecydowanie zbyt duża jak na jednego biesiadnika. Wyglądałby w niej żałośnie. W tym pokoju, siedząc przy okrągłym stole, mając z boku ozdobny kredens, a przed sobą widok na trawnik i drzewa, czuł się znacznie lepiej.

Wyjął z lodówki butelkę Pouilly - Fuisse i zabrał się do jedzenia.

Podczas posiłku zastanawiał się, jaką dawkę powinien zaaplikować Katie DeMaio. Po jej śmierci nikomu nie przyjdzie do głowy szukać śladów kumadyny we krwi. Drastyczne zmniejszenie krzepliwości powiąże się z niedawną transfuzją. Gdyby musiał zastosować dodatkowo także heparynę, jej obecność mogłaby wyjść na jaw w wyniku dokładnie przeprowadzonej sekcji zwłok. Wpadł jednak na pomysł, który pozwoli mu usunąć to niebezpieczeństwo.

Przed udaniem się na spoczynek otworzył szafę w holu. Przełożył teraz mokasyny do torby, żeby uniknąć podobnej sytuacji, z jaką miał do czynienia dziś rano. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wydobyl z niej jednego mokasyna, po czym wsadził rękę do drugiej kieszeni, spodziewając się znaleźć tam drugi but. Kieszeń była pusta. W popłochu obmacywał płaszcza, a kiedy nie przyniosło to żadnego rezultatu, osunął się

na kolana i zaczął grzebać wśród butów ustawionych równo na dnie szafy.

Wreszcie podniósł się, wpatrując w zniszczony pantofel. Przypomniawszy sobie, jak ściągał mokasyna z prawej stopy Vangie.

Prawy but.

Ten, który teraz trzymał w ręku.

Wybuchnął histerycznym śmiechem. Z jego gardła wydobywały się charczące odgłosy, biorące początek w mrocznych otchłaniach ogarniającej go wściekłości. Po tych wszystkich niebezpieczeństwach, po żalosnym pełzaniu po błotnistym parkingu, kiedy musiał wyglądać jak pies usiłujący złapać słaby trop, wreszcie trafił na to czego szukał.

W ciemności, prawdopodobnie w chwili, kiedy schował się w krzakach, kiedy tamten samochód zatrzymał się przed wjazdem na parking, pantofel wypadł mu z kieszeni. But, który znalazł, był tym, który już miał.

Oznaczało to, że zniszczony, rozdeptany, paskudny lewy mokasyn Vangie Lewis w dalszym ciągu czekał gdzieś, aż zostanie znaleziony. Czekał, by skierować podejrzenia w jego stronę.

Katie nastawiła budzik połączony z radiem na szóstą rano, ale obudziła się na długo wcześniej, zanim programowo radosny głos spikera stacji CBS życzył jej miłego dnia. Noc minęła jej bardzo niespokojnie. Kilka razy niewiele brakowało, by wstała z łóżka, wytrącona z równowagi nieprzyjemnym, powracającym uparcie snem.

Na noc zawsze zmniejszała ogrzewanie. Teraz drząc na całym ciele pobiegła przekręcić gałkę w przeciwną stronę, po czym szybko zaparzyła kawę i wróciła z nią do łóżka.

Oparta wysoko na poduszkach, otulona ciepłą kołdrą, wypila łąpczywie kilka łyków, czując, jak jej palce zaczynają rozgrzewać się od gorącej filiżanki.

- No, już lepiej - mruknęła. - Co się ze mną dzieje, do licha?

Dokładnie naprzeciwko łóżka stała zabytkowa toaletka z owalnym, usytuowanym centralnie lustrem. Spojrzawszy w nie ujrzała rozczochrane włosy, leżące w nieładzie na śnieżnobiałej poduszce. Siniak pod okiem był już fioletowy i lekko zażółcony. Do tego jeszcze opuchnięte oczy, podkreślające szczupłość twarzy. Mama powiedziałaby pewnie, że wyglądam jak najnowsza zdobycz kota - pomyślała.

Nie chodziło jednak o jej wygląd ani o to, że po wypadku była cała obolała. Najbardziej dawał się jej we znaki ciężki, wszechogarniający lęk. Czyżby w nocy znowu nawiedził ją ten dziwny, przerażający koszmar? Nie była pewna.

Vangie Lewis. Przypomniała sobie zdanie wygłoszone podczas pogrzebu Johna: „My, zasmuceni nieuchronnością śmierci...” Istotnie, śmierć jest nieuchronna, ale nie w takim znaczeniu tego słowa. Wystarczająco trudno było wyobrazić sobie Vangie popełniającą samobójstwo, lecz wydawało się zupełnie niemożliwe, żeby ktoś zmusił ją do przełknięcia

trucizny. Chris Lewis z pewnością nie wyglądał na człowieka zdolnego do popełnienia takiego czynu.

Pomyślała o telefonie od doktora Highleya. Przeklęty zabieg. Ale przecież co roku tysiące kobiet w różnym wieku poddawało się podobnym operacjom. Nie obawiała się samego zabiegu, lecz tego, co mogło po nim nastąpić. Przypuśćmy, że mimo wyłyżeczkowania macicy krwawienia nie ustaną? Doktor Highley dał jej do zrozumienia, iż trzeba by się wtedy zastanowić nad histerektomią.

Gdyby zaszła w ciążę podczas tego roku, który spędziła z Johnem... Ale nie udało jej się.

Przypuśćmy, że pewnego dnia ponownie wyjdzie za mąż. Jakaż by to była ironia losu, gdyby wtedy nie mogła już mieć dzieci! Uspokój się - nakazała sobie ostro. Pamiętasz to zdanie z „Fausta”? „Opłakujemy to, czego być może nigdy nie utracimy”.

Tak czy inaczej, już wkrótce będzie to miała za sobą. Zgłosi się do szpitala w piątek, w sobotę zrobią jej zabieg, w niedzielę wróci do domu, a w poniedziałek zjawi się ponownie w pracy. Nic wielkiego.

Wczoraj Molly zadzwoniła do niej do biura.

- Katie, rozumiem, że nie chciałaś, żebym mówiła o tym przy Richardzie, ale czy nie uważasz, że powinnaś odłożyć wizytę w szpitalu do następnego miesiąca? Teraz nie jesteś w najlepszej formie.

- Nic z tego - odparła gwałtownie. - Chcę z tym wreszcie skończyć. A poza tym nie jestem pewna, czy przypadkiem to cholerstwo nie przyczyniło się do mojego wypadku. W poniedziałek od rana dręczyły mnie zawroty głowy.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Och, daj spokój. Przecież obie nie znosimy narzekania. Jak będzie naprawdę źle, możesz być pewna, że wezwę cię na pomoc.

- Mam nadzieję - odparła Molly. - Chyba rzeczywiście powinnaś już z tym skończyć. Powiesz Richardowi?

Katie starała się, by nie okazać zniecierpliwienia.

- Nie, podobnie jak nie powiem windziarzowi, policjantowi kierującemu ruchem na ulicy ani pani psycholog z telefonu zaufania. Wiecie o tym tylko ty i Bill, i chciałabym, żeby tak zostało, dobrze?

- W porządku. Tylko nie staraj się być taka sprytna - powiedziała Molly i odłożyła słuchawkę. Takiego samego tonu, w jednakowym stopniu zatroskanego i autorytatywnego, używała wobec dzieci, jeśli któreś z nich zaczęło sobie za wiele pozwalać.

Nie jestem twoim dzieckiem, Molly - pomyślała Katie. Kocham cię, ale nie jestem twoim dzieckiem. Teraz jednak, kiedy popijała gorącą kawę, przyszło jej do głowy, czy nie wykorzystuje zbyttno Billa i Molly, traktując ich w ciężkich chwilach jako niezachwianą opokę. Czy naprawdę czepiała się ich rozpaczliwie, licząc na to, że pomogą jej przebrnąć przez przeciwne prądy życia?

Och, John... Odruchowo spojrzała na zdjęcie. Dziś było to tylko zwykłe zdjęcie przedstawiające przystojnego mężczyznę o poważnej twarzy i łagodnym, przenikliwym spojrzeniu. Kiedyś, w niecały rok po jego śmierci, złapała tę fotografię, wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym odłożyła z trzaskiem na stolik.

- Jak mogłeś mnie opuścić?

Jednak już następnego ranka odzyskała równowagę i ze wstydem podjęła mocne postanowienie, że już nigdy w chwili przygnębienia nie wypije na raz trzech kieliszków wina. Podniósłszy zdjęcie przekonała się, że srebrna ramka pozostawiła małe wgłębienie w drewnianym blacie ślicznego nocnego stolika. Próbowwała wytłumaczyć zmarłemu mężowi swoje zachowanie.

- Wcale nie rozczulam się nad sobą, panie sędzio. Jestem wściekła wyłącznie z twojego powodu. Chciałam, żebyś przeżył następnych czterdzieści lat. Wiedziałaś, jak się cieszyć życiem i jak je z pożytkiem wykorzystać.

Któż bowiem zna zamiary Pana i kto tłumaczy ścieżki Jego?

Teraz też powinnam o tym pamiętać - pomyślała Katie.

Ściągnęła bladozieloną koszulę nocną, weszła do łazienki i odkręciła prysznic. Koszula spłynęła na taboret stojący przed toaletką. W college'u korzystała wyłącznie z pasiastych dwuczęściowych piżam, ale John kupił jej we Włoszech kosztowne peniuary. W tym domu i w tej sypialni wydawały się jak najbardziej na miejscu.

Może jednak Richard ma rację. Może rzeczywiście pełniła wartość u wrót śmierci. John obsztorcowałby ją za to jako pierwszy.

Gorący prysznic poprawił nieco jej samopoczucie. Na dziewiątą miała wyznaczoną rozprawę apelacyjną, a o dziesiątej czekało ją ogłoszenie wyroku. Oprócz tego musiała przygotować się do dwóch spraw, które miały stanąć na wokandzie w przyszłym tygodniu. Do tego należało jeszcze dodać mnóstwo pracy w związku z piątkową rozprawą. Boże, przecież dzisiaj jest już środa - pomyślała z przerażeniem. Muszę wziąć się ostro do roboty.

Błyskawicznie podjęła decyzję, w co się ubrać; wybór padł na brązową wełnianą spódnicę i nową, turkusową, jedwabną bluzkę z długim rękawem, który zasłoni zabandażowane ramię.

Kiedy kończyła drugą filiżankę kawy przyjechał samochód ze stacji obsługi. Odwiozła kierowcę z powrotem do pracy, gwizdnęła przeciągle, ujrawszy rozległe zniszczenia w przedniej części swojego wozu, dowiedziała się,

że miała dużo szczęścia, wychodząc z wypadku z tak niegroźnymi obrażeniami, po czym pojechała do biura.

Noc obfitowała w wydarzenia. Zgwałcono czternastoletnią dziewczynkę, pijany kierowca spowodował wypadek, w którym zginęły cztery osoby, a szef miejscowej policji zażyczył sobie konfrontacji ofiary napadu rabunkowego z podejrzanymi o jego dokonanie.

Scott właśnie wychodził z biura.

- Uroczą noc - zauważyła Katie. Skinął głową.

- Sukinsyn... Ten drań, który władował się w samochód z dziećmi, był tak wstawiony, że nawet nie mógł stać o własnych siłach. Zginęli wszyscy czworo. Jechali właśnie na studniówkę. Aha, miałem posłać Ritę do szpitala Westlake, żeby porozmawiała z lekarzami, ale wcisnęli jej sprawę tego gwałtu. Najbardziej interesuje mnie psychiatra, do którego chodziła Vangie Lewis. Chciałbym się dowiedzieć, co sądzi o jej stanie emocjonalnym. Mógłbym zlecić to Charleyowi albo Philowi, ale wydaje mi się, że kobieta będzie się mniej rzucała w oczy. Przy okazji porozmawiałaby z pielęgniarkami i pacjentkami. Kto wie, może pani Lewis zwierzała się którejś z nich. Wygląda jednak na to, że muszę poczekać z tym do jutra. Rita nie spała całą noc, a teraz pojechała z tą dziewczynką, na wypadek gdyby mała zidentyfikowała sprawcę. Jesteśmy niemal pewni, że mieszka gdzieś blisko niej.

Katie zawahała się. Nie miała ochoty informować Scotta, że ona także jest pacjentką doktora Highleya ani że zamierza pójść w piątek do szpitala, ale nie chciała, żeby jej szef dowiedział się o tym od kogoś innego.

- Myślę, że mogłabym ci pomóc. Doktor Highley jest moim ginekologiem. Tak się składa, że dzisiaj mam u niego wizytę.

Zacisnęła wargi, nie chcąc wdawać się w rozwlekłe wyjaśnienia na temat zabiegu.

Scott uniósł brwi. Jak zawsze, kiedy go coś zdziwiło, jego głos stał się znacznie głębszy.

- Jakie wywarł na tobie wrażenie? Richard przebąkiwał coś wczoraj na temat stanu zdrowia Vangie. Chyba uważa, że Highley sporo ryzykował, pozwalając jej nosić tę ciążę.

Katie pokręciła głową.

- Nie zgadzam się z Richardem. Doktor Highley specjalizuje się właśnie w ciążach wysokiego ryzyka. Uważa się go niemal za cudotwórcę. Jest tak ceniony właśnie za to, że pozwala urodzić się dzieciom, które inni lekarze spisują na straty. - Przypomniała sobie jego wczorajszy telefon. - Mogę osobiście potwierdzić, że jest bardzo troskliwym lekarzem.

Na czole Scotta i wokół jego oczu pojawiły się głębokie zmarszczki.

- To chyba twoja instynktowna reakcja, prawda? Jak długo go znasz?

Katie starała się być obiektywna.

- Nie znam go ani długo, ani dobrze. Mój poprzedni ginekolog kilka lat temu przeszedł na emeryturę i wyprowadził się gdzieś daleko. Przez jakiś czas nie zajmowałam się tymi sprawami, a potem, kiedy pojawiły się kłopoty... W każdym razie, moja siostra Molly poleciała mi go, ponieważ jej przyjaciółka piała nad nim z zachwytem. Molly jeździ do kogoś w Nowym Jorku, a ponieważ ja nie mam na to czasu, w ubiegłym miesiącu zgłosiłam się do Highleya. Na pewno dysponuje rozległą wiedzą. - Przypomniała sobie badanie, podczas którego był delikatny, ale bardzo dokładny. „Bardzo dobrze, że zdecydowała się pani przyjść do mnie” - powiedział. „Szczerze mówiąc, powinna pani to zrobić już rok temu. Traktuję kobiece łono jako kołyskę, którą zawsze należy utrzymywać w jak najlepszym stanie”.

Zdziwiło ją tylko to, że badanie odbywało się bez asysty pielęgniarki. Jej poprzedni ginekolog, zanim przystąpił do badania, zawsze wzywał do gabinetu siostrę. Co prawda należał do zupełnie innego pokolenia. .. Doktor Highley wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat.

- Jaki masz rozkład dnia? - zapytał Scott.

- Rano pracy po uszy, ale po południu znajdzie się trochę wolnego.

- To dobrze. Pójdiesz do Highleya i porozmawiasz też z tym psychiatrą. Postaraj się wyczuć, czy według nich była zdolna do popełnienia samobójstwa. Dowiedz się, kiedy zjawiała się tam po raz ostatni i czy wspominała coś o mężu. Charley i Phil sprawdzają teraz Chrisa Lewisa. Nie mogłem zasnąć prawie do rana, bo wciąż myślałem, że Richard chyba ma rację. Ta sprawa cuchnie na kilometr. Aha, pogadaj też z pielęgniarkami.

- Nawet nie mam zamiaru - odparła z uśmiechem Katie. - Wystarczy jeśli porozmawiam z Edną, recepcjonistką. Ona wie wszystko o wszystkich. Miesiąc temu po dwóch minutach pobytu w poczekalni zorientowałam się, że opowiadam jej historię mojego życia. Powinieneś ją zatrudnić do przesłuchiwania świadków.

- Powiniennem zatrudnić mnóstwo ludzi - stwierdził kwaśno Scott. - Porozmawiaj o tym z podatnikami. Dobra, zobaczymy się później.

Katie wbiegła do swego pokoju, złapała akta i popędziła na umówione spotkanie z obrońcą. Zgodziła się zmienić oskarżenie o „posiadanie heroiny i zamiar dalszego jej rozprowadzania” na samo „posiadanie”. Następnie pośpieszyła do sali rozpraw na pierwszym piętrze, gdzie w refleksyjnym nastroju wysłuchiwała, jak dwudziestoletni młodzian, którego oskarżała, otrzymuje wyrok siedmiu lat więzienia. Za napad z bronią w rękę i usiłowanie zabójstwa mógłby dostać

nawet dwadzieścia. Z tych siedmiu lat prawdopodobnie odsiedzi najwyżej jedną trzecią i z powrotem znajdzie się na ulicy. Znała na pamięć listę jego dotychczasowych dokonań. Nie ma mowy o żadnej rehabilitacji tego ptaszka - pomyślała.

W stosie czekających na nią wiadomości znalazła informację o dwóch telefonach od doktora Carrolla. Pierwszy raz dzwonił piętnaście po dziewiątej, drugi o dziewiątej czterdzieści. Oddzwoniła natychmiast, ale dowiedziała się, że Richard właśnie bierze udział w rozprawie. Lekki niepokój szybko ustąpił miejsca rozczarowaniu, że go nie zastała.

Następnie wykręciła numer doktora Highleya, oczekując, że usłyszy ciepły, nosowy głos Edny. Tymczasem telefon odebrała jakaś obca, oschła kobieta.

- Gabinety lekarskie, słucham?

- Och... - Katie zastanowiła się błyskawicznie i postanowiła najpierw zapytać o Ednę. - Czy zastałam pannę Burns?

Odpowiedź nadeszła po ledwo uchwytnym wahaniu.

- Panna Burns nie przyjdzie dziś do pracy. Poprosiła o wolny dzień. Nazywam się Fitzgerald.

Katie dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wiele nadziei wiązała z rozmową z Edną.

- Bardzo mi przykro, że źle się czuje.

Wyjaśniła zwięźle, że doktor Highely spodziewa się telefonu od niej, i że chciałyby także zobaczyć się z doktorem Fukhito. Pani Fitzgerald poprosiła, by zechciała chwilę zaczekać.

- Obaj lekarze przyjmą panią jeszcze dzisiaj - oznajmiła nieco później. - Doktor Fukhito jest wolny na kwadrans przed każdą pełną godziną między drugą a piątą, natomiast doktorowi Highleyowi najbardziej odpowiadałaby trzecia, oczywiście jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Znakomicie - odparła Katie. - W takim razie proszę wpisać mnie do doktora Fokhito na trzecią czterdzieści pięć.

Odłożyła słuchawkę i wzięła się do pracy.

Tuż przed lunchem do pokoju wsadziła głowę Maureen Crowley, jedna z sekretarek, i zapytała, czy przynieść jej sandwicza. Katie, pochłonięta przygotowaniami do piątkowej rozprawy, skinęła głową.

- Ryzowa bułka z szynką, musztardą i sałatą, a do tego czarna kawa - wyrecytowała Maureen.

Zaskoczona Katie podniosła głowę.

- Czy naprawdę tak łatwo przewidzieć wszystko co robię?

Sekretarka miała około dziewiętnastu lat, grzywę rudozłotych włosów, szmaragdowozielone oczy i piękną jasną karnację, jaką mogą się poszczycić jedynie prawdziwi rudzielcy.

- Jeśli chodzi o jedzenie, to raczej nie mogłabyś nikogo zaskoczyć. „Fatalnie wyglądasz”. „Pełnisz wartość u wrót śmierci”. „Nie mogłabyś nikogo zaskoczyć”.

Przełknęła suchy kłęb, który utkwiał jej w gardle, i stwierdziła ze zdumieniem, że ma oczy pełne łez. Chyba naprawdę nie jest ze mną najlepiej, skoro przejmuję się takimi głupstwami - pomyślała.

Kiedy na biurku zjawily się sandwicz i kawa, jadła i piła, nie zwracając uwagi na smak potraw. Sprawa, do której się przygotowywała, była niesłychanie skomplikowana, a w dodatku przed oczami cały czas miała twarz Vangie Lewis. Dlaczego widziała ją wtedy we śnie?

Richard Carroll miał paskudną noc. Telefon zadzwonił punktualnie o jedenastej, zaledwie kilka minut po powrocie od Katie DeMaio. W kostnicy czekały zwłoki czworga dzieciaków.

Odłożył powoli słuchawkę. Mieszkał na szesnastym piętrze wieżowca wznoszącego się na północ od mostu George'a Waszyngtona. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w panoramiczne okno, za którym rozciągała się panorama Nowego Jorku; samochody mknęły autostradą Henry'ego Hudsona, w kierunku błękitno - zielonych światel mostu.

Właśnie teraz rodzice dowiadawali się przez telefon, że ich dzieci nie wrócą do domu.

Richard rozejrzał się po pokoju. Na umeblowanie składała się wygodna, ogromna kanapa, wielgachne fotele, orientalny dywan utrzymany w odcieniach błękitu i brązu, regał na książki oraz dwa niskie dębowe stoły, zdobiące niegdyś salon wiejskiego domu w Nowej Anglii, skąd pochodzili jego przodkowie. Na ścianach wisiały akwarele przedstawiające sceny marynistyczne. Richard westchnął głęboko. Zdążył już ustawić przy regale swój ulubiony skórzany fotel. Miał zamiar przyrzadzić sobie wieczornego drinka, poczytać godzinę, a następnie położyć się spać. Tymczasem czekała go podróż do kostnicy, gdzie miał towarzyszyć rodzicom podczas identyfikacji ciał. Bóg świadkiem, że niewiele można było zrobić dla tych ludzi, ale będzie się czuł znacznie lepiej, wiedząc, że przynajmniej próbował.

Kiedy wrócił do domu, była już czwarta nad ranem. Rozbierając się, rozmyślał, czy ta praca nie działa na niego zbyt przygnębiająco. Zwłoki całej czwórki przedstawiały okropny widok, gdyż siła uderzenia była bardzo duża, ale i tak dało się łatwo dostrzec, jak ładnie wyglądali za życia.

Szczególnie jedna z dziewcząt. Miała ciemne włosy, szczupły prosty nos i nawet po śmierci zachowała wiele wdzięku.

Przypomniała mu o Katie.

Na myśl o tym, że w poniedziałkowy wieczór Katie także miała wypadek samochodowy, Richard aż zatrzęsł się ze zdenerwowania. Wydawało mu się, że podczas tych paru godzin, jakie spędzili wspólnie przy kolacji, ich wzajemne stosunki posunęły się o całe lata świetlne naprzód.

Czego ona tak się boi, biedactwo? Dlaczego nie uwolni się od cienia Johna DeMaio? Czemu nie powie: „Dzięki za piękne wspomnienia” i nie zacznie żyć własnym życiem?

Położył się do łóżka, odczuwając odrobinę satysfakcji z tego, że udało mu się nieco pocieszyć rodziców. Zapewnił ich, że cała czwórka zginęła natychmiast, i że najprawdopodobniej żadne z nich nie zdążyło nawet nic poczuć.

Przespał niespokojnie dwie godziny, by o siódmej zjawić się z powrotem w pracy. Kilka minut później nadeszła wiadomość o starej kobiecie, która powiesiła się w podupadającej dzielnicy Chester, niewielkiego miasteczka położonego blisko północnej granicy okręgu. Pojechał na miejsce zdarzenia. Martwa kobieta miała osiemdziesiąt jeden lat, była drobnej budowy i przypominała ptaka. Do sukienki przypięła sobie krótki liścik: „Nikogo już nie mam. Jestem chora i zmęczona. Chcę być razem z Samem. Przepraszam za kłopot”.

Ten list wreszcie pozwolił Richardowi sformułować wątpliwość, która nie dawała mu spokoju już od dłuższego czasu. Sądząc z tego, co wiedział o Vangie Lewis, należało się spodziewać, że przed popełnieniem samobójstwa kobieta napisze list, w którym wyjaśni przyczynę podjęcia takiego kroku lub obwini za to swojego męża.

Większość kobiet zostawiała listy.

Po powrocie do biura zadzwonił dwa razy do Katie, mając nadzieję złapać ją między posiedzeniami sądu. Chciał usłyszeć jej głos. Wczoraj wieczorem nie wiadomo dlaczego miał ogromne opory przed pozostawieniem jej samej w tym wielkim domu.

Niestety, nie udało mu się jej zastać.

Dlaczego wydawało mu się, że Katie ma jakieś kłopoty, które starannie przed nim ukrywa?

Poszedł do laboratorium, gdzie pracował bez przerwy aż do wpół do piątej. Znalazłszy się z powrotem w biurze, przejrzał nagromadzone przez ten czas informacje i doznał uczucia absurdalnego zadowolenia, przekonawszy się, że Katie także do niego dzwoniła. Co w tym dziwnego? - usiłował sprowadzić się na ziemię. Zastępca prokuratora okręgowego nie mógł zlekceważyć telefonu od lekarza sądowego. Szybko wykręcił jej numer, ale telefonistka z prokuratury powiedziała mu, że Katie wyszła i dziś nie wróci już do pracy. Telefonistka nie miała pojęcia, gdzie mógłby ją teraz znaleźć.

Cholera.

Oznaczało to, że dzisiaj już z nią nie porozmawia. Umówił się w Nowym Jorku na kolację z Clovis Simmons, aktorką występującą w jednej z oper mydlanych. Clovis była bardzo miła. Richard dobrze czuł się w jej towarzystwie, choć pewne oznaki wskazywały na to, że kobieta zaczyna traktować ich znajomość coraz bardziej serio.

Richard postanowił, że to będzie jego ostatnie spotkanie z Clovis. Postępował wobec niej nieuczciwie. Nie zadawszy sobie trudu, by zastanowić się nad przyczynami, które skłoniły go do podjęcia tak nagłej decyzji, odchylił się do tyłu w fotelu i zmarszczył brwi. Jego podświadomość bez przerwy nadawała sygnał alarmowy. Skojarzyło mu się to z podróżą samochodem przez Środkowy Zachód, kiedy w radio często

rozlegało się ostrzeżenie o nadciągającym tornado. Takie coś zawsze oznaczało mniej lub bardziej poważne kłopoty.

Wcale nie przesadzał, mówiąc Scottowi, że gdyby Vangie nie urodziła szybko tego dziecka, to wcale nie potrzebowałyby cyjanku. Ile jeszcze kobiet, które zaufały Koncepcji Macierzyństwa Westlake, doprowadzono do takiego stanu? Molly zachwycała się tym położnikiem, ponieważ jej przyjaciółce udało się zająć w ciąży i urodzić zdrowe dziecko, ale jak przedstawiała się sprawa z niepowodzeniami? Ile ich było? Czy wskaźnik śmiertelności wśród pacjentek nie przekraczał statystycznej normy? Richard nacisnął guzik interkomu i po chwili w gabinecie pojawiła się sekretarka.

Marge miała pięćdziesiąt kilka lat. Siwiejące włosy upinała w kok, który był modny na początku lat sześćdziesiątych dzięki Jacqueline Kennedy. Jej spódniczka kończyła się dwa centymetry nad pulchnymi kolanami. Wyglądała jak pani domu z przedmieścia występująca w telewizyjnym programie rozrywkowym. W rzeczywistości jednak była wyśmienitą sekretarką i uwielbiała atmosferę ciągłego napięcia panującą w instytucji, w której pracowała.

- Mam pewne podejrzenia - poinformował ją Richard. - Chcę, żeby dyskretnie i nieoficjalnie sprawdzono oddział położniczo - ginekologiczny szpitala Westlake. Tę swoją „koncepcję macierzyństwa” wprowadzili mniej więcej przed ośmiu laty. Muszę wiedzieć, ile pacjentek zmarło przy porodzie lub w związku z komplikacjami w czasie ciąży i jaki jest stosunek między liczbą zgonów a liczbą kobiet, które tam leczono. Nikt nie może się dowiedzieć, że zbieram te informacje. Dlatego nie chcę prosić Scotta, żeby zażądał ich oficjalnie. Znasz może kogoś, kto mógłby po cichu przejrzeć szpitalną dokumentację?

Marge ściągnęła brwi, a na jej nosie, bardzo podobnym do małego ostrego dzióbka kanarka, pojawiły się liczne zmarszczki.

- Zajmę się tym.

- To dobrze. Aha, i jeszcze jedno. Sprawdź wszystkie oskarżenia o popełnienie błędu w sztuce lekarskiej, jakie ewentualnie wniesiono przeciwko pracującym tam lekarzom. Nie interesuje mnie, czy oskarżenia były uzasadnione. Chcę tylko znać ich przyczynę, o ile taka w ogóle istniała, ma się rozumieć.

Zadowolony, że udało mu się rozpocząć nieoficjalne śledztwo, pojechał do domu, by wziąć prysznic i przebrać się w elegancki garnitur. Kilka sekund po jego wyjściu z biura, zadzwonił doktor David Broad z laboratorium badań prenatalnych w szpitalu Mt. Sinai. Poprosił, żeby Richard skontaktował się z nim jutro z samego rana w bardzo pilnej sprawie.

Katie wyruszyła w drogę do szpitala za kwadrans trzecia. Pogoda ustaliła się - nieprzerwanie padała ohydna, marznąca mżawka. Na szczęście opony samochodów starły z asfaltu gołoledź. Katie jednak i tak znacznie zwolniła, pokonując zakręt, na którym wydarzył się jej wypadek.

Zjawiała się kilka minut przed wyznaczoną godziną; jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Pełniąc funkcję recepcjonistki pani Fitzgerald przywitała ją z chłodną uprzejmością, ale kiedy Katie zapytała ją, czy często zastępuje Ednę, usłyszała lodowatą odpowiedź:

- Panna Burns prawie nigdy nie bierze zwolnień, w związku z czym nie trzeba jej zastępować.

Według Katie tak ostra reakcja nie była niczym uzasadniona. Zaintrygowało ją to, w związku z czym postanowiła dokładniej zbadać teren.

- Bardzo zmartwiłam się na wiadomość, że panna Burns zachorowała. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Pani Fitzgerald z każdą chwilą stawała się coraz bardziej nerwowa.

- Skądże znowu - odparła. - To chyba jakaś infekcja wirusowa. Jestem pewna, że jutro wróci do pracy.

W poczekalni siedziało kilka przyszłych matek, lecz wszystkie były pogrążone w lekturze czasopism. Katie nie bardzo miała jak zacząć rozmowę. Od strony gabinetów lekarskich nadeszła ciężarna kobieta o nabrzmiałej twarzy i powolnych, dostojnych ruchach. Na biurku zabrzączał interkom. Recepcjonistka podniosła słuchawkę.

- Pani DeMaio, doktor Highley już na panią czeka - powiedziała z wyraźną ulgą.

Katie ruszyła szybko korytarzem. Z tego, co pamiętała, gabinet doktora Highleya znajdował się najbliżej. Zgodnie z umieszczoną na futrynie instrukcją zapukała i weszła do

średniej wielkości, przyjemnie urządzonego gabinetu. Jedna ściana była zastawiona regałami na książki, na drugiej zaś wisiały zdjęcia matek z nowo narodzonymi dziećmi. Przed ozdobnie rzeźbionym biurkiem stał klubowy fotel. Katie wiedziała, że z gabinetem sąsiadują pokój badań, łazienka i kuchnia pełniąca jednocześnie funkcję sterylizatorni. Siedzący za biurkiem lekarz wstał na jej widok.

- Witam, pani DeMaio - powiedział uprzejmie z ledwo uchwytnym brytyjskim akcentem. Był mężczyzną średniego wzrostu - mógł mieć około metra siedemdziesięciu ośmiu. Miał gładką skórę twarzy, dość pulchne policzki i zaokrąglony podbródek. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że dysponuje znaczną, choć starannie kontrolowaną siłą. Bez wątpienia łatwo przybierał na wadze. Mocno przerzedzone włosy barwy piasku, przyprószone siwizną, były starannie zaczesane na bok, a powieki i rzęsy dokładnie tego samego koloru sprawiały, że uwaga patrzącego natychmiast kierowała się na stalowoszare, lekko wyłupiaste oczy. Ogólnie rzecz biorąc, nie był zbyt atrakcyjnym mężczyzną, ale roztaczał wokół siebie aurę spokoju i pewności.

Katie zarumieniła się, uświadomiwszy sobie, że Highley doskonale zdaje sobie sprawę, iż został poddany drobiazgowym oględzinom, i że bynajmniej nie jest tym zachwycony. Usiadła szybko w fotelu i, aby zatrzeć niedobre wrażenie, podziękowała za jego wieczorny telefon.

Machnął lekceważąco ręką.

- Nie ma mi pani za co dziękować. Gdyby powiedziała pani lekarzowi, który miał ostry dyżur, że jest pani moją pacjentką, dałby pani pokój w zachodnim skrzydle, znacznie bardziej wygodny... choć z tym samym widokiem - dodał, zawiesiwszy na chwilę głos.

Katie zaczęła tymczasem grzebać w torebce w poszukiwaniu notatnika i ołówka. Zaskoczona, podniosła szybko głowę.

- Z widokiem? Chyba wszystko byłoby lepsze od tego, co wydawało mi się, że widziałam tamtej nocy. - Umilkła, przypomniawszy sobie, że przecież jej wizyta ma charakter oficjalny. Co by o niej pomyślał, gdyby zaczęła mu opowiadać o dręczących ją koszmarach? Nieświadomie spróbowała poprawić się w zbyt niskim i zanadto miękkim fotelu. - Panie doktorze, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to najpierw porozmawiamy o Vangie Lewis. - Uśmiechnęła się. - Na kilka minut zamienimy się rolami. To ja będę zadawać pytania.

Na twarzy lekarza pojawił się wyraz smutku.

- Bardzo żałuję, że ta zamiana następuje z tak smutnego powodu. Biedna dziewczyna. Odkąd usłyszałem, co się stało, myślę tylko o niej.

Katie skinęła głową.

- Znałam trochę Vangie i muszę przyznać, że zareagowałam dokładnie w taki sam sposób. To oczywiście całkowicie rutynowa sprawa, ale, ponieważ nie zostawiła żadnego listu, musimy zebrać nieco informacji na temat jej stanu psychicznego. - Umilkła na chwilę, po czym zapytała: - Kiedy po raz ostatni widział pan Vangie Lewis?

Lekarz odchylił się do tyłu w fotelu i splótł przed sobą ręce o nieskazitelnie czystych paznokciach.

- W czwartek wieczorem - odparł powoli. - Ponieważ była to już druga połowa ciąży, badałem panią Lewis co najmniej raz w tygodniu. Mam tutaj jej kartę.

Wskazał teczkę leżącą na biurku. Była podpisana „Lewis, Vangie” i wcale nie kojarzyła się z jeszcze niedawno żywą młodą kobietą, a jedynie przypominała, że dokładnie przed tygodniem Vangie Lewis leżała w sąsiadującym z gabinetem

pokoju badań, miała mierzone ciśnienie, a lekarz nasłuchiwał bicie serca płodu.

- Jak się czuła? - zapytała Katie. - Chodzi mi zarówno o jej stan fizyczny, jak i emocjonalny.

- Pozwoli pani, że najpierw zajmę się stanem fizycznym. Rzecz jasna, budził poważne obawy, gdyż istniało niebezpieczeństwo zatrucia ciążowego. Właśnie dlatego miałem ją pod tak ścisłą obserwacją. Musi pani jednak wiedzieć, że każdy dzień zwiększał szanse dziecka na przeżycie.

- Czy mogła donosić ciążę do końca?

- To było całkowicie wykluczone. Podczas ostatniej wizyty powiedziałem jej nawet, że najprawdopodobniej w ciągu najbliższych dwóch tygodni będę musiał wywołać przyśpieszony poród.

- Jak zareagowała na tę wiadomość? Zmarszczył czoło.

- Oczekiwałem, że będzie bardzo poważnie obawiać się o życie dziecka, ale prawda wyglądała w ten sposób, że wraz z upływem czasu pani Lewis coraz bardziej bała się samego porodu. Pomyślałem sobie nawet, że przypomina małą dziewczynkę, która uwielbia bawić się w dom, ale byłaby przerażona, gdyby jej lalka przeistoczyła się w prawdziwe dziecko.

- Rozumiem... - Katie machinalnie rysowała coś w notesie. - Czy w związku z tym stwierdził pan u niej depresję? Doktor Highley pokręcił głową.

- Nic takiego nie zauważyłem. Wydaje mi się jednak, że powinna pani zadać to pytanie doktorowi Fukhito. Rozmawiał z nią jeszcze w poniedziałek wieczorem i z pewnością prędzej ode mnie potrafiłby zauważyć objawy depresji, nawet gdyby je starannie ukrywała. Ja osobiście odniosłem jedynie wrażenie, że pani Lewis coraz bardziej boi się porodu.

- Ostatnie pytanie. Pański gabinet sąsiaduje z gabinetem doktora Fukhito. Czy widział pan panią Lewis w poniedziałek wieczorem?

- Nie.

- Dziękuję panu, doktorze. Bardzo mi pan pomógł - powiedziała Katie, chowając notes do torebki. - A teraz czekam na pańskie pytania.

- Nie mam ich zbyt wiele. Właściwie odpowiedziała mi pani na wszystkie wczoraj wieczorem. Kiedy skończy pani rozmawiać z doktorem Fukhito, proszę pójść do pokoju 101 w drugim skrzydle budynku. Otrzyma pani transfuzję. Proszę potem poczekać co najmniej pół godziny, zanim usiądzie pani za kierownicą.

- Myślałam, że to dotyczy tylko dawców - zauważyła Katie.

- Trzeba się upewnić, że nie nastąpiła żadna nieprzewidziana reakcja. Aha, jeszcze jedno... - Wysunął boczną szufladę biurka, wypełnioną porządnie poustawianymi buteleczkami, i wyjął jedną z nich, zawierającą około dziesięciu pastylek. - Proszę wziąć pierwszą dziś wieczorem, a jutro i w piątek po jednej co cztery godziny, w sumie osiem przez dwa dni. Ma pani tutaj akurat tyle, ile potrzeba. To bardzo ważne, żeby pani nie zapomniała. Jak już pani wie, jeśli ten zabieg nie rozwiąże pani problemów, będziemy musieli zastanowić się nad poważniejszą operacją.

- Nie zapomnę - obiecała Katie.

- To dobrze. Proszę przyjechać do szpitala w piątek około szóstej wieczorem.

Skinęła głową.

- Zajrzę do pani podczas wieczornego obchodu. Mam nadzieję, że nie ma pani żadnych obaw?

Podczas pierwszej wizyty powiedziała mu o swoim strachu przed szpitalami.

- Nie - odparła. - Właściwie nie. Otworzył przed nią drzwi.

- W takim razie do zobaczenia w piątek, pani DeMaio - powiedział łagodnie.

Zespół śledczy złożony z Phila Cunninghama i Charleya Nugenta wrócił do biura prokuratora o czwartej po południu. Obaj mężczyźni przypominali podekscytowane psy gończe, którym udało się zwietrzyć zdobycz. Udali się prosto do pokoju Scotta Myersona, by poinformować go o swoich ustaleniach.

- Mąż kłamie - stwierdził lakonicznie Phil. - Miał wrócić dopiero wczoraj rano, ale w samolocie stwierdzono usterkę silnika, w związku z czym pasażerowie wysiedli w Chicago, a on razem z całą załogą wrócił prosto do Nowego Jorku. Wylądował w poniedziałek wieczorem.

- W poniedziałek wieczorem! - wybuchnął Scott.

- Właśnie. I wynajął pokój w Holliday Inn przy zachodniej 57 Ulicy.

- Skąd o tym wiecie?

- Zdobyliśmy listę załogi i rozmawialiśmy po kolei ze wszystkimi. Nawigator jest z Nowego Jorku. Lewis odwiózł go na Manhattan, a w końcu poszli razem na kolację. Kapitan Lewis opowiedział mi jakąś nieprawdopodobną historyjkę o tym, że jego żona wyjechała, w związku z czym postanowił zostać na noc w mieście, żeby skorzystać z okazji i obejrzeć jakieś przedstawienie.

- Tak mu powiedział?

- Tak. Zaparkował wóz przy Holliday Inn, wynajął pokój, a potem poszli na kolację. Nawigator wyszedł z restauracji dwadzieścia po siódmej. Zaraz potem Lewis zabrał samochód z garażu, a z notatek strażnika wynika, że wrócił dopiero o dziesiątej. A teraz uważaj: wyjechał jeszcze raz o dwunastej i wrócił o drugiej!

Scott gwizdnał przeciągle.

- Okłamał nas w sprawie swojego lotu i okłamał nawigatora, mówiąc o żonie. Był gdzieś samochodem między

ósmą i dziesiątą, a potem między dwunastą i drugą w nocy. O której godzinie według Richarda umarła Vangie Lewis?

- Między ósmą a dziesiątą wieczorem - odparł Ed.

- To jeszcze nie wszystko - odezwał się milcząco do tej pory Charley 'agent. - Lewis ma przyjaciółkę, stewardesę linii Pan Am. Nazywa się Joan Moore, mieszka przy wschodniej 87 Ulicy w Nowym Jorku. Portier powiedział nam, że wczoraj rano kapitan Lewis przywiózł ją z lotniska. Zostawiła torbę na dole i poszli razem na kawę do baru po drugiej stronie ulicy.

Scott zaczął stukać ołówkiem w blat biurka; był to nieomylny znak, że zaraz zaczną wydawać polecenia. Asystenci czekali w gotowości z notesami w rękach.

- Jest już czwarta, więc sędziowie lada chwila pójną do domu. Złapcie któregoś z nich telefonicznie i poproście, żeby zaczekał piętnaście minut. Musimy załatwić nakaz rewizji.

Phil rzucił się do telefonu.

Scott wycelował palec w Charleya.

- A ty dowiedz się, który zakład pogrzebowy w Minneapolis zajął się ciałem Vangie Lewis. Skontaktuj się z właścicielem i powiedz mu, żeby nie dotykał zwłok nawet małym palcem. Dopilnuj też, by Chris Lewis nie zażądał kremacji. Czy powiedział, kiedy wróci?

Charley skinął głową.

- Jutro, zaraz po pogrzebie. Scott odchrząknął.

- W takim razie dowiedz się, którym samolotem będzie leciał, spotkaj się z nim na lotnisku i zaproś go tutaj na rozmowę.

- Nie obawiasz się, że będzie próbował się wymknąć?

- Nie. Postara się odegrać przedstawienie do końca. Jeśli ma trochę oleju w głowie, to wie, że nie możemy przedstawić mu żadnych konkretnych zarzutów. Chcę też pogadać z tą jego dziewczyną. Co o niej wiecie?

- Mieszka z dwiema koleżankami. Ma zamiar przenieść się na trasy południowoamerykańskie i przeprowadzić się do Miami. Jest teraz w Fort Lauderdale, gdzie wybiera sobie nową kwaterę. Ma wrócić w piątek późnym popołudniem.

- Ją też przechwyć na lotnisku i zaprosić tutaj - polecił Scott. - Gdzie była w poniedziałek wieczorem?

- Leciła do Nowego Jorku. Mamy co do tego całkowitą pewność.

- W porządku. - Prokurator okręgowy zastanowił się przez chwilę. - Jeszcze jedno: chcę mieć dokładny wykaz rozmów telefonicznych przeprowadzanych z domu Lewisów w ubiegłym tygodniu. Przy okazji upewnijcie się, czy nie mają automatycznej sekretarki. Dla kogoś o takim zawodzie jak on to bardzo przydatne urządzenie.

Phil Cunningham odłożył słuchawkę.

- Sędzia Haywood powiedział, że zaczeka.

Scott szybko wykręcił służbowy numer Richarda, poprosił, by go z nim połączono, po czym zaklął pod nosem.

- Cholera! Akurat dzisiaj uznał za stosowne wyjść wcześniej z pracy.

- Potrzebujesz go właśnie teraz? - zapytał ze zdziwieniem Charley.

- Muszę wiedzieć co miał na myśli mówiąc, że jest jeszcze coś, co się zupełnie nie zgadza. Pamiętacie, jak to powiedział? Warto by się dowiedzieć, o co konkretnie mu chodziło... Dobra, bierzmy się do roboty. Kiedy będziecie przeszukiwać ten dom, weźcie ze sobą sitka i grzebienie. Szukajcie przede wszystkim cyjanku. Musimy jak najszybciej się dowiedzieć, gdzie Vangie Lewis zdobyła truciznę, która ją zabiła. - Umilkł na chwilę, po czym dodał znacznie ciszej: - Lub gdzie zdobył ją kapitan Chris Lewis...

W przeciwieństwie do gabinetu doktora Highleya, pokój doktora Fukhito był obszerny i jasny. Biurko o delikatnym kształcie zajmowało znacznie mniej miejsca niż masywne angielskie biurko Highleya, a zamiast ciężkiego klubowego fotela stały lekkie foteliki z giętego drutu, o wyściełanych siedzeniach, oparciach i podłokietnikach. Ściany gabinetu zdobiły znakomite reprodukcje drzeworytów ukiyo - e.

Doktor Fukhito był wysoki jak na Japończyka. Przez głowę Katie przemknęło co prawda podejrzenie, iż jest to tylko złudzenie wywołane jego idealnie wyprostowaną postawą, lecz już po chwili musiała przyznać, że się pomyliła. Z pewnością miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu.

On także, podobnie jak jego kolega, miał na sobie kosztowny i dość tradycyjny strój: garnitur w delikatne różowe prążki, jasnobłękitną koszulę i jedwabny krawat w stłumionych odcieniach błękitu. Kruczoczarne włosy i niewielki, schludnie przystrzyżony wąsik kontrastowały silnie z bladożółtą skórą i brązowymi oczami, raczej owalnymi niż skośnymi. Zarówno według standardów Wschodu, jak i Zachodu doktor Fukhito był bardzo przystojnym mężczyzną.

I zapewne wyśmienitym psychiatrą - pomyślała Katie, wyjmując z torebki notes. Celowo robiła to bardzo powoli, by mieć czas na wchłonięcie nowych wrażeń.

Jej zeszłomiesięczna wizyta u doktora Fukhito była krótka i nieformalna.

- Kobięcy brzuch to fascynująca część ciała - wyjaśnił jej z uśmiechem. - Często zdarza się, że nieregularne lub zbyt obfite krwawienia są skutkiem poważnych problemów emocjonalnych.

- Szczerze mówiąc, wątpię - odparła Katie. - Moja matka miała przez wiele lat takie same kłopoty. Wydaje mi się, że to dziedziczne.

Pytał ją wtedy o życie osobiste.

- Przypuśćmy, iż pewnego dnia okaże się, że konieczna jest histerektomia. Jak będzie się wtedy pani czuła?

- Okropnie - przyznała bez wahania. - Zawsze chciałam mieć rodzinę.

- Zamierza pani ponownie wyjść za mąż? Spotyka się pani z kimś? - Nie.

- Dlaczego?

- Dlatego że chwilowo bardziej interesuje mnie moja praca. - Postanowiła zakończyć rozmowę. - Panie doktorze, jest pan dla mnie bardzo miły, ale tak się składa, że nie cierpię na żadnego psychicznego kaca. Ogromnie zależy mi na tym, by pozbyć się tych kłopotów, ale zapewniam pana, że są one wyłącznie natury fizycznej.

Zareagował z wdziękiem, zrywając się z miejsca i wyciągając do niej rękę.

- Cóż, skoro więc ma pani zostać pacjentką doktora Highleya, proszę pamiętać, że jestem blisko. Gdyby kiedyś poczuła pani ochotę, żeby z kimś porozmawiać o swoich sprawach, może zechce pani mnie odwiedzić.

W ciągu minionego miesiąca kilka razy przemknęła jej przez głowę niewyraźnie sformułowana myśl, że może nie byłoby źle skorzystać z jego propozycji i uzyskać profesjonalną ocenę swojego stanu psychicznego. Ostatnio ta myśl zaczęła pojawiać się znacznie częściej - szczególnie po niedawnej kolacji z Richardem.

Zmusiła się, by wrócić do rzeczywistości, wyprostowała się w fotelu i wzięła do ręki ołówek. Rękaw bluzki zsunął się do łokcia, odsłaniając zabandażowane przedramię. Ku jej zadowoleniu psychiatra o nic nie zapytał.

- Panie doktorze, jak pan wie, Vangie Lewis, pacjentka pana i doktora Highleya, zmarła w poniedziałek wieczorem.

Zauważyła, że uniósł lekko brwi. Czyżby zdziwił go brak wyraźnego stwierdzenia o popełnieniu samobójstwa?

- Podobno widział ją pan tego dnia około ósmej wieczorem. Czy to prawda?

Skinął głową.

- Przyszła dokładnie o ósmej.

- Jak długo trwała wizyta?

- Około czterdziestu minut. Zadzwoiła po południu i zapytała czy mógłbym ją przyjąć. W poniedziałki pracuję zwykle do ósmej wieczór, ale na ten dzień miałem już komplet pacjentek. Powiedziałem jej to i zaproponowałem, żeby przyszła we wtorek rano.

- Jak zareagowała?

- Rozpłakała się. Sprawiała wrażenie bardzo przygnębionej, więc zgodziłem się, żeby przyszła jeszcze tego samego dnia o ósmej.

- Dlaczego była przygnębiona, panie doktorze?

- Pokłóciła się z mężem - odparł powoli, starannie dobierając słowa. - Doszła do wniosku, że jej nie kocha i nie chce dziecka. Bardzo źle znosiła fizyczne niewygodności związane z ciążą. Pod względem psychicznym była wciąż bardzo niedojrzała - jedynaczka, niesamowicie zepsuta i rozpieszczona. Fizyczne dolegliwości budziły jej przerażenie, a w pewnej chwili przeniosła swoje obawy na sam poród.

Nieświadomie spojrział na fotel stojący na prawo od biurka. Siedziała tam w poniedziałkowy wieczór, spowita w długą, obszerną sukienkę. Choć twierdziła, że tak bardzo pragnie dziecka, nienawidziła ciążowych strojów i była zrozpaczona utratą figury. Przez ostatni miesiąc starała się ukryć powiększony brzuch i opuchnięte nogi pod sięgającymi do samej ziemi sukienkami. To prawdziwy cud, że ani razu nie potknęła się i nie przewróciła jak długa.

Katie przyglądała mu się uważnie. Ten człowiek najwyraźniej był bardzo zdenerwowany. Czyżby udzielił Vangie rady, która sprawiła, że kobieta pojechała do domu i popełniła samobójstwo? A może posłał ją prosto w ramiona zabójcy, jeśli Richarda nie myliło przeczucie? Pokłóciła się z mężem... Chris Lewis nie wspomniał ani słowem o żadnej sprzeczce.

Katie pochyliła się w stronę lekarza.

- Panie doktorze, zdaję sobie doskonale sprawę, że wolałby pan nie ujawniać szczegółów rozmowy z panią Lewis, ale w tym wypadku chodzi o oficjalne śledztwo. Musimy wiedzieć wszystko na temat kłótni między panią Lewis a jej mężem.

Wydawało mu się, że głos Katie dociera do niego z bardzo daleka. Nadal widział przed sobą przerażone, wpatrzone w niego oczy Vangie. Z najwyższym trudem wrócił myślami do rzeczywistości i spojrzał na Katie.

- Pani Lewis wyznała mi, że podejrzewa, iż jej mąż zakochał się w innej kobiecie. Powiedziała mu o tym wprost. Ostrzegła go także, że jeśli uda jej się znaleźć tę kobietę, to zamieni jej życie w piekło. Była zdenerwowana, podniecona, rozgoryczona i przerażona.

- Co pan zrobił?

- Dałem jej słowo, że zarówno przed, jak i po porodzie będzie otoczona najlepszą możliwą opieką. Powiedziałem, że wszyscy wierzymy, iż uda jej się urodzić zdrowe dziecko i że na pewno przyczyni się ono do naprawy jej małżeństwa.

- Jak na to zareagowała?

- Zaczęła się uspokajać. Ostrzegłem ją wtedy, że jeśli mimo wszystko stosunki między nią i mężem nie ulegną poprawie, będzie musiała zastanowić się nad rozwodem.

- I co ona na to?

- Ogarnęła ją wściekłość. Zaklinała się, że nigdy nie pozwoli, by mąż ją opuścił i oskarżała mnie, że jestem po jego stronie, jak wszyscy. Zerwała się z fotela i złapała płaszcz.

- Co pan wtedy zrobił, doktorze?

- Nic, bo tylko tyle mogłem zrobić. Poradziłem jej, żeby wróciła do domu, wyspała się i zadzwoniła do mnie z samego rana. Uświadomiłem sobie, że jest jeszcze za wcześnie na osvajanie ją z łatwym do przewidzenia faktem, że kapitan Chris Lewis będzie chciał od niej odejść.

- I wtedy wyszła?

- Tak. Jej samochód stał na parkingu z tyłu szpitala. Zwykle pytała, czy może skorzystać z mojego prywatnego wyjścia, żeby nie okrążyć całego budynku, ale w poniedziałek o nic nie zapytała, tylko po prostu wyszła przez te drzwi.

- Już jej pan potem nie widział?

- Nie.

- Rozumiem. - Katie wstała i podeszła do ściany zawieszonych drzeworytami. Zależało jej na tym, by doktor Fukhito nadal mówił. Czowała, że coś przed nią ukrywa. Był zdenerwowany. - Tak się składa, panie doktorze, że poniedziałkową noc spędziłam w tym szpitalu jako pacjentka. Miałam niegroźny wypadek samochodowy.

- Cieszę się, że niegroźny.

- Ja także. - Zatrzymała się przed jednym z obrazków. „Wąska dróżka w Yabu Koji Atagoshita”. - Cudowne - powiedziała. - To chyba z serii „Sto krajobrazów Yedo”, prawda?

- Tak jest. Widzę, że dysponuje pani bogatą wiedzą na temat japońskiej sztuki.

- Nie bardzo. Mój mąż był prawdziwym ekspertem. Nauczyłam się trochę od niego, a poza tym mam kilka reprodukcji z tej samej serii, ale ta jest naprawdę piękna. Nie

sądzi pan, że to interesujący pomysł, żeby przedstawić to samo miejsce na sto różnych sposobów?

Fukhito zdwoił czujność. Odwrócona plecami Katie nie mogła zobaczyć, że zacisnął usta w wąską kreskę.

Wreszcie przestała podziwiać drzeworyt i spojrzała na lekarza.

- Panie doktorze, przywieziono mnie tutaj w poniedziałek około dziesiątej wieczorem. Proszę mi powiedzieć, czy istnieje jakaś możliwość, by Vangie Lewis nie wyszła o ósmej, lecz pozostała na terenie szpitala, i bym widziała ją tutaj, kiedy umieszczono mnie półprzytomną w pokoju?

Fukhito przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, czując, jak lodowaty, lepki strach pełźnie mu w dół po kręgosłupie. Z najwyższym trudem zmusił się do uśmiechu.

- Nie widzę żadnego sposobu - odparł, ale Katie zauważyła, że zacisnął kurczowo palce na poręczach fotela, jakby musiał stoczyć ze sobą ciężką walkę, by pozostać na miejscu, a w jego oczach błysnęło coś, co mogło być zarówno wściekłością, jak i panicznym strachem.

Punktualnie o piątej Gertrude Fitzgerald przełączyła telefon na biuro przyjmowania zleceń, zamknęła biurko i nerwowo wykręciła numer Edny. Wciąż nikt się nie zgłaszał. Tak, nie można było mieć żadnych wątpliwości; ostatnio Edna piła coraz więcej. Ale jaki z niej pogodny, dobry człowiek! Dla wszystkich miała serce. Gertrude i Edna często jadały wspólnie lunch, zazwyczaj w szpitalnej kafeterii. Czasem Edna mówiła: „Chodźmy gdzieś i zjedźmy coś przyzwoitego”. Oznaczało to, że chce pójść do pobliskiego pubu, gdzie mogła zamówić Manhattan. W takie dni Gertrude starała się zrobić wszystko, by jej przyjaciółka poprzestała na jednym drinku. „Wieczorem zrobisz sobie, ile zechcesz”, powtarzała jej.

Gertrude doskonale rozumiała, skąd się brała potrzeba Edny. Sama nie piła, ale dobrze знаła to puste, palące uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi, który codziennie chodzi do pracy, a potem wraca do domu i gapi się na cztery ściany. Czasem śmiały się wspólnie z artykułów, których autorzy zalecali praktykowanie yogi, naukę gry w tenisa, wstąpienie do klubu obserwatorów ptaków lub zapisanie się na jakiś kurs. Edna mawiała przy takich okazjach: „Mam tak tłuste nogi, że na pewno nie udałoby mi się usiąść w pozycji kwiatu lotosu. Choćbym nie wiadomo jak się starała, nie uda mi się dotknąć ziemi bez zginania kolan. Jestem uczulona na ptaki, a pod koniec dnia jestem zbyt zmęczona, żeby przejmować się losami starożytnych Greków. Żałuję tylko, że gdzieś po drodze nie spotkałam jakiegoś miłego gościa, który wpadałby czasem do mnie na noc. Nie przeszkadzałoby mi nawet, gdyby chrapał jak hipopotam”.

Gertrude od siedmiu lat była wdową, ale przynajmniej miała dzieci i wnuki - ludzi, którzy interesowali się jej losem, zadzwonili od czasu do czasu, nieraz wpadli pożyczyć parę dolarów, jednym słowem: potrzebowali jej. Oczywiście ona

także często czuła się bardzo samotna, ale było to coś zupełnie innego niż w wypadku Edny. Liczyła sobie sześćdziesiąt dwa lata, cieszyła się dobrym zdrowiem i na szczęście miała co wspominać.

Była gotowa przysiąc, że doktor Highley zorientował się o co chodzi, kiedy powiedziała mu, że Edna źle się poczuła i poprosiła o wolny dzień. Ale przecież Edna sama przyznała, że doktor wiedział o jej problemie i udzielił jej poważnego ostrzeżenia, ona zaś potrzebowała tej pracy. Na opiekę nad umierającymi rodzicami wydała wszystkie oszczędności do ostatniego centa. Jednak nigdy się nie skarżyła; wręcz przeciwnie, wciąż nie mogła przeboleć ich śmierci. Bardzo za nimi tęskniła.

A jeśli tym razem nie chodziło o picie? Jeśli Edna zachorowała albo przytrafiło jej się coś złego? Na myśl o tym Gertrude wciągnęła ze świstem powietrze. Nie ma rady: będzie musiała to sprawdzić. Pojedzie do niej prosto ze szpitala. Jeśli przekona się, że Edna pije, zmusi ją, by przestała i doprowadzi ją do przytomności. Jeżeli zachorowała, zaopiekuje się nią.

Podjąwszy tę decyzję Gertrude szybko wstała z biurka. Aha, jeszcze jedno: ta Katie DeMaio z biura prokuratora okręgowego. Była bardzo miła, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że bardzo jej zależało na tym, by porozmawiać z Edną. Na pewno jutro zadzwoni do niej. Czego chciała? Co Edna mogła powiedzieć jej o pani Lewis?

Był to bardzo intrygujący problem, który nie dawał Gertrude spokoju przez całą sześciomilową drogę do domu Edny. Jednak kiedy wjechała na teren osiedla i zatrzymała samochód na parkingu dla gości, ani trochę nie zbliżyła się do rozwiązania.

W mieszkaniu Edny paliło się światło. Pomimo zaciągniętych rolet widać było wyraźnie, że świeci się w

salonie i kuchni. Kiedy Gertrude stanęła przed drzwiami, do jej uszu dobiegł przytłumiony szmer głosów. Telewizor, jakże by inaczej.

Przez chwilę dała się ogarnąć irytacji. Naprawdę rozłości się wtedy, jeśli okaże się, że Edna siedzi wygodnie w fotelu i nie raczy nawet podejść do telefonu. Ona, Gertrude, zastąpiła ją w pracy, nikomu nie powiedziała o jej nieobecności, a teraz nadłożyła kilka mil tylko po to, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

Nacisnęła guzik przy drzwiach. Rozległ się podwójny dźwięk gongu. Choć wyteżęła słuch ze wszystkich sił, do jej uszu nie dotarł znajomy tupot szybkich kroków ani głos oznajmiający: „Zaraz otwieram”. Może Edna pobiegła do łazienki, by wypłukać usta. Obawiała się, że któryś z lekarzy może pojawić się zniienacka z jakąś pilną robotą. Zdarzyło się to już kilka razy. Właśnie w taki sposób doktor Highley dowiedział się o jej problemie.

Jednak czas upływał, a z wnętrza mieszkania nadal dobiegał jedynie szmer włączonego telewizora. Gertrude zadrżała z zimna i ponownie nacisnęła guzik. Być może Edna po prostu odsypia pijaństwo. Boże, jaka paskudna pogoda! Marzyła wyłącznie o tym, by jak najprędzej znaleźć się w domu.

Jednak kiedy zadzwoniła po raz czwarty i nadal nie uzyskała odpowiedzi, irytacja ustąpiła miejsca narastającemu niepokojowi. Stojąc tutaj i naciskając ten przeklęty guzik, niczego nie osiągnie. Musi jak najprędzej dostać się do środka. Dozorca, pan Krupshak, mieszkał naprzeciwko. Gertrude opowiedziała mu całą historię. Dozorca sprawiał wrażenie nieco zniecierpliwionego, gdyż na stole czekała gorąca kolacja, ale jego żona Gana natychmiast sięgnęła po wiszący na gwoździu nad zlewozmywakiem pęk kluczy.

- Pójdę z panią - oświadczyła.

Dwie kobiety przemknęły na drugą stronę podwórza.

- Edna to prawdziwa przyjaciółka - powiedziała Gana Krupshak. - Czasem wpadam do niej wieczorem na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Mój mąż nie uznaje żadnego alkoholu, nawet wina. Wczoraj byłam u niej o ósmej. Poczęstowała mnie Manhattanem i opowiedziała o swojej ulubionej pacjentce, która popełniła samobójstwo. No, już jesteśmy.

Kobiety wbiegły na mały ganek. Żona dozorca zaczęła grzebać w pęku kluczy.

- To ten - mruknęła po chwili, włożyła klucz do zamka i przekręciła. - Zamek jest trochę zepsuty. Trzeba poruszyć kluczem, żeby go otworzyć.

Nacisnęła kłamkę i pchnęła drzwi.

Gertrude i Gana Krupshak zobaczyły Ednę niemal jednocześnie. Leżała na podłodze z podwiniętymi nogami, w rozpiętym szlafroku odsłaniającym flanelową koszulę nocną, z siwiejącymi włosami przyklejonymi do czoła i zakrzepłą krwią tworzącą szkarłatną koronę na szczycie głowy.

- Nie... Nie!

Gertrude usłyszała swój dziwnie zmieniony, piskliwy głos i z przerażeniem stwierdziła, że nie może nad nim zapanować. Rozpaczliwie zatkała sobie usta dłonią.

- Przecież byłam tu u niej jeszcze wczoraj wieczorem... - wyszeptała z niedowierzaniem żona dozorca. - Była bardzo przygnębiona...

- Głos załamał jej się na chwilę. - Wie pani, co mam na myśli. Opowiadała mi o pacjentce, która popełniła samobójstwo. Potem zadzwoniła do męża tej kobiety... A teraz biedna Edna też nie żyje! - dokończyła Gana i wybuchnęła płaczem.

Chris Lewis stał u boku rodziców Vangie po prawej stronie trumny, w lekkim otepieniu wysłuchując współczujących mamrotów przyjaciół. Kiedy zadzwonił do teściów, by zawiadomić ich o śmierci żony, uzgodnili, że najpierw oboje zobaczą jej ciało, a nazajutrz rano odbędzie się ceremonia pogrzebowa z udziałem tylko najbliższej rodziny.

Tymczasem kiedy dziś po południu przyleciał do Minneapolis, okazało się, że wieczorem ma nastąpić wystawienie zwłok, jutro natomiast za karawanem wiozącym ciało Vangie pojedzie cały orszak żałobny.

- Tak wielu przyjaciół będzie chciało pożegnać naszą dziewczynkę - wyszłochała matka. - I pomyśleć tylko, że jeszcze przedwczoraj była wśród nas, a teraz odeszła już na zawsze.

Czyżby to naprawdę była dopiero środa? Chris miał nieodparte wrażenie, że od chwili, kiedy wczoraj rano znalazł się w samym środku trudnego do wyobrażenia koszmaru, minęło co najmniej kilka tygodni. Nie, to jednak naprawdę zdarzyło się wczoraj rano.

- Prawda, jak ślicznie wygląda nasze dziecko? - zapytała matka jednego z gości, który właśnie zatrzymał się przed trumną.

„Nasza dziewczynka”. „Nasze dziecko”. Wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej, gdybyście tylko dali jej szansę dorosnąć - pomyślał Chris. Nie okazywali mu otwarcie wrogości, ale wyczuwał ją bez trudu, ukrytą pod cienką warstwą chłodu i gotową w każdej chwili wypłynąć na powierzchnię.

- Szczęśliwa dziewczyna nie popełnia samobójstwa - powiedziała jej matka oskarżycielskim tonem.

Oboje wyglądali na starych, zmęczonych i zdruzgotanych nieszczęściem - dwoje prostych, ciężko pracujących ludzi,

którzy odmawiali sobie wszystkiego, byle tylko otoczyć luksusem nieoczekiwanie piękną córkę i którzy wychowali ją w przeświadczeniu, że każde jej życzenie jest dla wszystkich prawem.

Czy byłoby im łatwiej, gdyby się okazało, że ktoś odebrał jej życie przemocą? A może nie powinien nic mówić, by oszczędzić im jeszcze większej rozpacz? Matka już teraz starała się znaleźć pocieszenie, tworząc mit, który mogła przynajmniej częściowo zaakceptować.

- Chris wyjechał w daleką podróż, a moja dziewczynka źle się poczuła, napiła się czegoś i zasnęła na zawsze.

Mój Boże, jak ludzie potrafią naginać prawdę do własnych potrzeb - pomyślał. Bardzo chciał porozmawiać z Joan. Była tak wstrząśnięta wiadomością o śmierci Vangie, że prawie nie mogła mówić.

- Czy ona wiedziała o nas?

Musiał wreszcie przyznać, że nawet jeśli nie wiedziała, to na pewno podejrzewała.

Joan powinna wrócić z Florydy w piątek wieczorem. Chris postanowił, że poleci do New Jersey jutro po południu, zaraz po pogrzebie. Nie powie nic policji, dopóki nie porozmawia z Joan. Musi ją ostrzec, że może zostać wplątana w tę sprawę. Policja z pewnością będzie szukać motywu, dla którego mógłby zamordować Vangie. W ich oczach takim motywem będzie właśnie Joan.

Czy miał prawo wciągać ją w to i wyciągać na światło dzienne coś, co sprawi rodzicom Vangie jeszcze więcej bólu?

Czy w życiu Vangie był ktoś jeszcze? Chris zerknął na trumnę, na spokojną twarz żony, na jej złożone ręce. Przez ostatnie lata nie byli dla siebie mężem i żoną. Kładli się wieczorem do łóżka jak dwoje zupełnie obcych ludzi - on wyczerpany emocjonalnie ciągłymi kłótniami, ona domagająca się bezustannej opieki i niańczenia.

Zaproponował nawet, by przenieśli się do oddzielnych sypialni, ale zareagowała na to wybuchem hysterii.

Zaszła w ciążę dwa miesiące po przeprowadzce do New Jersey. Zgodził się, by podjąć jeszcze jedną próbę uratowania ich małżeństwa, i naprawdę starał się ze wszystkich sił, lecz bez większych rezultatów. W sierpniu już prawie nie odzywali się do siebie. Spali ze sobą tylko raz, mniej więcej w połowie miesiąca. Co za ironia losu, że po dziesięciu latach zaszła w ciążę akurat teraz, kiedy spotkał kogoś innego!

Podejrzanie, które do tej pory kryło się głęboko w zakamarkach jego podświadomości, wreszcie utorowało sobie drogę na powierzchnię. Czy to możliwe, by Vangie związała się z innym mężczyzną, z kimś, kto nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności ani za nią, ani za dziecko? Może postawiła mu ultimatum? Groziła przecież nieraz, że gdyby tylko dowiedziała się, z kim on się spotyka, uczyniłaby życie tej kobiety piekłem. Przypuśćmy, że wplątała się w jakąś historię z żonatym mężczyzną i zaczęła zasypywać go histerycznymi groźbami...

Z trudem uświadomił sobie, że przez cały czas ścisną dłonie, mamrocze podziękowania i spogląda na znajome twarze, właściwie ich nie widząc. Sąsiedzi z osiedla, na którym mieszkał z Vangie przed przeprowadzką do New Jersey, przyjaciele z pracy, znajomi rodziców Van - gie. Jego rodzice, oboje na emeryturze, mieszkali w Północnej Karolinie. Żadne z nich nie czuło się zbyt dobrze. Nakłonił ich, by przy tak złej pogodzie zrezygnowali z długiej podróży do Minneapolis.

- Ogromnie mi przykro. - Mężczyzna, który teraz ścisnął mu rękę, miał sześćdziesiąt kilka lat. Był może odrobinę zbyt otyły, lecz mimo to dość przystojny. Miał siwe włosy i krzaczaste brwi, spod których spoglądały bystre, przenikliwe oczy. - Jestem doktor Salem - przedstawił się. - Emmet Salem.

Pomagałem Vangie przyjść na świat i byłem jej pierwszym ginekologiem. Nigdy nie widziałem tak ładnego dziecka jak ona. Potem wcale się nie zmieniła. Bardzo żałuję, że nie było mnie w gabinecie, kiedy zadzwoniła do mnie w poniedziałek.

Chris spojrział na niego ze zdumieniem.

- Vangie dzwoniła do pana w poniedziałek?

- Tak. Pielęgniarka odniosła wrażenie, że jest bardzo zdenerwowana. Chciała zobaczyć się ze mną jak najprędzej. Akurat wtedy miałem seminarium w Detroit, ale pielęgniarka zapisała ją na dzisiaj. Z tego co wiem, chciała przylecieć do Minneapolis już wczoraj. Kto wie, może udałoby mi się jej pomóc.

Dlaczego Vangie telefonowała do tego człowieka? Dlaczego? Przecież to nie ma żadnego sensu! Czemu miałyby zwracać się do kogoś, kogo nie widziała od tylu lat? Nie czuła się najlepiej, ale jeśli chciała zasięgnąć porady, to dlaczego wybrała akurat lekarza mieszkającego w odległości dwóch tysięcy kilometrów?

- Czy Vangie była chora? - zapytał doktor Salem, przypatrując mu się uważnie.

- Nie, nie była chora - odparł Chris. - Jak pan zapewne wie, spodziewała się dziecka. Od samego początku to była trudna ciąża.

- Co takiego? - zapytał podniesionym głosem lekarz, unosząc ze zdumieniem brwi.

- Tak, wiem. Prawie już straciła nadzieję, ale w New Jersey dowiedziała się o Koncepcji Macierzyństwa Westlake. Może pan o tym słyszał. To pomysł doktora Highleya, Edgara Highleya.

- Kapitanie Lewis, czy mogę poprosić pana na chwilę? Właściciel zakładu pogrzebowego ujął go pod ramię i nie czekając na odpowiedź, pociągnął za sobą do biura mieszczącego się po drugiej stronie korytarza.

- Przepraszam pana - powiedział Chris do doktora Salema. Zdziwiony nagłą ingerencją właściciela zakładu pozwolił, by ten wprowadził go do swego gabinetu i zamknął drzwi.

- Przed chwilą telefonowano do mnie z biura prokuratora okręgu Valley w New Jersey - poinformował Chrisa. - Pisemne potwierdzenie jest już w drodze. Nie wolno nam zajmować się ciałem pańskiej żony. Jutro zaraz po uroczystościach w domu pogrzebowym trumna ze zwłokami ma zostać odesłana do New Jersey.

Już wiedzą, że to nie było samobójstwo - pomyślał Chris. Już wiedzą. Nie mógł na to nic poradzić. Jak tylko porozmawia z Joan w piątek wieczorem, powie prokuratorowi o swoich podejrzeniach.

Bez słowa odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Koniecznie musiał zamienić jeszcze przynajmniej kilka słów z doktorem Salemem i dowiedzieć się, co Vangie powiedziała w poniedziałek pielęgniarce.

Jednak kiedy wszedł do sali okazało się, że doktor Salem poszedł już do domu. Zniknął, nie zamieniwszy nawet słowa z rodzicami zmarłej. Matka Vangie otarła opuchnięte oczy zmiętą chusteczką.

- Co powiedziałaś doktorowi, że wyszedł tak nagle? - zapytała. - Dlaczego tak go zdenerwowałaś?

W środę wieczorem wrócił do domu o szóstej. Hilda właśnie zbierała się do wyjścia. Jej twarz o prostych, zwyczajnych rysach była zupełnie obojętna. Zawsze traktował służącą dość protekcjonalnie, gdyż wiedział, że kobieta lubi swoją pracę i zrobi wszystko, żeby ją utrzymać. Co w tym dziwnego? Zajmowała się domem, w którym nikt nie brudził, w którym nie było pani, która wiecznie wydawałaby polecenia, ani dzieci bałaganiących po kątach. Ani dzieci.

Wszedł do biblioteki, nalał sobie szklaneczkę szkockiej i ponuro spoglądał przez okno na szerokie plecy Hildy idącej w kierunku odległego o dwie przecznice przystanku autobusowego.

Zajął się medycyną, ponieważ jego matka umarła przy porodzie. Przy jego porodzie. Przez wiele lat słuchał tej samej historii opowiedanej przez nieśmiałego, bojaźliwego człowieka, który był jego ojcem.

- Twoja matka bardzo pragnęła cię urodzić. Wiedziała, że ryzykuje życie, ale nie przywiązywała do tego żadnej wagi.

Siedział w aptece w Brighton, przyglądał się ojcu przygotowującemu lekarstwa, zadawał nie kończące się pytania:

- Co to jest? Jak działają te pastylki? Dlaczego naklejasz na te buteleczki kartki z ostrzeżeniem?

Fascynowały go informacje, których tak chętnie udzielał mu ojciec; na ten temat mógł mówić bez przerwy, gdyż był to jedyny świat, jaki znał.

Poszedł na studia medyczne i ukończył je jako jeden z najlepszych na roku. Otrzymał propozycje ze znanych szpitali w Londynie i Glasgow, lecz zdecydował się na odbycie stażu w szpitalu Jezusa Chrystusa w Devon, ponieważ było tam wspaniale wyposażone laboratorium. Dzięki temu mógł rozwijać umiejętności praktyczne, jednocześnie prowadząc

badania naukowe. Po stażu został zaangażowany na stałe, a jego sława znakomitego położnika zataczała coraz szersze kręgi.

Nie mógł przystąpić do realizacji swojego planu, gdyż nie miał możliwości, by go przetestować.

W wieku dwudziestu siedmiu lat ożenił się z Claire, daleką kuzynką hrabiego Sussex; górowała nad nim pochodzeniem i obyciem towarzyskim, lecz jego reputacja oraz perspektywa błyskotliwej kariery niwelowała różnicę.

Cóż za okrutna ironia losu! On, który pomagał dzieciom przychodzić na świat, poślubił bezpłodną kobietę. On, który codziennie spoglądał na zdjęcia dzieci, które bez niego nie mogłyby się urodzić, nie miał żadnych szans na to, by zostać ojcem.

Kiedy zaczął nienawidzić Claire? Po długim czasie. Po siedmiu latach.

Znienawidził ją wtedy, kiedy przekonał się, że ona wcale się tym nie przejmuje. Nigdy się nie zajmowała. Jej rozczarowanie było udawane. Wiedziała już przed ślubem, że nie będzie mogła dać mu dziecka.

Zniecierpliwiony odwrócił się od okna. Zapowiadała się kolejna zimna, wietrzna noc. Dlaczego luty, najkrótszy miesiąc w roku, zawsze wydawał się najdłuższy? Kiedy będzie już po wszystkim, wybierze się na wakacje. Ostatnio stawał się coraz bardziej nerwowy i coraz częściej tracił nad sobą kontrolę.

Niewiele brakowało, a zdradziłby się dziś rano, kiedy Gertrude powiedziała mu, że Edna zadzwoniła z informacją, że jest chora. Zacisnął dłonie na krawędzi biurka, aż zbieleły mu palce. Dopiero po chwili przypomniał sobie: zanikający puls, puste oczy, rozluźnione mięśnie. Gertrude starała się pomóc przyjaciółce. Gertrude kłamała.

Zmarszczył brwi i odparł lodowatym tonem:

- To bardzo źle, że nie przyszła do pracy. Spodziewam się zobaczyć ją jutro na jej miejscu.

Podziałało. Poznał to natychmiast; nerwowo oblizwała usta i szybko odwróciła wzrok. Uwierzyła, że rozwścieczyła go nieobecność Edny. Prawdopodobnie wiedziała o jego ostrzeżeniu dotyczącym picia alkoholu.

Gertrude mogła jeszcze stać się jego sprzymierzeńcem.

POLICJA: Jak doktor zareagował, kiedy powiedziała mu pani, że panna Burns została w domu?

GERTRUDE: Ogromnie się rozgniewał. Jest bardzo metodyczny. Nie lubi niczego, co zakłóca normalny rytm pracy.

Brakujący mokasyn. Dziś zjawił się w szpitalu o świcie i ponownie przeszukał parking oraz gabinet. Czy w poniedziałek wieczorem Van - gie miała na nogach oba pantofle? Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma co do tego żadnej pewności. Przecież była wtedy w długiej sukience i zimowym płaszczu, opiętym ciasno na wystającym brzuchu.

Uniosła skraj sukienki, by pokazać mu opuchniętą nogę, i wtedy dostrzegł mokasyn na prawej stopie. Drugiego buta nie widział ani przez chwilę. Miała go, czy nie? Po prostu nie wiedział.

Jeśli zsunął się ze stopy wtedy, kiedy przenosił ciało do samochodu, to z pewnością ktoś go znalazł. Może któryś ze sprzątaczy. Pacjenci często zgłaszali się do szpitala z wyładowanymi po brzegi torbami na zakupy, pełnymi rzeczy, o których przypomnieli sobie w ostatniej chwili lub które nie zmieściły im się do walizki, i gubili je po drodze z parkingu do pokoju. Zapytał w recepcji, ale nikt nie przyniósł żadnego obuwia. Rozdeptany mokasyn mógł po prostu zostać wyrzucony do śmieci.

Przypomniawszy sobie, jak wyjmował ciało Vangie z bagażnika i niósł je przez garaż do jej domu. Wzdłuż ściany

stało mnóstwo narzędzi ogrodniczych. Czy to możliwe, żeby zbyt luźny pantofel zahaczył o jakiś wystający uchwyt lub drążek? Gdyby policja znalazła go na półce w garażu, byłby to powód do zadawania wielu nowych pytań.

Jeśli wyszła z gabinetu Fukhito bez jednego pantofla, powinna mieć zupełnie mokrą lewą stopę, wtedy jednak z pewnością zwróciłby na to uwagę, kładąc ją na łóżku.

Przerażenie, jakie poczuł w chwili, kiedy przekonał się, że cały czas ma przy sobie prawy mokasyn, ten sam, który z takim trudem ściągnął z opuchniętej stopy kobiety, wytrąciło go zupełnie z równowagi. Okazał się kompletnym głupcem - i to po tym, jak zdecydował się podjąć to szalone ryzyko.

Prawy pantofel leżał w jego torbie w bagażniku samochodu. Nie był pewien, czy powinien się go pozbyć; wciąż miał nadzieję, że uda mu się odnaleźć brakujący, drugi but.

Nawet gdyby policja wszczęła intensywne śledztwo, nie natrafią na żadne dowody, które mogłyby skierować podejrzenia przeciwko niemu. Karta Vangie znajdująca się w gabinecie mogła oprzeć się nawet najbardziej drobiazkowej, profesjonalnej analizie, natomiast prawdziwe dane na jej temat, podobnie jak wszystkie prawdziwe dane dotyczące każdego z nadzwyczajnych przypadków, spoczywały bezpiecznie w sejfie w jego domu. Tego sejfu nie było w planach budynku, gdyż został zainstalowany na osobiste polecenie doktora Westlake'a. O jego istnieniu wiedziała tylko Winifred.

Nikt nie miał powodów, by go podejrzewać - nikt z wyjątkiem Katie DeMaio. Miała zamiar powiedzieć mu coś, kiedy wspomniał o widoku z okna szpitalnego pokoju, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

Kiedy szykował się już do wyjścia, przyszedł do niego Fukhito. Był zdenerwowany.

- Pani DeMaio zadawała mnóstwo pytań - powiedział. -
Czyżby nie uwierzyli, że pani Lewis popełniła samobójstwo?

- Nie mam pojęcia.

Niepokój Fukhito bawił go tym bardziej, że doskonale znał jego przyczynę.

- Ten wywiad, którego udzieliłeś „Newsmakerowi”... Ma się chyba ukazać już jutro, nieprawdaż?

Obrzucił Japończyka pogardliwym spojrzeniem.

- Owszem. Ale mogę cię zapewnić, iż dałem wyraźnie do zrozumienia, że korzystam z usług wielu konsultantów. Ani razu nie wymieniłem twojego nazwiska.

Fukhito bynajmniej się nie odprężył.

- Ale w ten sposób zwrócisz uwagę na szpital, na nas! -
poskarżył się.

- Czyli na ciebie. Czy to właśnie chciałeś powiedzieć, doktorze? O mało nie parsknął śmiechem na widok niepewnej miny kolegi. Teraz, wysączywszy ostatnie krople szkockiej, uświadomił sobie, że pozostała mu jeszcze jedna, awaryjna droga ucieczki. Gdyby policja doszła do wniosku, że Vangie została zamordowana, gdyby rzeczywiście zaczęto się dokładnie przyglądać działalności szpitala Westlake, to wtedy wystarczy niechętnie zasugerować, by przesłuchali doktora Fukhito, szczególnie dużo uwagi poświęcając jego przeszłości. Bądź co bądź był on ostatnim człowiekiem, który widział żywą Vangie Lewis.

Po rozmowie z doktorem Fukhito Katie przeszła do wschodniego skrzydła szpitala, by poddać się transfuzji. Otrzymała ją za parawanem w pobliżu izby przyjęć. Leżąc na łóżku z podwiniętym rękawem i igłą wbitą w przedramię, próbowała zrekonstruować wydarzenia poniedziałkowego wieczoru, kiedy przywieziono ją tutaj po wypadku.

Wydawało jej się, że była w tym samym pomieszczeniu, ale nie miała co do tego żadnej pewności.

Za parawan zajrzał lekarz, który zszywał ją rano.

- Witam. Wydawało mi się, że mignęła mi pani w korytarzu. O, widzę, że doktor Highley zlecił jeszcze jedną transfuzję. Mam nadzieję, że zatroszczy się pani o ilość swoich krwinek.

- Właśnie to robię. Jestem pod opieką doktora Highleya.

- To świetnie. Spójrzmy na pani ramię. - Odwinął bandaż.

- Dobra robota, nie mam się czego wstydzić. Nie zostanie nawet blizna, którą mogłaby pani pokazywać wnukom.

- O ile będę je miała - odparła Katie. - Doktorze, czy w poniedziałek leżałam na tym samym łóżku?

- Tak, położyliśmy tu panią zaraz po prześwietleniu. Nie pamięta pani?

- Jak przez mgłę.

- Straciła pani sporo krwi i była pani w szoku.

- Rozumiem.

Po transfuzji przypomniała sobie, że doktor Highley zakazał jej przez dwadzieścia minut siadać za kierownicą. Postanowiła wykorzystać ten czas na wypełnienie szpitalnych formularzy. Dzięki temu w piątek wieczorem nie będzie musiała zwracać sobie tym głowy.

Kiedy wyszła ze szpitala, była już prawie szósta. Uruchomiła silnik i odruchowo skrzyła w kierunku Chapin River. Bez sensu - pomyślała. Przecież jutro wieczorem jesteś

zaproszona do Molly i Billa na kolację. Oszczędź im dzisiaj swego towarzystwa.

Wykonała szeroki skręt o 180 stopni i pojechała w kierunku autostrady prowadzącej ku wysokiemu brzegowi rzeki Hudson. Była głodna, a nie bardzo chciało jej się wracać do domu. Jaki to poeta wychwalał zalety samotności, by zakończyć wiersz słowami: „Ale nie wracaj samotnie do domu, gdy wieczór się zbliża, bo co zrobisz, jeśli nikt nie będzie tam na ciebie czekał”?

Cóż, jej udało się chyba poradzić z samotnością. Nauczyła się lubić wieczory spędzane na lekturze przy dyskretnych dźwiękach muzyki z gramofonu.

Uczucie pustki, które pojawiło się niedawno, było czymś zupełnie nowym.

Przejeżdżając obok restauracji, w której była z Richardem poprzedniego wieczoru, tknięta nagłym impulsem zwolniła i skręciła na parking. Dziś spróbuje innej specjalności zakładu: entrecote. Może w ciepłym, przytulnym, cichym wnętrzu uda jej się wreszcie spokojnie pomyśleć.

Na jej widok właściciel pokraśniał z zadowolenia.

- Dobry wieczór pani. Co prawda doktor Carroll nie zarezerwował miejsca, ale akurat mam wolny stolik przy kominku. Zapewne parkuje samochód?

Potrząsnęła głową.

- Niestety, dziś jestem sama.

Właściciel przez chwilę nie bardzo wiedział, jak zareagować, ale szybko odzyskał rezon.

- W takim razie wygląda na to, że zyskaliśmy nowego, pięknego przyjaciela.

Zaprowadził ją do stolika sąsiadującego z tym, przy którym poprzedniego dnia siedziała z Richardem.

Przyjąwszy zaproponowany kieliszek wina, Katie oparła się wygodnie na krześle i poczuła, że odpręży się dokładnie w

taki sam sposób jak wczoraj. Gdyby tylko udało jej się zebrać myśli i przeanalizować wrażenia, jakich doznała podczas rozmów z doktorem Highleyem i doktorem Fukhito...

Wyjęła notes, w którym zapisywała swoje spostrzeżenia. Najpierw doktor Highley. Oczekiwała, że będzie starał się wytłumaczyć lub usprawiedliwić fakt, że ciąża Vangie Lewis miała tak niepokojący przebieg. Zrobił to, i to w całkowicie przekonujący sposób. Walczył o każdy dzień, bo każdy dzień zwiększał szanse dziecka na przeżycie. Raczej mówił prawdę, opowiadając o reakcji Vangie na wiadomość o możliwości przyspieszenia porodu. Katie dobrze pamiętała opowieść Molly o ataku hysterii po oparzeniu palca.

W takim razie, co dalej? Czego jeszcze chciała od doktora Highleya? Przyszedł jej na myśl doktor Wainwright, onkolog z Nowego Jorku, który opiekował się Johnem. Po śmierci Johna powiedział jej głosem pełnym bólu:

- Chcę, by pani wiedziała, że uczyniliśmy wszystko co możliwe, żeby go uratować. Niczego nie zaniedbaliśmy, ale czasem Bóg bierze sprawy w swoje ręce.

Doktor Highley wyraził żal z powodu śmierci Vangie, ale z pewnością nie głęboki smutek. Jednak z drugiej strony, przecież musiał zachować obiektywizm. Katie słyszała kiedyś rozmowę Billa i Richarda o tym, że wykonując zawód lekarza, koniecznie trzeba zachować obiektywizm, gdyż w przeciwnym razie jest się wiecznie rozdartym i do niczego.

Richard. Jej wzrok mimowolnie powędrował ku stolikowi, przy którym z nim siedziała. Powiedział wtedy: „Oboje wiemy, że dobrze nam ze sobą”. Miał rację. Rzeczywiście, wiedziała o tym. Może właśnie dlatego w jego towarzystwie odczuwała zwykle dziwny niepokój, jakby obawiając się, że inicjatywa wymknie się jej z rąk. Czy coś takiego może zdarzyć się dwa razy w życiu? Coś takiego, że od samego

początku wiesz na pewno, że ktoś albo coś jest właśnie takie, jakie powinno być.

Kiedy wczoraj wychodzili od Kennedych, Molly zaprosiła ich na kolację we czwartek, czyli jutro.

- Przyjdą też Liz i Jim Berkeley - powiedziała. - To ta, która uważa doktora Highleya za Boga. Myślę, że chcielibyście z nią porozmawiać.

Katie dopiero teraz zdała sobie sprawę, z jak wielką niecierpliwością czeka na tę kolację.

Ponownie zerknęła do notatek. Doktor Fukhito. Coś z nim było nie tak. Odniosła wrażenie, iż opowiadając o poniedziałkowej wizycie Vangie, starannie ważył każde słowo. Przypominał człowieka idącego powoli przez pole minowe. Czego się obawiał? Oprócz tego, że mogło mu zależeć na zachowaniu tajemnicy lekarskiej, najwyraźniej bał się, że powie coś, co ściągnie mu na głowę jakieś nieprzyjemności. A potem, kiedy zasugerowała, że Vangie mogła jeszcze być w szpitalu o dziesiątej wieczorem, kiedy ją, Katie, przywieziono po wypadku, zareagował z nie ukrywaną wrogością.

A jeśli naprawdę widziała wtedy Vangie, która wychodziła z gabinetu lub szła przez parking? To by wyjaśniało, dlaczego później ujrzała jej twarz w tym bezsensownym koszmarze.

Doktor Fukhito powiedział, że Vangie opuściła gabinet tylnym wyjściem.

Nikt jej nie widział.

Jeżeli jednak nie wyszła? Przypuśćmy, że została w gabinecie. Przypuśćmy, że Fukhito wyszedł z nią lub pojechał za nią do domu. Przypuśćmy, że uświadomił sobie, iż kobieta może popełnić samobójstwo, za które byłby w pewnym stopniu odpowiedzialny...

W takim przypadku z pewnością miałyby powody do zdenerwowania.

Kiedy zjawił się kelner, by przyjąć zamówienie, Katie zapisała szybko jeszcze jedno zdanie: Sprawdzić przeszłość doktora Fukhito.

W środę wieczorem, jeszcze zanim przejechał przez most Waszyngtona i skręcił we Franklin Delano Roosevelt Drive, Richard uświadomił sobie, że powinien był odwołać spotkanie z Clovis. Bez przerwy myślał o śmierci Vangie Lewis; podświadomość podpowiadała mu, że podczas sekcji zwłok pominął coś niezmiernie ważnego, coś, czym powinien zająć się znacznie dokładniej. Co to mogło być?

Poza tym, martwił się o Katie. Wczoraj wieczorem wyglądała bardzo niezdrowo. Była okropnie blada. Dopiero po wypiciu kilku kieliszków wina jej policzki nabrały nieco żywszych rumieńców.

Nie ulegało wątpliwości, że Katie była chora. Jako lekarz powinien był stwierdzić to znacznie wcześniej.

Ten wypadek... Czy została dokładnie zbadana? A może doznała poważniejszych obrażeń, niż ktokolwiek przypuszczał? Rozważając tę niepokojącą możliwość, skręcił w 53 Ulicę i zatrzymał samochód za najbliższą przecznicą, przed domem, w którym mieszkała Clovis.

Przygotowała dzbanek bardzo wytrawnego martini oraz półmisek z dopiero co wyjętymi z piecyka pikantnymi ciasteczkami nadziewanymi mięsem krabów. Clovis miała nieskazitelną jasną cerę, szczupłą sylwetkę i przypominała mu młodą Ingrid Bergmann. Do niedawna chodziła mu po głowie myśl, że być może zostaną ze sobą na dłużej Clovis była inteligentna, interesująca i obdarzona miłym usposobieniem.

Jednak oddając jej pocałunek ze stuprocentowo uczciwym zaangażowaniem, zrozumiał, że nigdy nie martwiłby się o nią tak, jak teraz martwił się o Katie DeMaio.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Clovis coś do niego mówi.

- ...dopiero dziesięć minut temu. Próba strasznie się przeciągnęła, bo było mnóstwo poprawek. Przygotowałam

szybko drinki i ciasteczka, żebyś miał czym się zająć, kiedy będę się przebierała. Hej, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Richard przyjął szklaneczkę z alkoholem i uśmiechnął się przepaszająco.

- Wybacz mi. Zajmuję się sprawą, która nie daje mi spokoju. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli wykonam kilka telefonów?

- Skądże znowu - odparła Govis. - Dzwon, ile dusza zapragnie. Wzięła swoją szklaneczkę i wyszła do holu wiodącego do łazienki i sypialni.

Richard wyjął z portfela kartę kredytową, po czym wykręcił numer centrali. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby dzwonić na rachunek jednej kobiety do drugiej, która interesowała go co najmniej tak samo jak pierwsza. Podał telefonistce numer karty, a kiedy uzyskał połączenie, odczekał do dziesiątego lub dwunastego dzwonka, lecz bez rezultatu. Katie nie było w domu.

Potem zadzwonił do Molly, przypuszczając, że Katie wpadła tam na chwilę. Okazało się jednak, że Molly w ogóle z nią dzisiaj nie rozmawiała.

- Szczerze mówiąc, wcale jej się dzisiaj nie spodziewałam. Przecież oboje przychodzicie jutro na kolację. Bądź tak dobry i nie zapomnij o tym. Na pewno zadzwoni do mnie później. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby była już w domu. Nie powinna się tym tak bardzo przejmować.

Czekał właśnie na taki pretekst.

- Molly, co się z nią właściwie dzieje? - zapytał. - Jest na coś chora, prawda? Na coś, co nie ma żadnego związku z wypadkiem?

Molly zawahała się.

- Myślę, że tylko ona może ci o tym powiedzieć. Oblał go lodowaty strach.

- Molly, ja muszę wiedzieć! Co jej jest?

- Och, nic wielkiego - odparła pośpiesznie. - Daję ci słowo honoru. Tyle tylko, że nie chciała tego rozgłaszać. I tak powiedziałam już więcej, niż powinnam. Do zobaczenia jutro.

Połączenie zostało przerwane. Richard zmarszczył brwi. Odkładał już słuchawkę, ale tknięty nagłym impulsem wykręcił numer swojego biura.

- Jest coś ciekawego? - zapytał pełniącego dyżur asystenta.

- Przed chwilą dostaliśmy wezwanie. W mieszkaniu w Edgeriver znaleziono ciało kobiety. Najprawdopodobniej wypadek, ale miejscowa policja chce, żebyśmy rzucili na to okiem. Ludzie Scotta już tam pojechali.

- Połącz mnie z nim - poprosił Richard. Scott nie tracił czasu na zbędne wstępy.

- Gdzie jesteś?

- W Nowym Jorku. Potrzebujesz mnie?

- Tak. Ta kobieta w Edgeriver okazała się recepcjonistką ze szpitala Westlake, z którą Katie chciała dzisiaj rozmawiać. Nazywa się Edna Burns. Rzekomo zadzwoniła dzisiaj do pracy i poprosiła o wolny dzień, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie żyje od co najmniej dwudziestu czterech godzin. Znalazła ją koleżanka ze szpitala. Próbuję złapać Katie. Chcę, żeby też tam przyjechała.

- Podaj mi adres.

Zapisał go szybko i odłożył słuchawkę. Katie miała zamiar wypytać Ednę Burns o Vangie Lewis, a teraz Edna Burns już nie żyła. Zapukał do drzwi sypialni Clovis. Otworzyła mu zawinięta w puszysty ręcznik.

- Tak ci się śpieszy? - zapytała z uśmiechem. - Dopiero co wyszłam spod prysznic.

- Clo, bardzo mi przykro. - Wyjaśnił jej szybko, co się stało. Zależało mu na tym, by jak najprędzej wyruszyć w drogę.

Dziewczyna nie kryła rozczarowania.

- Naturalnie, że cię rozumiem, ale bardzo mi zależało, żeby się z tobą zobaczyć. Przecież sam wiesz, że nie byliśmy nigdzie razem już od kilku tygodni. No cóż, w porządku. Jedź, ale jutro wieczorem idziemy na kolację. Obiecujesz?

- Na pewno wkrótce pójdziemy - odparł wymijająco. Odwrócił się i ruszył już do wyjścia, ale złapała go za rękaw, przyciągnęła do siebie i pocałowała.

- Jutro wieczorem - powtórzyła stanowczo.

Wracając z restauracji do domu Katie myślała o rozmowie, jaką przeprowadziła z Edną Burns przy okazji pierwszej wizyty u doktora Highleya. Edna była znakomitym słuchaczem. Katie nie lubiła nikomu mówić o swoich osobistych sprawach, ale kiedy Edna zacmokała współczująco, zapisując podstawowe dane, Katie stwierdziła ze zdumieniem, że opowiada jej wszystko o Johnie.

Czy Vangie także jej się zwierzała? Przychodziła regularnie na wizyty od zeszłego lata. Jak dużo Edna wiedziała o doktorze Fukhito? W jego nerwowości było coś niepokojącego. Czego mógł się obawiać? Katie zatrzymała samochód przed domem, ale postanowiła nie odstawiać go jeszcze do garażu. Jak w każdą środę pani Hodges wysprzątała dokładnie cały dom. W powietrzu unosił się przyjemny cytrynowy zapach środka do czyszczenia mebli. Lustro wiszące w holu nad zabytkowym stolikiem o marmurowym blacie lśniło jak nowe. Katie wiedziała, że w łóżku zostanie świeża pościel, że ceramiczna płyta kuchenki będzie błyszcząca tak samo jak lustro, że dywany zostały odkurzone, meble starannie wytarte, a rzeczy przyniesione z pralni znalazły się na swoim miejscu w szufladach i szafach.

Za życia Johna pani Hodges była zatrudniona na stałe. Teraz ubłagała Katie, by wolno jej było przychodzić choć raz w tygodniu i zająć się „jej domem”.

To nie potrwa już długo. Nie mogło. Pani Hodges miała sporo ponad siedemdziesiąt lat.

Kogo znajdzie na jej miejsce? Kto zajmie się z taką samą troskliwością cennymi bibelotami, antycznymi meblami i wspaniałymi orientalnymi dywanami?

Czas sprzedać to wszystko - pomyślała Katie. Wiem o tym.

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na krzesło. Było dopiero piętnaście po siódmej. Czekala ją długa noc. Edna powiedziała jej, że mieszka w Edgeriver, czyli zaledwie dwadzieścia minut jazdy stąd. A może by tak zadzwoniła do niej i zaproponowała, że wpadnie trochę pogadać? Pani Fitzgerald powiedziała, że Edna wróci już jutro do pracy, czyli nie mogła być bardzo chora. Jeśli Katie nie myliło przeczucie, Edna byłaby zachwycona mogąc poplotkować o Vangie.

Pani Hodges zawsze zostawiała w skrzynce na pieczywo jakieś świeżo upieczone ciasto. Weźmie je i pojedzie do Edny. Przy cieście i filiżance dobrej herbaty można dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy.

Znalazła numer Edny w książce telefonicznej. Ktoś podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku. Katie otworzyła usta, by powiedzieć: „Dobry wieczór, panno Burns”, lecz nie zdążyła.

- Słucham? - usłyszała męski, szorstki i jakby dziwnie znajomy głos.

- Czy zastałam pannę Burns? Mówi Katie DeMaio, zastępca prokuratora okręgowego.

- Katie!

Oczywiście, że znała ten głos. Należał do Charleya Nugenta.

- Świetnie, że Scottowi udało się wreszcie cię złapać. Możesz tu zaraz przyjechać?

- Przyjechać? - Katie bała się tego, co miała za chwilę usłyszeć, ale musiała zadać to pytanie: - Co robisz w mieszkaniu Edny Burns?

- Jak to, nie wiesz? Ona nie żyje, Katie. Upadła, albo została pchnięta, na grzejnik. Rozwaliła sobie głowę. - Zniżył głos. - A teraz posłuchaj, Katie. Ostatnio widziano ją żywą wczoraj około ósmej wieczorem. Odwiedziła ją sąsiadka. - Głos Charleya zamienił się prawie w szept. - Słyszała jak

Edna rozmawiała przez telefon z mężem Van - gie Lewis. Powiedziała mu, że ma zamiar porozmawiać z policją o śmierci jego żony.

Po drugiej szkockiej poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Powiedział Hildzie, żeby nie przygotowywała mu nic na wieczór, ale dał jej długą listę zakupów. Skinął z aprobatą głową na widok zawartości szuflady z mięsem: piersi kurczęcia, polędwica z jagnięcia. W pojemniku na warzywa leżały świeże szparagi, pomidory i sałata, a w pojemniku na ser znalazł brie i spory kawałek jarlsberga. Postanowił przyrządzić sobie polędwicę ze szparagami i sałata.

Wyczerpanie psychiczne zawsze zmuszało go do jedzenia. Tego wieczoru kiedy umarła Claire, wyszedł ze szpitala, sprawiając wrażenie człowieka zdruzgotanego nieszczęściem, po czym udał się do zacisznej restauracji kilka przecznic dalej i zjadł potężną kolację. Następnie wrócił do domu, ukrywając radosne zadowolenie pod maską żalu i rozpacz. Przyjaciele, którzy czekali na niego, by wyrazić mu swoje współczucie, nie zorientowali się w oszustwie.

- Gdzie byłeś, Edgarze? Niepokoiłiśmy się o ciebie.

- Nie wiem. Nie pamiętam. Chyba po prostu chodziłem bez celu. Tak samo było po śmierci Winifred. Po pogrzebie opuścił jej rodzinę i przyjaciół, nie przyjmując zaproszenia na obiad.

- Nie, nie. Dziękuję, ale muszę być sam.

Wrócił do domu, posiedział chwilę, odebrał kilka telefonów z kondolencjami, po czym zadzwonił do biura zleceń.

- Gdyby ktoś do mnie telefonował proszę powiedzieć, że odpoczywam i że zadzwonię później.

Następnie wsiadł do samochodu, pojechał do restauracji Carlyle w Nowym Jorku, usiadł przy stojącym nieco na uboczu stoliku i złożył zamówienie. Mniej więcej w połowie posiłku dostrzegł po drugiej stronie sali Glenna Nickersona, kuzyna Winifred; Glenn, trener lekkoatletyki na

uniwersytecie, do chwili ślubu Winifred był jej jedynym spadkobiercą. Miał na sobie ciemny, źle dopasowany garnitur z wyprzedaży, bez wątpienia kupiony wyłącznie z okazji pogrzebu. Na jego normalny strój składały się sportowa marynarka, luźne spodnie i mokasyny.

Nickerson najwyraźniej obserwował go od dłuższego czasu, gdyż teraz z szyderczym uśmiechem uniósł kieliszek w jego stronę. Równie dobrze mógłby wykrzyknąć na głos swoje myśli: „Zdrowie zrozpaczonego wdowca”.

Zareagował tak jak powinien: podszedł do Glenna, nie okazując najmniejszego zakłopotania i powiedział uprzejmie:

- Dlaczego nie przysiadłeś się, kiedy mnie zauważyłeś? Nie wiedziałem, że ty też bywasz w Carlyle. To była nasza ulubiona restauracja. Właśnie tutaj się zaręczyliśmy... ale Winifred na pewno ci o tym mówiła. Co prawda nie jestem Żydem, ale uważam, że jednym z najwspanialszych obyczajów w naszym zdumiewającym świecie jest ten kultywowany właśnie przez Żydów, kiedy po śmierci kogoś bliskiego rodzina zbiera się i zjada jajka, które mają symbolizować ciągłość życia. Przyszedłem tutaj, by w skupieniu uczcić ciągłość miłości.

Glenn przez chwilę przyglądał mu się z kamienną miną, po czym wstał i dał sygnał kelnerowi, że chce zapłacić rachunek.

- Podziwiam twoją umiejętność filozofowania, Edgarze - powiedział. - Nie, nie bywam regularnie w tej restauracji. Przyjechałem tu za tobą. Postanowiłem cię odwiedzić, ale kiedy znalazłem się przed twoim domem, zobaczyłem, że właśnie odjeżdżasz. Miałem przeczucie, że byłoby warto sprawdzić, dokąd postanowiłeś się udać. Okazało się, że miałem rację.

Odwrócił się wtedy plecami do młodszego mężczyzny i nie zaszczyciwszy go ani jednym spojrzeniem wrócił z godnością do swego stolika. Chwilę potem wyszedł z sali.

Tydzień później Alan Levine, lekarz Winifred, poinformował go z oburzeniem, że Glenn chciał zobaczyć kartę Winifred.

- Wyrzuciłem go z gabinetu - oznajmił. - Powiedziałem mu, że Winifred zachorowała na typową anginę i że powinien sprawdzić dane statystyczne dotyczące umieralności pięćdziesięciokilkuletnich kobiet na zawały serca. Mimo to był na tyle bezczelny, żeby zwrócić się do policji. Wyobraź sobie, że zadzwonili do mnie z prokuratury z pytaniem, czy można sztucznie wywołać atak serca! Na szczęście szybko się z tego wycofali, bo doszli do wniosku, że to tylko bredzenie niedoszłego spadkobiercy.

Nieprawda, doktorze Levine. Można sztucznie wywołać atak serca. Wystarczy przygotowywać swojej najdroższej żonie smakowite obiadki i wykorzystując jej chroniczny nieżyt żołądka oraz jelit doprowadzać do gwałtownych pogorszeń, które na EKG wyglądają niemal identycznie jak zawał serca. Za którymś razem musi nastąpić prawdziwy zawał i ukochana żona umrze na oczach swego lekarza, który po przybyciu na miejsce tragicznego zdarzenia zastanie męża - lekarza wykonującego sztuczne oddychanie. Nikt nie zażąda przeprowadzenia sekcji zwłok, a nawet gdyby zażądał, to ryzyko, że autopsja wykaże coś niezwykłego, będzie bardzo małe.

Byłoby znacznie większe, gdyby ktoś wpadł na pomysł dokładnego zbadania okoliczności śmierci Claire.

Półdzwica była już prawie gotowa. Fachowo odwirował sałatę, odcedził szparagi i wyjął jeszcze w połowie pełną butelkę beaujolais.

Właśnie zabierał się do jedzenia, kiedy zadzwonił telefon. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien go zignorować, ale w końcu doszedł do wniosku, że mogłoby wydawać się podejrzane, gdyby o tej porze nie było go w domu. Rzucił serwetkę na stół i podszedł do kuchennego aparatu.

- Doktor Highley, słucham?

W słuchawce rozległo się szlochanie.

- Panie doktorze... Och, panie doktorze... Mówi Gertrude, Gertrude Fitzgerald. Panie doktorze, wracając do domu postanowiłam odwiedzić Ednę...

Ścisnął mocniej słuchawkę.

- Panie doktorze, Edna nie żyje! Policja już tu jest. Upadła i rozbiła sobie głowę. Mógłby pan zaraz przyjechać? Chcą zrobić sekcję zwłok. Ona nienawidziła sekcji. Zawsze powtarzała, że to okropny zwyczaj kroić zmarłych. Wie pan, jaka ona była, kiedy wypila trochę za dużo. Powiedziałam im, że przyjechał pan kiedyś do jej mieszkania i zastał ją pijaną. Proszę, niech pan tu przyjedzie i opowie im, w jakim stanie czasem ją pan widywał. Niech ich pan przekona, że to był wypadek i że nie muszą kroić jej na kawałki!

Przed wyjściem z domu Katie naląła sobie herbaty do papierowego kubka i zabrała go ze sobą do samochodu. Prowadząc jedną ręką, popijała małymi łykami gorący płyn. Miała zamiar przyjechać do Edny z ciastem i porozmawiać z nią przy herbacie, a teraz Edna nie żyła.

W jaki sposób osoba, którą widziała tylko raz w życiu, mogła wywrzeć na niej tak silne wrażenie? Może stało się tak po prostu dlatego, że Edna była bardzo dobrym człowiekiem i ogromnie przejmowała się losem pacjentek? Przecież tak wielu ludzi nie obchodziło nic poza ich własnym losem. Rozmawiała z nią zaledwie jeden raz, w ubiegłym miesiącu, a mimo to nie miała żadnych oporów, by opowiedzieć jej o Johnie.

Edna doskonale ją rozumiała.

- Wiem jak to jest, kiedy obserwuje się czyjeś umieranie - powiedziała. - Z jednej strony modlisz się, żeby to się jak najprędzej skończyło, z drugiej strony nie chcesz zostać sama. - Ona także utraciła bliskie osoby. - Kiedy mama i tata umarli, wszyscy mi powtarzali, że teraz jestem już wolna, a ja zapytałam: „Wolna, ale co z tego?” Myślę, że pani musi się czuć podobnie.

Zapewniła ją o fachowości doktora Highleya.

- To najlepszy specjalista od wszystkich problemów ginekologicznych. Dlatego jestem taka wściekła, kiedy słyszę, jak się go krytykuje. A ci wszyscy ludzie, którzy oskarżają go o popełnienie błędu w sztuce lekarskiej!... Powiadam pani, byłabym gotowa własnoręcznie ich rozstrzelać. Na tym właśnie polega problem, kiedy zaczynają uważać cię za Boga. Myślą, że możesz dokonać niemożliwego. Powiadam pani, w dzisiejszych czasach każdy lekarz, któremu umrze pacjent, powinien mieć się na baczności. I to nie tylko położnik, ale

nawet geriatra. Niektórzy chyba myślą, że już nikt nie powinien umierać.

Co Charley miał na myśli mówiąc jej, że wczoraj wieczorem Edna dzwoniła do Chrisa Lewisa? Zupełnie jednoznacznie zasugerował, że mogło zostać popełnione przestępstwo.

- Nie wierzę w to - powiedziała na głos Katie, skracając w szosę numer 4 prowadzącą do Edgeriver. Zapewne chciała mu po prostu złożyć wyrazy współczucia. To byłoby do niej podobne. Czyżby Charley podejrzewał, że próbowała go szantażować?

Bez większych problemów znalazła osiedle parterowych segmentów. Nie prezentowało się najlepiej. Postanowiła, że po sprzedaży domu zamieszka na jakiś czas w wysokościowcu. Nad rzeką Hudson stały wieżowce, w których znajdowały się przepiękne apartamenty z tarasami. Byłoby interesujące mieszkać bliżej Nowego Jorku - mogłaby wtedy częściej odwiedzać teatry i muzea. Kiedy sprzedam dom - pomyślała. Nawet nie zauważyłam, jak „jeżeli” zmieniło się w „kiedy”.

Charley powiedział jej przez telefon, że Edna zajmowała ostatnie mieszkanie w szeregu segmentów oznaczonych numerami od 41 do 60. Należało zostawić samochód na parkingu na tyłach budynków. Katie zwolniła, gdyż z naprzeciwka nadjechał jakiś samochód i skręcił tam, gdzie i ona miała zamiar. Samochód był czarny, nie rzucający się w oczy. Kierowca zawahał się, po czym zatrzymał wóz na pierwszym wolnym miejscu po prawej stronie. Katie minęła go; jeśli mieszkanie Edny mieściło się w ostatnim segmencie po lewej stronie, to warto byłoby podjechać nieco bliżej. Zaparkowała dokładnie za małym budyneczkiem. Wsiadłszy z samochodu, uświadomiła sobie, że patrzy na jedno z okien mieszkania Edny. Okno było odrobinę uchylone, a roleta

opuszczona na tyle, na ile pozwalała stojąca na parapecie doniczka. Z wnętrza sączyło się przyćmione światło.

Katie pomyślała o widoku roztaczającym się z jej sypialni; okna wychodziły na niewielki staw otoczony drzewami rosnącymi z tyłu domu. Edna mogła podziwiać jedynie parking dla gości i przerdziewiałe ogrodzenie, a mimo to wyznała jej, że bardzo lubi swoje małe, przytulne mieszkanko.

Odwróciła się raptownie, usłyszawszy za sobą odgłos czyichś kroków. Na opustoszałym parkingu każdy dźwięk brzmiał groźnie i złowieszczo. Ujrzała zbliżającą się sylwetkę, oświetloną od tyłu blaskiem samotnej latarni. W ruchach postaci było coś znajomego.

- Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem - powiedział męski głos z ledwo uchwytnym, brytyjskim akcentem.

- Doktor Highley!

- Pani DeMaio. Chyba żadne z nas nie oczekiwało, że zobaczymy się ponownie tak szybko, w dodatku w podobnie tragicznych okolicznościach.

- A więc już pan słyszał. Zawiadomili pana ludzie z mojego biura?

- Bardzo dzisiaj zimno. Przejdźmy tą ścieżką na drugą stronę budynku. - Ujął ją delikatnie za łokieć, wskazując drogę, po czym ruszył za nią. - Zadzwoiła do mnie pani Fitzgerald. Zastępowała dzisiaj pannę Burns i zdaje się, że to właśnie ona ją znalazła. Sprawiała wrażenie ogromnie wstrząśniętej. Prosiła, żebym jak najprędzej tu przyjechał. Jak na razie nie znam żadnych szczegółów.

- Ani ja - odparła Katie.

Właśnie mijali narożnik budynku, kiedy w ciemności za nimi rozległy się szybkie kroki.

- Katie!

Poczuła jak palce lekarza zaciskają się mocniej na jej łokciu, po czym doktor Highley cofnął rękę. Obejrzawszy się ujrzała Richarda. Na jego widok doznała absurdalnego uczucia ulgi. Chwytał ją mocno za ramiona, po czym przyciągnął do siebie w geście, który skończył się, zanim zdążył się na dobre zacząć.

- Scott ściągnął cię tutaj?

- Nie, sama zadzwoniłam do Edny. Richardzie, to jest doktor Edgar Highley.

Przedstawiła obu mężczyznom, a oni wymienili krótkie uściski dłoni.

To zupełnie bez sensu - przemknęło jej przez głowę. - Wymieniamy uprzejmości, podczas gdy zaledwie kilka metrów stąd leży martwa kobieta.

Drzwi otworzył im Charley. Sprawiał wrażenie zadowolonego z ich przybycia.

- Twoi ludzie powinni zjawić się lada chwila - poinformował Richarda. - Zrobiliśmy już zdjęcia, ale byłoby dobrze, gdybyście rzucili okiem.

Katie zdążyła już przyzwyczaić się do widoku śmierci. Z racji swojej pracy musiała często oglądać ofiary najróżniejszych przestępstw. Zwykle udawało jej się odsunąć na bok emocje i skoncentrować się na prawnych aspektach sytuacji.

Jednak Edna leżąca skulona przy grzejniku w takiej samej flanelowej koszuli, jakich używała matka Katie, w identycznym szlafroku, jakie jej matka kupowała na wyprzedaży w domach towarowych, to było coś zupełnie innego. Podobnie jak jednoznaczne dowody samotności: pokrojona w plasterki konserwowa szynka i pusta szklanka do koktajli.

Edna była bardzo pogodną osobą, umiejącą się cieszyć drobnymi przyjemnościami w swoim skromnie umeblowanym

mieszkaniu, a tymczasem okazało się, że nawet ono zdradziło ją, stając się miejscem jej gwałtownej śmierci.

Gertrude Fitzgerald siedziała na staromodnej, obitej welurem kanapie w drugim końcu przypominającego kształtem literę L pomieszczenia, skąd nie było widać ciała. Pochlipywała cichutko. Richard natychmiast przeszedł do części jadalnej, by zbadać ciało martwej kobiety, Katie zaś usiadła na kanapie obok pani Fitzgerald. Doktor Highley przystawił sobie krzesło.

- Panie doktorze, pani DeMaio, czy to nie okropne? - wykrztusiła Gertrude, po czym załapała się łzami. Katie delikatnie położyła rękę na jej drżących plecach.

- Bardzo mi przykro, pani Fitzgerald. Wiem, że lubiła pani pannę Burns.

- Zawsze była taka miła. I wesoła. Bez przerwy mnie rozśmieszała. Jasne, że miała swoje małe słabości, ale przecież wszyscy je mamy, a ona nikomu nie sprawiała kłopotu... Panie doktorze, panu też będzie jej brakować.

Lekarz pochylił się nad szlochającą kobietą.

- Z pewnością, pani Fitzgerald - powiedział z poważną miną. - Edna była znakomitym pracownikiem. Była też bardzo dumna ze swojej pracy. Czasem żartowaliśmy z doktorem Fukhito, że tak znakomicie potrafi odprężyć pacjentki, że jeszcze trochę, a będzie mogła przyjmować w jego zastępstwie.

- Panie doktorze, powiedziałam im, że pan tutaj był. Powiedziałam im, że wiedział pan o jej kłopotach. Na pewno sama potknęła się i przewróciła. Dlaczego ktoś miałby robić jej krzywdę?

Doktor Highley spojrzał na Katie.

- Edna cierpiała na ischalgie. Kiedy nie mogła przyjść do pracy, przywoziłem jej czasem papierkową robotę, żeby zrobiła ją w domu. W sumie zdarzyło się to może trzy albo

cztery razy. Przy jednej z takich okazji, kiedy rzekomo była chora, zjawiłem się tu niespodziewanie i przekonałem się, że jest zupełnie pijana.

Katie spojrzała nad jego ramieniem i zobaczyła, że Richard zakończył oględziny zwłok. Wstała, przeszła do drugiej części pomieszczenia, po czym patrząc na ciało Edny, odmówiła po cichu krótką modlitwę:

- Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie. Niech Twoje anioły zaprowadzą ją do Twego królestwa. Niech spoczywa w pokoju wiecznym, amen.

Przełknąwszy suchy kłęb, który utkwiał jej w gardle, zapytała Richarda o wyniki oględzin. Wzruszył ramionami.

- Dopóki nie zbadam dokładnie rany, nie mogę stwierdzić, jak to wyglądało naprawdę. Uderzenie było bardzo silne, ale jeśli była pijana - a raczej była - to mogła zatoczyć się, wstając z krzesła. Przy dużej wadze ciała... Z drugiej strony, to spora różnica, czy jest się przejechanym przez samochód, czy przez pociąg, a w tym przypadku musimy rozstrzygnąć mniej więcej taki problem.

- Są jakieś ślady włamania? - spytała Charleya.

- Żadnych, ale te zamki można otworzyć za pomocą karty kredytowej. Jeżeli była tak pijana, jak nam się wydaje, to na pewno nie zauważyłaby nikogo, kto by się tu zakradł.

- Dlaczego ktoś miałby się zakradać? Co takiego chciałeś mi powiedzieć o kapitanie Lewisie?

- Żona dozorca, Gana Krupshak, była przyjaciółką Edny Burns. Znalazła ciało razem z panią Fitzgerald. Tuż przed twoim przyjazdem pozwoliliśmy jej wrócić do domu. Jest zupełnie roztrzęsiona. W każdym razie, wpadła tu wczoraj około ósmej wieczorem. Twierdzi, że Edna była już na cyku. Posiedziała do wpół do dziewiątej, po czym postanowiła wyjąć z lodówki szynkę, żeby panna Burns zjadła coś i

zaczęła trzeźwieć. Edna opowiedziała jej o samobójstwie Vangie Lewis.

- Co dokładnie jej powiedziała?

- Niewiele. Wymieniła tylko nazwisko i pozachwycała się, jaka to Vangie była ładna. Potem pani Krupshak przeszła do kuchni i słyszała, jak Edna dzwoni do kogoś. Mimo woli podsłuchiwała prawie całą rozmowę. Przysięga, że Edna rozmawiała z jakimś „kapitanem Lewisem” i powiedziała mu, że jutro zgłosi się na policję. A teraz uważaj: pani Krupshak twierdzi, jakoby Edna powiedziała Lewisowi, jak może tu trafić, a potem wspomniała coś o Pięknym Księżu.

- O Pięknym Księżu! Charley wzruszył ramionami.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz, tak samo jak ja, ale świadek nie ma żadnych wątpliwości.

- Nie ulega żadnej wątpliwości, że musimy brać pod uwagę możliwość zabójstwa - odezwał się Richard. - Coraz bardziej mi się wydaje, że Scott miał rację, biorąc na ząb Chrisa Lewisa. - Zajrzał do saloniku. - Pani Fitzgerald nie wygląda najlepiej. Skończyłaś już z nią, Katie?

- Tak. Jest w takim stanie, że niczego się od niej nie dowiemy.

- Powiem chłopcom z któregoś radiowozu, żeby odwieźli ją do domu - zaproponował Charley. - Ktoś inny pojedzie za nimi jej samochodem.

Nie wierzę, żeby to zrobił Chris Lewis - pomyślała Katie. Nie wierzę, żeby zabił swoją żonę. Rozejrzała się dokoła.

- Jesteście pewni, że nie zginęło nic cennego? Charley ponownie wzruszył ramionami.

- Wszystko, co tu jest, poszłoby na wyprzedaży za maksimum czterdzieści baksów. W portfelu znaleźliśmy osiemnaście dolarów, karty kredytowe i parę drobiazgów. W całym domu nie ma śladu, żeby ktoś czegoś szukał.

- W porządku. - Katie wróciła do doktora Highleya i pani Fitzgerald. - Odwieziemy panią do domu - powiedziała łagodnie.

- Co oni zrobią z Edną?

- Musimy zbadać zasięg jej obrażeń, ale nie sądzę, żeby trzeba było robić coś więcej. Nie możemy jednak zaniedbać niczego, co mogłoby pomóc nam ustalić, czy ktoś zamordował biedną Ednę. To dowód, że jej życie miało dla nas dużą wartość. Kobieta pociągnęła nosem.

- Chyba ma pani rację. - Spojrzała na lekarza. - Panie doktorze, strasznie przepraszam, że pana tutaj ściągnęłam.

- Nie ma za co - odparł, sięgając do kieszeni. - Wziąłem trochę środków uspokajających na wypadek, gdyby ich pani potrzebowała. Ponieważ nie będzie pani prowadzić, proszę wziąć jedną pastylkę już teraz.

- Przyniosę wodę - zaofiarowała się Katie.

Poszła do łazienki sąsiadującej z położoną w głębi mieszkania sypialnią. Odkręciła kran. Czekać, aż zacznie lecieć chłodniejsza woda, uświadomiła sobie, że nie jest w stanie pogodzić się z myślą, iż Chris Lewis staje się powoli głównym podejrzanym o dokonanie dwóch zabójstw. Napełniła szklankę wodą, zniosła ją Gertrudzie i ponownie usiadła przy niej na kanapie.

- Pani Fitzgerald, musimy mieć całkowitą pewność, że Edna nie została obrabowana. Wie pani może, czy trzymała w domu jakieś kosztowności, na przykład biżuterię?

- Owszem, miała pierścionek i broszkę, z których była bardzo dumna. Nosiła je tylko przy specjalnych okazjach, ale nie mam pojęcia, gdzie je przechowywała. Jestem tu dopiero pierwszy raz. Zaraz, chwileczkę... Panie doktorze, Edna powiedziała mi kiedyś, że pokazała panu ten pierścionek i broszkę, a nawet schowek, w którym je trzymała. Może pan mógłby pomóc pani DeMaio?

Katie spojrzała w zimne, szare oczy. Ma tego serdecznie dosyć - pomyślała. Jest wściekły, że musiał tu przyjechać. Nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Czyżby Edna coś do niego czuła? Czyżby opowiadała, że odwiedza ją częściej niż to miało miejsce naprawdę, być może dając nawet Gertrudzie do zrozumienia, że był nią trochę zainteresowany? Może wymyśliła sobie mały romans, tworząc fikcyjny, nie istniejący związek. Jeśli tak, to nic dziwnego, że pani Fitzgerald natychmiast zawiadomiła doktora Highleya, i było zupełnie jasne, dlaczego sprawiał teraz wrażenie mocno zażenowanego i zaniepokojonego.

- Nie mam pojęcia o żadnych schowkach - odparł z sarkazmem. - Edna pokazała mi kiedyś pierścionek i broszkę, które trzymała w pudełku w szufladzie nocnego stolika. Nie uważam, żeby można było nazwać to schowkiem.

- Może pan mnie tam zaprowadzić, panie doktorze?

Przeszli we dwójkę do sypialni. Katie włączyła tanią lampę o papierowym abażurze.

- To tutaj - oznajmił doktor Highley, wskazując szufladę nocnego stolika stojącego po prawej stronie łóżka.

Katie otworzyła ją, dotykając jej tylko czubkami palców, aby nie zatrzeć znajdujących się tam odcisków.

Szuflada okazała się nadspodziewanie głęboka. Katie wyjęła z niej niebieską plastikową szkatułkę na biżuterię. Po podniesieniu pokrywy rozległy się srebrzyste dźwięki pozytywki. Na miękkiej wyściółce leżała niewielka broszka i stary, cienki pierścionek z małymi brylancikami.

- Zdaje się, że to właśnie są jej skarby - powiedziała Katie. - Wynika z tego, że możemy skreślić teorię napadu rabunkowego. Zatrzymamy biżuterię do chwili ustalenia spadkobiercy. - Chciała już zamknąć szufladę, ale zajrzała do niej raz jeszcze i na chwilę zamarła w bezruchu.

- Niech pan popatrzy, doktorze! - Szybko odstawiła szkatułkę na łóżko, po czym sięgnęła do środka. - Moja mama przez wiele lat trzymała w szafie stary kapelusz swojej matki. Zdaje się, że Edna miała podobny zwyczaj.

Wyjęła z szuflady jakiś przedmiot i wyciągnęła rękę, by mógł mu się dokładnie przyjrzeć.

Był to brązowy, mocno zniszczony, rozdeptany lewy mokasyn.

Doktor Edgar Highley wytrzeszczył na niego oczy, ledwo uświadamiając sobie, że Katie jeszcze coś mówi.

- Prawdopodobnie należał do jej matki i przedstawiał dla niej tak dużą wartość, że trzymała go razem z biżuterią. Och, doktorze, gdyby pamiątki mogły mówić, z pewnością usłyszelibyśmy wiele interesujących historii!

W czwartek punktualnie o ósmej rano w domu Lewisów zjawiał się zespół dochodzeniowy wydziału zabójstw prokuratury okręgowej. Na czele sześciuosobowej grupy stali Phil Cunningham i Charley Nugent. Specjaliści od odcisków palców mieli skoncentrować się przede wszystkim na głównej sypialni i kuchni.

Naturalnie istniała bardzo niewielka szansa na znalezienie jeszcze jakichś odcisków oprócz należących do Chrisa i Vangie Lewis, ale po badaniach laboratoryjnych pojawiło się pytanie nieco innego rodzaju: na szklance, która leżała obok Vangie na łóżku, znajdowały się jej odciski, lecz ich umiejscowienie wywołało pewne wątpliwości. Vangie była praworęczna. Należało się spodziewać, że nalewając roztwór cyjanku do szklanki, weźmie ją w lewą rękę, w prawej zaś będzie trzymać naczynie z trucizną. Tymczasem na szklance stwierdzono obecność odcisków palców tylko prawej ręki. Był to niepokojący, trudny do wytłumaczenia fakt, który jeszcze bardziej podważył wiarygodność rzekomego samobójstwa.

Natychmiast po odnalezieniu ciała przeszukano szafki z lekarstwami w obu łazienkach, teraz zaś uczyniono to ponownie, z jeszcze większą dokładnością, sprawdzając zawartość każdej buteleczki. Jednak z żadnej z nich nie wydobywał się charakterystyczny gorzko - migdałowy zapach.

- Przecież musiała w czymś trzymać ten cyjanek! - wybuchnął Charley.

- Chyba że miała tylko tyle, ile rozpuściła w szklance, a torebkę albo kapsułkę spuściła z wodą w ustępie - zastanawiał się głośno Phil.

Sypialnię odkurzono specjalnym odkurzaczem, w nadziei natrafienia na włosy nie należące ani do Vangie ani do Chrisa.

- W każdym domu jest mnóstwo włosów pochodzących z głów posłańców, gości i wielu innych ludzi - powiedział Phil.

- Wszyscy bez przerwy gubimy włosy. Jednak mało kto zaprasza do sypialni nawet najlepszych przyjaciół. Gdybyśmy więc znaleźli włos nie należący do żadnego z domowników, może by nam to pomogło.

Szczególną uwagę poświęcono półkom w garażu. Były zastawione mnóstwem napoczętych puszek z farbą, butelek z terpentyną, narzędziami ogrodniczymi oraz środkami chwastobójczymi i owadobójczymi. Phil mruknął coś z rozdrażnieniem, nadziawszy się na wystający poza regał trzonek szpadla. Cofnąwszy się, by uwolnić zahaczoną połę marynarki, zauważył zwisający z trzonka strzęp bawełnianego, wzorzystego materiału.

Już gdzieś widział ten wzór. Pastelowe kolory, egzotyczne motywy... Sukienka, którą miała na sobie Vangie Lewis w chwili śmierci!

Zawołał do garażu policyjnego fotografa.

- Zrób duże zbliżenie - zażądał, wskazując na materiał. Kiedy fotograf zrobił zdjęcie, Phil zdjął strzępek z trzonka i schował go do koperty.

W tym samym czasie Charley przeglądał zawartość biurka stojącego w salonie. To zabawne, jak wiele można się dowiedzieć o ludziach na podstawie sposobu, w jaki traktują rachunki i dokumenty. Tymi sprawami bez wątplenia zajmował się Chris Lewis. Wszystkie zużyte książeczki czekowe były starannie wypełnione, a rozliczenia zgadzały się co do centa. Wszystkie należności regulowano natychmiast. Dolną szufladę wypełniały ustawione w porządku alfabetycznym segregatory: AMERICAN EXPRESS, BANK AMERICARD, BIURO ZLECEŃ TELEFONICZNYCH, LISTY OSOBISTE, UBEZPIECZENIE.

Charley wyjął segregator z listami osobistymi i przejrzał szybko jego zawartość. Chris Lewis utrzymywał regularną korespondencję z matką. „Ogromnie dziękuję za czek, Chris.

Nie powinieneś być aż tak hojny". Ten list pochodził zaledwie sprzed dwóch tygodni. Inny, ze stycznia, zaczynał się od słów: „Kupiłam tacie telewizor do sypialni. Jest z niego ogromnie zadowolony". Z minionego lipca: „Nowa klimatyzacja działa wspaniale..."

Choć Charley był nieco rozczarowany, że nie znalazł nic bardziej istotnego, to jednak musiał niechętnie przyznać, że Christopher Lewis otaczał starzejących się rodziców synowską miłością i czułą opieką. Przejrzał listy od matki, mając nadzieję natrafić na jakieś uwagi dotyczące stosunków łączących Vangie i Chrisa. Te najświeższe kończyły się w bardzo podobny sposób: „Przykro nam, że Vangie nie czuje się najlepiej", lub „Trudne cięższe nie należą do rzadkości", albo „Przekaż Vangie, że ściskamy za nią kciuki".

Okolo południa Charley i Phil postanowili wrócić do biura, pozostawiając resztę pracy fachowcom z zespołu. O szóstej mieli spotkać na lotnisku wracającego z Minneapolis Chrisa Lewisa. Dotychczasowe oględziny domu wykluczały możliwość, że ktoś dostał się do wnętrza siłą, nigdzie też nie znaleziono śladu cyjanku potasu. Badanie zawartości żołądka Vangie wykazało, że w poniedziałek nie jadła zbyt wiele; mniej więcej pięć godzin przed śmiercią zjadła grzankę i popiła ją herbatą. Ze świeżego bochenka chleba leżącego w pojemniku na pieczywo odkrojono nie więcej niż dwa plasterki. Brudne naczynia w zmywarce miały do opowiedzenia własną historię: pojedyncza zastawa obiadowa, prawdopodobnie z niedzieli; szklanka po soku i filiżanka z poniedziałkowego śniadania; filiżanka, spodeczek i talerzyk z kolacji.

Wszystko wskazywało na to, że zarówno w niedzielę jak w poniedziałek Vangie spożywała posiłki sama. Dzbanek po kawie znalazł się w zlewozmywaku po wtorkowym

przedpołudniu; widocznie Chris Lewis zaparzył sobie kawę po tym, jak znalazł w sypialni zwłoki żony.

Zarówno podjazd jak i teren wokół domu były przeszukiwane z drobiazgową dokładnością, lecz na razie bez żadnych rezultatów.

- Zajmie im to cały dzień, ale przynajmniej będziemy mieli pewność, że niczego nie przeoczyliśmy - stwierdził ponuro Charley. - Do tej pory udało nam się ustalić tylko tyle, że Vangie Lewis rozdarła sobie sukienkę o trzonek szpadla leżącego na półce w garażu... Zaraz, chwileczkę. Nie sprawdziliśmy jeszcze biura zleceń.

Znalazł numer biura, zadzwonił i przedstawił się, po czym poprosił, by przekazano mu wszystkie wiadomości dla pana lub pani Lewis pozostawione od początku tygodnia. Notował szybko, a Phil czytał z zainteresowaniem, zaglądając mu przez ramię: „Pon. 15.02, potwierdzenie z biura rezerwacji Northwest Orient dla pani Lewis. Jedno miejsce, lot 235, 16.10 z La Guardia do Twin Cities w Minneapolis, we wtorek 16 lutego”.

Phil gwizdnął cicho, Charley zaś zapytał:

- Czy pani Lewis otrzymała tę wiadomość?

Odsunął nieco słuchawkę od ucha, żeby Phil również mógł usłyszeć odpowiedź.

- Och, tak - odparła kobieta z biura zleceń. - Osobiście przekazałam ją w poniedziałek około wpół do ósmej wieczorem. Wydawała się bardzo zadowolona. Powiedziała nawet „Och, dzięki Bogu”, czy coś w tym rodzaju.

- W porządku. Ma pani coś jeszcze? - zapytał Charley.

- Poniedziałek, 15 lutego, dziewięta trzydzieści wieczorem. Doktor Fukhito prosił, żeby pani Lewis zadzwoniła do niego do domu zaraz po powrocie. Powiedział, że ma jego numer.

Charley uniósł jedną brew.

- I to wszystko?

- jeszcze tylko jedno. Panna Edna Burns dzwoniła do pani Lewis w poniedziałek o dziesiątej wieczorem. Prosiła, żeby pani Lewis skontaktowała się z nią bez względu na porę.

Charley rysował w notesie trójkąty, słuchając informacji o tym, że we wtorek i środę nikt nie zostawiał żadnych wiadomości, ale że we wtorek wieczorem był jeden telefon, który odebrał kapitan Lewis.

- Miałam już się zgłosić, kiedy podniósł słuchawkę - powiedziała dziewczyna. - Naturalnie zaraz się rozłączyłam.

W odpowiedzi na pytanie Charleya potwierdziła, że pani Lewis nie dowiedziała się ani o telefonie doktora Fukhito, ani panny Burns. Pani Lewis po raz ostatni kontaktowała się z biurem zleceń w poniedziałek o wpół do ósmej wieczorem.

- Dziękuję pani - powiedział Charley. - Bardzo nam pani pomogła. Prawdopodobnie będzie nam potrzebny pełny wykaz wiadomości, jakie przekazywaliście Lewisom w ostatnim okresie, ale zajmiemy się tym trochę później. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Phila. - Chodźmy. Musimy opowiedzieć o wszystkim Scottowi.

- Co o tym myślisz? - zapytał Phil. Charley parsknął głośno.

- A jak ci się wydaje? Jeszcze o wpół do ósmej wieczorem w poniedziałek Vangie Lewis wybiera się do Minneapolis, a kilka godzin później jest już martwa. O dziesiątej wieczorem w poniedziałek Edna Burns chce przekazać Vangie jakąś ważną wiadomość, po czym następnego dnia ginie w niejasnych okolicznościach. Ostatnia osoba, która widziała ją żywą zeznaje, że Edna mówiła kapitanowi Lewisowi o jakichś ważnych informacjach, które miała zamiar przekazać policji.

- A co z tym japońskim doktorkiem, który dzwonił w poniedziałek do Vangie?

Charley wzruszył ramionami.

- Katie rozmawiała z nim wczoraj. Może ona powie nam coś ciekawego.

Katie wydawało się, że środowa noc ciągnie się bez końca. Położyła się do łóżka zaraz po powrocie z mieszkania Edny, wzięwszy uprzednio pierwszą z pastylek otrzymanych od doktora Highleya.

Spała niespokojnie, mając wciąż pod powiekami widzianą we śnie twarz Vangie Lewis. Tuż przed obudzeniem przyśniło jej się coś innego: nieżywa Edna oraz pochylający się nad nią doktor Highley i Richard.

Obudziła się pełna wątpliwości, które nie dawały jej spokoju, umykając równocześnie jednoznacznej werbalizacji. Stary czarny kapelusz babci... Dlaczego ciągle o nim myśli? Jasne. To przez ten rozdeptany pantofel, który przedstawiał dla Edny tak wielką wartość, że trzymała go razem ze swoją najcenniejszą biżuterią. Ale dlaczego tylko jeden?

Skrzywiła się, wstając z łóżka. Była chyba jeszcze bardziej obolała niż poprzedniego dnia. Kolana, opuchnięte po uderzeniu w tablicę przyrządów, zginały się o wiele trudniej niż bezpośrednio po wypadku. Całe szczęście, że do maratonu w Bostonie zostało jeszcze trochę czasu - pomyślała kwaśno. Dzisiaj nie miałabym żadnych szans na zwycięstwo.

Mając nadzieję, że gorąca kąpiel pozwoli jej poczuć się choć trochę lepiej, poszła do łazienki, nachyliła się nad wanną i odkręciła kurki. Nagle zakręciło jej się w głowie, i to tak bardzo, że musiała złapać się mocno krawędzi wanny, by nie upaść. Niemile uczucie minęło dopiero po dłuższej chwili; Katie wyprostowała się powoli, wciąż niepewna, czy zaraz nie zemdleje. Spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze, przekonała się, że jest śmiertelnie blada, a na czoło wystąpiły jej grube krople potu. To przez to przekłete krwawienie - pomyślała. Gdybym jutro nie pojechała sama do szpitala, wkrótce by mnie tam zawieziono.

Rzeczywiście, kąpiel zmniejszyła nieco sztywność stawów, a makijaż położony na ciemny podkład ukrył bladość cery. Kamuflażu dopełnił nowy strój: plisowana spódnica, tweedowa marynarka i półgolf. Przynajmniej nie wyglądam tak, jakbym lada chwila miała umrzeć - uznała. Mimo że dokładnie tak się czuję.

Popiła sokiem pomarańczowym kolejną pastylkę od doktora Highleya i zamyśliła się nad wciąż jeszcze trudną do zaakceptowania śmiercią Edny. Wczoraj, po wyjściu z jej mieszkania, pojechała z Richardem na kawę. Richard zamówił dodatkowo hamburgera, wyjaśniewszy, że miał zamiar pójść w Nowym Jorku na kolację. Katie była pewna, że umówił się z jakąś kobietą. Co w tym dziwnego? Przecież tak atrakcyjny mężczyzna jak Richard nie mógł spędzać wszystkich wieczorów, siedząc w mieszkaniu lub odwiedzając znajomych w rodzaju Billa i Molly. Był przyjemnie zaskoczony, kiedy powiedziała mu, że pojechała do restauracji na wysokim brzegu rzeki Hudson, ale zaraz potem pogрузzył się głęboko w myślach. Kilka razy odniosła wrażenie, jakby chciał ją o coś zapytać, ale jakoś nie mógł się na to zdecydować. Mimo jej protestów pojechał za nią do domu, wszedł do środka i sprawdził dokładnie, czy drzwi i okna są dobrze zamknięte.

- Nie wiem dlaczego, ale niepokoi mnie, że mieszkasz tu zupełnie sama.

Katie wzruszyła ramionami.

- Edna mieszkała w segmencie o cienkich ścianach, a i tak nikt nie wiedział, że potrzebuje pomocy.

- Bo jej nie potrzebowała - odparł szorstko Richard. - Umarła prawie natychmiast. Katie, czy znasz tego doktora Highleya?

- Dziś po południu rozmawiałam z nim na temat Vangie - odpowiedziała wymijająco.

Zmarszczki na czole Richarda nieco się wygładziły.

- Tak, oczywiście... W takim razie do zobaczenia jutro. Przypuszczam, że Scott zwoła naradę w sprawie Edny Burns.

- Jestem tego pewna.

Obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem.

- Zamknij dobrze drzwi - powiedział, po czym wyszedł, tym razem nie pocałowałszy jej w policzek.

Katie wstawiła szklanę po soku do zmywarki, chwyciła płaszcz i torebkę, i wyszła do samochodu.

Charley i Phil mieli z samego rana przystąpić do przeszukania domu Lewisów. Scott świadomie starał się opleść Chrisa Lewisa pajęczyną; co prawda była złożona wyłącznie z poszlak, ale to wcale nie świadczyło o jej słabości. Gdyby tylko Katie zdołała dowieść, zanim kapitanowi Lewisowi zostanie przedstawione oskarżenie, że istnieje jakaś alternatywa dla rozumowania prokuratora okręgowego! Problem z oskarżeniem o morderstwo polega na tym, że nawet jeśli zostanie się uniewinnionym, to nikomu jeszcze nie udało się oczyścić z aury podejrzliwości. Za kilka lat ludzie będą mówić: „O, to kapitan Chris Lewis. Był zamieszany w śmierć swojej żony. Jakiś sprytny adwokat wyciągnął go z tego, ale wszyscy wiedzą, jak było naprawdę”.

Dotarła do biura tuż przed siódmą trzydzieści, ale wcale się nie zdziwiła, zastawszy tam już Maureen Crowley. Maureen była najbardziej sumienną sekretarką, jaką kiedykolwiek mieli. Poza tym miała bystry umysł i nie musiała bez przerwy prosić o wskazówki. Katie zatrzymała się przy jej biurku.

- Maureen, mam dla ciebie robotę. Wpadnij do mnie, kiedy znajdziesz chwilę czasu.

Dziewczyna zerwała się z krzesła. Miała szczupłą talię i zgrabne młode ciało. Zielony sweter podkreślał głęboką zieleń jej oczu.

- Może teraz, Katie? Napijesz się kawy?

- Chętnie. Ale bez kanapki z szynką, przynajmniej na razie. Maureen zawstydziła się.

- Przykro mi, że powiedziałam to wczoraj. Kto jak kto, ale ty na pewno nie wpadłaś jeszcze w rutynę.

- Nie jestem tego taka pewna.

Katie weszła do swojego pokoju, powiesiła płaszcz, usiadła za biurkiem i wyjęła z torebki notes z zapiskami ze szpitala Westlake.

Maureen przyniosła kawę, przysunęła sobie krzesło, po czym zamarła w oczekiwaniu, przygotowana do robienia notatek.

- Problem polega na tym, że nie jesteśmy przekonani, czy Vangie Lewis naprawdę popełniła samobójstwo - powiedziała powoli Katie. - Wczoraj rozmawiałam z jej lekarzami ze szpitala Westlake, doktorem Highleyem i doktorem Fukhito...

Usłyszała odgłos, jakby ktoś nabrał raptownie powietrza w płuca, i prędko spojrzała na Maureen. Dziewczyna zbladła jak ściana, a następnie na jej policzkach wykwitły dwa krwistoczerwone rumieńce.

- Coś się stało?

- Nie... Nie. Przepraszam.

- Powiedziałam coś, co cię przestraszyło?

- Nie, skądże znowu.

- W porządku - mruknęła Katie bez przekonania, po czym znowu zajrzała do notatek. - O ile wiemy, ostatnią osobą, która widziała żywą Vangie Lewis, jest doktor Fukhito, psychiatra ze szpitala Westlake. Chcę w możliwie najkrótszym czasie dowiedzieć się o nim ile tylko można. Sprawdź w okręgowej Izbie Lekarskiej i Stowarzyszeniu Lekarzy Amerykańskich. Słyszałam, że pracuje społecznie w szpitalu w Valley Pines. Może tam uda ci się zdobyć jakieś informacje. Wszędzie podkreślaj, że zależy nam na zachowaniu dyskrecji, ale dowiedz się, gdzie studiował, gdzie

przedtem pracował i w ogóle wszystkiego, co ma związek z jego przeszłością.

- Czy mam też pojechać do szpitala Westlake?

- Dobry Boże, skądże znowu! Nikt tam nie może wiedzieć, że go sprawdzamy.

Z jakiegoś powodu ta wiadomość sprawiła młodej kobiecie widoczną ulgę.

- Natychmiast się tym zajmę, Katie.

- Wiem, że to nie fair zmuszać cię, żebyś przychodziła wcześniej do pracy, a potem doładowywać ci dodatkowe obowiązki, ale nie ma na to rady. Chyba obie o tym wiemy.

Maureen wzruszyła ramionami.

- Nie przejmuj się. Im więcej mam zadań, tym bardziej lubię tę pracę. Kto wie, może sama też zostanę kiedyś prawnikiem? Ale to by oznaczało cztery lata w college'u i trzy na studiach...

- Byłabyś znakomitym prawnikiem - stwierdziła zupełnie szczerze Katie. - Szczerze mówiąc, trochę zdziwiłam się, że od razu nie poszłaś do college'u.

- Byłam na tyle głupia, żeby zaręczyć się zaraz po skończeniu ogólniaka. Rodzice namówili mnie, żebym przed ślubem zrobiła chociaż kurs dla sekretarek. Mieli rację, bo dzięki temu mam jakiś zawód, a do ślubu nie doszło.

- W takim razie czemu nie podjęłaś nauki we wrześniu, tylko poszłaś do pracy?

Dziewczyna wyraźnie posmutniała. Katie doszła do wniosku, że zerwanie zaręczyn stanowiło dla Maureen bardzo ciężkie przeżycie.

- Nie czułam się na siłach, żeby znowu zostać uczennicą - powiedziała Maureen nie patrząc na Katie. - Potrzebowałam czasu, żeby dojść ze sobą do ładu.

W chwilę po tym, jak wyszła z pokoju, zadzwonił telefon. Katie podniosła słuchawkę i usłyszała głos Richarda.

- Właśnie rozmawiałem z Dave'em Broadem ze szpitala Mt. Sinai. Coś mnie tknęło, żeby posłać mu do zbadania płód, który nosiła Vangie Lewis. Katie, przeczucie mnie nie omyliło. Vangie nie była w ciąży z Chrisem Lewisem. Dziecko, które wyjąłem z jej brzucha, ma wyraźne cechy orientalne!

Edgar Highley wpatrywał się w Katie DeMaio stojącą przed nim z mokasynem w ręku. Czyżby kpiła sobie z niego? Nie. Naprawdę wierzyła, że ten zniszczony pantofel stanowił dla Edny cenną pamiątkę.

Koniecznienie musiał go zdobyć. Żeby tylko nie wspomniała o swoim znalezisku lekarzowi sądowemu albo któremuś z detektywów! A jeśli im go pokaże? Gertrude Fitzgerald mogłaby rozpoznać własność Van - gie. Często widywała ją chodzącą w tych pantoflach, a oprócz tego słyszała jak żartowały sobie z Edną o szklanych pantofelkach.

Katie odłożyła mokasyn do szuflady, zamknęła ją, po czym wyszła z sypialni z plastikową szkatułką wetkniętą pod pachę. Highley ruszył za nią, pełen najgorszych obaw, ale Katie tylko dała szkatułkę jednemu z detektywów.

- Są w niej broszka i pierścionek - powiedziała. - Myślę, że w związku z tym możemy wykluczyć hipotezę napadu rabunkowego. Nie zajrzałam jeszcze ani do toaletki ani do szafy.

- To bez znaczenia. Jeśli Richard podejrzewa, że ktoś maczał w tym palce, jutro z samego rana przeszukamy tu wszystko od podłogi aż po dach.

Rozległo się donośne pukanie do drzwi. Katie otworzyła je, wpuszczając do środka dwóch mężczyzn z noszami.

Edgar Highley podszedł do Gertrudy. Zdążyła już opróżnić szklanek, którą przyniosła jej Katie.

- Przyniosę pani jeszcze trochę wody, pani Fitzgerald - powiedział cicho, a następnie zerknął przez ramię. Wszyscy byli odwrócenii do niego plecami, przyglądali się, jak dwaj mężczyźni kładą ciało Edny na noszach. Istniała szansa na odzyskanie pantofla. Musiał zaryzykować. Skoro Katie nie wspomniała o nim teraz, było mało prawdopodobne, żeby zrobiła to później.

Skierował się szybkim krokiem do łazienki, odkręcił kran, po czym błyskawicznie przemknął przez hol i wślizgnął się do sypialni. Otworzył szufladę, dotykając jej przez chusteczkę, by nie pozostawić odcisków palców, i już sięgał do środka, kiedy nagle usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Zatrzasnął szufladę, wepchnął chusteczkę do kieszeni, po czym odsunął się w kierunku drzwi sypialni.

Kroki zatrzymały się. /

Odwrócił się, z najwyższym trudem zachowując pozory spokoju. W holu między łazienką a sypialnią stał Richard Carroll i przyglądał mu się badawczo.

- Doktorze, chciałbym zadać panu kilka pytań dotyczących panny Burns - powiedział lodowatym tonem.

- Bardzo proszę - odparł, po czym dodał: - Właśnie myślałem o niej. Co za szkoda, że tak zmarnowała swoje życie.

- Co pan przez to rozumie?

- Miała wybitny matematyczny umysł. W naszych skomputeryzowanych czasach mogłaby go z pożytkiem wykorzystać, ale zamiast tego stała się otyłą, rozplotkowaną alkoholizką. Jeśli moja ocena wydaje się zbyt surowa, to musi pan wiedzieć, że dokonuję jej z prawdziwą przykrością. Lubilem Ednę i z pewnością będzie mi jej brakować... Wybacz pan, muszę zakręcić kran w łazience. Chciałem zanieść pani Fitzgerald szklanek zimnej wody. Biedaczka jest zupełnie roztrzęsiona.

Doktor Carroll odsunął się, by go przepuścić. Czy krytyczne uwagi na temat Edny sprawiły, że lekarz sądowy przestał się zastanawiać, co doktor Highley robił w sypialni zmarłej kobiety?

Opłukał szklanek, napełnił ją i zaniósł Gertrudzie. Ciało znikło, a wraz z nim Katie DeMaio.

- Czy pani DeMaio już pojechała? - zapytał jednego z detektywów.

- Nie, poszła porozmawiać z żoną dozorca. Zaraz wróci.

Nie chciał opuścić miejsca przestępstwa nie upewniwszy się, że Katie nie wspomni przy Gertrudzie o znalezionym pantoflu. Kiedy jednak wróciła kilka minut później, nie odezwała się na ten temat ani słowem.

Wyszli razem z mieszkania Edny. Miejskowa policja będzie miała je pod opieką aż do chwili oficjalnego zamknięcia dochodzenia.

Poszedł z Katie aż do jej samochodu, lecz wtedy jak spod ziemi wyrósł przy nich Richard Carroll.

- Wstąpmy na kawę, Katie - zaproponował. - Chyba wiesz, gdzie jest bar „Złota dolina”?

Zaczekał, aż Katie wsiądzie do samochodu i ruszy z miejsca, po czym rzucił krótko: „Dobranoc, doktorze Highley”, i odszedł.

Jadąc do domu, Edgar Highley nabrał graniczącego z pewnością przekonania, że między Katie DeMaio a Richardem Carrollem istnieje jakiś związek. Kiedy kobieta wykrwawi się na śmierć, doktor Carroll będzie nie tylko zawodowo, ale także emocjonalnie zaangażowany w wyjaśnienie przyczyny jej zgonu. Oznaczało to konieczność zachowania wzmożonej ostrożności.

Carroll odnosił się do niego z wyraźną wrogością. Jaka mogła być jej przyczyna? Może powinien był podejść do ciała Edny? Ale po co? Chyba pchnął ją trochę za mocno. A może powinien był ją obrabować? Początkowo przecież miał taki zamiar. Gdyby wprowadził go w życie, znalazłby pantofel.

Edna opowiedziała Gertrudzie, że odwiedzał ją w mieszkaniu. Prawdopodobnie starała się powiększyć znaczenie tych odwiedzin, być może twierdząc, iż zdarzały się znacznie częściej niż w rzeczywistości. Gertrude z kolei

powiedziała Katie, że Edna zdradziła mu miejsce, w którym przechowywała swoje żalosne skarby. Jeśli policja dojdzie do wniosku, że Edna została zamordowana, to czy będą doszukiwali się związku między morderstwem a faktem, że Edna Burns pracowała w szpitalu Westlake? Co jeszcze zdążyła naopowiadać różnym ludziom?

Zastanawiał się nad tym przez całą drogę do domu.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że teraz kluczową rolę odgrywa Katie DeMaio. Usuwając ją z drogi, zniszczy jednocześnie wszystkie poszlaki wskazujące na jego powiązania ze śmiercią Vangie i Edny. Dokumentacja znajdująca się w szpitalu była bez zarzutu; nawet najdokładniejsze badanie nie ujawni niczego podejrzanego.

Skreślił na podjazd, wprowadził wóz do garażu i wszedł do domu. Kawałki polędwicy z jagnięcia leżały na talerzu, tak jak je zostawił, zimne i pokryte zastygłym tłuszczem, szparagi zwiędły, a sałata oklapła. Podgrzeje mięso w kuchence mikrofalowej, przygotuje świeżą sałatę, i za kilka minut stół będzie wyglądał tak samo jak przedtem.

Zająwszy się tymi czynnościami stwierdził, że powoli odzyskuje spokój. Jak niewiele brakuje, żeby był zupełnie bezpieczny! Wkrótce będzie mógł ujawnić przed światem swój niezwykły geniusz. Odniósł już wiele sukcesów i udowodni to ponad wszelką wątpliwość. Może jeszcze nie teraz, ale na pewno niedługo. Nie postąpi jak ten oszust, który twierdził, że opracował metodę klonowania żywych organizmów, lecz nie potrafił przedstawić żadnego dowodu, że tak jest w istocie. On dysponuje przecież szczegółową dokumentacją, fotografiami, zdjęciami rentgenowskimi, dokładnymi notatkami omawiającymi problemy oraz metody, jakich użył, by się ich pozbyć. Wszystko spoczywało teraz bezpiecznie w teczkach zamkniętych w tajnym sejfie.

Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, spali teczki z opisami niepowodzeń, ujawni zaś te, które przyniosą mu nieśmiertelną sławę. Do tego czasu z pewnością ich liczba znacznie się powiększy.

Nic nie może go powstrzymać. Niewiele brakowało, a Vangie by wszystko zepsuła. Przypuśćmy, że nie spotkałby jej, kiedy wyszła z gabinetu doktora Fukhito? Przypuśćmy, że nie powiedziała mu o swojej decyzji zasięgnięcia porady Emmeta Salema?

Przypadek. Szczęście. Nieważne, jak to nazwać.

Jednak również przypadek sprawił, że Katie DeMaio znalazła się przy oknie szpitalnego pokoju właśnie wtedy, kiedy ładował ciało Vangie do samochodu. Cóż za ironia losu, że została jego pacjentką...

Ponownie zasiadł przy stole i skonstatował z zadowoleniem, że kolacja wygląda równie apetycznie jak wtedy, kiedy przygotował ją po raz pierwszy. Sałata była chrupiąca i świeża, mięso podgrzane do właściwej temperatury, szparagi gorące i polane roztopionym holenderskim serem, wino natomiast miało dokładnie ten głęboki aromat, jakiego oczekiwał.

Jadł powoli. Smaczny posiłek jak zwykle przywracał mu równowagę ducha. Zrobi to, co musi zrobić, a potem będzie całkowicie bezpieczny.

W czwartek, czyli jutro, w sprzedaży znajdzie się najnowszy numer „Newsmakera” zawierający artykuł o nim i o jego pracy. Pozycja i prestiż zawodowy doktora Edgara Highleya wzrosną niepomiernie.

Fakt, że był wdowcem, przemawiał dodatkowo na jego korzyść. Wiedział, co mówią jego pacjentki: „Doktor Highley to prawdziwy geniusz. Jest taki dystyngowany. Ma piękny dom w Parkwood”.

Po śmierci Winifred nie starał się podtrzymywać więzi z jej przyjaciółmi. Czuł, że otacza go mur niechęci. Bez wątpienia przyczyniły się do tego insynuacje rozczarowanego kuzyna. Między innymi z tego powodu przez minione trzy lata nie związał się z żadną kobietą. Wcale nie uważał, że się w jakiś sposób umartwia; praca całkowicie go absorbowowała i dawała wystarczającą satysfakcję. Nie żałował ani jednej minuty, którą jej poświęcił. Nawet najsurowsi krytycy musieli przyznać, że jest dobrym lekarzem, że jego szpital należy do najlepiej wyposażonych w kraju oraz że Koncepcja Macierzyństwa Westlake stanowi wzór godny naśladowania.

- Moim pacjentkom podczas ciąży nie wolno pić ani palić - powiedział dziennikarce „Newsmakera”. - Muszą stosować ściśle określoną dietę. Wiele tak zwanych „niepłodnych” kobiet urodziłoby dzieci, gdyby wykazały takie samozaparcie jak lekkoatleci przygotowujący się do ważnych zawodów. Większość problemów zdrowotnych, z jakimi mamy obecnie do czynienia, w ogóle by nie zaistniała, gdyby ciężarne kobiety nie jadły niewłaściwej żywności i nie przyjmowały szkodliwych leków. Wszyscy przekonaliśmy się, jak wielkie szkody wyrządził thalidomid; wszyscy wiemy, że narkomanki rodzą uzależnione potomstwo; wszyscy wiemy, że dzieci alkoholików są często upośledzone, słabe i rozchwiane emocjonalnie. Co jednak z wieloma innymi przypadłościami, które uważamy za nierozzerwalnie związane z losem człowieka, takimi jak zapalenie oskrzeli, dysleksja, nadpobudliwość, astma, wady słuchu i wzroku? Uważam, że możemy je wyeliminować nie w laboratorium, lecz w kobiecym łonie. Nie zgadzam się prowadzić pacjentek, które nie akceptują moich metod. Mogę pani zaprezentować wiele kobiet, które miały za sobą wiele poronień, a pod moją opieką urodziły zdrowe dzieci. Wiele innych także zaznałoby tej samej radości, gdyby tylko chciały zrezygnować ze

szkodliwych przyzwyczajzeń, szczególnie dotyczących jedzenia i picia. Jeszcze inne z pewnością poczęłyby i urodziły dzieci, gdyby nie były tak rozchwiane psychicznie; zaburzenia emocjonalne działają jak najskuteczniejsze środki antykoncepcyjne, znacznie lepsze od tych, które można kupić w aptekach. Te właśnie przekonania legły u podstaw Koncepcji Macierzyństwa Westlake.

Jego przemowa wywarła na reporterce duże wrażenie. Jednak następne pytanie było zdecydowanie zaczepne.

- Panie doktorze, czy to prawda, że krytykuje się pana za przesadnie wygórowane honoraria?

- To pani użyła tego określenia. Moje honoraria przeznaczam w niewielkiej części na dość skromne życie, a w większości na potrzeby szpitala i rozwój badań prenatalnych.

- Podobno wielu pacjentkom nie udaje się donosić ciąży do końca, chociaż stosują się do wszystkich pańskich zaleceń, a mimo to każda z nich płaci panu dziesięć tysięcy dolarów, nie licząc opłat za pobyt w szpitalu i badania laboratoryjne?

- Byłbym szaleńcem, gdybym twierdził, że potrafię utrzymać każdą zagrożoną ciążę. Owszem, miałem do czynienia z przypadkami samoistnych poronień. Jeśli zdarza się to więcej niż raz, sugeruję pacjentce, by zdecydowała się na adopcję i pomagam w wyborze odpowiedniego dziecka.

- Za opłatą.

- Młoda damo, przypuszczam, że pani także dostaje pieniądze za swoją pracę. Dlaczego nie zrezygnuje pani z pensji i nie odda się wyłącznie służbie społecznej?

To był błąd. Niepotrzebnie zaatakował dziennikarkę, narażając się na to, że będzie próbowała go zdyskredytować, starając się znaleźć jakieś kompromitujące fakty w jego przeszłości. Powiedział jej, że przed poślubieniem Winifred był ordynatorem oddziału położniczego w Liverpoolu, ale

rzecz jasna nie wspomniał ani słowem o szpitalu Jezusa Chrystusa w Devon.

Następne pytanie miało za zadanie zwabić go w pułapkę.

- Doktorze, zdaje się, że przeprowadza pan aborcje?

- Istotnie.

- Czy nie ma w tym żadnej sprzeczności, że jako położnik walczy pan o przetrwanie jednego płodu, by wyeliminować inny?

- Traktuję kobiece łono jako kołyskę. Nie pochwalam aborcji i ogromnie współczuję zrozpaczonym kobietom, które dowiadują się ode mnie, że nigdy nie będą mogły mieć dzieci, ponieważ wcześniej jakiś nieostrożny, nieodpowiedzialny lekarz uszkodził im macicę podczas zabiegu. Myślę, że wszyscy - nie wyłączając moich kolegów lekarzy - byliby zdumieni, jak wiele kobiet pozbawiło się szansy na macierzyństwo, decydując się wcześniej na usunięcie niepożądanego ciąży. Pragnąłbym tego, by wszystkie kobiety rodziły dzieci, które poczęły się w ich łonie, ale jeśli któraś z nich tego nie chce, staram się przynajmniej zapewnić jej możliwość ponownego zajścia w ciążę, kiedy będzie do tego przygotowana.

Wyszedł z tej rozgrywki obronną ręką, gdyż natychmiast wyczuł zmianę nastawienia dziennikarki.

Skończył posiłek, po czym rozparł się wygodnie na krześle i dolał sobie wina. Czuł się silny i pewny siebie. Prawo szybko się zmienia. Za kilka lat bez żadnego ryzyka będzie mógł ujawnić światu swój geniusz. Vangie Lewis, Edna Burns, Winifred, Claire... Wszystkie staną się mało istotnymi pozycjami w tabelach statystycznych. Ślad urwie się i nikomu nie uda się go odszukać.

Przyjrzał się zawartości kieliszka, opóźnił go, dolał sobie wina i natychmiast je wypił. Był zmęczony. Jutro rano miał wykonać cesarskie cięcie - kolejny trudny przypadek, który

utrwali jego reputację. Mimo że ciąża miała trudny przebieg, serce płodu było mocno i bez zakłóceń. Dziecko bezpiecznie przyjdzie na świat. Matka pochodziła z wpływowej rodziny Payne, ojciec zaś, Delano Aldrich, zajmował wysokie stanowisko w Fundacji Rockefellera. Gdyby skandal z Devon miał kiedykolwiek wyjść na jaw wdzięczność takich ludzi może okazać się wręcz bezcenna.

Pozostała tylko jedna przeszkoda. Przyniósł ze szpitala kartę Katie DeMaio. Zacznie teraz przygotowywać drugą, specjalnie spreparowaną, którą udostępni policji po śmierci pacjentki.

Zamiast uzyskanej w trakcie wywiadu informacji o powtarzających się od co najmniej roku obfitych krwawieniach miesięczkowych, napisze, co następuje: „Pacjentka skarży się na pojawiające się samoistnie krwotoki, nie związane z cyklem miesięczkowym”. Zamiast rozpulchnienia ścianek macicy - schorzenia, które likwidowało się zwykłym łyżeczkowaniem - stwierdzi drastyczne zmniejszenie krzepliwości krwi, fałszując dane na temat zawartości hemoglobiny.

Przeszedł do biblioteki. Na biurku leżała przyniesiona ze szpitala teczka podpisana KATHLEEN DEMAIO. Wyjął z szuflady nową teczkę i umieścił na niej nazwisko Katie. Przez następne pół godziny pracował bez przerwy, zaglądając od czasu do czasu do prawdziwej historii choroby, by sprawdzić niektóre fakty. Wreszcie skończył. Jutro weźmie ze sobą do szpitala teczkę ze sfałszowanymi danymi, natomiast do prawdziwej, którą schowa w ściennym sejfie, dopisze kilka zdań.

W poniedziałek wieczorem, 15 lutego, pacjentka miała niegroźny wypadek samochodowy. O drugiej w nocy, pozostając pod działaniem środków nasennych, obserwowana przez okno szpitalnego pokoju lekarza wynoszącego do

samochoodu zwłoki Vangie Lewis. Pacjentka do dzisiaj nie wie, że nie był to senny koszmar, lecz prawda. W wyniku wypadku jest jeszcze obolała, nasiliło się też krwawienie, jednak prędzej czy później odzyska na tyle siły, by dokładnie przeanalizować wydarzenia tamtej nocy. Lekarz nie może do tego dopuścić, gdyż oznaczałoby to poważne zagrożenie dla jego osoby.

W poniedziałek wieczorem pacjentka otrzymała w szpitalu transfuzję. Pod pozorem przygotowywania jej do sobotniego zabiegu lekarz zlecił przeprowadzenie kolejnej transfuzji, zalecając jednocześnie pacjentce, by brała regularnie pastylki zawierające kumadynę.

Zacisnął usta i odłożył pióro. Dokładnie wiedział, w jaki sposób uzupełni zapis w historii choroby.

Pacjentka została przyjęta do szpitala w piątek 19 lutego o godzinie

18.00. Skarżyła się na ogólne osłabienie zawroty głowy. O 21.00 lekarz, wraz z siostrą Renge, stwierdzili silny krwotok. Ciśnienie krwi spadało w szybkim tempie. O 21.45 przeprowadzono zabieg operacyjny.

Pacjentka, Kathleen Noel DeMaio, zmarła o 22.00.

Uśmiechnął się na myśl o tym, że już niedługo zakończy tę nieprzyjemną historię. Starannie zaplanował każdy szczegół, łącznie z wyznaczeniem siostrze Renge dyżuru na noc z piątku na sobotę. Była młoda, mało doświadczona i bardzo się go bała.

Odłożył teczkę do górnej szuflady biurka i poszedł na górę. Położył się do łóżka i spał spokojnie do szóstej rano.

Trzy godziny później w wyniku cesarskiego cięcia przyszedł na świat syn pani Aldrich, doktor Edgar Highley zaś przyjął należne mu, skropione łzami szczęścia podziękowania matki i uradowanego ojca.

Uroczystości pogrzebowe Vangie odbyły się w czwartek o dziesiątej rano w kaplicy domu pogrzebowego w Minneapolis. Chris stał obok rodziców Vangie, a każde ich szlochnięcie odbijało się w jego duszy wzmocnionym echem uderzenia kowalskiego młota. Czy mógł postąpić inaczej? Czy uratowałby ich związek, gdyby wiele lat temu zaprowadził Vangie do poradni małżeńskiej? zaproponował jej to, ona jednak odmówiła.

- Nie potrzebuję żadnych porad - odparta. - I nie próbuj mi bez przerwy wmawiać, że to wszystko moja wina. Jest dokładnie na odwrót. To ty się niczym nie martwisz ani nie przejmujesz. Jeśli któreś z nas ma jakieś problemy, to na pewno ty, nie ja.

Och Vangie, Vangie... Czyżby prawda leżała gdzieś pośrodku? Już bardzo dawno przestał zaprzętać sobie tym głowę.

Jej rodzice zareagowali z oburzeniem na wiadomość, że nie wolno im pochować ciała córki i że muszą odesłać ją z powrotem na wschodnie wybrzeże.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

Była to najlepsza odpowiedź, jakiej mógł im udzielić. Przynajmniej na razie.

Wnętrze kaplicy wypełnił sopranowy głos śpiewaczki.

- O przecudna łasko, tyś radością mą, Zbłądziłam, lecz już odnalazłam drogę swą.

Kilka miesięcy temu, minionego lata, wydawało mu się, że życie jest puste i pozbawione sensu. Wtedy właśnie zaproszono go na to przyjęcie na Hawajach. Była tam Joan. Dokładnie zapamiętał chwilę, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Stała na tarasie otoczona grupą ludzi, którzy słuchali jej i co chwila wybuchali donośnym śmiechem. Ona także się śmiała,

odchylając do tyłu głowę i rozchylając lekko usta. Wziął sobie drinka i przyłączył się do rozbawionej grupy, by nie opuścić Joan aż do dziś.

- ...Oślepiłam, lecz teraz na nowo odzyskałam wzrok.

Gdyby we wtorek wieczorem lekarz sądowy miał jakieś podejrzenia co do sposobu, w jaki zginęła Vangie, z pewnością nie przekazałby ciała rodzinie. Dlaczego teraz zmienił zdanie?

Przypomniawszy sobie telefon od Edny. Czy rozmawiała na ten temat z kimś innym? Czy rzeczywiście miała mu do powiedzenia coś ważnego? Przed wyjazdem z Minneapolis koniecznie musi skontaktować się z doktorem Salemem i dowiedzieć się, dlaczego tak gwałtownie zareagował na wiadomość, że Vangie była w ciąży. Dlaczego chciała zasięgnąć jego porady?

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że w życiu Vangie pojawił się ktoś inny. Może zabiła się w obecności tego człowieka, a on przywiózł jej ciało do domu? Miała mnóstwo okazji do nawiązania romansu. Przecież jej męża nie było w domu przez co najmniej dwa tygodnie w miesiącu. Widocznie poznała kogoś już po przeprowadzce do New Jersey.

Ale czy zdobyłaby się na to, żeby zadać sobie ból?

Nigdy!

Kapłan odmawiał końcową modlitwę:

- ...i kiedy ostatnia łza obeschnie...

Chris przeszedł z rodzicami żony do holu, gdzie przyjaciele Van - gie obecni na ceremonii złożyli im wyrazy współczucia. Rodzice mieli zatrzymać się u krewnych. Ustalili, że ciało powinno zostać poddane w New Jersey kremacji, zaś urnę z prochami należy przewieźć z powrotem do Minneapolis i pochować w rodzinnym grobie.

Wreszcie Chris mógł opuścić dom pogrzebowy. Było kilka minut po jedenastej, kiedy dotarł do klubu sportowego w

centrum Minneapolis, pojechał windą na trzynaste piętro, położył się w solarium, zamówił Krwawą Mary i sięgnął po telefon.

- Mówi mąż Vangie Lewis - przedstawił się, wykręciwszy numer gabinetu doktora Salema. - Czy mogę mówić z panem doktorem? To bardzo pilna sprawa.

- Przykro mi, ale pan doktor poleciał do Nowego Jorku na zjazd Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich - odparła sekretarka. - Wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Chris zastanowił się nad otrzymaną informacją.

- Do Nowego Jorku... Czy może mi pani powiedzieć gdzie się zatrzymał? Niewykluczone, że mimo wszystko będę musiał się z nim skontaktować.

Sekretarka zawahała się przez chwilę.

- Hm... Myślę, że nie będzie miał mi tego za złe. Sam też chciał z panem porozmawiać. Poprosił mnie, żebym zdobyła pański numer telefonu i zabrał ze sobą kartę pańskiej żony. Mieszka w Essex House przy Central Park South, numer wewnętrzny 3219.

Chris wyjął z portfela mały notes i zapisał szybko adres. Część strony była już zajęta. Znajdował się tam adres Edny Burns oraz wskazówki, jak odnaleźć osiedle, w którym mieszkała.

W zwołanym przez Scotta w samo południe zebraniu brały udział te same cztery osoby, które spotkały się w jego pokoju półtorej doby wcześniej, by omówić sprawę śmierci Vangie Lewis.

To zebranie odbywało się jednak w odmiennej atmosferze. Zaraz po wejściu do gabinetu prokuratora okręgowego Katie wyczuła wyraźne napięcie. Maureen siedziała przy ścianie z ołówkiem i notesem w ręku.

- Zjemy lunch tutaj - oznajmił Scott. - O wpół do drugiej muszę iść na rozprawę. Do tego czasu musimy załatwić kapitana Lewisa.

Spodziewała się tego. Scott wziął Chrisa na celownik. Katie spojrzała na Maureen. Dziewczyna była czymś wyraźnie zdenerwowana. To się zaczęło dziś rano, kiedy zleciłam jej to zadanie - pomyślała Katie.

Maureen pochwyciła jej spojrzenie i zdobyła się na coś w rodzaju uśmiechu. Katie skinęła głową.

- Tak, to co zwykle. Dowiedziałaś się czegoś? - dodała pozornie obojętnym tonem.

Maureen zerknęła na Scotta, ale ten przeglądał jakieś dokumenty i nie zwracał na nie uwagi.

- Jeszcze nie. Doktor Fukhito nie jest członkiem ani Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich, ani okręgowej Izby Lekarskiej. Poświęca wiele czasu dzieciom przebywającym w klinice psychiatrycznej w Valley Pines. Muszę jeszcze zadzwonić na Uniwersytet Massachusetts. Studiował tam medycynę.

- Kto ci o tym powiedział? Maureen zawahała się wyraźnie.

- Po prostu wpadło mi to w ucho - odparła wymijająco.

Katie wyczuła nutę nieszczerości w jej głosie, ale zanim zdążyła zadać jeszcze jakieś pytanie, do pokoju weszli razem

Richard, Charley i Phil. Powiedzieli Maureen, co życzą sobie na lunch, po czym zajęli miejsca. Richard usiadł na krześle, które przysunął do Katie. Położył ramię na oparciu jej fotela i dotknął jej karku, po czym przez chwilę masował jego nasadę. Miał silne, ciepłe palce.

- Ależ jesteś spięta! - mruknął.

Scott oderwał wzrok od papierów, odchrząknął i powiedział:

- Dobra, wszyscy już wiecie, że dziecko Vangie Lewis miało wyraźne cechy orientalne. W związku z tym musimy rozważyć dwie ewentualności. Pierwsza - że w obliczu zbliżającego się rozwiązania wpadła w panikę i popełniła samobójstwo. Wiedziała, że nigdy nie uda jej się wmówić mężowi, że to jego dziecko. Druga - że Christopher Lewis dowiedział się o zdradzie żony i zabił ją. Na początek zajmijmy się drugą. Przypuśćmy, że niespodziewanie wrócił do domu w poniedziałek wieczorem. Wybuchła kłótnia. Dlaczego nagle postanowiła wrócić do Minneapolis? Może dlatego, że się go bała? Nie zapominajcie, że nie spodziewała się go tak wcześnie. Gdyby nie awaria samolotu, wyjechałaby na długo przed jego powrotem. Z tego, co dowiedziała się Katie, wynika, że Vangie wybiegła z gabinetu psychiatry niemal ogarnięta paniką.

- Japońskiego psychiatry - przerwała mu Katie. - Poprosiłam Maureen, żeby go dokładnie sprawdziła.

Scott spojrział na nią.

- Sugerujesz, że mogło coś być między nim a Vangie Lewis?

- Na razie jeszcze niczego nie sugeruję. Fakt, że jest Azjata, naturalnie nie świadczy o tym, że Vangie nie znała jakiegoś innego Azjaty, ale powiem wam jedno: kiedy z nim wczoraj rozmawiałam, był spięty jak diabli i dokładnie

zastanawiał się nad każdym słowem. Jestem pewna, że nie udało mi się wydobyć od niego całej prawdy.

- W takim razie przejdźmy do Edny Burns. I jak, Richardzie? Upadła czy została popchnięta?

Richard wzruszył ramionami.

- Nie możemy wykluczyć upadku. Miała dwa i pół promila alkoholu we krwi. Była pijana jak bela, a w dodatku dużo ważyła.

- Kiedyś słyszałam, że pijani i dzieci przewracają się, nie robiąc sobie żadnej krzywdy - zauważyła Katie.

Richard pokręcił głową.

- Może to prawda, jeśli chodzi o złamania, ale nie wtedy, kiedy uderzasz głową w metalowy przedmiot o ostrych krawędziach. Mówiąc krótko: jeśli nikt się nie przyzna do zamordowania Edny, nigdy nie uda nam się tego nikomu udowodnić.

Scott nie dawał za wygraną.

- Czyli jednak dopuszczasz możliwość, że została zamordowana?

- Jak najbardziej.

- Jednocześnie słyszano, jak Edna mówi Chrisowi Lewisowi o jakimś „Pięknym Księżciu”... - powiedziała powoli Katie. Natychmiast pomyślała o przystojnym psychiatrze. Czy ktoś taki jak Edna mógłby nazwać go Pięknym Księżciem? Czy Edna zadzwoniłaby po śmierci Vangie do jej męża, by powiedzieć mu, że jego żona miała romans? - Nie wierzę w to - stwierdziła stanowczo.

Mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- W co nie wierzysz? - zapytał Scott.

- Nie wierzę, żeby Edna była okrutna. Wiem, że to nieprawda. Nie sądzę, żeby zadzwoniła do Chrisa Lewisa tylko po to, by poinformować go o zdradzie tragicznie zmarłej żony.

- Może zrobiło jej się go żal? Może nie chciała, żeby zanadto pograżył się w rozpacz? - zasugerował Richard.

- Albo po prostu chciała zarobić parę dolców - odezwał się Charley. - Może Vangie wyznała jej coś w poniedziałek, a Edna dowiedziała się potem o ich kłótni. Była biedna jak mysz kościelna. Nie spłaciła jeszcze wszystkich rachunków za leczenie rodziców, którzy umarli kilka lat temu. Być może doszła do wniosku, że nie zaszkodziłoby trochę przycisnąć kapitana Lewisa i zagroziła mu, że pójdzie na policję.

- Powiedziała tylko, że ma coś do powiedzenia policji - zaprotestowała Katie. - Tak zeznała żona dozorca.

- W porządku - wtrącił się Scott. - A co z domem Lewisów? Znaleźliście coś?

Charley wzruszył ramionami.

- Na razie niewiele. Przy telefonie w kuchni był zapisany jakiś numer zaczynający się na 621. Wiemy, że to nie jest numer jej rodziców. Mamy zamiar tam zadzwonić. Może Vangie rozmawiała z jakąś przyjaciółką i zdradziła choć część swoich planów? Oprócz tego stwierdziliśmy, że rozdarła sukienkę o trzonek szpadła sterczący z półki w garażu.

- Jaką sukienkę? - zainteresował się Scott.

- Tę, w której ją znaleźliśmy. Przecież pamiętasz: długa, w egzotyczne wzory.

- Gdzie jest teraz jej ubranie? - zapytał Scott Richarda.

- Prawdopodobnie w laboratorium. Zostało poddane rutynowym badaniom.

Scott wziął do ręki notes, który otrzymał od Charleya, i rzucił go Katie.

- Spróbuj tam zadzwonić. Jeśli to kobieta, może uda ci się coś z niej wyciągnąć.

Katie wykręciła numer. - Gabinet doktora Salema, słucham? - usłyszała uprzejmy głos.

- To gabinet lekarza! - szepnęła, zasłoniwszy mikrofon dłonią, a następnie powiedziała normalnym głosem: - Może będzie mi pani mogła pomóc. Nazywam się Kathleen DeMaio, jestem zastępcą prokuratora z okręgu Valley w New Jersey. Prowadzimy rutynowe dochodzenie w sprawie śmierci pani Vangie Lewis. W trakcie przeszukania domu znaleźliśmy w jej notesie numer doktora...

- Och, co za przypadek - przerwała jej sekretarka doktora Salema. - Przed chwilą rozmawiałam z kapitanem Lewisem. On też chce skontaktować się z panem doktorem. Powiedziałam mu, że doktor Salem jest teraz w Nowym Jorku, na zjeździe Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich. Znajdzie go pani w Essex House przy Central Park South.

- Wspaniale. Bardzo dziękuję - powiedziała Katie, po czym zapytała, tknięta nagłą myślą: - Czy wie pani coś o ostatnim telefonie od pani Lewis? Rozmawiała z doktorem Salemem?

- Nie, tylko ze mną. Zadzwoiła w poniedziałek i bardzo się zmartwiła na wiadomość, że będzie mógł ją przyjąć dopiero we środę. Zapisałam ją, choć właściwie nie było już wolnej godziny, bo odniosłam wrażenie, że szalenie jej na tym zależało.

- Jeszcze jedno pytanie: jaką specjalność ma doktor Salem?

- Jest znakomitym położnikiem i ginekologiem - odparła z dumą sekretarka.

- Rozumiem. Ogromnie pani dziękuję. Bardzo nam pani pomogła. Katie odłożyła słuchawkę i powtórzyła rozmowę mężczyznom.

- Chris Lewis wiedział o wizycie, a teraz koniecznie chce porozmawiać z doktorem Salemem - mruknął Scott. - Nie mogę się doczekać naszego wieczornego spotkania. Będę miał mu do zadania mnóstwo pytań.

Rozległo się pukanie do drzwi, a zaraz potem, nie czekając na odpowiedź, do pokoju weszła Maureen. Niosła specjalną tekturową tackę z otworami na kubki oraz torbę wypełnioną kanapkami.

- Katie, właśnie dzwonią z Bostonu w sprawie doktora Fukhito - powiedziała. - Chcesz sama porozmawiać?

Katie skinęła głową, a Richard sięgnął do aparatu stojącego na biurku i podał jej słuchawkę. Czekając na przełączenie rozmowy Katie zdała sobie sprawę, że cały czas boli ją głowa. Uderzenie w kierownicę nie było na tyle silne, by wywołać jakieś groźne skutki, ale pozostawiło po sobie lekką dolegliwość. Zdaje się, że nadal nie działają mi wszystkie cylindry - pomyślała. Tak wiele spraw zaprzętało jej umysł. Chyba chciała sobie coś przypomnieć, ale co? Coś. Jakieś ulotne wrażenie.

Przedstawiła się i uzyskała połączenie z szefem spraw osobowych Uniwersytetu Massachusetts. Mężczyzna mówił powoli, jakby nie był zachwycony, że musi udzielać tych informacji.

- Owszem, doktor Fukhito ukończył studia jako jeden z najlepszych na roku. Odbił staż w uniwersyteckim szpitalu, a potem podjął w nim pracę, jednocześnie prowadząc prywatną praktykę. Odszedł siedem lat temu.

- Dlaczego? - zapytała Katie. - Proszę pamiętać, że chodzi o oficjalne śledztwo. Wszystkie informacje będą otoczone ścisłą tajemnicą, ale musimy wiedzieć, czy w przeszłości doktora Fukhito jest coś, co mogłoby nas w jakiś sposób zainteresować.

Mężczyzna zawahał się, po czym powiedział:

- Siedem lat temu doktor Fukhito został poproszony o złożenie rezygnacji. Jednocześnie na okres jednego roku cofnięto mu pozwolenie na prowadzenie prywatnej praktyki

na terenie stanu Massachusetts. Sąd uznał go za winnego naruszenia zasad etyki lekarskiej.

- O co był oskarżony?

- Jedna z jego pacjentek zarzuciła mu, że wykorzystując jej fatalny stan psychiczny po niedawnym rozwodzie, podczas seansów terapeutycznych skłaniał ją do współżycia seksualnego, w wyniku czego zaszła w ciążę i urodziła dziecko.

Molly buszowała po kuchni, ciesząc się, że wszystkie dzieci znowu poszły do szkoły. Nawet dwunastoletnia Jennifer poczuła się rano wystarczająco dobrze; wręcz błagała o to, by pozwolono jej wyjść z domu.

- Jak już się przy czymś uprzesz, to jesteś tak samo nieznośna jak Katie - stwierdziła Molly. - No już dobrze, dobrze. Ale jest za zimno, żebyś szła na piechotę. Odwiozę cię samochodem.

Bill wybierał się do Nowego Jorku dopiero po południu. Miał zamiar wziąć udział w jednym z seminariów organizowanych podczas zjazdu Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich. Siedział teraz przy kuchennym stole, popijając kawę, Molly szatkowała jarzyny, oboje zaś rozkoszowali się rzadką możliwością spędzenia kilku chwil na spokojnej pogawędce.

- Jestem pewna, że Katie, Richard i Berkeleyowie przypadną sobie nawzajem do gustu. Jim Berkeley jest bardzo inteligentny, a w dodatku ma poczucie humoru. Jak to się dzieje, że wszyscy ludzie pracujący w przemyśle reklamowym są tak bardzo interesujący?

- To dlatego że zawodowo zajmują się sprzedażą słów - odparł Bill. - Choć spotkałem już wielu takich, od których nigdy bym niczego nie kupił.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Molly, zajęta własnymi myślami. - Mam tylko nadzieję, że Liz nie będzie przez cały wieczór opowiadała o dziecku. Na szczęście chyba już zaczęło jej to mijać. Kiedy ostatnio rozmawiałam z nią przez telefon, poświęciła zaledwie dwadzieścia minut opowiadaniu o ostatnim popisie Maryanny... Nawiasem mówiąc polegał na opluciu owsianką całej kuchni. Czyż to nie urocze?

- Gdyby to było twoje pierwsze dziecko, na które w dodatku czekałaś piętnaście lat, zachowywałabyś się

dokładnie w taki sam sposób. Zdaje się, że kiedy urodziła się Jennifer, zapisywałaś w dzienniczku każde jej mrugnięcie.

Molly przystąpiła do krojenia selera w plasterki.

- Pamiętam, jak z okazji przyjścia na świat bliźniaczek twoja ciotka podarowała mi podręcznik opieki nad dziećmi. Zdaje się, że nawet go nie rozpakowałam... W każdym razie myślę, że będzie przyjemnie. Nawet jeśli Liz zacznie paplać o dziecku, to może da to trochę do myślenia Katie i Richardowi.

Bill uniósł brwi.

- Molly, jesteś subtelna jak młot pneumatyczny. Lepiej przestań ich ku sobie napędzać, bo doprowadzisz do tego, że zaczną się unikać.

- Bzdura. Nie zauważyłaś, jak patrzą na siebie? Myślę, że na coś się zanosi. Wczoraj wieczorem Richard zadzwonił, żeby zapytać, czy Katie jest u mnie, a potem chciał wiedzieć, co się z nią dzieje. Szkoda, że nie słyszałaś, jaki był zaniepokojony. Powiadam ci, że on za nią szaleje, ale jest na tyle mądry, żeby tego nie okazać, bo mógłby ją spłoszyć.

- Powiedziałaś mu o zabiegu?

- Nie. Parę dni temu Katie okropnie na mnie wsiadła, kiedy zapytałam ją, czy on o tym wie. Wydaje mi się, że teraz nie powinno robić się tajemnic z takich rzeczy. Mogłaby mu powiedzieć: „Słuchaj, mam taki sam problem jak moja matka, która musiała co kilka lat poddawać się zabiegowi”. Biedny chłopak zamartwia się na śmierć, że to coś poważnego. Nie wydaje mi się, żeby na to zasługiwał.

Bill wstał, podszedł do zlewozmywaka, opłukał filiżankę i spodeczek, po czym wstawił je do zmywarki.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak boleśnie Katie odczuła utratę dwóch mężczyzn, których kochała i darzyła bezgranicznym zaufaniem: waszego ojca, kiedy miała osiem lat, i Johna, kiedy miała dwadzieścia cztery lata. Przypomina mi to ostatnią scenę z „Przeminęło z wiatrem”, kiedy Rett

mówi do Scarlett: „Dałem ci moje serce, a ty je złamałaś. Potem dałem je Bonnie, i ona też mi je złamała. Nie zaryzykuję po raz trzeci”. Na tym właśnie polega problem Katie. Mówiąc poważnie, wydaje mi się, że powinna sama się z tym uporać. Na pewno jej nie pomoże, jeśli będziesz się nad nią unosić jak gołębica. Mnie także sprawiłoby ogromną radość, gdybym zobaczył ją z Richardem Carrollem. Byłby dla niej bardzo dobry.

- A poza tym grywa z tobą w golfa - wtrąciła Molly. Bill skinął głową.

- To także wziąłem pod uwagę. - Wziął do ręki skrawek selera i zaczął się nim bawić. - Pozwolisz, że udzielę ci pewnej rady? Jeśli Katie nie chce mówić Richardowi o zabiegu, nie rób tego za nią. To byłoby nieuczciwe. Jeżeli rzeczywiście zależy mu na niej, prędzej czy później da jej to jednoznacznie do zrozumienia. Poznałaś ich ze sobą, a teraz...

- A teraz zmykaj - uzupełniła Molly z głębokim westchnieniem.

- Coś w tym rodzaju. Jutro wieczorem, kiedy Katie pojedzie do szpitala, zabieram cię do Metropolitan Opera. Kilka miesięcy temu udało mi się zarezerwować bilety na „Otella” i nie mam zamiaru ich stracić. Oczywiście w sobotę rano pojedziesz ją odwiedzić, ale nic jej się nie stanie, jeśli w piątek będzie miała okazję pomyśleć, jak by to było dobrze mieć kogoś u swego boku.

- Ma sama pojechać do szpitala? - zaprotestowała Molly.

- Zupełnie sama - odparł stanowczo Bill. - Jest już dużą dziewczynką.

Zadzwonił telefon.

- Mam nadzieję, że to nie pielęgniarka ze szkoły z informacją, że któreś z dzieci znowu zachorowało! - mruknęła Molly. Jej „Słucham?” było co najmniej nieufne, ale zaraz potem w jej głosie pojawiła się autentyczna troska. - Jak się

masz, Liz! Tylko mi nie mów, że nie przyjdiesz dzisiaj wieczorem... - Słuchała przez chwilę. - Na litość boską, to zabierzcie ją ze sobą! Macie przecież nosidełko... Oczywiście, położymy ją w naszym pokoju i wszystko będzie w porządku... Jasne, że nie mam nic przeciwko temu. Jeśli się obudzi, zniesiemy ją na dół i zaprosimy do stołu. Będzie znowu tak jak za dawnych czasów... Świetnie. Do zobaczenia o siódmej. Odłożyła słuchawkę.

- Opiekunka, którą zawsze biorą do dziecka, nie może dzisiaj przyjść, a Liz boi się zostawić małą z kimś obcym, więc wezmą ją ze sobą.

- Znakomicie. - Bill zerknął na ścienny zegar. - Chyba powinienem już iść. Zrobiło się późno. - Pocałował żonę w policzek. - Przestanieś martwić się o swoją małą siostrzyczkę?

Molly przygryzła wargę.

- Nie mogę. Mam dziwne przeczucie, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

Po powrocie do biura Richard przez długi czas stał bez ruchu, wpatrując się w okno. Widok był trochę lepszy od tego, jaki Scott miał z okna swego pokoju, gdyż obejmował także skrawek miniaturowego parku położonego między budynkiem sądu a północno - wschodnim narożnikiem więzienia. Nie bardzo zdając sobie sprawę, z tego co widzi, Richard przyglądał się płatkom mokrego śniegu osiadającym na zmarzniętej trawie.

Wspaniała pogoda - pomyślał i zerknął w niebo. Nadciągały ciężkie, śniegowe chmury. Ciało Vangie Lewis miało przylecieć do Newark samolotem, który wystartował z Mirineapolis o drugiej trzydzieści. O siódmej zostanie odebrane z lotniska i przewiezione do kostnicy. Jutro zbada je ponownie, choć raczej nie spodziewał się znaleźć nic nowego. Był pewien, że nie miała żadnych siniaków, ale wciąż nie dawało mu spokoju coś, co zauważył na jej lewej stopie albo nodze, a co pochopnie uznał za mało istotne.

Odsunął od siebie te myśli. Przed ponownymi oględzinami żadne spekulacje nie miały sensu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Vangie była osobą łatwo ulegającą emocjom. Czy mogła zostać pchnięta do samobójstwa przez doktora Fukhito? Jeśli nosiła jego dziecko, to Japończyk z pewnością wpadł w panikę. Druga afera tego samego rodzaju oznaczałaby nieodwołalnie koniec jego lekarskiej kariery.

Z kolei Chris Lewis miał przyjaciółkę, co już samo w sobie stanowiło wystarczający powód, by marzyć o pozbyciu się żony. Może dowiedział się o związku Vangie z psychiatrą? Nie powiedziała nawet rodzicom, że zamierza przylecieć do Minneapolis. Może chciała urodzić dziecko przy pomocy tamtejszego położnika i przemilczeć całą sprawę? Jeżeli zależało jej na utrzymaniu małżeństwa, mogłaby powiedzieć, że poroniła, a jeśli uświadomiła sobie, że rozwód jest

nieuchronny, tym bardziej powinno jej zależeć na ukryciu jednoznacznego dowodu świadczącego o jej niewierności.

Każda wersja wydawała się równie mało prawdopodobna.

Richard westchnął ciężko, usiadł przy biurku, włączył interkom i poprosił Marge do gabinetu. Kiedy wrócił od Scotta, była akurat na lunchu, w związku z czym nie miał okazji odebrać wiadomości, które napłynęły podczas jego nieobecności.

Sekretarka weszła z plikiem kartek w dłoni.

- Właściwie nie było nic ważnego - poinformowała go. - Aha, zaraz po pańskim wyjściu dzwonił jakiś doktor Salem. Poprosił o połączenie z lekarzem sądowym, a potem zapytał, czy przeprowadzał pan sekcję zwłok Vangie Lewis. Powiedziałam mu, że to pan jest lekarzem sądowym i że przeprowadził ją pan osobiście. Doktor Salem właśnie wsiadał do samolotu w Minneapolis, ale poprosił, żeby około piątej zadzwonił pan do niego do Essex House w Nowym Jorku. Odniosłam wrażenie, że bardzo mu zależy na rozmowie z panem.

Richard gwizdnął bezgłośnie.

- Na pewno nie tak, jak mnie na rozmowie z nim.

- Dostaliśmy też dane dotyczące pacjentek oddziału położniczego szpitala Westlake. W ciągu ośmiu lat od zapoczątkowania Koncepcji Macierzyństwa Westlake, przy porodzie lub w wyniku zatrucia ciążowego zmarło szesnaście kobiet.

- Szesnaście?

- Tak jest, szesnaście. Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że ogólna liczba pacjentek była bardzo duża. Doktor Highley cieszy się opinią znakomitego specjalisty. Wiele jego dokonań graniczy niemal z cudem, a wszystkie zmarłe kobiety były wcześniej ostrzegane przez innych lekarzy, że zajście w ciążę oznacza dla nich poważne ryzyko.

- Chciałbym przyjrzeć się dokładniej tym przypadkom... - mruknął Richard. - Ale jeśli Scott zażąda oficjalnie udostępnienia wszystkich danych, wtedy wszyscy wzmogą czujność, a tego wolałbym uniknąć. Masz coś jeszcze?

- Być może. Przez tych osiem lat dwie osoby wniosły oskarżenia przeciwko doktorowi Highleyowi, ale oba zostały oddalone, natomiast kuzyn jego żony poinformował prokuraturę, że nie jest prawdą, jakoby Winifred Westlake umarła na atak serca. Prokuratora zasięgnęła opinii jej lekarza, który stwierdził kategorycznie, że kuzyn postradał zmysły. Okazało się, że przed pojawieniem się na horyzoncie doktora Highleya był jedynym prawnym spadkobiercą pani Westlake, więc prawdopodobnie dlatego próbował się awanturować.

- Jak się nazywa lekarz Winifred Westlake?

- Alan Levine.

- To znakomity internista - zauważył Richard. - Będę musiał z nim porozmawiać.

- A co z tymi, którzy wnieśli oskarżenia przeciwko doktorowi Highleyowi? Chce pan znać ich nazwiska?

- Owszem.

- Tak właśnie pomyślałam. Proszę, oto one.

Marge podała mu kartkę, na której zapisała dwa nazwiska wraz z adresami. Anthony Caldwell, Old Country Lane, Peapack, New Jersey, oraz Anna Horan, Walnut Street 415, Ridgefield Park, New Jersey.

- Świetnie się spisałaś, Marge. Skinęła głową.

- Wiem o tym - odparła z satysfakcją.

- Scott jest teraz na rozprawie. Zadzwoń do jego sekretarki i poproś, żeby skontaktował się ze mną, jak wróci do biura. Aha, zawiadom też laboratorium, żeby jeszcze dzisiaj skończyli badanie ubrania Vangie Lewis. Będzie mi jutro potrzebne.

Marge wyszła z pokoju, a Richard zajął się papierami leżącymi na biurku.

Scott zadzwonił dopiero po czwartej. Informacja o tym, że Richard postanowił porozmawiać z osobami, które na przestrzeni ostatnich ośmiu lat wniosły oskarżenia przeciwko doktorowi Highleyowi, nie wywarła na nim większego wrażenia.

- Posłuchaj, w dzisiejszych czasach każdy lekarz, bez względu na to, kim jest, ma do czynienia z takimi rzeczami. Gdyby żył doktor Schweitzer, też pewnie musiałby się bronić jak w środku dżungli. Ale jeśli masz ochotę się tym zająć, to proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Kiedy będziesz gotowy, zażądamy wglądu w historie chorób pacjentek. Trochę mnie niepokoi ta wysoka śmiertelność, ale przecież Highley zajmuje się ciężami wysokiego ryzyka. - Scott umilkł na chwilę, a kiedy odezwał się ponownie, jego głos wyraźnie się pogłębił. - Najbardziej interesuje mnie to, co ma do powiedzenia doktor Salem. Pogadaj z nim, a potem przyjeźdź do mnie i razem zastanowimy się, co dalej robić. Mówiąc między nami, zanoszą się na to, że będziemy musieli przedstawić kapitanowi Lewisowi wszystkie poszlaki świadczące przeciwko niemu, żeby zmusić go do mówienia. Nie wiemy, co robił w poniedziałek wieczorem, kiedy umarła jego żona. Wiemy, że Edna Burns dzwoniła do niego we wtorek wieczorem. Wiemy, że od dziewiątej był sam w domu, więc mógł bez żadnego problemu wsiąść w samochód i pojechać do niej. Ma smykałkę do techniki, a Charley powiedział mi, że widział u niego w garażu mnóstwo skomplikowanych narzędzi. Kiedy Edna rozmawiała z nim przez telefon, była już niemal zupełnie pijana. Tak twierdzi żona dozorca. Przypuśćmy, że pojechał do niej, otworzył zamek, wszedł do środka i pchnął ją na grzejnik, zanim zdążyła się zorientować co się z nią dzieje. Szczerze mówiąc,

wydaje mi się, że tak właśnie było. Zapytamy go o to dziś wieczorem.

- Może masz rację - odparł Richard. - Ja jednak mimo wszystko skontaktuję się z tymi ludźmi.

Złapał doktora Levine'a kiedy ten już wychodził z gabinetu.

- Postawię panu drinka - zaproponował. - To nam zajmie nie więcej niż piętnaście minut.

Umówili się w Parkwood Country Club. Oprócz tego, że znajdował się niemal dokładnie w połowie drogi między nimi, klub ten miał jeszcze jedną zaletę: w tygodniu był prawie zupełnie pusty. Będą mogli porozmawiać spokojnie przy barze, nie obawiając się, że zostaną podsłuchani albo że spotkają kogoś znajomego.

Alan Levine wyglądał jak pięćdziesięciopięcioletni Jimmy Stewart, co zyskiwało mu sympatię nieco starszych pacjentek. Lubił spotykać się przy szklaneczce z innymi profesjonalistami, zamienić z nimi kilka słów lub od czasu do czasu zagrać w golfa.

Richard przeszedł od razu do sedna sprawy.

- Z różnych powodów interesujemy się ostatnio szpitalem Westlake. Winifred Westlake była pańską pacjentką. Jej kuzyn sugerował prokuraturze, że wbrew pozorom nie umarła na atak serca. Co pan może powiedzieć na ten temat?

Alan Levine zacisnął usta, spojrzał Richardowi w oczy, pociągnął łyk martini, przeniósł wzrok na zaśnieżone pole golfowe rozciągające się za zajmującym całą ścianę oknem, po czym odparł:

- Udzielę panu dość złożonej odpowiedzi - oświadczył. - Po pierwsze: tak, Winifred była moją pacjentką. Przez wiele lat miała wszystkie objawy świadczące o wrzodzie dwunastnicy, choć prześwietlenia nigdy nie wykazały jego obecności. Przy każdym zaostrzeniu robiłem jej

prześwietlenie, które nieodmiennie dawało wynik negatywny, po czym zalecałem stosowanie ścisłej diety, co przynosiło niemal natychmiastowe rezultaty.

Rok przed poślubieniem Highleya miała ostry niezbyt żołądka i jelit, który spowodował wyraźne zmiany w EKG. Położyłem ją do szpitala z podejrzeniem zawału serca, ale po dwóch dniach elektrokardiogram wrócił do normy.

- A więc miała kłopoty z sercem czy nie? - zapytał Richard.

- Wydawało mi się, że nie, bo standardowe badania niczego nie wykazały. Jest jednak faktem, że jej matka zmarła na zawał serca w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, Winifred zaś miała w chwili śmierci pięćdziesiąt dwa lata. Była starsza od Highleya o mniej więcej dziesięć lat. Jakiś czas po ślubie zaczęła mnie odwiedzać coraz częściej, skarżąc się na bóle w klatce piersiowej. Badania nie wykazały żadnych istotnych zmian, więc kazałem jej tylko przestrzegać diety.

- A potem nastąpił ten fatalny atak? Internista skinął głową.

- Tak, przy kolacji. Highley natychmiast zadzwonił do szpitala, kazał im wezwać mnie i policję. Z tego, co wiem, Winifred zasłała przy stole w jadalni.

- Był pan przy jej śmierci?

- Owszem. Highley próbował ją reanimować, ale nie miał żadnych szans. Umarła kilka minut po moim przyjeździe.

- I jest pan całkowicie pewien, że to był atak serca? Levin zawahał się przez chwilę.

- Przez kilka lat odczuwała bóle w klatce piersiowej. Nie wszystkie schorzenia serca powodują zmiany w EKG. Miała także wysokie ciśnienie krwi. Nie ulega żadnej wątpliwości, że choroby serca mogą być dziedziczne. Tak, wtedy nie miałem żadnych wątpliwości.

- Wtedy? - podchwycił Richard.

- Przez te trzy lata nie dawała mi spokoju absolutna pewność jej kuzyna, że śmierć Winifred nie była spowodowana czynnikami naturalnymi. Kiedy przyszedł do mnie i niemal oskarżył wprost o sfałszowanie historii choroby, po prostu wyrzuciłem go z gabinetu. Wziąłem go za zawiedzionego krewnego, który ma pretensję o to, że został pozbawiony spadku przez obcego faceta. Wiem jednak, że Glenn Nickerson jest porządnym człowiekiem. Jest teraz trenerem w Parkwood, gdzie uczą się moje dzieci. Wprost szaleją za nim. Ma rodzinę, udziela się w kościele i w radzie miejskiej, i wcale nie przypomina kogoś, kto wściekłby się z powodu jakiegoś spadku, który przeszedł mu koło nosa. Poza tym z pewnością spodziewał się, że Winifred zapisze cały majątek mężowi. Miała zupełnego hopla na punkcie Highleya. Nigdy nie mogłem jej zrozumieć. Dla mnie to najbardziej drętwy gość, jakiego w życiu widziałem.

- Domyślam się, że niezbyt pan go lubi? Alan Levine opróżnił do końca swoją szklankę.

- Wcale go nie lubię. Czytał pan ten artykuł w „Newsmakerze”? Ukazał się właśnie dzisiaj. Zrobili z niego coś w rodzaju bożka. Teraz stanie się jeszcze bardziej nieznośny. Muszę jednak przyznać, że jest bardzo dobrym lekarzem.

- Na tyle dobrym, żeby za pomocą środków chemicznych wywołać atak serca u żony?

Doktor Levine spojrzał prosto na Richarda.

- Jeśli mam być zupełnie szczery, to bardzo żałuję, że nie zażądałem wtedy przeprowadzenia sekcji zwłok.

Richard poprosił barmana o rachunek.

- Ogromnie mi pan pomógł. Internista wzruszył ramionami.

- Wątpię. Do czego może się wam to przydać?

- Przynajmniej będę wiedział, o co pytać parę osób, z którymi muszę porozmawiać. A potem... Kto wie?

Rozstali się przy wyjściu z baru. Richard wyjął z kieszeni drobne, wszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer Essex House w Nowym Jorku.

- Chciałbym rozmawiać z doktorem Emmetem Salemem. Rozległ się sygnał, potem drugi i trzeci. Po szóstym ponownie odezwała się telefonistka.

- Przykro mi, ale nikt się nie zgłasza.

- Jest pani pewna, że doktor Salem już przyjechał?

- Tak, proszę pana. Zostawił wiadomość, że spodziewa się ważnego telefonu i poprosił, żeby go na pewno połączono. To było jakieś dwadzieścia minut temu, ale wygląda na to, że zmienił zdanie, bo w jego pokoju nikt nie podnosi słuchawki.

Po wyjściu z pokoju Scotta Katie poprosiła do siebie Ritę Castile, by razem z nią zająć się przygotowywaniem materiału dowodowego do zbliżających się rozpraw. - Ten napad z bronią w rękę na 28 Ulicy, gdzie sprawca następnego dnia kazał obciąć sobie włosy... Będą nam potrzebne zeznania fryzjera. Nic dziwnego, że świadkowie nie mogli zidentyfikować gagatka. Co prawda założyliśmy mu perukę, ale i tak nie wyglądał tak samo.

- Dobra. - Rita przepisała sobie adres fryzjera. - Wielka szkoda, że nie możesz poinformować sądu o dotychczasowych dokonaniach Bentona.

- Cóż robić - westchnęła Katie. - Takie jest prawo. Mam tylko nadzieję, że kiedyś przestanie służyć głównie chronieniu przestępców. To na razie wszystko, co mam dla ciebie, ale w weekend nie przyjdę do pracy, więc w przyszłym tygodniu będziemy miały prawdziwe urwanie głowy. Przygotuj się na to.

- Naprawdę nie przyjdiesz? - zapytała Rita unosząc brwi.
- Najwyższa pora. Już od kilku miesięcy nie miałaś wolnego weekendu. Przynajmniej pojedź w jakieś miłe miejsce i baw się dobrze.

- Nie wiem, jak będzie z tą dobrą zabawą - odparła Katie z uśmiechem. - Aha, jeszcze jedno. Wydaje mi się, że Maureen jest czymś przygnębiona. Nie chciałabym wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale może wiesz, co się stało? Czyżby jeszcze nie mogła dojść do siebie po zerwaniu zaręczyn?

Rita pokręciła głową.

- Nie, skądże znowu. To była zwykła dziecinada i ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wiesz, prowadzenie się za rączki po lekcjach, zaręczyny na balu maturalnym... Latem oboje zrozumieli, że nie są jeszcze gotowi do

małżeństwa. On jest teraz w college'u, więc nawet nie mają okazji się widywać.

- O co więc chodzi?

- O żal - odparła po prostu Rita. - Tuż przed rozstaniem stwierdziła, że jest w ciąży i zdecydowała się ją usunąć. Jest przytłoczona poczuciem winy. Powiedziała mi, że dziecko śni jej się po nocach, że próbuje je znaleźć, ale nie może. Teraz zrobiłaby wszystko, żeby tylko je urodzić, nawet gdyby miała oddać je do adopcji.

Katie doskonale pamiętała jak bardzo chciała zająć w ciążę i z jaką wściekłością zareagowała, kiedy po śmierci Johna ktoś powiedział, że i tak miała dużo szczęścia, bo nie została sama z dzieckiem.

- Życie jest zupełnie bez sensu - zauważyła. - W ciążę zachodzą nie te kobiety, które powinny, a potem popełniają błąd, z którym nie mogą się pogodzić do końca życia. Ale teraz przynajmniej rozumiem, czemu jest taka ponura. Dziękuję, że mi powiedziałaś. Bałam się, że uraziłam ją w jakiś sposób.

- Skądże znowu. - Rita zgarnęła z biurka teczkę ze sprawami, które przydzieliła jej Katie. - Dobra, zajmę się nakazami i poszukam fryzjera.

Kiedy wyszła z pokoju, Katie odchyliła się do tyłu w fotelu. Miała wielką ochotę porozmawiać jeszcze raz z Gertrudą Fitzgerald i Ganą Krupshak. Pani Fitzgerald i Edna były dobrymi przyjaciółkami; często wychodziły razem na lunch. Z kolei pani Krupshak nieraz zaglądała wieczorem do mieszkania Edny. Może Edna powiedziała którejś z nich coś o doktorze Fukhito i Vangie Lewis? W każdym razie warto było spróbować.

Zadzwoiła do szpitala Westlake, gdzie dowiedziała się, że pani Fitzgerald jest w domu na zwolnieniu lekarskim. Poprosiła o podanie jej numeru. Kiedy usłyszała w słuchawce

słaby, drżący głos, natychmiast zorientowała się, że Gertrude jeszcze nie doszła do siebie po ostatnich przeżyciach.

- Mam okropny atak migreny, pani DeMaio - wyjaśniła Gertrude. - Nic dziwnego. Kiedy tylko przypomnę sobie jak wyglądała biedna Edna...

- Chciałam zaproponować, żebyśmy spotkały się albo u mnie w biurze, albo u pani w domu, ale dzisiaj cały dzień będę zajęta w sądzie, więc myślę, że zaczekamy z tym do poniedziałku. Na razie mam do pani tylko jedno pytanie. Czy Edna kiedykolwiek nazwała któregoś z lekarzy Pięknym Księciem?

- Pięknym Księciem? - powtórzyła z niedowierzaniem Gertrude Fitzgerald. - Pięknym Księciem? Mój Boże, doktora Highleya albo doktora Fukhito? Dlaczego ktokolwiek miałby mówić o nich w ten sposób?

- Och, to nic takiego. Po prostu coś mi przyszło na myśl.

Katie pożegnała się i wykręciła numer pani Krupshak. Telefon odebrał dozorca, który poinformował ją, że żona wyszła i powinna wrócić około piątej.

Katie zerknęła na zegarek; dochodziła czwarta trzydzieści.

- Czy myśli pan, że miałaby mi za złe, gdybym w drodze do domu wstąpiła na chwilę, żeby zamienić kilka słów? Obiecuję, że to nie potrwa długo.

- Jak pani chce - odparł mężczyzna, po czym dodał: - A co z mieszkaniem tej Burns? Kiedy będzie wolne?

- Nikt nie może tam wchodzić bez zgody prokuratora okręgowego! - powiedziała ostro Katie, po czym odłożyła słuchawkę, spakowała dokumenty do teczki i założyła płaszcz. Porozmawia chwilę z panią Krupshak, a potem pojedzie do domu, żeby się przebrać. Nie będzie siedziała długo u Molly. Chciała się porządnie wyspać przed zabiegiem. Wiedziała, że w szpitalu na pewno jej się to nie uda.

Udało jej się zdążyć przed wieczornym szczytem. Kiedy zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej pani Krupshak.

- Zupełnie jakbyśmy się umówiły! - wykrzyknęła żona dozorca. Wstrząs wywołany odnalezieniem ciała Edny już dawno minął i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kobieta jest podekscytowana atmosferą towarzyszącą policyjnemu śledztwu. - Dzisiaj miałam dobry dzień - dodała. - Kiedy opowiedziałam przyjaciółkom co się stało, karty zaczęły sypać im się z rąk!

Biedna Edna - pomyślała Katie, ale natychmiast uświadomiła sobie, że Edna byłaby zachwycona wiadomością o tym, że stała się obiektem powszechnego zainteresowania.

Pani Krupshak zaprosiła Katie do obszernego pokoju w kształcie litery L, stanowiącego połączenie kuchni i salonu. Rozkład mieszkania był identyczny jak w segmencie Edny. Jednak w living roomie Edny stała staromodna kanapa o welurowym obiciu i bardzo podobne krzesła o prostych oparciach, na podłodze zaś leżał wyblakły dywan o orientalnym wzorze, co w sumie dawało wrażenie czegoś w rodzaju skromnej godności, tutaj natomiast rozpierała się ogromna kanapa ze skaju, wielkie fotele oraz gigantyczny barek ozdobiony ustawioną idealnie pośrodku sztuczną kompozycją kwiatową. Na ścianie wisiała reprodukcja jakiegoś obrazu utrzymanego we wściekle pomarańczowych barwach, zbliżonych odcieniem do koloru dywanowej wykładziny. Katie usiadła na kanapie. To po prostu zwyczajny dom - pomyślała. Co prawda urządzony bez smaku, ale czysty i wygodny, i choć mąż pani Krupshak sprawia wrażenie nieokrzesanego gbura, to sama Gana Krupshak wygląda na szczęśliwą kobietę. Do licha, czemu nagle zaczęło mi tak bardzo zależeć na zdefiniowaniu szczęścia? - skarciła się w myślach.

Wzruszywszy niedostrzegalnie ramionami, przystąpiła do zadawania pytań.

- Pani Krupshak, co prawda rozmawialiśmy wczoraj wieczorem, ale była pani wtedy bardzo zdenerwowana. Czy mogłaby pani opowiedzieć mi jeszcze raz, powoli i dokładnie, co się wczoraj zdarzyło? Jak długo była pani u Edny, o czym rozmawialiście, czy odniosła pani wrażenie, że Edna umawia się na spotkanie z kapitanem Lewisem...

Gana Krupshak rozsiadła się wygodnie w fotelu, uniosła głowę, przymknęła powieki i lekko przygryzła dolną wargę.

- Zaraz, zaraz... Poszłam do niej dokładnie o ósmej, bo Gus zaczął wtedy oglądać w telewizji mecz, a ja pomyślałam sobie do diabła z meczem, wstąpię do Edny i wypijemy sobie po piwku.

- A więc poszła pani do niej... - zachęciła ją Katie.

- Jasne. Tyle tylko, że Edna zrobiła cały dzbanek Manhattanu i zdążyła go już do połowy opróżnić. Była w paskudnym nastroju, zupełnie jak wtedy, kiedy łąpała ją prawdziwa chandra, jeśli pani wie co mam na myśli. Na przykład w zeszły wtorek wypadały urodziny jej matki, więc przez cały wieczór płakała i powtarzała, jak bardzo za nią tęskni. Wcale nie twierdzę, że się z tym narzucała, ale kiedy wtedy do niej zajrzałam, siedziała ze zdjęciem staruszków w rękę, na kolanach miała tę swoją szkatułkę z kosztownościami i zalewała się łzami. Uściskałam ją wtedy i powiedziałam: „Edno, zrobię ci dobrego Manhattanu, wypijemy zdrowie twojej mamy, a gdyby tu była, na pewno by się do nas przyłączyła”. Trochę jej to wtedy pomogło, ale kiedy zobaczyłam ją we wtorek wieczorem, pomyślałam sobie, że wciąż jeszcze nie udało jej się przyzwyczaić do samotności.

- Powiedziała pani, że nadal czuje się przygnębiona?

- Nie, wcale nie. Wręcz przeciwnie, była jakby podekscytowana. Opowiadała trochę bez ładu i składu o

pacjentce, która umarła, że była śliczna jak laleczka, że bardzo chorowała, i że ona, to znaczy Edna, mogłaby wiele powiedzieć policji na jej temat.

- Co było potem? - zapytała Katie.

- Potem wypiliśmy z nią jednego albo dwa drinki i pomyślałam, że powinnam zbierać się do domu, bo Gus strasznie się wścieka, jeśli nie ma mnie, kiedy kładzie się spać. Nie chciałam jednak, żeby jeszcze piła, bo rano okropnie bolałaby ją głowa, więc wyjęłam z lodówki tę smaczną konserwową szynkę, otworzyłam i ukroiłam jej parę plasterków.

- A ona właśnie wtedy zadzwoniła?

- Tak jak pani wczoraj powiedziałam.

- I rozmawiała z kapitanem Lewisem o Pięknym Księżciu?

- Bóg mi świadkiem.

- W porządku. Jeszcze jedno, pani Krupshak: czy Edna zachowała jako pamiątkę po matce jakieś fragmenty jej garderoby?

- Garderoby? Nie, miała tylko śliczną broszkę i pierścionek z brylantami.

- Tak, znaleźliśmy je w szkatułce. Chodzi mi o coś innego. Na przykład moja matka trzymała w szafie stary filcowy kapelusz swojej mamy. W szufladzie nocnego stolika Edny znalazłam zniszczony, rozdeptany pantofel. Czy pokazywała go kiedyś lub wspominała o nim?

- Nigdy - odparła kategorycznym tonem pani Krupshak, patrząc Katie prosto w oczy.

Numer „Newsmakera” zawierający wywiad trafił do sprzedaży w czwartek rano. Telefony zaczęły się, jak tylko wrócił do gabinetu, pomógłszy przyjść na świat dziecku Aldrichów. Poleciał centrali, by łączyła wszystkie rozmowy bezpośrednio z gabinetem. Chciał usłyszeć komentarze, ale ich treść przeszła jego najśmielsze oczekiwania.

- Panie doktorze, kiedy może mnie pan przyjąć? Wraz z mężem ogromnie chcielibyśmy mieć dziecko. Mogę przylecieć do New Jersey, kiedy tylko będzie panu wygodnie. Niech Bóg pana błogosławi za to, co pan robi.

Dzwonili z Akademii Medycznej w Darmouth. Czy zechciałby wygłosić wykład? Dziennikarka z „Ladies' Home Journal” pragnęła przeprowadzić z nim wywiad. Czy doktor Highley i doktor Fukhito zechcieliby wystąpić razem w programie „Naoczny świadek”?

Ta propozycja wprawiła go w lekkie zakłopotanie. Starał się zasugerować reporterce „Newsmakera”, że współpracuje z wieloma psychiatrami, podobnie jak prawnik kierujący klientów do różnych doradców, w zależności od rodzaju konkretnej sprawy. Dał jej jasno do zrozumienia, że program znajduje się pod jego wyłączną kontrolą i nie jest rezultatem zbiorowego wysiłku. Jednak wyglądało na to, że dziennikarka usłyszała o japońskim psychiatrze od kilku pacjentek, których nazwiska i adresy jej podał, po czym doszła do wniosku, że należy docenić wkład doktora Fukhito w rozwój Koncepcji Macierzyństwa Westlake.

Fukhito będzie przerażony rozgłosem. Dlatego Highley wybrał właśnie jego. Japończyk będzie musiał trzymać gębę na kłódkę nawet wtedy, kiedy skoncentrują się na nim wszystkie podejrzenia. Nie mógł sobie pozwolić na to, by w szpitalu Westlake trafiono na ślad jakiegoś skandalu. Gdyby tak się stało, byłby skończony.

Jednocześnie stawał się coraz większym obciążeniem. Teraz łatwo będzie się go pozbyć. Poświęcał wiele czasu pracy społecznej w klinice w Valley Pines. Rozpaczliwie poszukując ukrycia, na pewno zdecyduje się tam zatrudnić na stałe, a wtedy doktor Highley zacznie korzystać z usług różnych psychiatrów. Znał wystarczająco wielu takich, którzy nie byli w stanie nikomu pomóc. Łatwo będzie wyprowadzić ich w pole.

Fukhito musi odejść.

Podjąwszy tę decyzję, poprosił do gabinetu pierwszą pacjentkę. Była u niego po raz pierwszy, podobnie jak dwie następne, czekające już w poczekalni. Trzecia okazała się bardzo interesującym przypadkiem: miała tak duże zgięcie macicy, że nigdy nie udałoby się jej zająć w ciążę bez medycznej interwencji.

Postanowił, że właśnie ona będzie jego następną Vangie.

Telefon zadzwonił w południe, w chwili, kiedy zamierzał wyjść na lunch.

- Panie doktorze, to zamiejscowa od doktora Emmeta Salema z Minneapolis - powiedziała przeproszającym tonem recepcjonistka. - Jest teraz w budce telefonicznej na lotnisku i twierdzi, że koniecznie musi z panem porozmawiać.

Emmet Salem! Natychmiast podniósł słuchawkę.

- Tu doktor Highley.

- Doktor Highley ze szpitala Jezusa Chrystusa w Devon? - usłyszał lodowaty męski głos.

- Tak.

Potworny strach sprawił, że język zamienił mu się w kawał twardej gumy.

- Doktorze Highley, dowiedziałem się wczoraj, że zajmował się pan moją byłą pacjentką, panią Vangie Lewis. Właśnie odlatuję do Nowego Jorku. Zatrzymam się w Essex House. Chcę pana poinformować, że zamierzam porozmawiać

o śmierci pani Lewis z lekarzem sądowym w New Jersey. Mam ze sobą jej dokumentację. Zanim przedstawię konkretne oskarżenia, wydaje mi się, że powinienem zamienić z panem kilka słów w cztery oczy.

- Panie doktorze, jestem zdumiony pańskim tonem i tymi niezrozumiałymi insynuacjami.

Wreszcie mógł mówić. Jego głos miał twardość granitu.

- Muszę już wsiadać do samolotu. Kilka minut po piątej będę w pokoju 3219 w Essex House. Proszę się ze mną tam skontaktować.

Połączenie zostało przerwane.

Kiedy Emmet Salem wysiadł z taksówki przed hotelem Essex House, doktor Edgar Highley już na niego czekał. Wszedł szybko do windy, wjechał na trzydzieste drugie piętro, minął pokój 3219 i skręcił w najbliższą odnogę korytarza. Usłyszał, jak zatrzymuje się druga winda. W chwilę potem rozległ się odgłos klucza przekręcanego w zamku.

- To tutaj, panie doktorze - powiedział boy. A kilka sekund później: - Dziękuję panu.

Zaczekał, aż boy wsiądzie do windy i zjedzie na dół. W korytarzu panowała zupełna cisza. Przypuszczał, że nie potrwa zbyt długo, gdyż na tym samym piętrze z pewnością zatrzymało się wielu delegatów na zjazd Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich. Istniało poważne ryzyko, że w każdej chwili może spotkać kogoś znajomego. Jednak nie miał wyboru. Musiał zaryzykować, musiał uciszyć Salema.

Błyskawicznie otworzył skórzaną torbę i wyjął z niej przycisk do papieru, którym zaledwie czterdzieści osiem godzin temu zamierzał uśmiercić Ednę. Niemożliwe, wręcz absurdalne - on, lekarz, musiał ciągle zabijać.

Wsunął przycisk do kieszeni płaszcza, założył rękawiczki, przełożył torbę do lewej ręki i zapukał do drzwi.

Otworzył mu Emmet Salem. Zdążył już zdjąć marynarkę.

- Zapomniałeś czegoś?

Najwidoczniej pomyślał, że to chłopak, który przed chwilą wyszedł.

- Doktorze Salem! - Highley chwycił dłoń starszego mężczyzny, uścisnął ją i wszedł zdecydowanym krokiem, zmuszając go, by się cofnął. - Jestem Edgar Highley. Miło mi, że mogę pana poznać. Zakończył pan rozmowę tak gwałtownie, że nie zdążyłem panu powiedzieć, iż akurat dzisiaj umówiłem się tu na obiad z kilkoma kolegami biorącymi udział w zjeździe. Mam tylko kilka minut, ale jestem pewien, że zdążymy wyjaśnić sobie wszystkie wątpliwości.

Nadal parł naprzód, pchając Salema w kierunku szeroko otwartego okna. Prawdopodobnie starszy człowiek poprosił boya, żeby je otworzył, gdyż w pokoju było bardzo gorąco. Highley zmrużył oczy na ten widok.

- Staralem się do pana dodzwonić, ale miałem kłopoty z uzyskaniem połączenia.

- Niemożliwe - zaprotestował doktor Salem, przyglądając mu się podejrzliwie. - Przed chwilą rozmawiałem z telefonistką.

- W takim razie przepraszam, ale to chyba żaden problem. Nie mogę się doczekać, by pokazać panu kartę zdrowia pani Lewis. Mam ją w torbie. - Sięgnął do kieszeni po przycisk, po czym nagle zawołał: - Doktorze, za panem!

Salem odwrócił się, a on w tym samym ułamku sekundy wyszarpnął przycisk z kieszeni i rąbnął nim w czaszkę mężczyzny. Emmet Salem zatoczył się na parapet.

Highley wepchnął przycisk z powrotem do kieszeni, po czym nachylił się i złapał Salema za nogi.

- Nie, na litość boską, nie!... - jęknął półprzytomny mężczyzna, po czym wypadł z okna.

Highley obserwował z kamienną twarzą, jak Salem spada piętnaście pięt w dół, na dach niższej części hotelu.

Ciało upadło ze stłumionym łoskotem.

Czy ktoś to widział? Musiał się pośpieszyć. Z kieszeni leżącego na łóżku płaszcz wyjął niewielki pęk kluczy. Najmniejszy pasował do zamka aktówki, którą zauważył na szafce.

Medyczna dokumentacja Vangie Lewis leżała na samym wierzchu. Złapał ją, wepchnął do swojej torby, zamknął teczkę Salema i włożył klucze do kieszeni jego płaszcz, po czym przełożył przycisk ze swojej kieszeni do torby. Uderzenie nie spowodowało obfitego krwotoku, lecz mimo to przycisk był lepki od krwi.

Zamknął torbę i obrzucił pokój szybkim spojrzeniem; wszystko w porządku. Na parapecie nie został żaden ślad. Cała akcja zajęła mu niespełna dwie minuty.

Otworzył ostrożnie drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Korytarz był pusty. Kiedy wyszedł z pokoju i zamknął drzwi, rozległ się dzwonek telefonu.

Nie mógł ryzykować, by zobaczono go wsiadającego do windy na tym piętrze. W „Newsmakerze” ukazało się także jego zdjęcie. Ktoś mógłby go rozpoznać.

Schody awaryjne znajdowały się na końcu korytarza. Zszedł nimi na dwudzieste ósme piętro i dopiero tam wsiadł do windy. Przyjrzał się dyskretnie współpasażerom: kilka kobiet, para nastolatków, starsze małżeństwo. Ani jednego lekarza, był tego całkowicie pewien.

Znalazłszy się w głównym holu, wyszedł szybko na 58 Ulicę, skręcił na zachód, a potem na południe. Dziesięć minut później odebrał samochód z krytego parkingu na zachodniej 54 Ulicy, wrzucił do bagażnika torbę i odjechał.

Chris przyjechał na lotnisko Twin Cities dziesięć po dwunastej. Samolot do Newark odlatywał dopiero za godzinę. Tą samą maszyną miało polecieć ciało Vangie. Wczoraj, w drodze w tę stronę, myślał tylko o trumnie stojącej w luku bagażowym. Jediną pociechę stanowiło przeświadczenie, że wkrótce to wszystko się skończy.

Musi koniecznie zobaczyć się z doktorem Salemem. Dlaczego stary lekarz był tak bardzo wzburzony? Kiedy dzisiaj samolot wylądjuje w Newark, na ciało Vangie będą już czekać ludzie z biura lekarza sądowego.

A na niego będą czekać ludzie z prokuratury okręgowej. Chris nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli podejrzewali, że miał jakiś związek ze śmiercią Vangie, na pewno będą chcieli zadać mu mnóstwo pytań. Zawiozą go prosto na przesłuchanie. Kto wie, może nawet go aresztują. Jeżeli wszczęli śledztwo, to z pewnością wiedzą, że wrócił do New Jersey w poniedziałek wieczorem. Tak, rozmowa z doktorem Salemem była absolutnie konieczna. Jeśli jednak zostanie zatrzymany, wtedy nie uda mu się z nim skontaktować, a nie chciał rozmawiać z prokuratorem o doktorze bez jego wiedzy.

Po raz kolejny pomyślał o Molly i Billu Kennedych. I co z tego, że Molly jest siostrą Katie DeMaio? Oboje byli dobrymi, uczciwymi ludźmi. Powinien im zaufać, porozmawiać z nimi. Powinien porozmawiać z kimkolwiek.

Przede wszystkim z Joan.

Ogromnie jej potrzebował, ale w chwili, gdy zacznie mówić prawdę, ona zostanie wplątana w te okropne wydarzenia. Joan, która żyjąc w podłym świecie, była wierna niewzruszonym zasadom, miała wpaść po szyję w najgorsze błoto.

Miał numer telefonu stewardesy, u której zatrzymała się na Florydzie. Nie bardzo wiedząc, co jej powie, podszedł do telefonu; odruchowo podał numer swojej karty kredytowej i poprosił o połączenie.

Odebrała Kay Corrigan.

- Cześć, Kay, mówi Chris. Jest u ciebie Joan? Kay wiedziała o ich związku.

- Próbowała się z tobą skontaktować - powiedziała z troską w głosie. - Dzwoniła Tina z Nowego Jorku. Byli tam ludzie z prokuratury okręgu Valley i pytali o was oboje. Joan okropnie się zdenerwowała.

- Kiedy wróci?

- Pojechała do nowego mieszkania, ale tam jeszcze nie ma telefonu. Potem miała zajrzeć do biura w Miami. Wątpię, żeby zjawiała się wcześniej niż o ósmej.

- Powiedz jej, żeby czekała na mój telefon. Powiedz, że koniecznie muszę z nią porozmawiać. Powiedz... - Odwiesił gwałtownie słuchawkę i oparł się o aparat, a z jego piersi wyrwał się rozpaczliwy szloch. Boże, za dużo tego wszystkiego, naprawdę za dużo! Nie był w stanie myśleć. Nie wiedział, co robić. Za kilka godzin znajdzie się w areszcie, podejrzany o to, że zamordował Vangie... A może nawet oskarżony o popełnienie morderstwa.

Nie, istniało jeszcze jedno wyjście. Poleci do Nowego Jorku, weźmie z lotniska taksówkę, pojedzie do hotelu, w którym zatrzymał się doktor Salem, i spotka się z nim. Policja dowie się dopiero o szóstej, że nie było go na pokładzie samolotu lecącego do Newark. Może przez ten czas doktor Salem zdoła mu jakoś pomóc.

Z trudem zdążył zmienić rezerwację. W klasie turystycznej nie było miejsc, ale kupił ostatni wolny bilet pierwszej klasy. Bagaż poleciał do Newark.

Na pokładzie wypił drinka, podziękował za posiłek i zaczął nerwowo przeglądać najświeższy numer „Newsmakera”. W dziale NAUKA I MEDYCYNA jego uwagę przykuł tytuł: „Koncepcja Macierzyństwa Westlake daje nadzieję bezdzietnym małżeństwom”. Westlake... Przeczytał pierwszy akapit. „Już od ośmiu lat niewielka prywatna klinika w New Jersey realizuje program zwany Koncepcją Macierzyństwa Westlake, który pozwolił zajść w ciążę i urodzić dzieci wielu pozornie bezpłodnym kobietom. Programem, nazwanym dla uczczenia pamięci znakomitego położnika, opiekuje się doktor Edgar Highley, położnik - ginekolog, zięć zmarłego doktora Franklina Westlake...”

Edgar Highley, lekarz Vangie. Dziwne, że nigdy o nim nie opowiadała. Bez przerwy natomiast zajmowała się tym psychiatrą.

- Dzisiaj rozmawiałam z doktorem Fukhito o mamie i tacie. Od razu domyślił się, że jestem jedynaczką... Kazał mi narysować ich tak, jak ich widzę. To było absolutnie fascynujące... Nie miałam pojęcia, że właśnie tak ich sobie wyobrażam. Doktor Fukhito pytał też o ciebie.

- I co mu powiedziałaś?

- Że mnie uwielbiasz. Bo tak jest, prawda? W głębi duszy uważasz mnie za swoją małą dziewczynkę, tak, Chris?

- Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś wreszcie zaczęła uważać się za moją dorosłą żonę.

- No tak, nawet nie mogę z tobą o niczym porozmawiać. Od razu robisz się okropny...

Ciekawe, czy policja rozmawiała z którymś z lekarzy Vangie.

Przez ostatni miesiąc wyglądała bardzo źle. Zaproponował jej, żeby poszła na konsultację. Lekarz opiekujący się personelem linii lotniczych na pewno poleciłby kogoś

dobrego, a jeśli nie, to Bill z pewnością znał kogoś z Lenox Hill. Jednak Vangie kategorycznie odmówiła.

A potem w tajemnicy przed nim umówiła się z doktorem Salemem.

Samolot wylądował o wpół do piątej. Chris wybiegł przed budynek dworca i zatrzymał taksówkę. W ten paskudny dzień miał przynajmniej tyle szczęścia, że zdążył przed popołudniowym szczytem.

- Do Essex House.

Do hotelu dotarł za dwie piąta. Natychmiast skierował się do telefonu.

- Proszę z doktorem Emmetem Salemem.

- Chwileczkę, proszę pana. A po kilku sekundach:

- Numer zajęty.

Odłożył słuchawkę. Przynajmniej dowiedział się, że doktor Salem jest w pokoju. Będzie mógł z nim porozmawiać. Przypomniał sobie, że zapisał numer pokoju doktora. Wyjął notes, odczekał chwilę, po czym wykręcił 3219. Po szóstym sygnale nacisnął widełki, połączył się z centralą i wyjaśnił telefonistce, że przed dwoma minutami numer był zajęty, teraz zaś nikt się nie zgłaszał, więc czy byłaby może uprzejma sprawdzić...

Kobieta zawahała się, zamieniła z kimś kilka słów, po czym powiedziała:

- Proszę pana, przed chwilą już to komuś wyjaśniłam. Doktor Salem zawiadomił mnie, że spodziewa się ważnej rozmowy, ale widocznie musiał wyjść na chwilę z pokoju. Może spróbuje pan jeszcze raz za kilka minut?

- Chyba tak zrobię. Dziękuję pani.

Chris ponownie odłożył słuchawkę, podszedł do jednego z głębokich foteli ustawionych przodem do wind i usiadł. Windy wypłuły ładunek pasażerów, zabrały nowy i pojechały w górę, o czym informowały migoczące nad drzwiami cyferki.

Przyjrzał się dokładnie osobom, które wysiadły z jednej z nich. Ktoś zwrócił na siebie jego uwagę. Doktor Salem? W windzie były trzy kobiety, para nastolatków, starsze małżeństwo i mężczyzna w średnim wieku, kryjący twarz za postawionym kołnierzem płaszcza. Nie, to nie był doktor Salem.

O wpół do szóstej Chris spróbował ponownie. Potem za piętnaście szósta. Pięć po szóstej do jego uszu doszła przekazywana szeptem plotka, która obiegła hol lotem błyskawicy.

- Ktoś wyskoczył z okna. Ciało spadło na dach części konferencyjnej.

Z ulicy dobiegło przybierające na sile zawodzenie syren karetki i policyjnych radiowozów.

Chris zdecydował się na desperacki krok; podszedł do recepcjonisty i zapytał szorstkim, pewnym siebie głosem:

- Kto to był?

- Doktor Emmet Salem z pokoju 3219. Brał udział w zjeździe Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich.

Poruszając się jak automat, wyszedł przez obrotowe drzwi na 58 Ulicę, zatrzymał sunącą wolno przy krawężniku taksówkę, wsiadł do niej, oparł głowę na podgłówniku i zamknął oczy.

- Lotnisko LaGuardia, terminal National Airlines.

O siódmej zero - zero odlatywał samolot do Miami. Powinien zdążyć. Za trzy godziny będzie z Joan.

Musiał z nią porozmawiać, musiał jej wszystko wytłumaczyć, zanim zostanie aresztowany.

Kiedy Katie weszła na schodki, dwunastoletnia Jennifer otworzyła szeroko drzwi. - Cześć, Katie! - zawołała wesoło i uścisnęła ją mocno. Uśmiechnęły się do siebie. Dzięki błękitnym oczom, ciemnym włosom i oliwkowej cerze Jennifer przypominała młodszą wersję Katie.

- Cześć, Jennie. Jak się czujesz?

- Już dobrze. A co z tobą? Strasznie się zmartwiłam, kiedy mama powiedziała mi o tym wypadku. Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Ujmijmy to w ten sposób: w przyszłym tygodniu znowu będę w wyśmienitej formie. Czy ktoś już przyszedł? - zapytała, zmieniając temat.

- Wszyscy. Doktor Richard też... Wiesz, jakie było jego pierwsze pytanie?

- Nie.

- „Czy Katie już przyszła?” Założę się, że mu się spodobałaś. Mama i tata też tak myślą. Podśluchałam, jak o tym rozmawiali. A ty? Czy on też się tobie podoba?

- Jennifer! - Na pół zirytowana, a na pół rozbawiona Katie skierowała się ku położonemu w głębi domu salonowi. - A gdzie reszta gromadki?

- Mama posłała ich z opiekunką do McDonalda, a potem do kina. Powiedziała, że dziecko pani Berkeley nigdy nie zaśnie, jeśli bliźniaczki będą w pobliżu.

- Przypuszczam, że miała rację - mruknęła Katie.

Po powrocie od Gany Krupshak wzięła prysznic i przebrała się. Wyszła z domu za kwadrans siódma, myśląc: już niedługo Chris Lewis będzie przesłuchiwany przez Scotta Myersona. Ciekawe, jak wytłumaczy, dlaczego nie powiedział wcześniej, że wrócił do New Jersey już w poniedziałek wieczorem?

Zastanawiała się, czy Richard zdążył już porozmawiać z tym lekarzem z Minnesoty. Pierwszy ginekolog Vangie mógł wyjaśnić wiele wątpliwości. Będzie musiała odciągnąć Richarda na stronę i zapytać go o to.

W drodze do domu Billa i Molly postanowiła na czas przyjęcia przestać myśleć o tej sprawie. Może dzięki temu zdoła później powiązać ulotne wątki, które wciąż jej umykały...

Weszła do salonu. Liz i Jim Berkeley siedzieli na kanapie, odwróceny plecami do drzwi, Molly roznosiła zakąski, natomiast Bill i Richard stali przy oknie, pogrążeni w rozmowie. Przyjrzała się dokładnie Richardowi. Miał na sobie granatowy prążkowany garnitur, którego jeszcze nigdy nie widziała. Wśród jego ciemnobrązowych włosów dostrzegła pasemka siwizny, na które do tej pory nie zwróciła uwagi. Palce zaciśnięte na nóżce kieliszka były długie, o delikatnym kształcie. To ciekawe, że przez miniony rok postrzegala go wyłącznie jako całość, nie zwracając najmniejszej uwagi na szczegóły. Doznała niezwykłego wrażenia, że jest kamerą, która do tej pory była skierowana na stałe w jeden punkt i dopiero teraz została przestawiona w inne miejsce. Richard sprawiał wrażenie zafrasowanego. Na jego czole widniały głębokie zmarszczki. Ciekawe, czy właśnie opowiada Billowi o płodzie Vangie? - przemknęło jej przez myśl. Nie, o tym nie powiedziałyby nawet jemu.

W tej chwili Richard odwrócił głowę i spostrzegł ją.

- Katie! - wykrzyknął radośnie, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Nasłuchiwałem dzwonka do drzwi.

Jakże często w ciągu minionych trzech lat wchodziła do salonów, gdzie czuła się jak czarna owca - jedyna samotna wśród mnóstwa par. Dzisiaj Richard czekał na nią, cieszył się, że przyjdzie.

Nie zdążyła przeanalizować uczuć, jakie to w niej wywołało, gdyż musiała przywitać z nią z Molly, Billem i Berkeleyami.

W drodze do jadalni zdołała zapytać Richarda, czy skontaktował się z doktorem Salemem.

- Nie, o piątej nie zastałem go w pokoju - odparł. - Potem spróbowałem o szóstej, ale nikt nie podnosił słuchawki. Zostawiłem numer Billa w hotelu i w biurze zleceń. Jestem ogromnie ciekaw, co ten człowiek ma nam do powiedzenia.

Żadne z nich nie wspomniało o samobójstwie Vangie Lewis. Kiedy posiłek zbliżał się do końca, sprawa wypłynęła jednak na wierzch, gdyż Liz Berkeley powiedziała:

- Mieliliśmy szczęście. Przyznam, że przez cały czas modliłam się w duchu, żeby Maryanne nie obudziła się i nie zaczęła marudzić. Biedactwo ma okropnie spuchnięte dziąsła.

Jim Berkeley roześmiał się. Był przystojnym mężczyzną o wystających kościach policzkowych, niebieskich oczach i gęstych czarnych brwiach.

- Kiedy Maryanne przyszła na świat, Liz budziła ją co kwadrans, by upewnić się, że dziecko jeszcze oddycha. Jednak teraz, kiedy mała zaczęła ząbkować, Liz zachowuje się jak każda matka. „Cicho bądź, głuptasie, bo obudzisz dziecko!” - powiedział teatralnym szeptem, naśladowując jej głos.

Liz, szczupła kobieta podobna nieco do Carol Burnett, obdarzona szczerą, sympatyczną twarzą i błyszczącymi niebieskimi oczami, wykrzywiła się do męża.

- Musisz jednak przyznać, że powoli normalnieję. Maryanne naprawdę spadła nam jak z nieba. Już prawie straciłam nadzieję i szykowaliśmy się do adopcji, ale mielibyśmy z tym poważne kłopoty. Po pierwsze jest bardzo mało takich dzieci, a po drugie oboje zbliżamy się do czterdziestki, więc jesteśmy już za starzy. Na szczęście trafiłam do doktora Highleya. To prawdziwy cudotwórca.

Katie spostrzegła, że oczy Richarda nagle się zwały.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytał.

- Oczywiście. Poza tym jest też najbardziej opiekuńczym człowiekiem na świecie i...

- Chciałaś chyba powiedzieć, że jest największym egocentrykiem na świecie i najbardziej zimnokrwistym typem, jakiego w życiu widziałem - przerwał jej mąż. - Ale kogo to obchodzi? Ważne, że zna się na swoim fachu, a nawet ja muszę przyznać, że zajął się Liz z niezwykłą troskliwością. Położył ją do szpitala na dwa miesiące przed rozwiązaniem i osobiście zaglądał do niej dwa albo trzy razy dziennie.

- Postępuje tak przy wszystkich zagrożonych ciążach - wyjaśniła Liz. - Modłę się za niego co wieczór. Nawet nie możecie sobie wyobrazić, jak wiele zmieniło się w naszym życiu po przyjściu dziecka na świat. I nie dajcie mu się oszukać - dodała, wskazując ruchem głowy męża. - Co noc wstaje co najmniej dziesięć razy i sprawdza, czy Maryanne się nie odkryła albo czy nie leży w przeciągu. - Spojrzała na niego. - Przyznaj się, Jim: zajrzałeś do niej, kiedy niedawno wychodziłeś do toalety?

Roześmiał się. - Oczywiście.

Molly wyraziła głośno to, co pomyślała Katie:

- Z pewnością tak samo czułaby się Vangie Lewis.

Richard spojrzał pytająco na Katie, a ona potrząsnęła głową. Domyśliła się, że chciał wiedzieć, czy powiedziała Molly i Billowi o orientalnych cechach dziecka Lewisów.

- Zdaje się, że mieszkaliście w San Francisco? - zapytał Richard, zmieniając temat. - Wychowałem się tam. Mój ojciec wciąż jeszcze pracuje w szpitalu miejskim.

- To jedno z moich ulubionych miast - odparł Jim. - Wrócilibyśmy tam w każdej chwili, prawda, Liz?

Katie słuchała jednym uchem, uczestnicząc w rozmowie tylko na tyle, by jej milczenie nie stało się zbyt zauważalne.

Było tyle spraw, nad którymi powinna pomyśleć... Ale na to będzie miała czas w szpitalu. Czuła się zmęczona i trochę kręciło jej się w głowie, lecz nie chciała wychodzić zbyt wcześnie, by nie zepsuć przyjęcia.

Szansa pojawiła się dopiero wtedy gdy wstali od stołu, by ponownie zająć się drinkami.

- Chyba już się pożegnam - powiedziała Katie. - Ostatnio nie sypiałam zbyt dobrze i jestem trochę zmęczona.

Molly spojrzała na nią porozumiewawczo i nie zaprotestowała.

- Odprowadzę cię do wozu - zaproponował Richard.

- Proszę bardzo.

Nocne powietrze było bardzo zimne. Kiedy wyszli przed dom, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie uszło to uwagi Richarda.

- Katie, bardzo się o ciebie niepokoję - powiedział. - Wiem, że coś jest z tobą nie tak jak powinno. Zdaję sobie sprawę, że nie chcesz o tym mówić, ale przynajmniej spotkajmy się jutro na kolacji. Mam przeczucie, że jutro w pracy będziemy mieli urwanie głowy.

- Przykro mi, ale nie mogę. Wyjeżdżam na weekend.

- Wyjeżdżasz? Akurat teraz, kiedy tyle się dzieje? Czy Scott wie o tym?

- Ja... Jestem umówiona.

Co za idiotyzm - pomyślała Katie. Dlaczego nie powiem mu wprost, że idę do szpitala? W świetle lamp stojących wzdłuż podjazdu dostrzegła malujący się na jego twarzy wyraz zdziwienia i dezaprobaty.

- Richardzie, nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale... Drzwi domu Kennedych otworzyły się gwałtownie.

- Richard! - zawołała głośno Jennifer. - Dzwoni do ciebie Clovis Simmons!

- Clovis Simmons? - powtórzyła Katie. - Czy to nie ta aktorka występująca w operach mydlanych?

- Tak. Cholera, zupełnie zapomniałem, że miałem do niej zadzwonić. Zaczekaj minutkę, Katie. Zaraz wracam.

- Nie trzeba. Zobaczymy się rano.

Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi, przez chwilę grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków, znalazła je i uruchomiła silnik. Richard przez kilka sekund stał niezdecydowany na podjeździe, po czym odwrócił się i pobiegł do domu, mając w uszach cichnący w oddali odgłos silnika. Niech to szlag trafi - pomyślał. Nie miała kiedy zadzwonić!

- Jak się masz, Clovis - powiedział szorstko.

- Bardzo przepraszam, panie doktorze, że tak pana tropię, ale mam wrażenie, że umawialiśmy się dzisiaj na kolację?

- Ogromnie mi przykro, Clovis...

Nie - poprawił ją w myśli. To ty umawiałaś się na kolację, nie ja.

- Cóż, teraz jest już chyba trochę za późno - ciągnęła lodowatym tonem. - Szczerze mówiąc, dopiero wróciłam z nagrania i chciałam cię przeprosić, że czekałeś tak długo.

Richard zerknął na stojącą tuż przy nim Jennifer.

- Clovis, zadzwonię do ciebie jutro. Teraz nie mogę rozmawiać. Odpowiedziało mu pyknięcie i cisza. Powoli odłożył słuchawkę.

Clovis najwyraźniej była wściekła, ale co więcej, poczuła się także dotknięta. Jak mało nas obchodzą inni ludzie - przemknęło mu przez głowę. Jeśli nie traktujemy ich serio, przestajemy o nich myśleć. Ja nie traktowałem jej serio, więc w ogóle nie zastanawiałem się nad tym, co ona czuje. Jutro mogę tylko zadzwonić do niej, przeprosić i powiedzieć jej uczciwie, że jest ktoś inny.

Katie. Dokąd wybierała się w weekend? Czy ona też miała kogoś innego? Sprawiała wrażenie bardzo niespokojnej i zatroskanej. Czyżby przez cały czas niewłaściwie interpretował jej zachowanie, przypisując powściągliwość i brak zainteresowania temu, że nadal żyła przeszłością? Może jednak ktoś pojawił się w jej życiu. Czyżby okazał się jeszcze większym głupcem niż w przypadku Clovis?

Przyjemny nastrój wieczoru ulotnił się bez śladu. Będzie musiał przeprosić gospodarzy i pojechać do domu. Nie było jeszcze za późno, by zadzwonić do doktora Salema.

Wrócił do salonu, gdzie siedzieli Molly, Bill i Berkeleyowie, zaś na kolanach Liz, spowita w koce, leżała mała dziewczynka.

- Maryanne postanowiła wziąć udział w przyjęciu - oznajmiła Liz. - Jak ci się podoba? - zapytała z dumnym uśmiechem, odwracając dziecko do niego.

Richard spojrział w poważne zielone oczy osadzone w twarzyczce przypominającej kształtem serce. Jim Berkeley siedział tuż obok żony; Maryanne wyciągnęła rączkę i złapała go za kciuk.

W milczeniu przyglądał się rodzinie. Mogliby pozować do zdjęcia na okładkę jakiegoś czasopisma: uśmiechnięci rodzice, śliczne maleństwo. Rodzice przystojni, o oliwkowej cerze, niebieskich oczach, ostrych rysach twarzy; dziecko o jasnej karnacji, lekko rudawych włoskach i błyszczących zielonych oczach.

Czy oni naprawdę myślą, że uda im się kogoś oszukać? - pomyślał. Przecież widać na pierwszy rzut oka, że dziecko zostało adoptowane.

Phil Cunningham i Charley Nugent przyglądali się ostatnim pasażerom przechodzącym przez salę odpraw dworca lotniczego w Newark. Wiecznie skwaszona mina Charleya stała się wręcz ponura.

- No, tak - powiedział, wzruszając ramionami. - Widocznie domyślił się, że będziemy na niego czekać. Chodźmy stąd.

Skierował się do najbliższego automatu i zadzwonił do Scotta.

- Możesz spływać do domu, szefie - poinformował go. - Nasz kapitan zrezygnował z podróży.

- Nie przyleciał? A co z trumną?

- Trumna dotarła. Chłopcy Richarda właśnie ją zabierają. Chcesz, żebyśmy tu jeszcze zostali? Mógł lecieć inną trasą.

- Dajcie sobie spokój. Jeśli nie zgłosi się jutro, zaczniemy go szukać jako świadka, którego zeznania są niezbędne dla śledztwa. A z samego rana macie dokładnie przeszukać mieszkanie Edny Burns.

Charley odwiesił słuchawkę i zwrócił się do Phila:

- O ile znam szefa, to jutro wieczorem będziemy mieli nakaz aresztowania Chrisa Lewisa.

Phil skinął głową.

- A jak już go złapiemy, to mam nadzieję, że uda nam się znaleźć coś na tego żółtego doktora, który przespał się z tą dziewczyną.

Dwaj mężczyźni ruszyli powoli w kierunku wyjścia, obojętnie mijając pasażerów stłoczonych przy taśmociągach z bagażem. Kilka minut później tłumek rozproszył się, pozostawiając krążącą samotnie czarną skórzaną torbę, opatrzoną przywieszką z nazwiskiem i dokładnym adresem: „kpt. Christopher Lewis, Winding Brook Lane 4, Chapin River, New Jersey”. W torbie, wśród innych rzeczy,

znajdowała się także fotografia, którą w ostatniej chwili wepchnęli mu rodzice Vangie.

Fotografia została wykonana w jakimś nocnym klubie i przedstawiała parę młodych ludzi. Na odwrocie widniała dedykacja: „Na pamiątkę pierwszej randki z Vangie, dziewczyną, która odmieni moje życie - Chris”.

Natychmiast po powrocie do domu Richard zadzwonił do hotelu Essex House, lecz i tym razem nie udało mu się połączyć z doktorem Salemem.

- Czy doktor Salem odebrał moją wiadomość, w której prosiłem, żeby się ze mną skontaktował? - zapytał telefonistkę.

Kobieta zawahała się.

- Zaraz sprawdzę.

Czekając przy aparacie Richard sięgnął po pilota i włączył telewizor. Właśnie zaczął się „Naoczny świadek”. Kamera pokazywała Central Park South, by następnie skierować się na główne wejście hotelu Essex House.

- Łączę pana z recepcją - powiedziała telefonistka.

Niemal w tej samej chwili Richard usłyszał dobiegający z telewizora głos Glorii Rojas:

- Dziś wieczorem w eleganckim hotelu Essex House, w którym odbywają się obrady zjazdu Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich, wydarzyła się zagadkowa tragedia. Znany ginekolog - położnik z Minneapolis, doktor Emmet Salem, wyskoczył lub został wypchnięty z okna swego pokoju, ponosząc śmierć na miejscu.

Zdenerwowana Joan Moore siedziała przy telefonie. - Nie mówił, o której zadzwoni? - zapytała, po czym przygryzła dolną wargę. Przyjaciółka spojrzała na nią z niepokojem.

- Przecież już ci powiedziałam. Zadzwonił około wpół do dwunastej, powiedział, że odezwie się wieczorem i poprosił, żebyś czekała na jego telefon. Wydawał się bardzo przygnębiony.

Nagle zabrzączał dzwonek u drzwi. Obie kobiety aż podskoczyły.

- Nikogo się nie spodziewam... - mruknęła ze zdziwieniem Kay. Tknięta przeczuciem Joan pobiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Chris! O, mój Boże... Chris! - wykrzyknęła, obejmując go mocno. Dopiero po chwili dostrzegła, że jest śmiertelnie blady, ma przekrwione oczy i chwieje się na nogach. - Chris, co się stało?

- Joan, Joan... - Jego głos przypominał raczej rozpaczliwy szloch. Przygarnął ją gwałtownie do siebie. - Nie wiem, co się dzieje. Coś jest nie tak ze śmiercią Vangie, a jedyny człowiek, który mógł nam to wyjaśnić, też już nie żyje!

Miał zamiar wrócić prosto do domu, lecz gdy wyjechał z parkingu i skręcił w zatłoczoną zachodnią Side Highway, zmienił zdanie. Był potwornie głodny. Przez cały dzień nic nie jadł. Nigdy nie jadał przed operacją, a doktor Salem zadzwonił w chwili, kiedy właśnie miał zamiar wyjść na lunch.

Nie miał ochoty tracić czasu na samodzielne przygotowywanie posiłku. Pojedzie do Carlyle. Gdyby potem pytano go, gdzie spędził dzisiejszy wieczór, powie zgodnie z prawdą, że był w Nowym Jorku. Kierownik sali z pewnością poinformuje policję, iż doktor Edgar Highley jest stałym i cenionym gościem.

Zamówi wędzonego łososia, zupę - krem z porów i pieczęć z jagnięcia... Do ust napłynęła mu ślina. Teraz, kiedy było już po wszystkim, musiał szybko uzupełnić ogromny ubytek energii. Jutro również czekało go trudne zadanie. Po śmierci Kathleen DeMaio policja z pewnością rozpocznie intensywne śledztwo, ale przecież jej poprzedni ginekolog przeszedł już na emeryturę i wyprowadził się daleko stąd, nie będzie mógł więc zagrozić mu, przedstawiając prokuratorowi stare wyniki badań.

A potem będzie już całkowicie bezpieczny. Z pewnością wszyscy uczestnicy zjazdu Stowarzyszenia dyskutują teraz o artykule zamieszczonym w „Newsmakerze” i o koncepcji Macierzyństwa Westlake. Bez wątplenia wielu z nich ogarnęła dzika zazdrość, ale i tak na pewno otrzyma propozycje wygłoszenia referatów na kolejnych zjazdach i sympozjach. Wkroczył na ścieżkę wiodącą ku sławie, a Salem, który mógł go powstrzymać, już nie żył. Pragnął jak najszybciej przejrzeć dokumentację Vangie, przywiezioną z Minneapolis przez starego lekarza. Włączy ją do własnych archiwów. Informacje, które w ten sposób uzyska, okażą się wręcz bezcenne przy kolejnych doświadczeniach.

Torba zawierająca dokumentację Vangie, przycisk do papieru i mokasy na była zamknięta w bagażniku. W jaki sposób powinien pozbyć się mokasy i przycisku? Wykorzysta do tego którykolwiek z przepelnionych pojemników na śmieci, których tak wiele jest w tym mieście. Nikt niczego nie znajdzie. Rano zostaną wywiezione wraz z tonami odpadków, jakie gromadziły się co dzień w ośmiomilionowej metropolii, po czym znikną na zawsze w smrodzie gnijącej żywności i butwiejących gazet...

Zrobi to w drodze do domu, pod osłoną ciemności. Nikt niczego nie zauważy.

Nagle ogarnęła go fala optymizmu i pewność, że wszystko ułoży się po jego myśli. Wyprostował się w fotelu, przechylił nieco w prawo i spojrział we wsteczne lustro. Miał błyszczącą, zlaną potem twarz, pod oczami zaczęły mu się tworzyć obwisłe worki, a piaskowe włosy, choć jeszcze gęste, były poprządkane siwizną... Zaczął się starzeć. Dostrzegał u siebie subtelne zmiany, które pojawiały się zwykle w wieku czterdziestu kilku lat. On liczył ich sobie czterdzieści pięć. Niby niewiele, ale dość, by zdać sobie sprawę z szybkiego upływu czasu. Czy ma ochotę ożenić się po raz kolejny? Czy chce mieć dzieci? Oczekiwał ich od Claire. Kiedy się nie pojawiały, przeprowadził w tajemnicy przed nią badanie nasienia, które wykazało zbyt małą ilość żywych plemników. W związku z tym przez wiele lat uważał, że wina leży po jego stronie, dopóki nie przekonał się, że Claire oszukiwała go od samego początku.

Nie miałyby nic przeciwko temu, by zostać ojcem dziecka Winifred, ale wyszła za niego w wieku, kiedy nie mogła już mieć dzieci. Później, kiedy zaczęła go podejrzewać, w ogóle przestał z nią współżyć. Ktoś, kogo zamierzasz wyeliminować, jest już dla ciebie właściwie martwy, a seks jest dla żywych, nie dla nieboszczyków.

Jednak teraz, z kobietą niepodobną ani do Claire, ani do Winifred.. . Do Claire, ustawicznie poniżającej go aluzjami do aptekarskiej profesji jego ojca; do Winifred, wiecznie starającej się czynić dobro, myślącej tylko o ofiarach i dobroczynności. Teraz potrzebował żony, która nie tylko zajmowałaby odpowiednią pozycję społeczną, lecz także prowadziłaby za niego życie towarzyskie, spotykała się z ludźmi, podróżowała.

Nienawidził tych rzeczy i wiedział, że jego odraza jest dostrzegana przez innych. Potrzebował kogoś, kto by się tym zajął, łagodząc jego wizerunek.

Pewnego dnia ogłosi publicznie o swych dokonaniach i zazna sławy, na którą sobie zasłużył. Pewnego dnia ci wszyscy głupcy, którzy twierdzili, że porywa się z motyką na słońce, będą musieli docenić jego geniusz.

Dochodziła siódma. Wsiadł z samochodu i zamknął go starannie, po czym skierował się do wejścia do restauracji - w granatowym garniturze, niebieskim płaszczu z kaszmirskiej wełny, idealnie wypolerowanych butach, z nienagannie ułożonymi, poprzetykanymi siwizną włosami.

Portier otworzył przed nim drzwi.

- Dobry wieczór, panie doktorze. Paskudna pogoda, nieprawdaż? Skinął głową i wszedł do sali. Jego ulubiony stół w samym rogu

był zarezerwowany, ale główny kelner błyskawicznie przestawił karteczkę z nazwiskiem gościa i posadził Highelya na tym samym miejscu co zwykle.

Wino rozgrzało go i uspokoiło, posiłek zaś dał siłę, której potrzebował. Deser i brandy pozwoliły mu całkowicie wrócić do równowagi. Jego myśli były teraz jasne i przenikliwe. Mógł zaplanować krok po kroku cały proces, który doprowadzi do śmierci Katie DeMaio z powodu wykrwawienia.

Nie popełni żadnego błędu.

Właśnie wypisywał czek, kiedy kierownik sali podszedł do stolika niezwykłym jak na niego, szybkim krokiem. Wydawał się czymś zaniepokojony.

- Panie doktorze, obawiam się, że mamy pewien problem... Highley ścisnął mocniej pióro i spojrzał na kelnera.

- Portier zauważył jakiegoś młodego człowieka usiłującego dobrać się do bagażnika pańskiego samochodu. Wybiegł, żeby go złapać, ale tamten otworzył bagażnik, ukradł torbę i zniknął. Policja już przyjechała. Są przekonani, że to jakiś narkoman, który włamał się do pańskiego samochodu, ponieważ zobaczył nalepkę z napisem „Lekarz”.

Highley odniósł wrażenie, że ma usta zrobione z jakiejś twardej gumy. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Jak na kliszy rentgenowskiej ujrzał zawartość torby: zakrwawiony przycisk do papieru, dokumentacja medyczna z nazwiskami Vangie i doktora Salema, mokasyn Vangie.

Kiedy wreszcie się odezwał, ze zdziwieniem stwierdził, że mówi zupełnie normalnym głosem.

- Czy policja sądzi, że uda się odzyskać torbę?

- Już ich o to zapytałem, proszę pana. Niestety nie wiedzą. Złodziej może porzucić ją kilka przecznic stąd, zabrawszy to, co mu było potrzebne, albo ukryje ją tak, że nikt nigdy jej nie odnajdzie. Czas pokaże, jak będzie naprawdę.

Przed położeniem się spać Katie spakowała torbę, którą zamierzała wziąć do szpitala. Ponieważ szpital znajdował się w połowie drogi między domem a biurem, straciłaby tylko niepotrzebnie czas, gdyby jutro chciała specjalnie po nią przyjeżdżać.

Uzmysłowiła sobie, że pakuje się tak, jakby dokądś jej się śpieszyło. Wreszcie będzie miała to za sobą. Nieprzyjemna świadomość bycia nie w pełni sprawną rozstrajała ją psychicznie. Wyruszając do Molly, była pełna optymizmu, teraz zaś czuła się wycieńczona i przygnębiona. To musiało mieć związek z jej dolegliwościami fizycznymi.

A może przyczyną była nieprzyjemna myśl, że Richard zaangażował się w związek uczuciowy z jakąś kobietą?

Gdyby nie czekający ją zabieg, być może zdołałaby się nad tym spokojnie zastanowić. Teraz jednak miała wrażenie, że myśli tłuką się jej po głowie jak rozdrażnione komary; przysiadają na chwilę, kłują ją, lecz uciekały, zanim zdążyła je złapać. Dlaczego wciąż wydawało się, że umykają jej istotne szczegóły, że zadaje niewłaściwe pytania i błędnie interpretuje ważne sygnały?

W poniedziałek na pewno poczuje się lepiej i będzie mogła normalnie myśleć.

Wzięła prysznic, umyła zęby, wysuszyła włosy, po czym położyła się do łóżka. Minutę później podniosła się na łokciu, sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej fiolkę z pastylkami otrzymaną od doktora Highleya.

Niewiele brakowało, a zapomniałabym o tym - pomyślała, popijając kapsułkę wodą.

Zgasła światło i zamknęła oczy.

Gertrude Fitzgerald puściła w łazience zimną wodę i otworzyła buteleczkę z lekarstwem. Migrena nieco zelżała. Jeśli nie przeniesie się na drugą stronę głowy, do rana powinna zupełnie ustąpić. Jedna pastylka załatwi sprawę.

Coś nie dawało jej spokoju... Coś związanego ze śmiercią Edny i telefonem od pani DeMaio. Co za głupota pytać, czy Edna nazywała któregoś z lekarzy „Pięknym Księciem”. Zupełnie bez sensu.

Piękny Książę...

Edna wspomniała coś o Pięknym Księciu. Na pewno nie miało to związku z żadnym z lekarzy, ale musiało wydarzyć się nie tak dawno temu. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć... Szkoda, że pani DeMaio nie zapytała po prostu, czy Edna mówiła kiedyś o Pięknym Księciu. Wtedy Gertrude skojarzyłaby sobie zapewne od razu, a tak za nic nie mogła umiejscowić w czasie tego wydarzenia.

A może tylko wyobrażała to sobie? Siła sugestii, czy coś w tym rodzaju.

Kiedy ból głowy minie, będzie w stanie zacząć normalnie myśleć. Wtedy może sobie przypomni.

Połknęła pastylkę i położyła się do łóżka. Kiedy zamknęła oczy, usłyszała głos Edny:

- Powiedziała wtedy, że Piękny Książę nie...

Reszty nie mogła sobie przypomnieć za żadne skarby świata.

O czwartej nad ranem Richard zrezygnował z prób zaśnięcia, wstał z łóżka i zaparzył sobie kawę. Wieczorem zadzwonił do Scotta z wiadomością o śmierci Emmeta Salema, Scott zaś natychmiast skontaktował się z nowojorską policją i poinformował ich, że prokuratura okręgu Valley chce współpracować przy prowadzeniu śledztwa. Więcej nie dało się osiągnąć. Pani Salem nie było w domu, zaś biuro zleceń w Minneapolis dysponowało jedynie awaryjnym numerem telefonu doktora, pod który należało zgłaszać się w nagłych wypadkach, nie znało natomiast numeru pielęgniarki.

Richard wynotował sobie trzy sprawy, które budziły najwięcej wątpliwości:

1. Dlaczego dr Salem dzwonił do biura prokuratora?
2. Dlaczego Vangie umówiła się z nim na wizytę?
3. Dziecko Berkeleyów.

Ostatni punkt był najważniejszy ze wszystkich. Czyżby koncepcja Macierzyństwa Westlake nie miała na swoim koncie aż tylu sukcesów, jak powszechnie uważano? A może stanowiła jedynie parawan dla kobiet, które musiały adoptować dziecko, nie mogąc zająć w ciążę lub utrzymać jej wystarczająco długo? Czyżby kładziono je do łóżka na dwa miesiące przed spodziewanym terminem „porodu” tylko po to, by nikt postronny nie zorientował się, że nie są w ciąży?

Z adopcją wiązały się liczne problemy. Liz Berkeley otwarcie przyznała, że próba, jaką podjęła wraz z mężem, zakończyła się niepowodzeniem. Przypuśćmy, że doktor Highley powiedział im: „Nigdy nie będziecie mieli własnego dziecka, ale ja pomogę wam je zdobyć. Oczywiście to będzie dużo kosztowało i musi zostać utrzymane w ścisłej tajemnicy”.

Był gotów dać głowę, że zgodziliby się na to.

Ale przecież Vangie Lewis była w ciąży, więc nie pasowała do tego schematu. Oczywiście, że bardzo jej zależało na dziecku, ale w jaki sposób zamierzała wytłumaczyć mężowi skośne oczy i smagłą cerę potomka? A może któreś z nich miało domieszkę azjatyckiej krwi? Tej możliwości nie wziął pod uwagę.

Oskarżenia wysuwane przeciwko Highleyowi... Koniecznie trzeba sprawdzić, czego dotyczyły. I jeszcze dokumentacja medyczna Van - gie. Powinna znajdować się w gabinecie doktora Salema, który był jej lekarzem. Tam właśnie należy rozpocząć poszukiwania.

Ciało Vangie przyleciało samolotem, którym miał także wrócić Chris Lewis. Teraz leżało już w chłodni. Richard postanowił, że jutro z samego rana ponownie przejrzy wyniki pierwszej sekcji, a potem jeszcze raz dokładnie zbada zwłoki. Za pierwszym razem coś mu umknęło... Wtedy skoncentrował się na płodzie i oparzeniach spowodowanych cyjankiem potasu. Czy to możliwe, żeby Vangie po prostu rozlała truciznę? Z pewnością trzęsły się jej ręce... Ale w takim wypadku na szklance powinno zostać więcej odcisków. Musiała przecież wziąć ją ponownie do ręki, napełnić... A co stało się z kopertą lub fiolką, w której trzymała cyjanek?

Coś tu było nie tak.

O wpół do szóstej wyłączył światło i nastawił budzik na siódmą. Wreszcie udało mu się zasnąć. Śnił o Katie. Stała przy oknie sypialni Edny Burns i zaglądała do środka, a z pewnej odległości przypatrywał się jej doktor Edgar Highley.

Jak przystało na księgową, Edna utrzymywała nienaganny porządek w osobistych papierach. Kiedy w piątek rano funkcjonariusze pod wodzą Phila Cunninghama i Charleya Nugenta przystąpili do przeszukiwania jej mieszkania, pierwszą rzeczą, na jaką natrafili w staromodnym sekretarzyku, była ostatnia wola Edny Burns.

Ponieważ mój jedyny krewniak nigdy nie odwiedził w chorobie moich rodziców, ani nawet nie zapytał o ich zdrowie, wszystko, co posiadam, postanowiłam przekazać moim przyjaciółkom, Gertrudzie Fitzgerald i Ganie Krupshak. Pani Fitzgerald otrzymuje pierścionek z brylantami i wszystko, cokolwiek zechce zabrać z mieszkania, pani Krupshak zaś broszkę, sztuczne futro i wszystko to, czego nie zechce zabrać pani Fitzgerald. Omówiłam już sprawę pogrzebu z właścicielem zakładu, który tak wspaniale zajął się moimi rodzicami. To, co pozostanie po potrąceniu kosztów pochówku z mojej polisy ubezpieczeniowej wartości 10.000\$, ma zostać przekazane domowi opieki społecznej, który stworzył tak wspaniałe warunki moim rodzicom, i wobec którego wciąż jeszcze mam nie uregulowane zobowiązania finansowe.

Zespół dochodzeniowy metodycznie poszukiwał odcisków palców, włosów oraz wszelkich śladów mogących świadczyć o dokonaniu włamania. Odrobina ziemi przyczepiona do spodu doniczki z kwiatkiem stojącej na parapecie w sypialni sprawiła, że na czole Phila pojawiły się głębokie zmarszczki. Wyszedł na zewnątrz, okrążył segment, zebrał do koperty próbkę zamarznętej ziemi spod okna, po czym ostrożnie, by nie zatrzeć ewentualnych śladów, pchnął okno w górę. Otwór znajdował się na tyle nisko, że nawet człowiek średniego wzrostu bez trudu wszedłby tędy do środka.

- To całkiem możliwe - powiedział do Charleya. - Ktoś mógł się wtedy wślizgnąć i podkraść się do niej, ale ziemia jest tak zamarznięta, że nigdy nie uda nam się tego udowodnić.

Odwiedzili także wszystkie mieszkania w sąsiedztwie, zadając tylko jedno pytanie: Czy we wtorek wieczorem ktoś zauważył w okolicy jakichś nieznajomych ludzi?

Raczej nie spodziewali się uzyskać żadnych rewelacji. Wtorkowy wieczór był ciemny i zimny, a rozrośnięte krzaki zapewniały bezpieczne schronienie każdemu, kto chciałby niepostrzeżenie podkraść się do któregoś z okien.

Jednak, zupełnie nieoczekiwanie, odnieśli spory sukces. W ostatnim mieszkaniu, które postanowili odwiedzić, zastali jedenastoletniego chłopca, który właśnie wrócił ze szkoły na lunch.

- Jakiś człowiek pytał mnie, gdzie mieszka panna Burns, więc mu powiedziałem - oznajmił, usłyszawszy pytanie, które zadali jego matce. - Pamiętasz, mamó, kazałaś mi wyjść z Porgy na spacer, zaraz po „Szczęśliwych latach”...

- To było około wpół do dziesiątej - powiedziała matka. - Nie mówiłeś mi, że z kimś rozmawiałeś! - dodała oskarżycielskim tonem.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Bo to nie było nic wielkiego. Kiedy wracałem do domu, jakiś samochód zatrzymał się przy krawężniku. Kierowca zapytał mnie, czy wiem, w którym segmencie mieszka panna Burns, a ja pokazałem mu drogę, i to wszystko.

- Jak on wyglądał? - zapytał Charley. Chłopiec zmarszczył brwi.

- Bardzo przyzwoicie. Był wysoki, miał ciemne włosy i ekstra wóz. To była corvette.

Charley i Phil błyskawicznie wymienili spojrzenia.

- Chris Lewis... - mruknął ponuro Charley.

W piątek rano Katie zjawiała się w biurze punktualnie o siódmej i przystąpiła do ostatecznego przeglądu sprawy, w której miała występować. Oskarżeni, dwaj bracia w wieku osiemnastu i siedemnastu lat, spowodowali poważne zniszczenia w dwóch szkołach, podkładając ogień w salach lekcyjnych.

O wpół do dziewiątej zjawiała się Maureen z dzbankiem gorącej kawy. Katie oderwała wzrok od papierów.

- Rety, ale ich przyszpilę! - powiedziała. - Zrobili to tylko dla hecy, rozumiesz? Dla hecy! Kiedy pomyślisz, jak ciężko pracują ludzie płacący podatki tylko po to, żeby ich dzieci mogły chodzić do szkoły, robi ci się niedobrze. To więcej niż przestępstwo. Maureen naląła jej kawy.

- Jedna z tych szkół jest w moim mieście. Chodzą do niej dzieci sąsiadów. Chłopiec właśnie skończył budować model na wystawę osiągnięć naukowych - zdaje się, że to była elektrownia słoneczna, czy coś w tym rodzaju. Biedak pracował przez wiele miesięcy, a teraz wszystko poszło z dymem.

Katie szybko dopisała kilka słów na marginesie swego wystąpienia.

- Uzupełniłaś moje zapasy amunicji. Dziękuję. Maureen zawahała się wyraźnie. - Katie...

Spojrzała w zielone, smutne oczy dziewczyny.

- Słucham?

- Rita powiedziała mi, że wiesz o... o dziecku.

- Tak. Strasznie mi przykro, Maureen.

- Chodzi o to, że ja nie mogę o tym zapomnieć. A teraz ta sprawa Vangie Lewis... te ciągle rozmowy... Wszystko stało się jeszcze bardziej wyraźne.

Katie skinęła głową.

- Maureen, kiedy John umarł, oddałabym wszystko, żeby tylko mieć dziecko. Przez cały tamten rok modliłam się, by zajść w ciążę, bo w ten sposób zostałaaby mi po nim jakaś pamiątka. Kiedy myślę o moich znajomych, które świadomie rezygnują z posiadania dziecka albo decydują się na aborcję tak lekko, jakby chodziło o pójście do fryzjera, zastanawiam się, czy to wszystko ma jakikolwiek sens. Modłę się jednak, żebym kiedyś mogła mieć własne dzieci. Ty też na pewno będziesz je miała, i wtedy obie docenimy, jakie spotkało nas szczęście, gdyż tak bardzo nam na tym zależało.

Oczy Maureen wypełniły się łzami.

- Mam nadzieję. Ale jeśli chodzi o sprawę Vangie Lewis, to... Zadzwoił telefon. Katie podniosła słuchawkę.

- Cieszę się, że cię zastałem, Katie - usłyszała głos Scotta.
- Możesz wpaść do mnie na chwilę?

- Jasne. - Katie wstała z fotela. - Scott chce się ze mną widzieć. Pogadamy później, Maureen.

Tknięta nagłym impulsem podeszła do dziewczyny i objęła ją mocno.

Scott wyglądał przez okno, lecz Katie była gotowa iść o zakład, że jej szef nie widzi odległej o kilkanaście metrów szarej ściany więzienia. Odwrócił się, kiedy weszła do pokoju.

- Masz dzisiaj sprawę braci Odendall?

- Tak. Są spore szanse, żeby ją wygrać.

- Ile ci to zajmie?

- Na pewno większość dnia. Obrona kładzie nacisk na wrodzone cechy charakteru i powołała na świadka wychowawczynię z przedszkola, ale dam sobie z nią radę.

- Jestem tego pewien. Słyszałaś już o doktorze Salemie?

- To ten lekarz z Minneapolis, który dzwonił do Richarda? Nie, o niczym nie wiem. Poszłam prosto do swojego biura.

- Wczoraj wypadł, lub został wypchnięty, z okna hotelu Essex House zaledwie kilka minut po tym, jak się zameldował. Współpracujemy w tej sprawie z nowojorską policją. Przypadkowo tak się składa, że tego samego wieczoru z Minneapolis przyleciało ciało Vangie Lewis, natomiast kapitan Lewis przepadł bez wieści.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że prawdopodobnie poleciał do Nowego Jorku. Mógł się tam zjawić mniej więcej o tej samej porze co doktor Salem. Jeśli dowiemy się, że przebywał wtedy w pobliżu hotelu, wreszcie zdobędziemy jakiś konkretny dowód. Nie podoba mi się samobójstwo Vangie, nie podoba mi się wypadek Edny i nie chce mi się uwierzyć, żeby doktor Salem wyskoczył przez okno.

- A ja nie wierzę w to, że Chris Lewis jest mordercą - odparła spokojnie Katie. - Jak myślisz, gdzie jest teraz?

Scott wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie ukrywa się gdzieś w Nowym Jorku. Przypuszczam, że mogłaby nas do niego doprowadzić jego dziewczyna; dziś wieczorem przylatuje z Florydy. Możesz zostać trochę dłużej?

- Akurat w ten weekend muszę wyjechać - powiedziała niepewnie Katie. - Nie mogę tego zmienić. Ale będę z tobą szczerą, Scott: czuję się tak paskudnie, że nawet nie jestem w stanie rozsądnie myśleć. Oby tylko udało mi się przebrnąć przez tę rozprawę... Na szczęście jestem dobrze przygotowana, ale zaraz potem jadę do... do domu.

Scott przyglądał się jej uważnie.

- Od początku tygodnia powtarzam ci, że w ogóle nie powinnaś przychodzić do pracy. Dzisiaj wyglądasz jeszcze gorzej niż we wtorek rano. Dobra, załatw tę rozprawę i znikaj. W przyszłym tygodniu będziemy mieli mnóstwo roboty. W

poniedziałek rano omówimy wszystkie szczegóły. Myślisz, że będziesz już w formie?

- Na pewno.
- Powinnaś zrobić sobie dokładne badania.
- Dzisiaj idę do lekarza.
- To dobrze.

Scott przeniósł spojrzenie na leżące na biurku papiery, co dla Katie było sygnałem do opuszczenia gabinetu. Wróciła do swego pokoju. Zbliżała się dziewiąta, więc powinna już iść na salę rozpraw. Przypomniała sobie o pastylkach, które dostała od doktora Highleya; wzięła jedną wieczorem i o szóstej rano, teraz więc powinna łykać je co trzy godziny. Zrobi to teraz, przed początkiem rozprawy. Popiła pastylkę resztką kawy, po czym zebrała teczkę z dokumentami i ruszyła do wyjścia. Ostra krawędź plastikowej okładki ukłuła ją w palec. Katie syknęła głośno, po czym owinęła skaleczoną opuszkę jednorazową chusteczką i wybiegła z pokoju.

Pół godziny później, kiedy wraz z pozostałymi osobami zgromadzonymi w sali wstała na powitanie sędziego, chusteczka była mokra od krwi.

Pogrzeb Edny Burns odbył się w piątek rano, po mszy w kościele św. Franciszka. Gana Krupshak i Gertrude Fitzgerald odprowadziły trumnę na pobliski cmentarz, po czym, trzymając się mocno za ręce, patrzyły, jak ciało Edny złożono do grobu, w którym spoczywali jej rodzice. Ojciec Durkin odmówił modlitwę, pokropił trumnę święconą wodą, a następnie odprowadził obie kobiety do samochodu Gertrudy.

- Może panie wstąpią do mnie na kawę? - zaproponował. Gertrude otarła łzy i potrząsnęła głową.

- Dziękuję, ale muszę już wracać do pracy. Będę zastępowała Ednę, dopóki nie znajdą nowej sekretarki, a obaj doktorzy mają dzisiaj dzień przyjęć.

Gana Krupshak także nie przyjęła zaproszenia.

- Ale skoro ojciec wraca na plebanie, to czy mógłby ojciec podrzucić mnie do domu? Gertrude nie musiałaby nadkładać drogi.

- Oczywiście.

- Może przyjdiesz dziś wieczorem na kolację? - zapytała Gana Gertrudę. - Będzie pyszna pieczeń.

Gertrude z wdzięcznością przyjęła zaproszenie, gdyż na myśl o powrocie do pustego mieszkania przechodziły ją zimne dreszcze. Dobrze będzie porozmawiać wieczorem o Ednie z jeszcze jedną osobą, która była jej przyjaciółką. Da wyraz swemu oburzeniu, że żaden z lekarzy nie zjawił się na pogrzebie, choć doktor Fukhito przynajmniej przysłał kwiaty. Może dzięki pogawędce z Ganą przejaśni jej się nieco w głowie i będzie mogła spokojnie przemyśleć to, co od dłuższego czasu nie dawało jej spokoju - coś, co usłyszała od Edny.

Pożegnała się z Ganą i ojcem Durkinem, wsiadła do samochodu, uruchomiła silnik i zwolniła ręczny hamulec. Wystarczyło, żeby lekko przymknęła powieki, a natychmiast

przed jej oczami pojawiała się twarz doktora Highleya z tymi dużymi, rybimi, zimnymi oczami. Owszem, we wtorek wieczorem był dla niej dość miły - dał jej pastylkę i przyniósł wodę, żeby się uspokoiła - ale w jego zachowaniu było coś dziwnego. Na przykład wtedy, kiedy wyszedł po wodę; poszła za nim, bo nie chciała, żeby jej usługiwał. Zobaczyła, że odkręcił kran w łazience po czym wszedł do sypialni Edny. Stojąc w holu, widziała, jak wyciąga chusteczkę i ostrożnie otwiera szufladę nocnej szafki Edny.

Wtedy do holu wyszedł ten miły doktor Carroll, a doktor Highley zatrzasnął szufladę, wsadził chusteczkę do kieszeni i odsunął się od szafki, jakby w ogóle go nie interesowała.

Gertrude zaczekała, aż doktor Carroll minie ją, po czym szybciotko wróciła do salonu. Nie chciała, by pomyśleli, że próbuje ich podsłuchiwać. Ale jeśli doktor Highley potrzebował czegoś z tej szuflady, to dlaczego po prostu tego nie wziął? I czemu, na litość boską, dotykał gałki przez chusteczkę? Chyba nie bał się, że się pobrudzi? Przecież mieszkanie Edny było utrzymane w nieskazitelnej czystości!

Doktor Highley zawsze był dziwnym człowiekiem. Prawdę mówiąc, ona także, podobnie jak Edna, trochę się go bała. Nie ma mowy, żeby przyjęła posadę Edny, nawet gdyby jej to zaproponowano! Podjąwszy tę decyzję, Gertrude wyjechała z cmentarza i skręciła w Forest Avenue.

Zwłoki Vangie Lewis leżały na stole laboratoryjnym w zakładzie medycyny sądowej okręgu Valley. Richard przyglądał się z niewzruszoną twarzą, jak jego asystent ściąga z ciała jedwabną sukienkę, w której miała zostać pochowana. Martwe rysy twarzy, które w przyćmionym oświetleniu sali domu pogrzebowego wydawały się miękkie i naturalne, w bezlitosnym blasku laboratoryjnych lamp stwardniały, upodabniając ciało do pozbawionego choćby pozorów życia manekina ze sklepowej wystawy.

Jasne włosy zostały starannie uczesane w taki sposób, by spływały luźno na ramiona. Teraz lakier zaczął twardnieć, dzieląc je na cienkie, przypominające pęczki trawy pasma. Richard przypominał sobie, że podobno Św. Franciszek Borgia zrezygnował z dworskiego życia i wstąpił do klasztoru po tym, jak zobaczył rozkładające się ciało niegdyś pięknej królowej.

Przywołał się ostro do porządku. Teraz potrzebna mu będzie maksymalna koncentracja. Był pewien, że podczas wtorkowego badania jego uwadze umknęło coś bardzo ważnego. Coś mającego związek z nogami lub stopami. Tam właśnie skupi całą uwagę.

Piętnaście minut później znalazł to czego szukał: pięciocentymetrowe zadrapanie na lewej stopie Vangie. Zignorował je poprzednim razem, gdyż interesowały go wtedy głównie oparzenia spowodowane cyjankiem potasu oraz martwy płód.

Zadrapanie było świeże, gdyż nie zaczęło się jeszcze goić. To właśnie go zaniepokoiło: Vangie tuż przed śmiercią zadrapała sobie stopę, a Charley znalazł w garażu strzępek sukienki, którą miała wtedy na sobie.

- Zdaje się, że chłopcy z laboratorium skończyli już badać ubranie pani Lewis - zwrócił się do asystenta. - Proszę je przynieść, ubrać ją i zawołać mnie, kiedy pan skończy.

Znalazłszy się w biurze zanotował szybko: Pantofle, które znaleziono na jej nogach; dość wysokie, kryjące całą stopę. Nie mogła ich mieć na sobie, kiedy się zadrapała.

Przejrzał notatki poczynione minionej nocy. Dziecko Berkeleyów. Musi porozmawiać z Jimem Berkeleyem, zmusić go do przyznania, że dziecko zostało adoptowane.

Ale czego w ten sposób dowiedzie?

Bezpośrednio niczego, lecz przynajmniej doprowadzi do wszczęcia śledztwa. Może się jeszcze okazać, że cała koncepcja Macierzyństwa Westlake to jedno wielkie oszustwo.

Czy ktoś byłby w stanie posunąć się aż do morderstwa, żeby tylko prawda nie wyszła na jaw?

Konieczmie musi przejrzeć dokumentację medyczną Vangie, która znajdowała się w posiadaniu doktora Salema. Scottowi chyba udało się już ją zdobyć. Szybko wykręcił jego numer.

- Skontaktowałeś się z gabinetem Salema?

- Owszem, a także z jego żoną. Zarówno ona jak i pielęgniarka są zupełnie załamane. Obie przysięgają, że nie miał ani wysokiego ciśnienia ani zawrotów głowy. Żadnych problemów osobistych, żadnych kłopotów finansowych, najbliższe pół roku wypełnione wykładami i referatami. Moim zdaniem możemy wykluczyć zarówno samobójstwo, jak i nieszczęśliwy wypadek.

- A co z Vangie Lewis? Pielęgniarka wie coś na jej temat?

- Doktor poprosił ją wczoraj, żeby znalazła jej dokumentację, a potem, tuż przed wyjściem z gabinetu, dzwonił gdzieś daleko.

- Prawdopodobnie do mnie.

- Być może, ale pielęgniarka twierdzi, że miał zamiar przeprowadzić jeszcze kilka zamiejscowych rozmów, lecz powiedział, że skorzysta z automatu na lotnisku. Chyba dlatego zależało mu, żeby znaleźć się tam ze sporym zapasem czasu.

- Prześlą nam papiery Vangie? Chciałbym rzucić na nie okiem.

- Niestety nie - odparł Scott. - Doktor Salem zabrał je ze sobą. Pielęgniarka widziała, jak wkładał je do teczki, do tej samej, którą znaleźliśmy w jego pokoju, ale już bez dokumentacji Vangie Lewis. I jeszcze jedno: kiedy Salem już wyszedł, do gabinetu zadzwonił Chris Lewis. Twierdził, że koniecznie musi z nim porozmawiać, więc pielęgniarka podała mu nazwę hotelu w Nowym Jorku, a nawet numer pokoju. Powiem ci coś, Richardzie: przypuszczam, że jeszcze dziś wydam nakaz aresztowania kapitana Lewisa.

- Uważasz, że w tych papierach było coś, na czym tak bardzo mu zależało, że zdecydował się popełnić morderstwo? Trudno mi w to uwierzyć.

- Komuś na pewno zależało - odparł Scott. - To chyba oczywiste, prawda?

Richard odłożył słuchawkę. Rzeczywiście, komuś zależało na tej dokumentacji... medycznej dokumentacji. Kto mógł wiedzieć, że coś może mu zagrażać z tej strony?

Lekarz.

Czyżby Katie miała rację, podejrzewając psychiatrę? A co z Edgarem Highleyem? Zjawił się w okręgu Valley, korzystając z rekomendacji, jaką dawało nazwisko Westlake, znane i poważane w kręgach lekarskich New Jersey.

Richard zaczął niecierpliwie szukać na biurku otrzymanej od Marge kartki z nazwiskami dwojga pacjentów, którzy wystąpili z oskarżeniami przeciwko doktorowi Edgarowi Highleyowi.

Anthony Caldwell, Old Country Lane, Peapack.

Anna Horan, Walnut Street 415, Ridgefield Park.

Poprosił przez interkom, by Marge spróbowała dodzwonić się do tych ludzi.

Kilka minut później zameldowała się ponownie.

- Anthony Caldwell nie mieszka już pod tym adresem. W ubiegłym roku przeniósł się do Michigan. Rozmawiałam z sąsiadką. Powiedziała mi, że jego żona zmarła z powodu ciąży jajowodowej, a on pozwał lekarza do sądu, ale przegrał sprawę. Podobno dwaj inni lekarze ostrzegali panią Caldwell, że nie wolno jej nawet marzyć o dziecku, ale zaraz po tym, jak zaczęła stosować się do wskazań doktora Highleya, zaszła w ciążę. Niestety, przez cały czas bardzo chorowała, aż wreszcie zmarła w czwartym miesiącu.

- To mi na razie wystarczy - powiedział Richard. - Zażądamy udostępnienia historii chorób pacjentek. A co z panią Horan?

- Zastałam jej męża. Studiuje prawo w Rutgers, a ona pracuje tam jako programistka. Dał mi jej numer do pracy. Mam pana teraz połączyć?

- Tak, proszę.

Marge skorzystała z aparatu stojącego na biurku Richarda, a po uzyskaniu połączenia poprosiła do telefonu panią Anne Horan.

- Chwileczkę, będzie z panią rozmawiał doktor Carroll. Oddała mu słuchawkę.

- Pani Horan?

- Tak. Czym mogę służyć? - zapytała kobieta z lekkim akcentem, którego jednak nie mógł umiejscowić.

- W ubiegłym roku wystąpiła pani z oskarżeniem przeciwko doktorowi Edgarowi Highleyowi. Chciałbym zadać pani kilka pytań w związku z tą sprawą. Czy zgadza się pani?

- Tak, ale... nie tutaj.

- Rozumiem. Niestety, sprawa jest bardzo pilna. Czy mogłaby pani wstąpić po pracy do mojego biura? Moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

- Dobrze, oczywiście.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta pragnie jak najszybciej zakończyć rozmowę. Richard zaczął jej wyjaśniać, jak do niego trafić, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

- Dam sobie radę. Będę u pana o wpół do szóstej.

Połączenie zostało przerwane. Richard spojrzał na Marge i wzruszył ramionami.

- Nie jest zachwycona, ale obiecała, że przyjedzie.

Zbliżało się południe. Richard postanowił zajrzeć na salę, gdzie odbywała się rozprawa braci Odendallów, i zapytać Katie, czy pójdzie z nim na lunch. Chciał uzyskać więcej informacji na temat doktora Highleya. Katie z nim rozmawiała. Jakie odniosła wrażenie? Czy ona także uważa, że pod przykrywką Koncepcji Macierzyństwa Westlake kryje się coś podejrzanego - na przykład szajka handlarzy dziećmi lub przestępcze praktyki lekarza przeprowadzającego niebezpieczne eksperymenty na pacjentkach?

Sala rozpraw była pusta, tylko Katie siedziała jeszcze przy swoim stole.

Ledwo go zauważyła, a na wzmiankę o lunchu pokręciła przecząco głową.

- Richardzie, zagrzebałam się w to po same uszy. Te małe gnojki cofnęły przyznanie się do winy. Próbują teraz wszystkim wmówić, że to ktoś inny podłożył ogień, a są tak znakomitymi kłamcami, że przysięgli chyba zaczynają im wierzyć. Muszę przygotować dobre pytania.

Richard przyglądał się jej uważnie. Zwykle oliwkowa skóra była teraz śmiertelnie blada, a kiedy spojrzała na niego, spostrzegł, że ma matowe, lekko zamglone oczy. Zauważył

prowizoryczny opatrunek na palcu. Wyciągnął rękę i delikatnie odwinął chusteczkę.

Katie ponownie oderwała wzrok od papierów.

- Co się... Ach, to diabelstwo. Skaleczyłam się głębiej niż myślałam. Krwawi od rana. Jeszcze tylko tego mi brakowało.

Przyjrzał się skaleczeniu. Po usunięciu opatrunku krew zaczęła sączyć się obficie. Richard ponownie owinał chusteczkę wokół palca, po czym przycisnął ją gumką.

- Nie ruszaj tego przez jakieś dwadzieścia minut. Krwawienie powinno ustąpić. Miałaś kiedyś problemy z krzepliwością krwi?

- Trochę. Richardzie, naprawdę nie mam czasu teraz o tym rozmawiać. Sprawa wymyka mi się z rąk, a w dodatku tak fatalnie się czuję... - dokończyła załamującym się głosem.

Byli tylko we dwoje. Richard ujął Katie za ramiona, przytulił jej głowę do piersi i pocałował we włosy.

- Już znikam, jeśli sobie tego życzysz, ale obiecaj mi, że gdziekolwiek będziesz podczas tego weekendu, przemyślisz sobie pewne sprawy. Zgłaszam oficjalnie swoją kandydaturę. Pragnę cię. Chcę się o ciebie troszczyć. Jeśli w twoim życiu jest ktoś inny, powiedz mu, że nie ma ze mną szans, ponieważ nie opiekuje się tobą jak należy, a jeśli w grę wchodzi jedynie przeszłość, to wiedz, że uwolnię cię z jej więzów. - Wyprostował się. - A teraz wygraj tę sprawę. Możesz to zrobić. I, na litość boską, odpocznij przez ten weekend. W poniedziałek będę chciał skorzystać z twojej rady, bo wydaje mi się, że w sprawie Vangie Lewis zaczyna się rysować nowy wątek.

Od rana było jej okropnie zimno. Nie pomogła nawet wełniana sukienka z długimi rękawami. Teraz, tak blisko Richarda, poczuła promieniujące od niego ciepło. Kiedy odwrócił się, by odejść, złapała go za rękę i przycisnęła ją do twarzy.

- A więc do poniedziałku - powiedziała.
- Do poniedziałku - odparł, po czym wyszedł z sali.

Przed opuszczeniem osiedla, w którym mieszkała Edna, Charley i Phil zadzwonili do drzwi państwa Krupshak. Gana przed chwilą wróciła z pogrzebu. - Skończyliśmy przeszukiwanie mieszkania - poinformował ją Charley. - Można już tam wchodzić. - Pokazał jej notatkę sporządzoną przed Edną. - Jeszcze sprawdzę, czy to może zostać uznane za testament, ale wszystko co tam zostało nie jest warte nawet tysiąca dolarów, więc myślę, że damy pani tę biżuterię, a pani podzieli się nią i meblami z pani Fitzgerald. Możecie już teraz wybrać, co wam się przyda, a co nie, ale niczego jeszcze nie wynoście.

Po powrocie do biura dwaj mężczyźni skierowali się natychmiast do laboratorium, gdzie zostawili zawartość torebek odkurzacza, doniczkę z kwiatkiem z sypialni oraz próbkę ziemi spod okna.

- Zajmijcie się tym od razu - polecił Phil. - Ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo.

Scott czekał na nich w swoim gabinecie. Na wiadomość, że Chris Lewis był widziany we wtorkowy wieczór w pobliżu mieszkania Edny, chrząknął z zadowoleniem.

- W tym tygodniu wszędzie było go pełno, a gdziekolwiek się pojawił, natychmiast ktoś ginął w tajemniczych okolicznościach. Dziś rano posłałem Ritę do Nowego Jorku. Dwaj portierzy są pewni, że wczoraj około piątej człowiek bardzo podobny do Chrisa Lewisa kręcił się po głównym holu Essex House. Zaraz wyślę list gończy i wystawię nakaz aresztowania.

Zadzwonił telefon. Scott gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę, ale niemal natychmiast wyraz zniecierpliwienia zniknął z jego twarzy.

- Dajcie ją - powiedział, po czym szepnął, zakrywając dłonią mikrofon: - To dziewczyna Chrisa Lewisa. Dzwoni z

Florydy... Halo? Tak, tu prokurator okręgowy. - Słuchał przez chwilę. - Owszem, poszukujemy kapitana Lewisa. Wie pani może, gdzie on jest?

Charley i Phil wymienili szybko spojrzenia. Na czole Scotta pojawiły się głębokie zmarszczki.

- Znakomicie. Będzie z panią na pokładzie samolotu, który ląduje w Newark o siódmej wieczorem. Bardzo się cieszę, że postanowił dobrowolnie oddać się w nasze ręce. Myślę, że powinien skontaktować się ze swoim adwokatem. Dziękuję pani. - Odłożył słuchawkę. - Lewis wraca - oznajmił. - Jeszcze dziś możemy uzyskać odpowiedzi na wiele interesujących pytań.

Wciągu długiej bezsennej nocy Edgar Highley rozmyślał o skradzionej torbie. Mogła nigdy się nie odnaleźć. Jeśli złodziej porzucił ją, przejrząwszy zawartość, szanse na to, że ktokolwiek jeszcze ją ujrzy, były minimalne. Nawet gdyby ktoś ją znalazł, z pewnością nie będzie zadawał sobie trudu, by odszukać właściciela, tylko po prostu zatrzyma ją, wyrzuciwszy uprzednio niepotrzebne przedmioty.

A gdyby w nienaruszonym stanie trafiła w ręce nowojorskiej policji? Wewnątrz znajdowało się jego nazwisko oraz adres szpitala. Policja na pewno chciałaby się od niego dowiedzieć, jaka była zawartość torby. Wymieniłby wtedy kilka popularnych leków, jakieś narzędzia i może karty pacjentek. Teczka z nazwiskiem VANGIE LEWIS nie wzbudziłaby niczyich podejrzeń. Z pewnością nikt by nawet do niej nie zajrzał. Gdyby zapytali go o pantofel i zakrwawiony przycisk do papieru, wyparłby się jakiegokolwiek wiedzy na ten temat. Podsunąłby im oczywisty wniosek, że te przedmioty zostały podrzucone przez złodzieja.

Wszystko będzie dobrze. Dziś wieczorem zniknie ostatnie zagrożenie. O piątej nad ranem zrezygnował z prób zaśnięcia, wszedł pod gorący prysznic i stał tam prawie dziesięć minut, aż łazienkę wypełniły kłęby pary, po czym założył gruby, sięgający do kolan szlafrok i zszedł do kuchni. W gabinecie miał się zjawić dopiero w południe. Przedtem zrobi jeszcze obchód na oddziale. Do tego czasu może zajmować się notatkami. Postanowił, że wczorajsza pacjentka stanie się obiektem kolejnego eksperymentu, ale jeszcze nie zdążył wybrać odpowiedniej dawczyni.

O czwartej po południu Richard, Scott, Charley i Phil stali przy laboratoryjnym stole, przyglądając się Vangie Lewis ubranej w ten sam strój, w jakim znaleziono ją martwą w łóżku. Skrawek kolorowego materiału znaleziony w garażu na wystającym trzonku szpadla pasował idealnie do rozdarcia u dołu sukienki. Rajstopy także były rozdarte, dokładnie w miejscu pięciocentymetrowego zadrapania.

- Nie znaleźliśmy ani śladu krwi - poinformował Richard zebranych. - Była już martwa, kiedy jej noga zawadziła o trzonek.

- Jak wysoko była ta półka, na której leżał szpadel? - zapytał Scott.

Phil wzruszył ramionami.

- Jakies sześćdziesiąt centymetrów nad podłogą.

- Co oznacza, że ktoś wniósł ją przez garaż, położył na łóżku i upozorował samobójstwo - powiedział Scott.

- Bez wątplenia - zgodził się Richard. Coś jednak nie dawało mu spokoju. - Ile wzrostu ma Chris Lewis? - zapytał.

Tym razem to Scott wzruszył ramionami.

- To duży facet. Jakies metr dziewięćdziesiąt. Bo co?

- Sprawdźmy coś. Zaczekajcie chwilę. - Richard wyszedł z pokoju, by niebawem wrócić z miarką. Starannie zaznaczył na ścianie punkty położone sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt i sto dwadzieścia centymetrów nad podłogą. - Jeśli przyjmiemy, że człowiekiem, który niósł Vangie Lewis był jej mąż, to w takim razie nie powinna była zawadzić o ten szpadel. - Spojrzał na Phila. - Jesteś pewien, że to było akurat sześćdziesiąt centymetrów?

- Z dokładnością do dwóch.

Charley skinął głową, potwierdzając słowa kolegi.

- W porządku. Ja mam metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. - Delikatnie wsunął jedną rękę pod kark martwej kobiety, drugą

zaś pod kolana, podniósł ją ze stołu i podszedł do ściany. - Spójrzcie, dokąd sięgają jej stopy. Była nieduża i na pewno nie zawadziłyby o żaden przedmiot sterczący niżej niż dziewięćdziesiąt centymetrów nad podłogą, oczywiście zakładając, że niósł ją ktoś bardzo wysoki. Jednak z drugiej strony... - Zbliżył się do Phila. - Ile masz wzrostu? Jakież metr siedemdziesiąt?

- Mniej więcej.

- Czyli Chris Lewis jest od ciebie wyższy o dwadzieścia centymetrów. Weź ją. Zobaczymy, dokąd sięgnie stopami.

Phil wykonał polecenie. Stopy Vangie dotknęły najniższej położonego punktu. Phil położył ciało z powrotem na stole. Scott pokręcił głową.

- W ten sposób nie można niczego udowodnić. Mógł się na przykład schylić, albo coś w tym rodzaju. - Zwrócił się do pracownika laboratorium: - To ubranie będzie nam potrzebne jako dowód rzeczowy. Zajmijcie się nim. Zróbcie parę zdjęć skaleczenia oraz rozdarcia w rajstopach i sukience.

Wrócił z Richardem do jego biura.

- Wciąż myślisz o tym psychiatrze, prawda? - zagadnął. - On ma około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu.

Richard zawahał się i ostatecznie postanowił nic nie mówić, dopóki nie porozmawia z Jimem Berkeleyem i kobietą, która wniosła oskarżenie przeciwko Edgarowi Highleyowi.

- Jak sobie radzi Katie? - zapytał, zmieniając temat. Scott potrząsnął głową.

- Trudno powiedzieć. Te gagatki zwalają teraz wszystko na swojego kumpla, który w listopadzie zginął w wypadku motocyklowym. Twierdzą, że początkowo wzięli winę na siebie, bo zrobiło im się żal jego staruszków, ale potem pastor przekonał ich, żeby ze względu na dobro swoich własnych rodzin powiedzieli, jak było naprawdę.

- Chyba ława przysięgłych nie da się na to nabrać? -
parsknął Richard.

- Nie wiadomo. Zawsze może się znaleźć jakiś romantyczny kretyn o miękkim sercu. Katie zrobiła, co mogła, ale nie wiadomo, co z tego wyniknie. No, na razie. Zobaczymy się później.

O wpół do piątej oddzwonił Jim Berkeley.

- Podobno chciałeś ze mną porozmawiać - powiedział ostrożnie.

- Owszem - odparł Richard, starając się, by zabrzmiało to możliwie obojętnie. - Mam dość ważną sprawę. Mógłbyś wpaść do mnie, wracając do domu?

- Dobrze, przyjadę - odparł Jim zrezygnowanym tonem. - Chyba wiem, o czym chcesz porozmawiać.

Edgar Highley odwrócił się od dziewczyny siedzącej na fotelu ginekologicznym. - Możesz się ubrać. Twierdziła, że ma dwadzieścia lat, ale on był pewien, że nie liczyła ich sobie więcej niż szesnaście albo siedemnaście. - Czy ja...

- Tak, moja droga. Bez wątpienia jesteś w ciąży. Wydaje mi się, że to mniej więcej piąty tydzień. Przyjdź jutro rano, to przeprowadzimy zabieg.

- Zastanawiałam się, czy nie powinnam urodzić dziecka i oddać go potem do adopcji...

- Mówiłaś o tym rodzicom?

- Nie. Bardzo by się przejęli.

- W takim razie radzę ci, żebyś odłożyła macierzyństwo co najmniej o kilka lat. Jutro o dziesiątej.

Przeszedł z pokoju badań do gabinetu i zadzwonił do nowej pacjentki, którą wybrał poprzedniego dnia.

- Pani Englehart? Tu doktor Highley. Myślę, że możemy zacząć leczenie. Proszę przyjechać do szpitala jutro o wpół do dziewiątej rano. Zostanie pani na noc.

Podczas narady ławy przysięgłych Katie poszła do kawiarni znajdującej się w budynku sądu. Wybrała mały stolik w samym końcu sali i usiadła odwrócona plecami do wejścia. Nie chciała, by ktoś ją zauważył albo przysiadł się do niej. Zawroty głowy trwały niemal bez przerwy, a w dodatku czuła się zmęczona i słaba, ale nie była głodna. Wypiję tylko filiżankę herbaty - pomyślała. Mama zawsze powtarzała, że filiżanka herbaty może rozwiązać wszystkie problemy. Przypomniała sobie, że kiedy wróciła do domu z pogrzebu Johna, usłyszała łagodny, zatroskany głos matki: „Zaraz zrobię ci filiżankę dobrej herbaty, Katie”.

Richard. Na pewno spodobałby się mamie. Lubiła wysokich mężczyzn. „Co prawda twój ojciec był mały i kościsty, ale czy nie sprawiał wrażenia bardzo wysokiego?”

Tak, oczywiście.

Mama wybierała się do niej na Wielkanoc. To już tylko za sześć tygodni. Byłaby zachwycona, gdyby zobaczyła, że Katie i Richard mają się ku sobie.

Ja też chyba tego chcę, prawda? - zastanawiała się, popijając herbatę. I to nie tylko dlatego, że w tym tygodniu tak bardzo doskwiera mi samotność.

Nie, to było coś więcej. Znacznie więcej. Po weekendzie, który spędzi w szpitalu, będzie mogła wreszcie spokojnie wszystko przemyśleć.

Spędziła w kawiarni niemal godzinę, pijąc herbatę i analizując swoje końcowe wystąpienie. Czy zdołała przekonać sąd, że bracia Odendall łżą jak najęci? Pastor. Ten punkt wygrała na swoją korzyść. Przyznał, że żaden z chłopców nie uczęszczał do kościoła i że nigdy nie pytali go o radę. Czy to możliwe, że powołali się na niego, by uprawdopodobnić swoją historię?

- Tak - zgodził się. - To możliwe.

Tę potyczkę rozstrzygnęła na swoją korzyść. Była tego pewna.

O piątej wróciła na salę. Wkrótce potem ława przysięgłych poinformowała sędziego, że uzgodniła werdykt.

Pięć minut później przewodniczący podał go do publicznej wiadomości:

- Robert Odendall, niewinny. Jonathan Odendall, niewinny.

- Nie wierzę.

Katie nie była pewna, czy powiedziała to na głos. Na twarzy sędziego pojawił się wyraz gniewu i niechęci. Podziękował oschle przysięgłym i kazał oskarżonym wstać z miejsc.

- Mielicie szczęście - wycedził. - Mam nadzieję, że po raz ostatni w życiu. Teraz znikajcie stąd, i jeśli macie choć trochę oleju w głowie, to zróbcie wszystko, żeby już nigdy tu nie wrócić.

Katie również podniosła się z fotela. Co prawda sędzia dał jasno do zrozumienia, że ława przysięgłych popełniła błąd, niemniej jednak oznaczało to, że ona przegrała sprawę. Powinna była dać z siebie więcej. Wyczuła raczej, niż dostrzegła triumfalny uśmiech, jaki posłał w jej stronę obrońca. W gardle utkwiał jej twardy suchy kłęb, uniemożliwiając przełykanie. Była bliska płaczu. Oto dwaj przestępcy mieli pozostać na wolności, a całą winą obarczono nieżyjącego chłopca.

Wepchnęła notatki do teczki. Może gdyby przez cały tydzień nie czuła się tak fatalnie, udałoby się jej wystąpić z lepszym skutkiem. Może gdyby zajęła się tym krwawieniem już rok temu, zamiast czekać nie wiadomo na co, ulegając dziecinnemu lękowi przed szpitalem, w miniony poniedziałek nie doszłoby do wypadku.

- Czy mogę poprosić na chwilę oskarżyciela?

Podniosła głowę. Sędzia dał znak ręką, by podeszła do niego. Publiczność opuszczała salę. Katie słyszała radosne piski, z jakimi wiecznie żujące gumę i nie noszące biustonoszy dziewczyny witały swoich bohaterów.

- Słucham, wysoki sędzie? - Starła się ze wszystkich sił, by jej głos brzmiał normalnie.

Sędzia nachylił się do niej i szepnął:

- Nie załamuj się, Katie. Spisałaś się znakomicie. Te małe dranie wrócą tu najdalej za dwa miesiące. Oboje o tym wiemy. Następnym razem na pewno ich przyszpilisz.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Tego właśnie się obawiam: że tu wrócą. Jeden Bóg wie, ile zdążą narobić szkód. Ale mimo wszystko bardzo dziękuję, panie sędzio.

Wyszła z sali i wróciła do biura. Maureen spojrzała na nią z oczekiwaniem, a kiedy Katie potrząsnęła głową, na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz współczucia. Wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzisz, prawda? Maureen weszła za nią do pokoju.

- Pan Myerson i doktor Carroll powiedzieli, żeby im nie przeszkadzać, ale ty możesz tam pójść, ma się rozumieć.

- Nie mam po co. Na pewno dyskutują o sprawie Vangie Lewis, a ja do niczego bym im się nie przydała. Ani w ogóle komukolwiek. Zajmę się tym w poniedziałek.

- W porządku, Katie. Przykro mi z powodu tego werdyktu, ale nie przejmuj się aż tak bardzo. Naprawdę nie wyglądasz najlepiej. Jesteś pewna, że dasz radę sama prowadzić? Nie masz zawrotów głowy albo czegoś w tym rodzaju?

- Nie, a poza tym to niedaleko, jakieś piętnaście minut jazdy stąd. Aż do niedzieli nie wystawię nosa na dwór.

Kiedy szła do samochodu, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Po południu temperatura znacznie wzrosła, lecz teraz zaczęła znowu spadać. Wilgotne, zimne powietrze wciskało się pod luźny wełniany płaszcz i przenikało nylonowe rajstopy. Pomyślała tęsknie o własnym pokoju i łóżku. Jak by to było cudownie wskoczyć pod ciepłą kołdrę i po prostu przespać cały weekend.

W izbie przyjęć czekały już wypełnione przez nią wcześniej formularze. Urzędniczka była wyraźnie podekscytowana.

- Słowo daję, pani DeMaio, ależ z pani ważna osobistość! Doktor Highley umieścił panią w apartamencie na drugim piętrze. Będzie się pani czuła jak na wakacjach. Nawet pani nie zauważy, że jest w szpitalu.

- Rzeczywiście, wspomniał coś na ten temat - mruknęła Katie. Nie miała zamiaru opowiadać tej kobiecie o swoim lęku przed szpitalami.

- Tyle tylko, że może pani czuć się trochę samotna. Na drugim piętrze są tylko trzy apartamenty, z tego dwa puste. Doktor Highley kazał zmienić wystrój saloniku w pani apartamencie - nie wiem dlaczego, bo było to robione niecały rok temu. Ale pani i tak z tego nie skorzysta, bo przecież będzie tu tylko do niedzieli. Gdyby czegoś pani potrzebowała, wystarczy nacisnąć guzik. Pielęgniarki z pierwszego piętra zajmują się też pacjentkami z drugiego. I tak wszystkimi chorymi opiekuje się doktor Highley. O, jest już fotel. Proszę usiąść, to zawieziemy panią na górę.

Katie spojrzała na nią z konsternacją.

- Mam korzystać z wózka inwalidzkiego?

- Takie są przepisy - stanowczo odparła urzędniczka.

John, odwożony wózkiem na chemoterapię, niknący niemal z dnia na dzień. Jego ironiczny głos, kiedy przyprowadzano wózek do łóżka: „Oto mój rydwan, który

poniesie mnie do domu". Szpitalna woń środków dezynfekujących.

Katie usiadła w fotelu i zacisnęła powieki. Teraz nie było już odwrotu. Mocno zbudowana, tłustawa salowa ruszyła z wózkiem w kierunku windy.

- Ma pani szczęście, że trafiła do doktora Highleya - poinformowała Katie. - Jego pacjentki mają najlepszą opiekę w całym szpitalu. Naciśnie pani guzik i za trzydzieści sekund zjawia się pielęgniarka. Doktor Highley jest bardzo surowy. Kiedy tu się kręci, cały personel trzęsie się ze strachu, ale trzeba przyznać, że to znakomity lekarz.

Znalazły się przy windzie. Salowa wcisnęła przycisk.

- Ten szpital jest zupełnie niepodobny do innych. Wszędzie przyjmują kobiety, kiedy już zaczynają rodzić, i wypychają za drzwi, kiedy dziecko ma dwa albo trzy dni, ale nie tutaj. Widziałam pacjentki, które doktor Highley kładł do łóżka na dwa miesiące przed terminem porodu. Właśnie dlatego kazał urządzić te apartamenty, żeby można było czuć się prawie jak w domu. Na pierwszym piętrze leży teraz pani Aldrich. Wczoraj urodziła dzięki cesarskiemu cięciu i do tej pory nie przestała płakać, taka jest szczęśliwa. Z jej mężem było dokładnie to samo. Całą noc przespał na kanapie w saloniku. Doktor Highley nie ma nic przeciwko temu. No, mamy już windę.

Wraz z nimi do kabiny wsiadło jeszcze kilka osób. Wszyscy z zainteresowaniem zerkali na Katie. Sądząc po stosach pism i naręczach kwiatów byli to odwiedzający. Doznała dziwnego uczucia, że nic jej z nimi nie wiąże. Kiedy zostajesz pacjentem, natychmiast tracisz osobowość - pomyślała. Stajesz się „przypadkiem”.

Wysiadły na drugim piętrze. Na podłodze korytarza leżała szarozielona wykładzina dywanowa, na ścianach zaś wisiały

znakomite reprodukcje Moneta i Matisse'a oprawione w kasetonowe ramy.

Ten widok trochę podniósł Katie na duchu. Salowa ruszyła korytarzem, po czym skręciła w prawo.

- Ma pani ostatni apartament - wyjaśniła. - To trochę daleko. Zdaje się, że będzie pani zupełnie sama na piętrze.

- Nic nie szkodzi - mruknęła Katie, przypominając sobie pokój Johna, do którego bez przerwy zaglądali pacjenci przychodzący na zabiegi.

- Jak się czujemy, sędzio? Wygląda dużo lepiej, prawda, pani DeMaio?

- Tak, oczywiście - kłamała, błagając ich w duchu, żeby sobie poszli, żeby zostawili ich samych, bo przecież mieli tak mało czasu.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała głośniej.

Salowa wprowadziła wózek do sypialni. Ściany miały barwę kości słoniowej, wykładzina zaś ten sam szarzielony kolor co na korytarzu. Meble, udające antyki, były białe. Kremowo - zielone zasłony uszyto z tego samego materiału co narzutę na łóżko.

- Jak tu ładnie! - wykrzyknęła Katie.

- Byłam pewna, że się pani spodoba - odparła z dumą salowa. - Zaraz przyjdzie pielęgniarzka. Może w tym czasie spróbuje się pani rozgościć?

Wyszła z pokoju.

Katie nadal czuła się trochę niepewnie, ale rozebrała się, po czym założyła koszulę nocną i ciepły szlafrok. Schowała ubranie do szafy. Co, na litość boską, będzie robiła w czekający ją długi, okropny wieczór? Wczoraj o tej porze szykowała się na kolację u Molly. Kiedy tam przyjechała, czekał na nią Richard.

Uświadomiła sobie, że chwieje się na nogach. Wyciągnęła na oślep rękę i złapała się krawędzi toaletki. Po chwili zawrót

głowy minął. To prawdopodobnie wina napięcia wywołanego rozprawą, emocji... i strachu - pomyślała.

Była w szpitalu. Bez względu na to, jak bardzo starała się odepchnąć od siebie tę myśl, była w szpitalu. Niesamowite, że wciąż nie mogła uporać się z tym dzieciennym lękiem. Najpierw ojciec, a potem John. Dwaj ludzie, których kochała najbardziej w świecie, poszli do szpitala po to, by tam umrzeć. Mimo wszelkich prób racjonalizowania i intelektualizowania, w dalszym ciągu nie była w stanie uwolnić się od okropnego strachu. Cóż, może pomoże jej w tym ten pobyt. Noc z poniedziałku na wtorek nie była nawet taka najgorsza.

W sypialni znajdowało się czworo drzwi: do szafy, do łazienki, na korytarz i do saloniku. Otworzyła je. Zgodnie z tym, co powiedziała salowa, salonik był w trakcie przebudowy. Wszystkie meble zostały zebrane na środku pokoju i przykryte folią. Włączyła światło. Tak, doktor Highley rzeczywiście był perfekcjonistą. Czego chciał od tych ścian? Nic dziwnego, że pobyt w tym szpitalu był tak niesamowicie drogi.

Wzruszyła ramionami, zgasiła światło, po czym zamknęła drzwi i podeszła do okna. Budynek został zbudowany na planie litery U; dwa skrzydła łączyły się pod kątem prostym z krótszą, środkową częścią.

W poniedziałek wieczorem umieszczono ją dokładnie naprzeciwko pokoju, w którym teraz się znajdowała. Parking zaczął się zapełniać samochodami odwiedzających. Które stanowisko przyśniło jej się w tym koszmarze? Ach, oczywiście - tamto, na uboczu, pod najbardziej oddaloną latarnią. Stał tam wtedy czarny samochód... To znaczy przyśnił jej się czarny samochód. Zapamiętała obręcze kół z lśniącoymi szprychami.

- Jak się pani czuje, pani DeMaio?

Odwróciła się gwałtownie i ujrzała doktora Highleya oraz wyglądającą zza jego ramienia młodą pielęgniarkę.

- Och... Przestraszył mnie pan, doktorze. Dziękuję, całkiem nieźle.

- Pukałem, ale pani nie usłyszała - powiedział z delikatną przyganą w głosie. Podszedł do okna i opuścił roletę. - Robimy co możemy, ale te okna wciąż są nieszczelne. Lepiej, żeby się pani nie zaziębiła. Proszę usiąść na łóżku, żebym mógł zmierzyć pani ciśnienie. Pobierzemy też pani krew.

Pielęgniarka nie odstępowała go ani na krok. Katie zauważyła, że dziewczynie drżą ręce; najwyraźniej doktor Highley budził w niej zabobonny lęk.

Lekarz założył jej na ramię nadmuchiwany rękaw. Katie nagle odczuła raptowny zawrót głowy; wydawało jej się, że ściany pokoju wirują wokół niej z ogromną szybkością. Złapała się kurczowo krawędzi materaca.

- Coś nie w porządku, pani DeMaio? - zapytał łagodnie lekarz.

- Nie, to nic takiego. Po prostu zakręciło mi się w głowie. Zaczął pompować powietrze.

- Siostrze, proszę zrobić pacjentce zimny okład na czoło - polecił. Pielęgniarka posłusznie pobiegła do łazienki. Doktor Highley uważnie wpatrywał się we wskaźnik.

- Trochę za niskie... Odczuwa pani jakieś dolegliwości?

- Tak. - Wydawało jej się, że słyszy głos innej osoby, albo że znalazła się w komnacie ech. - Znowu mam okres. Od środy krwawię jak nigdy dotąd.

- Wcale mnie to nie dziwi. Szczerze mówiąc, gdyby nie zdecydowała się pani teraz na ten zabieg, już wkrótce trzeba by go było przeprowadzić w trybie awaryjnym.

Pielęgniarka wróciła z łazienki ze zwilżoną, starannie złożoną chusteczką. Przygryzła dolną wargę, by ukryć jej drżenie. Katie poczuła nagły przyływ sympatii do

dziewczyny. Choć wcale nie uważała, żeby zimny okład mógł jej pomóc, oparła głowę na poduszce, a pielęgniarka położyła jej kompres na czole. Chusteczka była tak bardzo przesiąknięta wodą, że lodowate strużki natychmiast pociekły w dół, wzdłuż linii włosów. Katie powstrzymała się przed ich otarciem. Lekarz z pewnością by to zauważył, a ona nie chciała, by dziewczyna otrzymała reprimendę.

Przebłysk humoru podniósł ją nieco na duchu. Wyobraziła sobie, jak mówi Richardowi: „To, biedne, przerażone dziecko o mało mnie nie utopiło. Nie wiem, czy to nie skończy się chronicznym zapaleniem brwi”.

Richard. Powinna była mu powiedzieć, że idzie do szpitala. Chciałaby mieć go teraz u swego boku.

Doktor Highley wziął do ręki strzykawkę. Zamknęła oczy, kiedy wkłuwał się w żyłę na przedramieniu, a potem obserwowała, jak napęlnia krwią probówki ustawione na tacy, którą podsunęła mu pielęgniarka.

- Niech natychmiast przeprowadzą analizę - burknął.

- Tak jest, panie doktorze - odparła dziewczyna i pośpiesznie wyszła z pokoju.

Doktor Highley westchnął ciężko.

- Obawiam się, że ta nieco ograniczona osoba ma dzisiaj nocny dyżur, ale jestem pewien, że nie będzie pani musiała korzystać z jej pomocy. Czy wzięła pani wszystkie pastylki, które pani dałem?

Katie uświadomiła sobie, że zapomniała połknąć tabletkę o trzeciej. Teraz było już po szóstej.

- Obawiam się, że nie wzięłam tej o trzeciej - przyznała. - Byłam wtedy w sądzie i myślałam tylko o rozprawie.

- Ma pani je ze sobą?

- Tak, są w torebce. - Spojrzała w kierunku toaletki.

- Proszę nie wstawać. Podam ją pani.

Wzięła torebkę z jego rąk, rozpięła ją, pogrzebała w środku i wyjęła małą fiolkę. Znajdowały się w niej dwie pastylki. Na nocnym stoliku stała karafka z zimną wodą i szklanka. Doktor Highley nappełnił szklankę wodą i podał jej.

- Proszę je teraz połknąć - powiedział.

- Obie?

- Tak. Są bardzo słabe, a zależy mi na tym, żeby wzięła jej pani wszystkie.

Wręczył jej szklankę, a pustą fiolkę schował do kieszeni.

Posłusznie połknęła tabletki, czując na sobie jego uważne spojrzenie. Stalowe oprawki okularów lśniły w blasku wiszącej pod sufitem lampy. Lśnienie. Błyszczące szprychy ozdobnych obręczy.

Odstawiając szklankę zostawiła na niej rozmazaną, czerwoną smugę. Zauważył to, gdyż wziął ją za rękę i przyjrzał się jej palcowi. Opatrunek znowu był wilgotny.

- Co to? - zapytał.

- Och, nic takiego. Skaleczyłam się plastikową okładką. Chyba dość głęboko, bo rana wciąż krwawi.

- Aha. - Podniósł się z miejsca. - Kazałem podać pani środek nasenny. Proszę wziąć go natychmiast po przyjściu pielęgniarki.

- Panie doktorze, wolałabym nie brać żadnych leków nasennych. Niezbyt dobrze je znoszę.

Chciała, by zabrzmiało to stanowczo, lecz jej głos był słaby i niepewny.

- Mimo wszystko nalegam, by go pani wzięła. Na pewno przyda się komuś, komu grozi bezsenna, wypełniona lękami noc. Chcę, żeby rano była pani w pełni wypoczęta. O, jest już kolacja.

Do pokoju weszła szczupła, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta z tacą w rękach i zerknęła niepewnie na lekarza. Oni wszyscy potwornie się go boją -

pomyślała Katie. Taca nie była plastikowa ani metalowa, jak w większości szpitali, lecz wykonana z jasnej wikliny, z dodatkową przegródką z boku zawierającą popołudniową gazetę. Zastawa z chińskiej porcelany była delikatna, a srebrne sztucze niezmiernie eleganckie. W smukłym wazoniku stała czerwona róża. Na talerzu, pod srebrnym przykryciem, leżała gorąca połówka z jagnięcia, posiłek zaś uzupełniały włoska sałata, fasolka, małe gorące ciasteczka, herbata i sorbet.

Kobieta postawiła tacę na stoliku i odwróciła się, by odejść.

- Proszę zaczekać - zatrzymał ją Highley, po czym zwrócił się do Katie: - Jak sama pani widzi, moje pacjentki otrzymują posiłki jak w pierwszorzędnym restauracjach. Nic mnie tak bardzo nie oburza w innych szpitalach jak tony wyrzucanej żywności, z którą nie ma co zrobić, ponieważ pacjenci jedzą wyłącznie to, co przynoszą im rodziny. - Zmarszczył brwi. - Mimo to wolałbym, żeby dzisiaj zrezygnowała pani z posiłku. Przekonałem się już, że im więcej pacjent je przed operacją, tym dłużej odczuwa potem przykre dolegliwości.

- Wcale nie jestem głodna - odparła Katie.

- Znakomicie. - Skinął głową, a kobieta złapała tacę i wyszła szybko z pokoju.

- Teraz zostawię panią samą - powiedział doktor Highley.

- Proszę nie zapomnieć o tabletkach nasennej.

Skinęła wymijająco głową.

W drzwiach zatrzymał się i odwrócił do niej.

- Aha, jeszcze jedno. Bardzo mi przykro, ale pani telefon nie działa. Rano zajmą się nim fachowcy. Chciała może pani zadzwonić do kogoś dziś wieczorem? A może spodziewa się pani gości?

- Nie, panie doktorze. Żadnych telefonów ani gości. Jedyną osobą, która wie o tym, że tutaj jestem, jest moja siostra, a ona poszła dziś do opery.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie życzę pani dobrej nocy. I proszę się nie niepokoić. Może być pani pewna, że zajmę się panią z największą troskliwością.

- Wiem o tym.

Gdy wyszedł Katie położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Miała wrażenie, że się unosi, że jej ciało płynie jak... jak...

- Pani DeMaio... - Niepewny głos przywołał ją do rzeczywistości. Otworzyła oczy.

- Co się... Och, chyba zasnęłam.

Przy łóżku stała siostra Renge z tacką, na której stał papierowy kubek zawierający pojedynczą pastylkę.

- Musi to pani połknąć. To środek nasenny, który zalecił doktor Highley. Kazał mi dopilnować, żeby go pani na pewno wzięła. - Nawet teraz, kiedy lekarza nie było w pobliżu, dziewczyna sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. - Pacjenci mają nam za złe, kiedy budzimy ich i każemy brać leki nasenne, ale tak to już jest w szpitalu.

- Tak, oczywiście.

Katie sięgnęła po pastylkę, włożyła ją do ust i popiła wodą ze szklanki.

- Chce pani już pójść spać? Pościelę pani łóżko.

Katie uzmysłowiła sobie, że leży na narzucie. Skinęła głową, wstała z łóżka i poszła do łazienki, gdzie wyjęła pastylkę ukrytą pod językiem. Lek zdążył już się częściowo rozpuścić, ale i tak udało jej się wypluć zdecydowaną większość. Nie ma mowy - pomyślała. Już raczej wolę nie spać niż znowu mieć koszmary. Ochlapała sobie twarz wodą,

umyla zęby, po czym wróciła do pokoju. Czowała się bardzo osłabiona.

Pielęgniarka pomogła jej położyć się do łóżka.

- Musi pani być nieźle zmęczona, prawda? Teraz otulę panią kołdrą i zaraz będzie pani spać jak dziecko. Gdyby czegoś było trzeba, proszę nacisnąć ten guzik.

- Dziękuję.

Miała potwornie ciężką głowę i wydawało jej się, że ktoś posmarował jej powieki klejem.

Siostra Renge podeszła do okna i opuściła roletę.

- Znowu zaczął padać śnieg, ale jestem pewna, że zamieni się w deszcz. Paskudna noc. W taką pogodę dobrze być w ciepłym łóżku.

- Czy może pani podnieść roletę i trochę uchylić okno? - wymamrotała Katie. - Lubię mieć świeże powietrze w sypialni.

- Oczywiście. Czy mam zgasić światło?

- Tak, proszę. Marzyła już tylko o śnie.

- Dobranoc, pani DeMaio.

- Dobranoc... A która właściwie jest godzina?

- Dopiero ósma.

- Dziękuję...

Pielęgniarka wyszła, a Katie zamknęła oczy. Mijały minuty. Jej oddech stawał coraz głębszy i bardziej równomierny. O wpół do dziewiątej nie usłyszała już cichego skrzypnięcia, z jakim poruszyła się klamka w drzwiach prowadzących do remontowanego saloniku.

Gertrude oraz państwo Krupshak siedzieli przy kolacji. Gertrude bez oporów dała się namówić na drugi plaster pieczeni, a następnie na duży kawałek domowego ciasta czekoladowego.

- Zwykle nie jadam tak dużo - próbowała się usprawiedliwić - ale odkąd znaleźliśmy biedną Ednę, nie miałam nic w ustach.

Gana pokiwała głową ze zrozumieniem, natomiast jej mąż wziął swoją kawę oraz talerzyk z ciastem i wstał od stołu.

- Idę obejrzeć mecz - oznajmił gburowatym tonem, w którym można jednak było doszukać się czegoś w rodzaju nuty wdzięczności za smaczny posiłek. Usadowił się w salonie i włączył telewizor.

Gana westchnęła z głębi piersi.

- Ach, te mecze... Przez cały rok to samo. Ale przynajmniej mam go tutaj. Wystarczy, że zajrzę do pokoju, i już go widzę, a kiedy wracam z salonu bingo, wiem, że nie wejdem do pustego domu, jak biedna Edna.

- Wiem coś na ten temat - odparła Gertrude, lecz natychmiast przyszła jej na myśl najstarsza wnuczka. „Babciu, wpadniesz do nas na obiad?” Albo: „Babciu, będziesz w niedzielę w domu? Pomyślałam sobie, że zajrzemy na chwilę do ciebie”. Tak, mogłoby być znacznie gorzej.

- Może powinniśmy rozejrzeć się po mieszkaniu Edny? - zaproponowała Gana. - Nie chciałabym cię poganiać... To znaczy, może napijesz się jeszcze kawy albo zjesz kawałek ciasta?

- Nie, dziękuję. Tak, powinniśmy tam pójść. To jedna z tych paskudnych rzeczy, których nie da się uniknąć.

- Wezmę klucz.

Przeszły przez podwórze. Kiedy siedziały przy stole, ponownie zaczął padać mokry śnieg zmieszany z marznącym

deszczem. Gana wcisnęła brodę w kołnierz płaszcza i pomyślała o ślicznym sztucznym futrze Edny w lamparcie plamy. Może będzie mogła zabrać je już dzisiaj. Przecież należało do niej.

W mieszkaniu ogarnęło je coś w rodzaju onieśmienia. Na blacie stołu i klamkach u drzwi pozostały wyraźne ślady po białym proszku, którego policja używała w celu odnalezienia odcisków palców. Obie kobiety spojrzały mimowolnie na miejsce, w którym leżało skurczone ciało Edny.

- Na grzejniku zostały plamy krwi - szepnęła Gana. - Gus będzie musiał go pomalować.

- Chyba tak.

Gertrude otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia. Trzeba z tym skończyć. Znała gust swojej wnuczki; oprócz obitej welurem kanapy Nan z pewnością spodobałyby się fotele o wysokich oparciach i drewnianych podłokietnikach. Jeden był bujany, a drugi zwyczajny. Pamiętała, jak Edna opowiadała jej kiedyś, że dawno temu były obite niebieskim materiałem w delikatny wzór w kształcie liści. Potem obicie zostało zmienione na tańsze, i Edna wzdychała z żalem: „Teraz to już nie to samo”.

Gdyby ponownie obić je welwetem, wyglądałyby wspaniale. I jeszcze ten antyczny stolik, wart prawdziwą fortunę. Trochę zniszczony, ale mąż Nan bez trudu zdoła go odświeżyć. Och, Edna - pomyślała Gertrude. Byłaś mądrzejsza niż większość z nas. Wiedziałaś, ile są warte rzeczy.

Gana otworzyła szafę i wyjęła z niej cętkowane futro.

- Edna pożyczyła mi je w ubiegłym roku, kiedy szłam z Gusem na przyjęcie - powiedziała. - Strasznie je lubię.

Podział skromnego majątku nie zajął im wiele czasu. Ganie zupełnie nie zależało na meblach - wszystko z czego

zrezygnowała Gertrude, miała zamiar przekazać Armii Zbawienia - ale była zachwycona, kiedy główna spadkobierczyni zaproponowała jej srebrną tacę i zastawę z dobrej chińskiej porcelany. Ustaliły, że garderoba Edny także trafi do Armii Zbawienia; Edna była znacznie od nich niższa i tęższa.

- To chyba już wszystko - westchnęła Gana. - Z wyjątkiem biżuterii. Policja ma nam ją niedługo oddać. Ty dostałaś pierścionek, a ja broszkę.

Biżuteria. Edna trzymała ją w szufladzie nocnego stolika. Gertrude przypomniała sobie wtorkowy wieczór. To właśnie tę szufladę próbował otworzyć doktor Highley.

- W ogóle tam nie zajrzałyśmy - powiedziała. - Może lepiej rzućmy okiem, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyłyśmy.

Otworzyła szufladę. Wiedziała, że policja zabrała szkatułkę z kosztownościami. Jednak szuflada nie była pusta. Na jej dnie leżał zniszczony, rozdeptany mokasyn.

- A niech mnie! - wykrzyknęła Gana ze zdumieniem. - Po co ona trzymała coś takiego?

Wyjęła go i podniosła do światła. Był zupełnie zdefasonowany, miał zdarte fleki, a białe smugi świadczyły o tym, że był wystawiony na kontakt z posypywanym solą śniegiem.

- Już wiem! - wybuchnęła Gertrude. - To on nie dawał mi spokoju. Pani DeMaio zapytała mnie, czy Edna nie nazywała któregoś z lekarzy Pięknym Księciem - wyjaśniła, widząc zdziwione spojrzenie Gany. - W ten sposób zupełnie mnie zmyliła. Oczywiście, że Edna nic takiego nie mówiła, ale kiedyś opowiedziała mi, że pani Lewis przychodzi na wizyty w okropnie zniszczonych mokasynach. Pokazała mi je nawet kilka tygodni temu, kiedy pani Lewis akurat wychodziła do domu. Zawsze żartowała z nią na ten temat. Lewy mokasyn

był za luźny i często jej spadał. Edna powtarzała wtedy, że pewnie pani Lewis ma nadzieję, że znajdzie go jakiś Piękny Książę.

- Ale przecież Piękny Książę nie występował w bajce o Kopciuszku, tylko o Śpiącej Królewnie! - zaprotestowała Gana.

- Właśnie o to chodzi. Powiedziałam Ednie, że wszystko jej się pomieszało, ale ona tylko roześmiała się i odparła, że pani Lewis też zwróciła jej na to uwagę, ale matka opowiadała jej bajkę właśnie w takiej wersji i ona nie ma zamiaru niczego zmieniać. - Gertrude zastanowiła się przez chwilę. - Pani DeMaio była bardzo przejęta tą sprawą z Pięknym Księciem. A w środę wieczorem... Czy to możliwe, żeby doktor Highley chciał wyjąć z szuflady pantofel pani Lewis? Wiesz, coś mi podpowiada, żeby pojechać do pani DeMaio i porozmawiać z nią o tym, albo chociaż zostawić jej wiadomość. Nie wiem czemu, ale wydaje mi się, że nie powinnam czekać do poniedziałku.

Gana pomyślała o Gusie, który oderwie wzrok od telewizora dopiero tuż przed północą, lecz ciekawość i żądza dowiedzenia się czegoś nowego zwyciężyły. Poza tym, jeszcze nigdy nie była w biurze prokuratora okręgowego.

- Mnie z kolei pani DeMaio zapytała, czy Edna trzymała jakieś pamiątki po swojej matce. Założę się, że chodziło jej właśnie o ten mokasyn. Wiesz co? Pojadę z tobą. Gus nawet nie zauważy, że nie ma mnie w domu.

Jim Berkeley zostawił samochód na parkingu przed budynkiem sądu i wszedł do głównego holu. Z tablicy informacyjnej wynikało, że biuro lekarza sądowego mieści się na pierwszym piętrze w starym skrzydle budynku. Wczoraj wieczorem, kiedy Richard Carroll przyglądał się dziecku, Jim zwrócił uwagę na wyraz jego twarzy. Ogarnięty gniewem i żalem chciał już powiedzieć: „Rzeczywiście, nie jest do nas podobne. I co z tego?” W porę jednak doszedł do wniosku, że zachowałby się jak głupiec, a w dodatku nic by nie osiągnął.

Po krótkim błędzeniu w labiryncie korytarzy znalazł biuro Richarda. Miejsce za biurkiem sekretarki było puste, ale Richard wyszedł ze swego gabinetu natychmiast, jak tylko usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś - powiedział.

Stara się być przyjacielski - pomyślał Jim. Zależy mu, żeby to wyglądało na zwykłe spotkanie bez żadnego istotnego powodu.

Odpowiedział na powitanie ostrożnie i z rezerwą. Weszli do gabinetu. Richard przyglądał mu się uważnie, Jim zaś odpowiedział mu spokojnym, obojętnym spojrzeniem. Po przyjemnym nastroju wczorajszego wieczoru nie zostało nawet śladu.

Richard chyba także doszedł do tego wniosku, gdyż przybrał bardziej oficjalną pozę. Jim napiął wszystkie mięśnie.

- Badamy okoliczności śmierci Vangie Lewis. Była pacjentką doktora Highleya ze szpitala Westlake. Twoja żona urodziła tam dziecko.

Jim skinął głową.

- Niepokoją nas pewne problemy, które pojawiły się w trakcie śledztwa - ciągnął Richard, starannie dobierając słowa.

- Chciałbym zadać ci kilka pytań, ale wcześniej jestem gotów dać ci słowo honoru, że nic z tego, co powiesz, nie wyjdzie

poza ten pokój. Oddałbyś nam nieocenioną przysługę, gdybyś...

- Gdybym przyznał, że Maryanne została adoptowana, czy tak?

- Tak.

Gniew spłynął z niego, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Pomyślał o Maryanne. Dla niej warto było ponieść wszelkie koszty.

- Nie, nie jest adoptowana. Byłem przy jej narodzinach. Sfilmowałem je. Na lewym kciuku ma niewielkie znamię. Widać je na filmie.

- To dość niezwykle, żeby niebieskoocy rodzice mieli zielonookie dziecko - zauważył spokojnie Richard. Umilkł na chwilę, po czym zapytał cicho: - Czy ty jesteś jej ojcem?

Jim wpatrywał się w swoje dłonie.

- Chodzi ci o to, czy Liz miała romans z innym mężczyzną? Nie miała. Jestem gotów ręczyć za to własną głową.

- A sztuczne zapłodnienie? - nie ustępował Richard. - Doktor Highley jest specjalistą w tej dziedzinie.

- Zastanawialiśmy się z Liz nad takim rozwiązaniem, ale zrezygnowaliśmy z niego już wiele lat temu.

- A czy nie mogła zmienić zdania, nic ci o tym nie mówiąc? Teraz to nie jest już nic nadzwyczajnego. W samych Stanach Zjednoczonych rodzi się co roku piętnaście tysięcy dzieci poczętych w ten sposób.

Jim wyjął z kieszeni portfel, otworzył go i pokazał Richardowi dwa zdjęcia przedstawiające jego, Liz i dziecko. Na pierwszym Maryanne była jeszcze niemowlęciem i miała zamknięte oczy; drugie musiało zostać zrobione kilka dni temu. Różnica w kolorze oczu rodziców i dziecka była aż nadto widoczna.

- Na rok przed tym, jak Liz zaszła w ciążę, dowiedzieliśmy się, że nie mamy praktycznie żadnych szans na adopcję. Rozmawialiśmy o sztucznym zapłodnieniu i oboje odrzuciliśmy taką możliwość, ja znacznie bardziej stanowczo niż ona. Kiedy Maryanne przyszła na świat, miała jasnobrązowe włosy i błękitne oczy. Mnóstwo dzieci ma na początku błękitne oczy, które później zmieniają kolor. Dlatego dopiero niedawno zorientowaliśmy się, że coś jest nie w porządku, choć w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Dziecko jest dla nas wszystkim. - Spojrzał na Richarda. - Moja żona nie potrafiłaby skłamać w najbardziej niewinnej sprawie. Jest najuczciwszą osobą, jaką spotkałem w życiu. W ubiegłym miesiącu postanowiłem jej pomóc. Powiedziałem, że myliłem się, potępiając sztuczne zapłodnienie i że teraz rozumiem ludzi, którzy wybierają tę drogę.

- Jak zareagowała?

- Natychmiast zorientowała się, do czego zmierzam. Powiedziała, że jeśli przypuszczam, że ona mogła podjąć taką decyzję i nic mi o tym nie powiedzieć, to znaczy, że zupełnie nie rozumiem związku, jaki nas łączy. Zacząłem ją przeproszać i zapewniać, że nic takiego nawet nie przyszło mi na myśl. Starąłem się, jak mogłem, aż wreszcie mi uwierzyła.

- Przeniósł spojrzenie na zdjęcie. - Ale ja oczywiście wiem, że skłamała - wykrztusił z trudem.

- Albo nie miała pojęcia, co z nią zrobił doktor Highley - mruknął ponuro Richard.

Dannyboy Duke przebiegł zygzakiem przez Trzecią Aleję i popędził w kierunku 55 Ulicy, gdzie zostawił samochód. Kobieta zauważyła brak portmonetki w chwili, kiedy wchodził na ruchome schody. Usłyszał jej przeraźliwy krzyk:

- Okradł mnie! To on, ten z czarnymi włosami! Złodziej!

Zdołał się jakoś przedrzeć przez tłum kobiet kłębiący się na parterze domu towarowego, ale ta suka biegła w dół po ruchomych schodach, wrzeszcząc jak opętana i wskazując w jego kierunku. Strażnicy prawdopodobnie ruszyli już w pościg.

Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do samochodu! Nie mógł się pozbyć tej portmonetki. Była wypchana studolarowymi banknotami, a on potrzebował forsy na porcję prochów.

To był dobry pomysł odwiedzić dział futrzarski domu towarowego Alexandra. Kobiety przychodziły tam z gotówką. Wypisywanie czeku lub potwierdzanie karty kredytowej zajmowało zbyt dużo czasu. Przekonał się o tym jeszcze jako chłopiec, kiedy pracował tam na zapleczu.

Dziś ubrał się tak, jakby nadal był pracownikiem. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Kobieta miała dużą torebkę, którą trzymała za pasek, grzebiąc wśród futer wiszących na wieszakach. Wyjęcie portmonetki nie nastęczało żadnych trudności.

Czy ktoś go ścigał? Bał się odwrócić. W ten sposób zwróciłby na siebie uwagę. Lepiej trzymać się blisko ścian budynków. Wszyscy się śpieszyli. To z powodu tego przekłętą zimna. Będzie mógł sobie kupić nie jedną, ale kilka porcji.

Jeszcze minuta i dotrze do samochodu. Nie będzie już podejrzanym człowiekiem biegnącym ulicą. Pojedzie 59

Ulicą, przejedzie przez most i znajdzie się w domu, w Jackson Heights. Tam kupi sobie porcję.

Obejrzał się. Nikt go nie ścigał. Żadnych glin. Poprzedniego wieczoru miał potwornego pecha. Najpierw portier o mało nie złapał go, kiedy włamywał się do samochodu tego lekarza, a potem okazało się, że ryzykował dla jakiejś teczki z medycznymi papierzyskami, uświnionego przycisku do papieru i rozdeptanego mokasy. Ani grama prochów. Cholera.

Później zwinął jakiejś babci torebkę, w której znalazł marne dziesięć dolców. Z trudem starczyło na dawkę, która pozwoliła mu jako tako przebiedować do dzisiaj. Torebka i skórzana lekarska torba leżały na tylnym siedzeniu. Będzie musiał jakoś się ich pozbyć.

Dopał samochodu, otworzył drzwi i wskoczył za kierownicę. Nigdy z niego nie zrezygnuje, choćby nie wiadomo jak go przycisnęło. Gliniarze nie spodziewają się, że odjedziesz wozem. Jeśli cię zauważą, przede wszystkim obstawiają stacje metra.

Włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Nagle do jego uszu dotarło zawrodo syreny, a w chwilę potem ujrzał radiowóz z migającymi światłami pędzący pod prąd ulicą naprzeciwko niego. Spróbował go wyminąć, lecz tamten zahamował, ustawiając się w poprzek jezdni, a z miejsca obok kierowcy wyskoczył gliniarz z rewolwerem w rękę.

Gliniarz otworzył jego drzwi, zajrzał do środka i wyjął kluczyk ze stacyjki.

- I co, Dannyboy? - zagadnął. - Wciąż to samo? Nigdy nie nauczysz się jakichś nowych sztuczek? A teraz wyłaź stąd, trzymaj ręce tak, żebym je widział, i wysłuchaj, jakie przysługują ci prawa. To już trzeci raz, zgadza się? Dostaniesz dziesięć do piętnastu lat, oczywiście jeśli będziesz miał szczęście i trafisz na łagodnego sędziego.

Szarpiąc i podskakując, samolot zaczął schodzić do lądowania w Newark. Chris spojrział na Joan. Ścisnęła mocno jego rękę, lecz on wiedział, że nie ma to nic wspólnego z lotem. Joan zupełnie nie bała się samolotów. Słyszał kiedyś, jak tłumaczyła komuś obawiającemu się latania:

- Statystycznie rzecz biorąc w samolocie jesteś znacznie bezpieczniejszy niż w samochodzie, pociągu, na motocyklu albo w wannie.

Miała spokojną twarz. Namówiła go, żeby wypili po koktajlu, kiedy roznoszono drinki. Żadne z nich nie jadło kolacji, ale za to oboje wypili kawę.

- Zniosę wszystko oprócz myśli, że Vangie popełniła samobójstwo z mojego powodu - powiedziała z poważną miną. Nie przejmuj się, że mnie w to wciągasz. Podczas przesłuchania mów prawdę i niczego nie ukrywaj.

Joan. Jeśli kiedykolwiek z tego wyjdą, będzie im ze sobą bardzo dobrze. Była prawdziwą kobietą. Musi jeszcze dużo się o niej dowiedzieć. Nie zdawał sobie sprawy, że od początku mógł jej zaufać i powiedzieć całą prawdę. Nie postąpił tak chyba dlatego, że zdążył już przyzwycząić się do kłamstw, które pozwalały mu unikać kłótni z Vangie. Wyglądało na to, że musi się dużo dowiedzieć nie tylko o Joan, ale przede wszystkim o samym sobie.

Lądowanie było bardzo niespokojne. Kilkoro pasażerów krzyknęło głośno, kiedy samolot podskoczył po pierwszym kontakcie z pasem startowym, ale Chris zdawał sobie sprawę, że pilot wykonał dobrą robotę. Wiał bardzo mocny wiatr; jeśli przybierze jeszcze trochę na sile, lotnisko prawdopodobnie zostanie zamknięte.

Joan uśmiechnęła się do niego.

- Chyba za sterami siedzi stewardesa - powiedziała. Był to stary żart krążący wśród latających załóg.

- Albo pilot zdrzemnął się na chwilę.

Umilkli, czekając, aż maszyna podkołuje na stanowisko. Osoby oczekujące na pasażerów tłoczyły się za punktami kontroli bagażu; Chris wcale nie zdziwił się na widok dwóch detektywów, którzy byli w jego domu tego fatalnego dnia, kiedy znalazł w łóżku martwą Vangie.

- Kapitan Lewis, panna Moore?

- Tak.

- Proszę z nami - powiedział oficjalnym tonem jeden z detektywów. - Mam obowiązek poinformować pana, że jest pan podejrzany w związku ze śmiercią pańskiej żony, Vangie Lewis, a także w związku z kilkoma innymi zabójstwami. Wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Nie musi pan odpowiadać na żadne pytania i ma pan prawo skontaktować się z adwokatem.

- On nie potrzebuje adwokata - odparta za niego Joan. - Powie wam wszystko co wie.

Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki uwertury „Otella”, Molly spróbowała rozsiaść się wygodnie w fotelu. Bill uwielbiał operę, ona zaś tylko ją lubiła. Może właśnie dlatego nie mogła się całkowicie odprężyć. Bill był już zupełnie pochłonięty muzyką; słuchał z zamyśloną, spokojną twarzą. Molly rozejrzała się dokoła. Jak zwykle, widownia Metropolitan Opera była pełna. Mieli znakomite miejsca - nic dziwnego, skoro Bill zapłacił za nie siedemdziesiąt dolarów. Światła zamrugały, po czym zaczęły powoli gasnąć, ustępując miejsca srebrystemu półmrokowi.

Powinna była pojechać dziś z Katie do szpitala. Bill nie rozumiał, bo i nie mógł zrozumieć, strachu, jaki Katie odczuwała przed szpitalami. Nie należało się temu dziwić, gdyż Katie wstydziła się mówić na ten temat. Najgorsze było to, że jej lęk opierał się na realnych podstawach: ojciec naprawdę nie otrzymał pomocy na czas. Powiedział im to staruszek, który leżał z nim w pokoju. Nawet Bill musiał przyznać, że w szpitalach popełniano wiele błędów.

Drgnęła raptownie, kiedy burza oklasków powitała Placido Domingo schodzącego z pokładu statku. Muzyka w ogóle do niej nie docierała. Bill zerknął na nią ukradkiem, więc starała się zrobić taką minę, jakby była zachwycona przedstawieniem. Po pierwszym akcie zadzwoni do Katie. Uspokoi się, kiedy usłyszy jej głos. A jutro z samego rana pojedzie do szpitala, aby upewnić się, że siostra nie denerwuje się zbytnio przed zabiegiem.

Wydawało jej się, że pierwszy akt ciągnie się bez końca. Wreszcie nadeszła przerwa. Molly ze zniecierpliwieniem odrzuciła propozycję Billa, żeby poszli na szampana do baru, po czym pobiegła do telefonu. Szybko wykręciła numer i wrzuciła potrzebną ilość monet.

Kilka minut później, blada jak śmierć, wróciła biegiem do męża i z trudem powstrzymując szloch złapała go za ramię.

- Stało się coś okropnego... Dzwoniłam do szpitala. Nie połączyli mnie z pokojem Katie, bo podobno jej lekarz zakazał ją niepokoić. Poprosiłam pielęgniarkę, żeby poszła i zajrzała do niej. Przed chwilą wróciła. To jeszcze dziecko, o mało nie wpadła w histerię... Katie zniknęła z pokoju.

Kiedy wyszedł z pokoju Katie, przez jego twarz przemknął zadowolony uśmiech. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Leki zadziałały. Rozpoczął się krwotok. Wygląd rany na palcu wskazywał na bardzo niską krzepliwość krwi.

Zszedł na pierwsze piętro i zajrzał do pani Aldrich. Dziecko leżało w łóżeczku, a w pokoju był także szczęśliwy ojciec. Highley uśmiechnął się z rezerwą do rodziców, po czym nachylił się nad dzieckiem.

- Nadzwyczaj udany okaz - oznajmił. - Chyba się go nie pozbędziemy.

Zdawał sobie sprawę, że ma dość ciężkawe poczucie humoru, lecz mimo to od czasu do czasu musiał z niego korzystać. Ci ludzie byli bardzo ważni. Delano Aldrich mógł skierować na konto szpitala Westlake tysiące dolarów przeznaczone na badania naukowe. Umożliwiłoby to przeprowadzanie doświadczeń na zwierzętach i informowanie opinii publicznej o kolejnych sukcesach. Potem, kiedy oficjalnie przystąpiłby do eksperymentów na kobietach, zebrana w ten sposób wiedza okazałaby się wprost bezcenna, zapewniając mu stuprocentowy sukces. Co się odwlecze to nie uciecze - to porzekadło odnosiło się także do nieśmiertelnej sławy.

Delano Aldrich wpatrywał się z zachwytem w syna.

- Panie doktorze, nadal nie możemy w to uwierzyć. Wszyscy powtarzali nam, że nigdy nie będziemy mogli mieć dziecka.

- Wynika z tego, że wszyscy się mylili.

Największy problem stanowiły obawy kobiety. Fukhito odkrył ich przyczynę: przypadek zaniku mięśni w rodzinie jej ojca. Bała się, że mogła być nosicielem i przekazać chorobę dziecku. To, i jeszcze jakieś włókniste zgrubienia w macicy.

Zajął się nimi, i wkrótce potem kobieta zaszła w ciążę, potem zaś przeprowadził badanie płynu owodniowego i stwierdził kategorycznie, że dziecko nie zachoruje na dystrofię mięśniową.

Nie mógł jednak nic poradzić na to, że była bardzo emocjonalną, niemal hiperaktywną osobą. Dziesięć lat temu dwukrotnie poroniła. Położył ją więc do łóżka na dwa miesiące przed spodziewanym terminem rozwiązania. Podziałało.

- Zajrzę do pani jutro rano.

Gdyby zaistniały jakieś podejrzenia w związku ze śmiercią Katie DeMaio, ci ludzie będą świadczyć na jego korzyść.

Nie będzie żadnych podejrzeń. Należało tylko wprowadzić do karty choroby informację o spadającym ciśnieniu krwi. Operacja zostanie przeprowadzona w trybie pilnym, w obecności najbardziej doświadczonych pielęgniarek. Wezwie nawet chirurga. Tej nocy dyżur ma Molloy - dobry specjalista, jeden z najlepszych. Molloy powie potem rodzinie i ludziom z prokuratury, że krwotok był nie do powstrzymania, mimo ogromnych wysiłków doktora Highleya i całego zespołu operującego.

Zostawił Aldrichów i poszedł do dyżurki pielęgniarek. Celowo tak ustawił grafik, żeby dzisiaj przypadła kolej siostry Renge. Bardziej doświadczona pielęgniarka zaglądałaby do Katie co dziesięć minut, ta natomiast z pewnością nie wpadnie na taki pomysł.

- Siostro!

Poderwała się nerwowo z miejsca.

- Tak, panie doktorze?

- Niepokoi mnie stan pani DeMaio. Co prawda ciśnienie mieści się w dolnych granicach normy', ale podejrzewam, że krwawienie było obfitsze, niż jej się wydaje. Wychodzę teraz na kolację, ale jeszcze wrócę. Proszę przygotować mi wyniki

badania krwi. Nie chciałbym jej niepokoić, bo wiem, że od dzieciństwa odczuwa lęk przed szpitalami, ale wcale się nie zdziwię, jeśli okaże się, że będziemy musieli operować ją jeszcze dziś w nocy. Podejmę decyzję po powrocie, czyli mniej więcej za godzinę. Przekonałem ją, że nie powinna jeść kolacji, więc proszę nic jej nie dawać, nawet gdyby prosiła.

- Tak, panie doktorze.

- Poda jej pani środek nasenny, ale proszę pod żadnym pozorem nie sugerować jej, że być może czeka ją operacja. Czy wszystko jasne?

- Tak, panie doktorze.

- To znakomicie.

Celowo zatrzymał się w głównym holu, by porozmawiać z paroma osobami. Zdecydował się zjeść kolację w restauracji położonej w bezpośrednim sąsiedztwie szpitala; nie była najgorsza, a poza tym zyskiwał w ten sposób opinię zapracowanego, dbającego o dobro pacjentów lekarza.

Martwiłem się o panią DeMaio, więc zamiast pojechać do domu, zjadłem coś w pobliskiej restauracji i wróciłem do szpitala, żeby jeszcze do niej zajrzeć. Okazało się, że niestety miałem rację. Cóż, zrobiliśmy wszystko, co możliwe.

I jeszcze jedna, ważna sprawa: nawet w tak paskudny wieczór należało pójść do restauracji na piechotę. W ten sposób nikt nie będzie pewien, jak długo naprawdę nie było go w szpitalu.

Czekając na kawę, poczyni ostatnie, konieczne kroki. Opuścił Katie pięć po siódmej. Za kwadrans ósma zjawił się w lokalu. O ósmej Katie miała dostać silny lek nasenny, który, zważywszy na jej osłabienie, powinien zadziałać niemal natychmiast.

O wpół do dziewiątej będzie mógł bez żadnego ryzyka wejść schodami na drugie piętro, otworzyć drzwi apartamentu i wstrzyknąć Katie heparynę, silny środek przeciwdziałający

krzepnięciu krwi. Ponieważ przez ostatnie dni brała doustnie leki o zbliżonym działaniu, ciśnienie krwi i liczba krwinek powinny zacząć raptownie spadać.

W tym czasie on wróci tutaj, dokończy kawę, ureguluje rachunek i jeszcze raz pójdzie do szpitala, gdzie wspólnie z siostrą Renge wstąpi do pokoju Katie. Dziesięć minut później pani DeMaio znajdzie się na stole operacyjnym.

Znacznie ułatwiła mu zadanie, nie przyjmując żadnych gości. Oczywiście był przygotowany również na taką ewentualność. Gdyby musiał, dołączyłby heparynę do kroplówki, którą miała otrzymać na noc. Byłoby to równie efektywne, choć wiązałoby się z większym ryzykiem.

Stek okazał się całkiem znośny. Dziwne, że w podobnych sytuacjach zawsze odczuwał wilczy apetyt. Wolałby poczekać z posiłkiem do chwili, kiedy będzie już po wszystkim, ale mogłoby się to okazać niewykonalne. Siostrę Katie uda mu się zawiadomić najwcześniej o północy, ponieważ poszła do opery. Zaczeka na nią w szpitalu, by ją pocieszyć i dodać otuchy. Na pewno zapamięta, że okazał jej serce. Wróci do domu dopiero o drugiej lub trzeciej - nie, z pewnością nie wytrzyma tak długo.

Pozwolił sobie tylko na jeden kieliszek wina. Co prawda wolałby tyle co zwykle, to znaczy pół butelki, lecz dziś musiał narzucić sobie wstrzemięźliwość. Jednak nawet ta niewielka ilość alkoholu rozgrzała go, wzmogła jego czujność i pozwoliła ze wzmożoną intensywnością zastanawiać się nad mniej lub bardziej prawdopodobnymi ewentualnościami.

To będzie koniec niebezpieczeństw. Torba nie znalazła się i zapewne nigdy się nie znajdzie. Zagrożenie ze strony Salema zostało wyeliminowane. W gazetach pisano, że „wypadł lub wyskoczył z okna”. Dziś rano odbył się pogrzeb Edny, wczoraj zaś została pochowana Vangie Lewis. Stary mokasyn leżący w szufladzie nocnego stolika zostanie zapewne

wyrzucony przez ludzi, którzy zajmą się skromnym dobytkiem Edny.

Okropny tydzień. A wszystko bez żadnej potrzeby, tylko dlatego, że nie mógł otwarcie prowadzić swoich badań. Poprzednie pokolenie uważało sztuczne zapłodnienie za coś odrażającego, teraz zaś co roku rodziły się tysiące dzieci poczętych właśnie w ten sposób.

Cofnijmy się kilkaset lat. Arabowie niszczyli nieprzyjaciół, zakradając się do ich obozów i zapładniając klacze nasieniem lichych ogierów. Na ten pomysł musiał wpaść nielichy geniusz.

Lekarze, którzy dokonali pierwszego zakończonego sukcesem zapłodnienia in vitro także byli geniuszami. Ale jego geniusz jest największy ze wszystkich. Nic nie przeszkodzi mu w sięgnięciu po należne uznanie.

Nagroda Nobla. Pewnego dnia otrzyma ją za osiągnięcia w dziedzinie medycyny, które do tej pory wydawały się zupełnie niemożliwe.

On sam, w pojedynkę, rozwiązał zarówno problem aborcji, jak i bezpłodności.

Tragedia polegała na tym, że gdyby świat dowiedział się o tym, uznałby go, podobnie jak niegdyś Kopernika, za przestępcę.

- Smakowała panu kolacja, doktorze? - Zapytała kelnerka. Skądś ją znał... Ach, tak. Kilka lat temu przyjmował jej poród. Chłopiec.

- Owszem. A jak się miewa pani syn?

- Znakomicie, panie doktorze. Po prostu znakomicie. - Bardzo się cieszę.

Niewiarygodne, że ta kobieta i jej mąż zdobyli się na zapłacenie mu honorarium, przeznaczając na to pieniądze odłożone na spłatę domu. Cóż, dostali to, na czym im zależało.

- Poproszę jeszcze cappuccino.
- Oczywiście, panie doktorze. Niestety, trzeba będzie zaczekać około dziesięciu minut.

- W takim razie wykonam w tym czasie kilka telefonów.
Nie będzie go krócej niż dziesięć minut, a kelnerka nie zdziwi się, że nie ma go przy stoliku.

Zauważył przez okno, że przestało padać. Rzecz jasna nie mógł wziąć płaszcza z szatni; wymknął się ukradkiem przez boczne drzwi usytuowane między telefonami a toaletami i pobiegł w kierunku szpitala. Zimny wiatr kasał go w twarz, lecz on nie zwracał na to uwagi. Starannie planował każdy krok.

Trzymanie się cienia nie sprawiało mu żadnych trudności. W kieszeni miał klucz do awaryjnego wyjścia z tyłu skrzydła mieszczącego oddział położniczo - ginekologiczny. Nikt z niego nie korzystał. Otworzył drzwi i wślizgnął się do wnętrza budynku.

Schody były jasno oświetlone, więc nacisnął wyłącznik. Potrafiłby poruszać się po szpitalu z zawiązanymi oczami. Dotarł na drugie piętro i uchylił ostrożnie drzwi. Nasłuchiwał przez chwilę, lecz do jego uszu nie dotarł żaden odgłos. Bezszelestnie wyszedł na korytarz, a kilka chwil później znalazł się przy drzwiach prowadzących do apartamentu Katie.

Z umieszczeniem jej na oddziale wiązał się jeszcze jeden problem, który także wziął pod uwagę. A jeśli siostra lub przyjaciółka postanowiłaby spędzić z nią tę noc w szpitalu, śpiąc na kanapie w saloniku? Kierownictwo szpitala Westlake nigdy nie miało nic przeciwko temu. Highley nie dopuścił do takiej ewentualności, wydając polecenie przeprowadzenia zmiany wystroju pomieszczenia.

Planowanie. Planowanie było wszystkim, zarówno w codziennym życiu jak i w laboratorium.

Dziś po południu zostawił strzykawkę z heparyną w szufladzie stolika nakrytego ochronną folią. Sączące się przez okno światło z parkingu było wystarczająco jasne, by umożliwić mu natychmiastowe odnalezienie stolika. Otworzył szufladę i wyjął strzykawkę.

Teraz nadeszła najważniejsza chwila. Jeśli Katie obudzi się i zobaczy go, będzie mu groziło poważne niebezpieczeństwo. Co prawda natychmiast zapadnie ponownie w sen, i z pewnością nie będzie bronić się przed zastrzykiem, ale gdyby wspomniała coś potem o zastrzyku przy siostrze Renge - oczywiście zakładając, że będzie wtedy przytomna. .. To także będzie mógł łatwo wyjaśnić. Była zupełnie zdezorientowana, prawdopodobnie chodziło jej o pobieranie krwi. Mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby się teraz nie obudziła.

Podkradł się bezszelestnie do łóżka, nachylił i sięgnął do ramienia.

Roleta była częściowo uniesiona, w związku z czym do pokoju wpadało nieco rozproszonego światła. Widział jej profil; spała z twarzą odwróconą w przeciwną stronę, oddychając płytko i nierówno. Coś mówiła przez sen, ale nie mógł zrozumieć słów. Prawdopodobnie dręczył ją jakiś koszmar.

Wbił igłę w żyłę i nacisnął tłok strzykawki. Katie skrzywiła się, westchnęła, po czym odwróciła głowę i uniosła powieki. Wyraźnie dostrzegł, że ma powiększone źrenice. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym wyszeptała:

- Doktorze Highley... Dlaczego pan zabił Vangie Lewis?

Scott Myerson był bardziej zmęczony niż rozgniewany. Od chwili, kiedy we wtorek rano znaleziono ciało Vangie Lewis, zginęło jeszcze dwoje ludzi. Dwoje bardzo porządnych ludzi - ciężko pracująca sekretarka i księgowa, która zasługiwała na kilka lat spokojnej emerytury za pełną poświęcenia opiekę nad starymi rodzicami, oraz lekarz, przyczyniający się swoją pracą do postępu w medycynie. Zginęli, ponieważ nie okazali się wystarczająco szybcy. Scott był całkowicie pewien, że zamordował ich Chris Lewis. Otaczająca go pajęczyna poszlak stawała się coraz bardziej gęsta. Gdyby tylko zorientowali się od razu, że Vangie nie popełniła samobójstwa... Wtedy jej mąż zostałby natychmiast zatrzymany i być może przyznałby się do wszystkiego podczas przesłuchania. Gdyby tak się stało, Edna Burns i Emmet Salem żyliby nadal.

Scott nie mógł się doczekać chwili, kiedy dobierze się wreszcie Lewisowi do skóry. Człowiek, który potrafi z zimną krwią zabić swoją ciężarną żonę, jest zdolny do popełnienia każdej zbrodni. Chris Lewis udowodnił to ponad wszelką wątpliwość. Był przestępcą najgorszego rodzaju - takim, który na pierwszy rzut oka nie wzbudza najmniejszych podejrzeń.

Samolot, którym lecieli Lewis i jego dziewczyna, miał wylądować o siódmej. Do biura Scotta powinni dotrzeć około ósmej. Nie ma co, ten Lewis ma nerwy jak postronki. Zorientował się, że nie ma szans na ucieczkę, więc postanowił zagrać *va banque*. Wie, że obciążają go wyłącznie poszlaki, ale odpowiednio zaprezentowane przed sądem poszlaki potrafią wywrzeć większe wrażenie niż zeznania niejednego naocznego świadka. Scott osobiście wystąpi w roli oskarżyciela. Nie odmówi sobie tej przyjemności.

Piętnaście po siódmej do pokoju Myersona wszedł Richard.

- Zdaje się, że odkryliśmy potwornie cuchnącą kloakę - oznajmił, nie tracąc czasu na zbędne wstępy. - Mam na myśli Koncepcję Macierzyństwa Westlake.

- Jeśli chodzi ci o to, że ten psychiatra kręcił z Vangie Lewis, to całkowicie się z tobą zgadzam - odparł Scott. - Wydaje mi się jednak, że ustaliliśmy to już dzisiaj po południu. Tak czy inaczej, łatwo będzie się o tym przekonać. Zbadaj krew płodu, a my zajmiemy się Fukhito. Nie będzie mógł nam odmówić, jeśli powiemy, że chcemy pobrać mu trochę krwi, a jeżeli to zrobi, to tak jakby przyznał się do winy. Będzie mógł pożegnać się z zawodem.

- Nie o tym mówię - przerwał mu niecierpliwie Richard. - Chodzi mi o Highleya. Podejrzewam, że przeprowadza jakieś eksperymenty na swoich pacjentkach. Przed chwilą rozmawiałem z mężem jednej z nich. Niemożliwe, żeby był ojcem dziecka, ale jednocześnie widział, jak przychodziło na świat. Przypuszcza, że żona bez jego wiedzy poddała się zabiegowi sztucznego zapłodnienia, ale ja myślę, że to coś więcej. Moim zdaniem Highley przeprowadza ten zabieg nawet bez wiedzy pacjentki! Dlatego właśnie uzyskuje takie cudowne rezultaty.

- Chcesz powiedzieć, że Higley nafaszerował Vangie nasieniem jakiegoś Azjaty i uważał, że ujdzie mu to na sucho? - zapytał Scott z nie - dowierzaniem. - Daj spokój, człowieku!

- Może nie wiedział, że dawcą był Azjata. Może popełnił błąd...

- Lekarze nie popełniają takich błędów. Ale nawet jeśli założymy, że twoja teoria jest prawdziwa - choć, szczerze mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć - to jeszcze nie czyni z niego mordercy.

- Jest w nim coś podejznanego - nie ustępował Richard. - Wyczułem to od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłem.

- Dobra, przyjrzymy się dokładniej koncepcji Macierzyństwa Westlake. To żaden problem. Jeśli dopuścili się tam jakichś przestępstw, wykryjemy je i ukarzymy winnych. Jeżeli masz rację, i Highley rzeczywiście zapładnia kobiety bez ich wiedzy i zgody, damy mu do wiwatu, ale zajmiemy się tym trochę później. Na razie interesuje mnie przede wszystkim Chris Lewis.

- Zrób to koniecznie - nastawał Richard. - Sprawdź przeszłość Highleya. Wziąłem już pod lupę oskarżenia, jakie wniosły przeciwko niemu pacjentki. Jedna z nich, pani Horan, zjawi się tu już wkrótce, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Z artykułu w „Newsmakerze” wynika, że przed przyjazdem tutaj pracował w Anglii, w Liverpoolu. Zadzwoń tam i zapytaj, czy czegoś nie przeskrobał. Tobie na pewno udzieli takiej informacji.

Scott wzruszył ramionami. - Dobra, skoro ci na tym tak zależy...

Zabrzączał interkom. Scott nacisnął guzik.

- Wprowadźcie go - powiedział, po czym odchylił się do tyłu w fotelu i spojrzał na Richarda. - Zrozpaczony wdowiec, kapitan Chris Lewis, przybył w towarzystwie swej ukochanej.

Dannyboy Duke siedział skulony na posterunku policji. Pocił się obficie, nerwy miał napięte do granic wytrzymałości i drżały mu ręce. Jeszcze trzydzieści sekund, a udałoby mu się uciec. Siedziałby teraz w swoim mieszkaniu, czując rozchodzące się po ciele, cudowne uspokojenie. Zamiast tego znalazł się w tym piekle.

- Dajcie mi spokój - szepnął.

Na gliniarzach nie wywarło to większego wrażenia.

- To ty daj spokój, Danny. Przycisk do papieru jest cały we krwi. Kogo nim walnąłeś? Przecież wiemy, że nie tę staruszkę, której wczoraj wyrwałeś torebkę. Przewróciłeś ją na ziemię, tak że złamała sobie biodro. To paskudna sprawa, kiedy ma się siedemdziesiąt pięć lat. Najprawdopodobniej dostanie zapalenia płuc, a może nawet umrze. Będzie z tego morderstwo drugiego stopnia, Danny. Pomóż nam, a my zobaczymy, co da się dla ciebie zrobić.

- Nie wiem o czym mówicie! - wychrypiał.

- Oczywiście, że wiesz. W twoim wozie znaleźliśmy lekarską torbę i torebkę tej staruszki, a w twojej kieszeni portmonetkę, którą dopiero co zwędziłeś u Alexandra. Wiemy, że torbę też zwinąłeś wczoraj wieczorem. Dostaliśmy zawiadomienie, a portier widział cię przed hotelem Carlyle. Na pewno cię zidentyfikuje. Kogo załatwiłeś tym przyciskiem, Danny? Opowiedz nam o tym. I co to za but, Danny? Od kiedy kolekcjonujesz stare mokasyny? O tym też chcielibyśmy usłyszeć.

- Wszystko było w torbie - szepnął Danny.

Dwaj policjanci popatrzyli na siebie, po czym jeden z nich wzruszył ramionami i powrócił do lektury gazety leżącej przed nim na biurku. Drugi odłożył teczkę, którą wyjął z czarnej skórzanej torby.

- Dobra, Danny. Zadzwońmy teraz do doktora Salema i zapytamy go, co miał w swojej torbie. W ten sposób wszystko stanie się jasne. Jednak byłoby dla ciebie dużo lepiej, gdybyś z nami współpracował. Wydaje mi się, że powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

Pierwszy gliniarz podniósł głowę znad gazety.

- Doktor Salem? - zapytał ze zdziwieniem.

- Tak. Takie nazwisko jest na teczce... Aha, rzeczywiście. Torba należała do doktora Edgara Highleya. Widocznie pożyczył teczkę od jakiegoś innego lekarza.

Młodszy policjant wstał od biurka i podszedł do stołu ze swoim egzemplarzem „Daily News”. Przez chwilę przeglądał zawartość teczki podpisanej nazwiskiem Emmeta Salema, po czym pokazał koledze obszerny artykuł na trzeciej stronie gazety.

- Salem to ten lekarz, który wczoraj wieczorem wypadł z okna Essex House. W tej sprawie współpracujemy z prokuratorem okręgu Valley.

Obaj policjanci spojrzeli na Danny'ego z rozbudzonym na nowo zainteresowaniem.

Przyglądał się, jak Katie zamyka oczy i zaczyna spokojnie oddychać. Znowu zapadła w sen. Pytanie dotyczące Vangie wypłynęło gdzieś z jej podświadomości, prawdopodobnie za sprawą podobieństwa sytuacji do wydarzeń poniedziałkowej nocy. Możliwe, że po obudzeniu o niczym by nie pamiętała, ale on nie mógł podejmować takiego ryzyka. A jeśli zacznie coś mówić przy siostrze Renge albo na sali operacyjnej, zanim anestezjolog poda jej narkozę? Próbował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jej niespodziewane pojawienie się przy oknie w poniedziałkową noc mogło okazać się dla niego fatalne w skutkach.

Musi zabić ją w ciągu najbliższej godziny, zanim siostra Renge przyjdzie sprawdzić stan pacjentki. Heparyna zaczęła działać natychmiast po dostaniu się do krwiobiegu, lecz cały proces musiał trwać jeszcze kilka godzin. Tak to sobie zaplanował, ale teraz nie mógł sobie pozwolić na czekanie. Musiał natychmiast zrobić drugi zastrzyk.

Miał heparynę w gabinecie. Nie odważyłby się pójść do szpitalnego magazynu leków. Zejdzie schodami awaryjnymi na parking, wślizgnie się prywatnym wejściem do swojego gabinetu, napełni ponownie strzykawkę i wróci na górę. Powinno mu to zająć około pięciu minut. Kelnerkę zdziwi jego nieobecność przy stoliku, ale na to nie było żadnej rady. Upewniwszy się, że Katie na pewno zasnęła, wyszedł szybko z pokoju.

W piątkowy wieczór technik z laboratorium sądowego okręgu Valley został w pracy po godzinach, gdyż doktor Carroll poprosił go o przeprowadzenie mikroskopowego porównania próbek pobranych w domu Vangie Lewis, ofiary przypuszczalnego samobójstwa, z pobranymi w domu Edny Burns, ofiary przypuszczalnego nieszczęśliwego wypadku. W związku z tym technik badał starannie zawartość dwóch plastikowych torebek dostarczonych przez zespoły dochodzeniowe, poszukując czegoś, co można by uznać za podejrzanę lub choćby niezwykle.

Wiedział o tym, że dysponuje nieprawdopodobnym wyczuciem, niemal szóstym zmysłem, który rzadko go zawodził. Szczególnie interesowały go włosy. Powtarzał zawsze: „Jesteśmy zwierzętami obrośniętymi futrem. To niesamowite, jak wiele włosów gubimy bez przerwy, dotyczy to także tych, którzy są zupełnie łysi”.

Wśród próbek przywiezionych z domu Lewisów znalazł mnóstwo długich jasnych włosów ofiary oraz sporo krótszych, brązowych. Bez wątpienia należały do męża, gdyż znajdowały się zarówno w sypialni jak i salonie.

W sypialni było jednak także kilka innych, piaskowo - srebrzystych włosów. Dziwna sprawa. W kuchni lub salonie mogły się znaleźć włosy wielu obcych osób, na przykład listonosza lub dostawcy, ale w sypialni? Nawet w dzisiejszych czasach niewiele rodzin zapraszało kogokolwiek do sypialni. To znalezisko mogło mieć wielkie znaczenie. Sądząc po długości, włosy pochodziły z głowy mężczyzny. Kilka z nich przywarło do płaszcza, który miała na sobie ofiara.

Chwilę później technik odkrył związek, którego poszukiwał Richard Carroll. Identyczne, piaskowe włosy o srebrzystych końcówkach znajdowały się na wyblakłym błękitnym szlafroku Edny Burns.

Umieścił dwa włosy pod najsilniejszymi mikroskopami i powoli, bez pośpiechu, przeprowadził test porównawczy składający się z szesnastu punktów.

Nie było żadnych wątpliwości. Jakiś człowiek miał bliski kontakt z obiema martwymi kobietami. Na tyle bliski, że pozostawił kilka swoich włosów na szlafroku Edny Burns i rękawie płaszcza Vangie Lewis. Technik sięgnął po telefon, by zawiadomić doktora Carrolla.

Próbowała się obudzić. Drzwi zamknęły się z cichym pstryknięciem. Ktoś tu był. Bolało ją ramię. Doktor Highley. Odplynęła na chwilę... Co mu powiedziała? Przypomniała sobie, kiedy ponownie ocknęła się kilka minut później. Przypomniała sobie czarny samochód, błyszczące obręcze ze szprychami i światło latarni odbijające się w okularach. Widziała to w nocy z poniedziałku na wtorek. Tej nocy doktor Highley niósł do swojego samochodu ciało Vangie Lewis. Doktor Highley zabił Vangie.

Richard coś podejrzewał. Starał się jej to powiedzieć, ale ona nie słuchała.

Teraz doktor Highley wiedział, że ona o wszystkim wie. Dlaczego zadała mu to idiotyczne pytanie? Musi stąd natychmiast uciec. Ją też zamorduje. Zawsze bała się szpitali, bo w jakiś sposób przeczuwała, że tam właśnie spotka ją śmierć.

Dokąd poszedł doktor Highley? Na pewno wróci. Wróci, żeby ją zabić. Pomocy. Potrzebuje pomocy. Dlaczego jest taka słaba? Palec wciąż krwawi. Pastyłki, które od niego dostała. Osłabienie pojawiło się w chwili, kiedy zaczęła je brać. Pastyłki. To one wywoływały krwawienie.

Boże, błagam cię, pomóż mi. Telefon. Telefon! Wyciągnęła rękę w stronę aparatu, ale tylko straciła go na podłogę. Potrząsnęła głową, zmuszając się do otwarcia oczu, po czym zaczęła ciągnąć za kabel. Wreszcie mogła przyłożyć słuchawkę do ucha. Cisza. Rozpaczliwie nacisnęła widełki, a potem spróbowała połączyć się z centralą.

Doktor Highley wspominał, że telefon jest nieczynny. Nacisnęła przycisk dzwonka wzywającego pielęgniarkę. Ona jej pomoże. Nie usłyszała jednak charakterystycznego pyknięcia, z jakim zapala się alarmowe światelko nad

drzwiami. Była pewna, że światelko nie zapaliło się także w dyżurce.

Musi stąd zniknąć przed powrotem doktora Highleya. Podniosła się, walcząc z potwornymi zawrotami głowy.

Musi. Vangie Lewis. Długie jasne włosy, nerwowe, niedojrzałe pragnienie posiadania dziecka. Doktor Highley zamordował Vangie, zamordował jej dziecko. Czy zabił jeszcze kogoś?

Trzymając się krawędzi łóżka, stanęła na podłodze. Winda. Zjedzie windą na pierwsze piętro. Tam są ludzie - pacjentki, pielęgniarki.

Gdzieś niedaleko trzasnęły drzwi. Wraca. On wraca. Rozpaczliwie spojrzała na otwarte drzwi prowadzące na korytarz.

Jeśli tędy wyjdzie, natychmiast zostanie zauważona. Drzwi łazienki nie miały zamka. Szafa... Znajdzie ją tam. Wyłącznie dzięki ogromnej sile woli udało jej się dotrzeć do drzwi saloniku, otworzyć je, wejść do sąsiedniego pomieszczenia i zamknąć je za sobą.

Gdzie może się schować? Przecież on natychmiast zacznie jej szukać. Nie wolno jej tu zostać. Gdyby spróbowała przedostać się do głównego holu, musiałaby minąć otwarte drzwi pokoju, a potem skręcić w lewo i przejść długim korytarzem do odległej windy. Nie dałaby rady. Gdzie ma się podziąć? Z drugiego pokoju dobiegło skrzypnięcie otwieranych drzwi. Zaglądał do łazienki albo do szafy. Może spróbuje schować się pod folią, którą przykryto meble? Nie. Znalazłaby się w pułapce. Natychmiast by ją zauważył. Przygryzła wargę, usiłując zwalczyć ogarniającą ją falę słabości. Nogi miała jak z gumy, usta i skóra przypominały niewrażliwą gąbkę.

Zatoczyła się w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Pamiętała, że jadąc w tę stronę na wózku, mijała

schody awaryjne. Zejdzie nimi na pierwsze piętro. Znajdzie pomoc. Wybiegła na korytarz. Szybko, bo zaraz ją dogoni...

Drzwi na klatkę schodową były bardzo ciężkie. Pociągnęła raz, drugi... Uchyliły się opornie. Otworzyła je szerzej i wślizgnęła się do środka. Zamykały się okropnie powoli. Oby tylko nikt nie zauważył. Schody. Strasznie na nich ciemno, ale przecież nie wolno jej zapalić światła. Być może jej prześladowca właśnie w tej chwili biegnie korytarzem w kierunku windy. Jeśli tak zrobił, znaczyło to, że zyskała dodatkową minutę. Bardzo jej potrzebowała. Na pomoc. Na pomoc. Złapała się poręczy. Schody prowadziły stromo w dół. Bezszelestnie stawiała bose stopy. Ile stopni między piętrami? Trzydzieści. Nie, to w domu. Po ośmiu stopniach dotarła do półpiętra. Jeszcze osiem i będzie bezpieczna. Siedem... pięć... jeden. Chwyciła za klamkę, nacisnęła, pchnęła z całej siły. Bez rezultatu. Zamknięte na klucz.

Usłyszała, jak piętro wyżej otwierają się drzwi, a zaraz potem na klatce schodowej rozległ się odgłos ciężkich kroków.

Chris nie chciał wezwać adwokata. Siedział naprzeciwko prokuratora, myśląc o tym, jak bardzo bał się tej rozmowy, jak bardzo bał się, że nikt mu nie uwierzy. Ale Joan uwierzyła mu. - To normalne, że będą cię podejrzewać, Chris - powiedziała. - Musisz być wobec nich absolutnie szczery. Pamiętaj co napisano w Biblii: „Prawda uczyni was wolnymi”.

Spojrzał najpierw na prokuratora okręgowego, a potem na dwóch funkcjonariuszy, którzy przywieźli go z lotniska.

- Nie mam nic do ukrycia - oświadczył.

Jego słowa nie wywarły na Scotcie większego wrażenia. Do pokoju wszedł młody mężczyzna o wyglądzie mola książkowego z dużym notesem w dłoni, usiadł, otworzył notes i wyjął długopis. Scott utkwiał w Chrisie ciężkie spojrzenie.

- Kapitanie Lewis, muszę pana poinformować, że jest pan podejrzany w związku z nie wyjaśnionymi zgonami Vangie Lewis, Edny Burns i doktora Emmeta Salema. Może pan zachować milczenie. Nie musi pan odpowiadać na żadne pytania. Ma pan prawo korzystać z pomocy adwokata. Wszystko co pan powie może zostać użyte przeciwko panu. Czy to zupełnie jasne?

- Tak.

- Umie pan czytać?

Chris spojrzał na prokuratora. Czyżby silił się na sarkazm? Nie, twarz Scotta była bardzo poważna. - Tak. Scott podał mu zadrukowaną kartkę.

- Tu jest napisane to wszystko co pan przed chwilą usłyszał. Proszę dokładnie zapoznać się z całą treścią, upewnić się, że ją pan dokładnie zrozumiał, a potem podpisać.

Chris przeczytał szybko zawartość kartki, złożył podpis i oddał ją Scottowi.

- Znakomicie.

Myerson odłożył papier na bok. Wydawał się teraz bardziej spięty. Chris domyślił się, że za chwilę zacznie się oficjalne przesłuchanie.

To zabawne, że właściwie co wieczór można oglądać w telewizji różne filmy o policjantach i przestępcach, ale nikomu nawet nie przyjdzie na myśl, że pewnego dnia on sam może znaleźć się w podobnej sytuacji - pomyślał. - Prokurator był niemal przekonany o jego winie. Czy zachował się jak szalenciec, rezygnując z adwokata? Nie.

- Kapitanie Lewis, czy był pan źle traktowany lub zmuszany do czegokolwiek?

- Nie.

- Chce pan coś zjeść, albo napić się kawy? Chris potarł czoło.

- Chętnie napiłbym się kawy, ale jestem gotów nawet teraz odpowiadać na pańskie pytania.

Jednak zupełnie nie był przygotowany na to co usłyszał.

- Czy zamordował pan swoją żonę, Vangie Lewis? Chris spojrzał prokuratorowi prosto w oczy.

- Nie zamordowałem jej. Nawet nie wiem, czy została zamordowana. Ale wiem jedno: jeżeli umarła w poniedziałek przed północą, to na pewno nie stało się to w naszym domu.

Scott, Charley, Phil, a nawet stenograf wybałuszyli oczy w zupełnie nieprofesjonalny sposób.

- Przyjechałem w poniedziałek tuż przed północą - ciągnął spokojnie Chris. - Vangie nie było w domu, więc wróciłem do Nowego Jorku. O jedenastej rano następnego dnia znalazłem ją w łóżku. Dopiero kiedy właściciel zakładu pogrzebowego przyjechał po jej ubranie i powiedział mi, kiedy nastąpił zgon, uświadomiłem sobie, że ktoś musiał przywieźć jej ciało do naszego domu. Jednak już wcześniej wiedziałem, że coś tu nie gra. Moja żona nawet nie próbowałaby założyć pantofli, w których została znaleziona.

Przez ostatnie sześć tygodni chodziła wyłącznie w rozdeptanych mokasynach zostawionych przez sprzątaczkę. Miała bardzo opuchniętą prawą nogę i stopę. Używała ich nawet jako kapci.

Poszło mu łatwiej, niż oczekiwał. Potem posypały się pytania.

- Wyszedł pan z hotelu w poniedziałek o ósmej wieczorem, a wrócił pan o dziesiątej. Gdzie pan był w tym czasie?

- W kinie, w Greenwich Village. Po powrocie nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem pojechać do domu i porozmawiać z Vangie.

- Dlaczego nie zaczekał pan na żonę? - Następne pytanie odczuł jak uderzenie kowalskim młotem. - Czy wiedział pan, że dziecko, które nosiła pańska żona, miało wyraźne cechy orientalne?

- O, mój Boże! - Chrisa ogarnęło przerażenie połączone w przedziwny sposób z uczuciem ulgi. A więc to nie było jego dziecko. Azjata. Ten psychiatra. Czyżby był aż takim draniem? Vangie ogromnie mu ufała. Biedactwo! Nic dziwnego, że z upływem czasu coraz bardziej bała się porodu. Widocznie dlatego zadzwoniła do doktora Salema. Chciała się ukryć. Boże, ależ z niej było dziecko!

- Czy wiedział pan, że żona utrzymuje stosunki z innym mężczyzną.

- Nie.

- Dlaczego we wtorek wieczorem pojechał pan do mieszkania Edny Burns?

Przyniesiono kawę.

- Chwileczkę... Czy możemy zająć się wszystkim po kolei? - Wypił kilka łyków kawy. Pomogło. - We wtorek wieczorem, niemal dokładnie w chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że Vangie nie umarła w domu, zadzwoniła Edna Burns.

Z trudem mogłem ją zrozumieć. Bełkotała coś o Kopciuszku i Pięknym Księżciu, że ma coś, na czym mi na pewno bardzo zależy, i że może powiedzieć policji wiele ciekawych rzeczy. Pomyślałem, że być może wie, z kim była Vangie. Gdybym to z niej wyciągnął, nie musiałbym przyznawać się, że przyjechałem do domu w poniedziałek w nocy. Nie chciałem mieszać w to Joan. - Odstawił papierowy kubek z kawą, starając się przypomnieć sobie wtorkowy wieczór. Miał wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się nie wiadomo jak dawno temu. - Pojechałem do osiedla, w którym mieszkała panna Burns. Jakiś chłopak, który wyszedł z psem na spacer, wskazał mi jej segment. Dzwoniłem i stukałem do drzwi, ale nikt nie otwierał, mimo iż wyraźnie słyszałem włączony telewizor. Pomyślałem sobie, że zupełnie się upiła i zasnęła, i że pewnie jest tylko starą dziwaczką, więc wróciłem do domu.

- Nie wchodził pan do środka?

- Nie.

- Która to była godzina?

- Około wpół do dziesiątej.

- W porządku. Co zrobił pan potem?

Znowu pytania, jedno za drugim. Napił się jeszcze trochę kawy. Prawda, tylko prawda. O ileż to łatwiejsze od kłamstw! Myśl tylko o przyszłości. Jeśli ci uwierzą, ty i Joan będziecie mogli spędzić ze sobą resztę życia. Pomyślał o tym, jak na niego spojrziała i jak zarzuciła mu ramiona na szyję, kiedy przyleciał do niej na Florydę. Wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że oto jest ktoś, do kogo może zwrócić się w ciężkich chwilach i kto będzie chciał je z nim dzielić. Inni - szczególnie Vangie, a nawet rodzice - u niego szukali oparcia.

Na dobre i na złe.

Na pewno na dobre. Joan, najdroższa - pomyślał i nabrał głęboko powietrza w płuca. Pytali go teraz o doktora Salema.

Richard siedział przy biurku Katie i czekał na połączenie z szefem personelu w szpitalu Jezusa Chrystusa w Devon. Zdobył jego domowy numer wyłącznie dzięki uporowi, z jakim podkreślał wagę sprawy i konieczność porozmawiania z kimś, kto pracował w szpitalu więcej niż dziesięć lat.

Tymczasem rozglądał się po pokoju. Na sąsiadującym z biurkiem stoliku piętrzyły się teczki spraw, którymi zajmowała się Katie. Nic dziwnego, że po wypadku nie wzięła ani jednego wolnego dnia. Jednak mimo nawału zajęć powinna była zostać w domu. Dziś po południu wyglądała wręcz fatalnie, a przegrana sprawa z pewnością ogromnie ją przygnębiła. Szkoda, że nie zdążył się z nią zobaczyć, zanim wyszła.

Czekał ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Facet wyszedł z domu albo spał. Może zaczekać do rana? Nie, musi się tego dowiedzieć teraz.

Na biurku stało kilka oprawionych fotografii. Katie z jakąś starszą kobietą, prawdopodobnie matką.. Wiedział, że jej matka mieszka gdzieś na Florydzie. Katie z Jennifer, najstarszą córką Molly. Na tym zdjęciu wyglądała jak starsza siostra Jen. Katie z grupą osób w kombinezonach narciarskich. To prawdopodobnie przyjaciele, z którymi wyjeżdżała do Vermont.

Ani jednego zdjęcia Johna DeMaio. Katie nie była osobą, która przypominałaby dyskretnie współpracownikom, że jest wdową po znakomitym sędzim. W domu miała za to mnóstwo jego fotografii.

Telefon dzwonił bez przerwy. Richard postanowił zaczekać jeszcze minutę.

Uświadomił sobie, iż sprawiło mu przyjemność, że na biurku nie było również zdjęć żadnego innego mężczyzny.

Jeszcze raz przeanalizował swoją reakcję na wiadomość, że postanowiła wyjechać na weekend. Starał się, by wyglądało to tak, jakby był zdziwiony jej decyzją, ponieważ w przyszłym tygodniu czekała ją ważna rozprawa, ale w rzeczywistości nie miało to z tym nic wspólnego. Po prostu obawiał się, że Katie ma jakiegoś faceta.

- Tak? - rozległ się w słuchawce zaspany, gniewny głos. Richard wyprostował się i ścisnął mocniej słuchawkę.

- Pan Alexander Reeves?

- Tak. Słucham, o co chodzi?

- Bardzo przepraszam, że niepokoję pana o tej porze, ale sprawa jest bardzo pilna - powiedział Richard, nie tracąc czasu na zbędne wstępy. - Dzwonię ze Stanów Zjednoczonych. Nazywam się Richard Carroll, jestem lekarzem sądowym okręgu Valley w stanie New Jersey. Ogromnie zależy mi na informacjach dotyczących doktora Edgara Highleya.

- Co chce pan wiedzieć? - zapytał mężczyzna po drugiej stronie Atlantyku już zupełnie przytomnym głosem.

- Przed chwilą rozmawiałem z kliniką Królowej Mary w Liverpoolu i dowiedziałem się ku swemu zdziwieniu, że doktor Highley pracował tam bardzo krótko. Powiedziano mi tam także, że wcześniej przez prawie dziewięć lat należał do personelu szpitala Jezusa Chrystusa w Devon. Czy to prawda?

- Edgar Highley odpracowywał u nas staż po ukończeniu studiów w Cambridge. Specjalizował się w położnictwie i ginekologii, i jako znakomity lekarz otrzymał propozycję podjęcia stałej pracy.

- Dlaczego odszedł?

- Po śmierci żony przeprowadził się do Liverpoolu, a potem podobno wyemigrował do Stanów. To naturalnie nic niezwykłego. Bardzo wielu naszym lekarzom nie odpowiadają niskie płace w brytyjskiej służbie zdrowia.

- Czy to był jedyny powód jego rezygnacji?

- Nie rozumiem pańskiego pytania. Richard postanowił zaryzykować.

- Wydaje mi się, że doskonale je pan rozumie, panie Reeves. Nasza rozmowa jest, rzecz jasna, ściśle poufna, ale nie mogę sobie pozwolić na owijanie niczego w bawełnę. Mamy podstawy przypuszczać, że doktor Highley przeprowadza eksperymenty na swoich ciężarnych pacjentkach, być może nawet z narażeniem ich życia. Czy dysponuje pan informacjami, które mogłyby przyczynić się do potwierdzenia naszych podejrzeń?

Odpowiedziała mu długa cisza. Słowa, które potem usłyszał, były wypowiedziane powoli i niezwykle starannie.

- Podczas pobytu w naszym szpitalu doktor Highley nie tylko pracował jako lekarz, ale także był głęboko zaangażowany w program badań prenatalnych. Dokonał kilku wyjątkowych eksperymentów na embrionach żab i ssaków. Potem jeden z jego kolegów zaczął podejrzewać, że eksperymentuje także na płodach ludzkich usuniętych z organizmu matki w wyniku aborcji, co, rzecz jasna, było całkowicie nielegalne.

- Co uczyniono w tej sprawie?

- Przede wszystkim nie nadawano jej rozgłosu, ale doktor Highley został wzięty pod ścisłą obserwację. Potem wydarzyła się tragedia: niespodziewanie zmarła jego żona. Nie mogliśmy niczego udowodnić, lecz istniało powszechne podejrzenie, iż wszczepił jej embrión pobrany od innej kobiety. Zasugerowano mu, by zrezygnował z pracy w naszym szpitalu. Powtarzam jednak, że nie mamy najmniejszych dowodów, w związku z czym proszę pana, by ta rozmowa pozostała wyłącznie między nami.

Richard przez chwilę starał się ochłonać po tym, co usłyszał. Jego przeczucie okazało się trafne. Ile kobiet straciło

życie podczas eksperymentów Highleya? Nagle zaświtała mu pewna myśl. Prawdopodobieństwo było nikłe, ale...

- Panie Reeves, czy zna pan może doktora Emmeta Salema?

W głosie zza oceanu natychmiast pojawiły się cieplejsze barwy.

- Oczywiście. To mój stary przyjaciel. Kiedy wybuchł skandal z Highleyem, doktor Salem właśnie przebywał u nas w ramach wymiany naukowej.

Katie bezszelestnie zbiegła po schodach na parter, chwyciła za klamkę i szarpnęła desperacko, ale drzwi nawet nie drgnęły. W górze kroki zatrzymały się na chwilę. Sprawdzał drzwi na pierwszym piętrze, aby upewnić się, czy przez nie nie uciekła. Potem kroki rozległy się ponownie. Schodził na dół. Nikt jej tu nie usłyszy, nawet jeśli zacznie krzyżeć. Przez ciężkie, ognioodporne drzwi nie przedostawały się żadne odgłosy szpitala, mimo że po ich drugiej stronie było mnóstwo ludzi: odwiedzających, pacjentów, pielęgniarek. Dzielilo ją on nich zaledwie piętnaście centymetrów.

Zbliżał się, by ją zabić. Poczwała potworny, tępy ból w rejonie miednicy. Krwawiła obficie. To przez ten zastrzyk, który jej zrobił. Kręciło jej się w głowie. Musi się jakoś stąd wydostać! Upozorował samobójstwo Vangie i mogło mu to ująć na sucho. Pobiegła na oślep schodami w dół, w kierunku podziemi szpitala. Będzie musiał wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego się tutaj znalazła. Im dalej uda się jej dotrzeć, tym bardziej utrudni mu zadanie. Potknęła się na ostatnim stopniu. Tylko się nie przewróć. Niech to nie wygląda na wypadek. Edna upadła i rozbiła sobie głowę o grzejnik. A może...

Czyżby zabił też Ednę?

Za chwilę znajdzie się w pułapce bez wyjścia. Jeszcze jedno drzwi. Na pewno też zamknięte. Bez nadziei nacisnęła klamkę. Za nią, na półpiętrze, zamajaczył kształt ciemniejszy od otaczającej go ciemności, i ruszył szybko w jej kierunku.

Drzwi otworzyły się. Korytarz był słabo oświetlony. Znajdowała się w piwnicy. Przed sobą widziała szereg pomieszczeń. Drzwi zatrzasnęły się za nią. Czy uda jej się gdzieś schować? Pomocy. Pomocy. Na ścianie obok dostrzegła wyłącznik. Nacisnęła go zakrwawionymi palcami.

Korytarz pochłoneła nieprzenikniona ciemność, a dwa lub trzy metry za nią drzwi otworzyły się z łoskotem.

Highleya podejrzewano o spowodowanie śmierci jego pierwszej żony. Kuzyn Winifred Westlake podejrzewał go o spowodowanie także jej śmierci. Highley był znakomitym naukowcem. Mógł eksperymentować na swoich pacjentkach. Mógł zapłodnić Van - gie Lewis nasieniem jakiegoś Azjaty. Ale dlaczego? Czyżby sądził, że sprawa nie wyjdzie na jaw? Z pewnością znał przeszłość Fukhito. Czyżby chciał zrzucić winę na niego? Dlaczego? A może popełnił błąd, posłużycywszy się niewłaściwym nasieniem? Chyba że Vangie miała romans z Fukhito... Czy eksperymenty doktora Highleya nie miały nic wspólnego z ciążą Vangie?

Richard nie znał odpowiedzi na te pytania. Siedział przy biurku Katie, obracając w palcach jej długopis. Zawsze nosiła go przy sobie, ale widocznie dzisiaj tak bardzo się śpieszyła, że zapomniała go zabrać. No tak, była bardzo przejęta. Przegrana rozprawa musiała ją porządnie wstrząsnąć. Katie bardzo się przejmowała takimi sprawami. Katie bardzo się przejmowała wieloma sprawami. Chciałby wiedzieć, gdzie teraz jest. Chciałby z nią porozmawiać. Ten krwawiący palec... Musi zapytać Molly, czy jej siostra nie miała jakichś kłopotów z krzepliwością krwi. To mógł być poważny problem.

Nagle zmroził go lodowaty dreszcz. Niska krzepliwość krwi bywa przecież jednym z objawów białaczki. O, Boże... W poniedziałek zaciągnie ją do lekarza, nawet gdyby musiał ją związać.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, a zaraz potem do pokoju zajrzała Maureen. Miała duże, szmaragdowozielone oczy. Piękne oczy. Piękna dziewczyna.

- Panie doktorze...

- Maureen, bardzo przepraszam, że musiałaś zostać. Pani Horan powinna tu być już dawno temu.

- Nie szkodzi, właśnie przed chwilą dzwoniła. Jest już w drodze. Musiała zostać dłużej w pracy. Panie doktorze, przyszły jakieś dwie kobiety, które były przyjaciółkami panny Burns. Chciały zobaczyć się z Katie. Powiedziałam im, że jej nie ma, a wtedy jedna z nich wymieniła pańskie nazwisko. Podobno spotkaliście się dwa dni temu w mieszkaniu panny Burns. To pani Fitzgerald.

- Fitzgerald?... Ach, tak. Zastępowała Ednę w szpitalu Westlake.

- W chwili, kiedy Richard powiedział „Westlake”, zerwał się raptownie z miejsca. - Poproś je tutaj. I może zawiadom Scotta.

- Pan Myerson powiedział, żeby mu nie przeszkadzać pod żadnym pozorem. On, Charley i Phil wciąż jeszcze przesłuchują kapitana Lewisa.

- Dobra, w takim razie sam porozmawiam z tymi damami. Najwyżej trochę poczekają, jeśli okaże się, że mają coś istotnego do powiedzenia.

Weszły razem do gabinetu. Oczy Gany błyszczały podnieceniem. Z żalem zrezygnowała z zamiaru założenia cętkowanego futra Edny - było jeszcze chyba za wcześnie - ale za to miała do opowiedzenia pasjonującą historię.

Gertrude niosła mokasyn zawinięty w papierową torbę. Starannie uczesała włosy i zawiązała pod szyją apaszkę. Smaczny posiłek przeszedł już do historii; teraz marzyła już tylko o tym, by wrócić do domu i położyć się do łóżka. Mimo to cieszyła się, że będzie mogła porozmawiać z doktorem Carrollem. Opowie mu o tym, jak doktor Highley próbował otworzyć szufladę w nocnym stoliku biednej Edny. W szufladzie był tylko zniszczony but. Czy doktor Carroll uważa, że doktorowi Highleyowi mogło z jakichś powodów zależeć właśnie na tym bucie?

Panią DeMaio bardzo interesowała sprawa Pięknego Księcia. Może doktor Carroll też będzie chciał coś o tym usłyszeć. Powtórzy jej wszystko, kiedy zobaczą się w poniedziałek w pracy. Teraz stał za biurkiem i spoglądał na nie oczekująco.

Gertrude wytrząsnęła z torby rozdeptany mokasyn, który upadł z hałasem na biurko Katie, po czym przystąpiła do składania wyjaśnień:

- Przyszliśmy w sprawie tego buta...

Zataczając się od ściany do ściany biegła przed siebie korytarzem. Czy jej prześladowca znajdzie wyłącznik? A jeśli tak, to czy odważy się go nacisnąć? Przecież w korytarzu może być ktoś jeszcze. Może powinna krzyknąć?

Highley doskonale znał szpital. Gdzie mogła się przed nim ukryć? Drzwi na samym końcu korytarza... Może zacznie sprawdzać wszystkie po kolei, a ona wtedy zdąży się tam jakoś zamknąć. Biegając prosto przed siebie dotrze do ściany kończącej korytarz. Drzwi znajdowały się dokładnie pośrodku. Palec nadal krwawił. Spróbuje rozsmarować krew na ich powierzchni. Kiedy pielęgniarka stwierdzi, że Katie nie ma w pokoju, rozpoczną się poszukiwania. Może ktoś zwróci uwagę na ślady krwi.

Stała nieruchomo, nasłuchując. Jeśli otworzy drzwi, czy zobaczy jej cień na tle jaśniejszego wnętrza? Boże, spraw, żebym je znalazła! Przesuwała ręką po ścianie, aż wreszcie natrafiła na futrynę. Za plecami usłyszała stłumione skrzypnięcie. Otworzył pierwsze drzwi, ale z pewnością nawet nie zajrzy do tego pokoju. Przecież wcześniej nie słyszał żadnego skrzypnięcia, co oznaczało, że nikt nie wchodził do tego pomieszczenia. Jej dłoń natrafiła na klamkę. Nacisnęła ją mocno, przesuwając po niej zranionym palcem. Poczowała silną woń formaldehydu. Z tyłu rozległ się odgłos szybkich stąpień. Za późno. Za późno. Spróbowała zatrzasnąć drzwi, lecz ktoś pchnął je mocno, tak że zachwiała się i upadła. Była tak słaba, tak okropnie słaba... Wyciągnęła rękę i dotknęła nogawki spodni.

- To już koniec, Katie - powiedział doktor Highley.

Jest pan pewien, że to pantofel pańskiej żony? - zapytał Scott po raz kolejny.

Chris skinął ze znużeniem głową. - Absolutnie. To ten, który wiecznie spadał jej z nogi. Lewy.

- Czy Edna Burns powiedziała panu przez telefon, że go ma?

- Nie. Powiedziała tylko, że ma zamiar porozmawiać z policją, ale najpierw chce zobaczyć się ze mną.

- Odniosł pan może wrażenie, że próbuje pana szantażować... lub zastraszyć?

- Nie, to było tylko pijackie gadanie. Wiedziałem tylko tyle, że pracuje w szpitalu Westlake, ale nie miałem pojęcia, że jest tą recepcjonistką, o której ciągle opowiadała Vangie. Moja żona mówiła, że panna Burns często żartowała sobie z jej „szklanych pantofelków”.

- W porządku. Pańskie zeznania zostaną natychmiast przepisane na maszynie. Proszę je dokładnie przeczytać i podpisać, jeśli nie będzie pan miał żadnych zastrzeżeń, potem może pan iść do domu. Jutro rano chcielibyśmy ponownie spotkać się z panem.

Po raz pierwszy Chris odniósł wrażenie, że prokurator okręgowy zaczął mu wierzyć. Podniósł się z krzesła.

- Gdzie jest Joan?

- Ona także złożyła już zeznania. Może iść z panem... Aha, jeszcze jedno: Jakie wrażenie wywarł na panu doktor Highley?

- Nigdy go nie spotkałem.

- A czytał pan może ten artykuł? - zapytał Scott, podając mu najnowszy numer „Newsmakera”.

Chris spojrział na zdjęcie doktora Highleya.

- Przeglądałem go wczoraj w samolocie, kiedy leciałem do Nowego Jorku. - Nagle spłynęło na niego olśnienie. - To

on! - szepnął. - Nie mogłem sobie uzmysłwić, gdzie go
widziałem!

- O czym pan mówi?

- Wczoraj wieczorem, kiedy próbowałem skontaktować
się z doktorem Salemem, widziałem tego człowieka
wysiadającego z windy w Essex House.

Włączył światło. Jak przez mgłę ujrzała jego okrągłą twarz, wyłupiaste, wpatrzone w nią oczy, lśniąca od potu skórę i piaskowe włosy opadające w nieładzie na czoło. Zdołała jakoś dźwignąć się na nogi. Znajdowali się w małym pomieszczeniu przypominającym nieco poczekalnię. Było tu bardzo zimno. Cofnęła się i oparła plecami o grube stalowe drzwi.

Uśmiechnął się do niej.

- Bardzo ułatwiła mi pani zadanie, pani DeMaio. Wszyscy, którzy panią znają, wiedzą o pani lęku przed szpitalami. Kiedy za kilka minut pójdziemy z siostrą Renge na obchód, wyda nam się oczywiste, że opuściła pani szpital. Zadzwonimy do pani siostry, ale przecież jej jeszcze przez kilka godzin nie będzie w domu, nieprawdaż? W samym szpitalu zaczniemy pani szukać dużo później. Z całą pewnością nikt nie domyśli się, że mogła pani dotrzeć aż tutaj.

Dziś wieczorem na oddziale intensywnej terapii zmarł pewien stary człowiek. Leży teraz w jednej z tych chłodni. Zostanie pani odnaleziona dopiero jutro, kiedy przedsiębiorca pogrzebowy przyjedzie po jego ciało. Od razu będzie jasne, co się stało: miała pani obfity krwotok, w wyniku czego straciła pani orientację. Tragiczny zbieg okoliczności sprawił, że zawędrowała pani tu, do podziemi, i wykrwawiła się na śmierć.

- Nie...

Jego twarz stawała się coraz mniej wyraźna. Katie okropnie kręciło się w głowie. Chwiała się na nogach.

Wyciągnął rękę obok niej, otworzył stalowe drzwi, wepchnął ją do środka i przytrzymał, gdy straciwszy przytomność, osuwała się bezwładnie na podłogę. Następnie ukląkł obok niej i wstrzyknął ostatnią porcję heparyny. Prawdopodobnie już nie odzyska przytomności, a nawet

gdyby odzyskała, to i tak nie uda jej się stąd wydostać, bo od tej strony drzwi nie można było otworzyć. Przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu, po czym wstał i otarł zakurzone ręce o spodnie. Nareszcie uporał się z problemem, jaki stwarzała Katie DeMaio.

Starannie zamknął stalowe drzwi oddzielające komory chłodnicze od poczekalni szpitalnej kostnicy i wyłączył światło. Wyślizgnąwszy się ostrożnie na korytarz przebiegł nim szybko, po czym wyszedł na parking tymi samymi drzwiami, którymi przed kwadransem wszedł do budynku.

Kilka minut później pił letnią kawę, odprawivszy kelnerkę, która zaproponowała mu, że przyniesie nową, gorącą.

- Rozmowa zajęła mi trochę więcej czasu, niż się spodziewałem - wyjaśnił. - Muszę szybko wracać do szpitala. Jest tam pacjentka, o którą bardzo się niepokoję.

- Dobranoc, panie doktorze. Czuję się dużo lepiej. Bardzo panu dziękuję.

Na chłopięcej twarzy pojawił się uśmiech. - Bardzo się cieszę. Śpij dobrze, Tom.

Jiro Fukhito podniósł się powoli z miejsca. Wyglądało na to, że młody człowiek wyjdzie z tego. Od wielu tygodni był ogarnięty głęboką depresją i niewiele brakowało, by targnął się na swoje życie. Miał wypadek przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Jego młodszy brat zginął na miejscu. Rozpacz. Poczucie winy. A wszystko w znacznie większym nateżeniu, niż chłopak był w stanie wytrzymać.

Jiro Fukhito zdawał sobie sprawę, że pomógł mu przewyciężyć najgorsze. Idąc powoli korytarzem szpitala w Valley Pines, myślał o tym, że jego praca może przynosić dużo satysfakcji. W każdym razie ta praca, którą tu wykonywał bez żadnego wynagrodzenia. Zawsze chciał zajmować się czymś takim.

Och, naturalnie zrobił także wiele dla pacjentek ze szpitala Westlake. Ale były tam takie, którym nie pomógł, którym nie pozwolono mu pomóc.

- Dobranoc, panie doktorze.

W drodze do windy pozdrawiało go wielu pacjentów oddziału psychiatrycznego. Proponowano mu, by przyszedł tu na stałe. Miał zamiar przyjąć tę ofertę.

Czy powinien zapoczątkować śledztwo, które z całą pewnością zniszczy także i jego?

Jeśli Edgar Highley zacznie podejrzewać, że jego wspólnik rozmawiał z policją o jednej z jego pacjentek, na pewno nie zawaha się wyciągnąć na światło dzienne tej historii z Massachusetts.

Ale przecież Katie DeMaio już coś podejrzewa. Kiedy go przesłuchiwała, z łatwością wyczuła jego zdenerwowanie.

Siedział niezdecydowany za kierownicą. Vangie Lewis nie popełniła samobójstwa, a już na pewno nie za pomocą cyjanku potasu. Podczas jednej z sesji, kiedy rozmowa zeszła na tematy religijne, wspomniała o sekcje Jonesa.

Mógł ją sobie bez trudu przypomnieć. Siedziała w jego gabinecie i z pełną szczerością dzieliła się z nim swymi płytkimi przemyśleniami.

- Właściwie nie chodzę do kościoła, panie doktorze. To znaczy, wierzę w Boga, ale na swój własny sposób. Czasem o nim myślę. Nie uważa pan, że to dużo lepsze niż gonić z wywieszonym językiem na nabożeństwo, któremu i tak prawie nie poświęca się uwagi? A jeśli chodzi o te różne sekty, to uważam, że wszystkie są zupełnie zwariowane. Nie rozumiem jak ludzie mogą tracić na to czas. Pamięta pan tych biedaków, którzy popełnili samobójstwo tylko dlatego, że ktoś im kazał? Słyszał pan tę taśmę z ich krzykami po tym, jak wypili truciznę? Miałam potem straszne sny. I tak okropnie wyglądali.

Ból. Brzydota. Vangie Lewis? Nigdy!

Jiro Fukhito westchnął głęboko. Wiedział, co powinien zrobić. Znowu zapłaci swoją zawodową karierą za okropny błąd, który popełnił dziesięć lat temu.

Mimo to musi powiedzieć policji wszystko, co wie. Vangie pobiegła z jego gabinetu na parking, ale kiedy piętnaście minut później wychodził do domu, jej lincoln continental nadal tam stał.

Jiro Fukhito nie miał już żadnych wątpliwości, że Vangie poszła do gabinetu Edgara Highleya.

Wyjechał z przyszpitalnego parkingu i skierował się w stronę siedziby prokuratora okręgowego.

Scott trzymał w ręku mokasyna. Dokoła jego biurka siedzieli Richard, Charley i Phil. - Spróbujmy podsumować - powiedział. - Vangie Lewis nie umarła w domu. Przywieziono ją tam między północą a jedenastą rano. Ostatnim miejscem, w którym ją widziano, był gabinet doktora Fukhito. W poniedziałek wieczorem miała na nogach mokasyny. Gdzieś w szpitalu zgubiła jeden z nich, który potem znalazła Edna Burns. Ten, kto zawiózł ją do domu, założył jej inne pantofle, żeby ukryć brak mokasyna. Edna opowiadała wszystkim o swoim znalezisku, w związku z czym została zamordowana.

Doktor Salem chciał się skontaktować z Richardem, żeby porozmawiać o śmierci Vangie Lewis. Wkrótce po przylocie do Nowego Jorku wypadł lub został wypchnięty z okna hotelu, a cała dokumentacja medyczna Vangie zniknęła bez śladu.

- Chris Lewis przysięga, że widział Edgara Highleya w Essex House - przerwał mu Richard.

- Co może być prawdą, choć wcale nie musi - przypomniał mu Scott.

- Ale doktor Salem wiedział o skandalu w szpitalu Jezusa Chrystusa - nie ustępował Richard. - Highley na pewno nie chciałby, żeby ta sprawa wyszła na jaw akurat teraz, kiedy zaczął zdobywać ogólnonarodową sławę.

- To jeszcze nie jest powód do zabójstwa.

- A co z tą próbą usunięcia mokasyna z szuflady? - zapytał Charley.

- Tego też nie wiemy na pewno. Pani Fitzgerald twierdzi, że otworzył szufladę, ale niczego nie dotykał. - Scott zmarszczył brwi. - Nic się nie zgadza. Mamy do czynienia ze znakomitym lekarzem. Nie możemy rzucić się na niego bez żadnego przygotowania tylko dlatego, że dziesięć lat temu był zamieszany w skandal, który potem starannie zatuszowano.

Największy problem stanowi motyw. Highley nie miał żadnego motywu, by zabić Vangie Lewis.

Zabrzączał interkom. Scott nacisnął guzik.

- Przyszła pani Horan - poinformowała go Maureen.

- Dobra. Wprowadź ją i zapisz jej zeznanie.

Richard pochylił się do przodu w fotelu, oczekując w napięciu na kobietę, która wniosła oskarżenie przeciwko Edgarowi Highleyowi.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Maureen oraz młoda, najwyżej dwudziestokilkuletnia Japonka. Miała długie, rozpuszczone luźno włosy, a usta pomalowane absurdalnie jaskrawą szminką odcinały się wyraźnie od śniadej cery. Delikatna i pełna wdzięku, wyglądała atrakcyjnie nawet w tanim komplecie składającym się ze spodni i żakietu.

Scott wstał na jej widok.

- Jesteśmy pani bardzo wdzięczni, że zechciała pani przyjść. Postaramy się nie zatrzymywać pani zbyt długo. Zechce pani usiąść?

Skinęła głową. Była wyraźnie zdenerwowana, gdyż oblizwała wargi i położyła zaciśnięte dłonie na kolanach, by ukryć ich drżenie. Maureen dyskretnie zajęła miejsce przy drzwiach i otworzyła notes.

- Czy zechciałaby pani podać swoje imię, nazwisko i adres? - poprosił Scott.

- Nazywam się Anna Horan, mieszkam przy Walnut Street 415 w Ridgefield Park.

- Jest pani lub była pacjentką doktora Edgara Highleya? Maureen nabrała głośno powietrza w płuca. Richard spojrzał na

nią, ale dziewczyna szybko się opanowała i pochyliła głowę nad notatkami.

Rysy twarzy Anny Horan stwardniały.

- Tak, byłam pacjentką tego mordercy.

- Mordercy?

Słowa popłynęły jedno za drugim.

- Poszłam do niego pięć miesięcy temu. Byłam w ciąży. Mój mąż studiuje na drugim roku prawa. Utrzymujemy się tylko z mojej pensji. Zdecydowałam się na aborcję. Nie chciałam, ale wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia.

Scott westchnął ciężko.

- Doktor Highley przeprowadził zabieg na pani własne życzenie, a teraz pani obarcza go winą?

- Nie, to nieprawda. Kazał mi przyjść następnego dnia. Zrobiłam to. Zaprowadził mnie na salę zabiegową i wyszedł, a ja wtedy zrozumiałam, że bez względu na wszystko chcę zachować moje dziecko. Kiedy wrócił powiedziałam mu, że zmieniłam zdanie.

- A on prawdopodobnie odparł, że słyszy to od co drugiej kobiety.

- Nie. Powiedział tylko: „Kładź się” i pchnął mnie na stół.

- Czy był przy tym ktoś jeszcze? Może pielęgniarka?

- Tylko on i ja. Powiedziałam: „Wiem, co mówię...”, ale...

- Ale w końcu dała się pani przekonać?

- Nie. Na pewno nie. Nie wiem co się stało. Kiedy próbowałam zejść ze stołu, zrobił mi jakiś zastrzyk. Obudziłam się na kozetce, a jakaś pielęgniarka powiedziała mi, że już po wszystkim i że powinnam trochę odpocząć.

- Nie pamięta pani samego zabiegu?

- Nic nie pamiętam. Tylko to, że do ostatniej chwili próbowałam uciec. - Jej usta wykrzywił rozpaczliwy grymas. - Próbowałam ocalić moje dziecko, ale on mi je zabrał.

W pokoju rozległ się bolesny krzyk. Po twarzy Maureen płynęły łzy.

- Ze mną zrobił to samo! - wyszlochała.

Richard przyglądał się szlochającym kobietom: drobniutkiej Japonce i Maureen, z jej czerwonozłotymi

włosami i zielonymi, dużymi oczami, i nagle uświadomił sobie, gdzie całkiem niedawno widział te oczy.

Wysiadłszy z windy na pierwszym piętrze natychmiast wyczuł unoszące się w powietrzu napięcie. Korytarzem przemykały zaniepokojone pielęgniarki, a przed dyżurką stali mężczyzna i kobieta w wieczorowych strojach.

Wszedł szybko do dyżurki i zapytał z dezaprobatą w głosie:

- Siostrze Renge, czy coś się stało?

- Panie doktorze, pani DeMaio zniknęła!

Trzydziestokilkuletnia kobieta w eleganckiej sukni wydała mu się dziwnie znajoma. Naturalnie! To siostra Katie DeMaio. Dlaczego przyjechała do szpitala?

- Jestem doktor Highley - przedstawił się. - Co to wszystko znaczy? Molly prawie nie mogła mówić. Katie stało się coś złego. Była tego pewna. Nigdy nie będzie mogła sobie tego darować.

- Katie... - wykrztusiła, ale mąż nie pozwolił jej dokończyć.

- Nazywam się doktor Kennedy - powiedział. - Moja żona jest siostrą pani DeMaio. Kiedy widział ją pan po raz ostatni i w jakim znajdowała się stanie?

Tego człowieka nie można było łatwo oszukać.

- Panią DeMaio widziałem jakąś godzinę temu. Niestety, jej stan określiłbym jako nie najlepszy. Jak pan zapewne wie, w tym tygodniu miała przeprowadzone już dwie transfuzje. Laboratorium przeprowadza teraz badania jej krwi. Przypuszczam, że liczba krwinek okaże się bardzo niska. Siostra Renge może potwierdzić, że byłem zdecydowany nie czekać do rana, tylko przystąpić do zabiegu jeszcze dziś w nocy. Myślę, że pani DeMaio ukrywała przed wszystkimi prawdziwe rozmiary krwotoków.

- Mój Boże, w takim razie gdzie ona jest? - wykrzyknęła Molly. Spojrzał na nią. Ją będzie znacznie łatwiej przekonać.

- Pani siostra wykazywała niemal patologiczny lęk przed szpitalami. Może po prostu wyszła?

- W szafie wisi jej ubranie, panie doktorze - wtrąciła się siostra Renge.

- W szafie wisi jakieś ubranie - poprawił ją. - Rozpakowała pani jej torbę?

- Nie.

- A więc nie wie pani, czy nie przyniosła ze sobą innej odzieży?

- To całkiem możliwe... - mruknął Bill. - Kochanie, wiesz, że to możliwe - powiedział do żony.

- Powinniśmy tu być przez cały czas - odparła Molly. - Panie doktorze, czy to bardzo poważna sprawa?

- Musimy ją jak najszybciej znaleźć. Jak pani uważa, dokąd mogła pojechać, do siebie czy do państwa?

- Panie doktorze... - szepnęła siostra Renge drżącym głosem. - Po tym leku nasennym pani DeMaio powinna była od razu zasnąć. To najmocniejszy środek, jaki jej pan kiedykolwiek dawał.

- Dałem jej go, ponieważ zdawałem sobie sprawę z jej obaw - odparł gniewnie. - Miała pani dopilnować, żeby go wzięła. Zrobiła to pani?

- Widziałam jak wkładała pastylkę do ust.

- A widziała pani, jak ją połknęła?

- Nie... Właściwie nie.

Odwrócił się od niej z irytacją i powiedział do Molly i Billa zatroskanym tonem:

- Nie wydaje mi się, żeby pani DeMaio wędrowała teraz po szpitalu. Czy zgadzacie się państwo ze mną, że mogła wyjść z własnej woli? Nic prostszego jak wsiąść do windy, zjechać na parter i wyjść razem z odwiedzającymi, którzy przewijają się przez szpital przez cały wieczór. Nie uważacie państwo, że to bardzo prawdopodobne?

- Tak, tak! - potwierdziła Molly, modląc się w duchu, żeby okazało się to prawdą.

- W takim razie miejmy nadzieję, że już niedługo pani DeMaio odnajdzie się we własnym domu.

- Trzeba sprawdzić, czy jej samochód jest na parkingu - odezwał się Bill.

Samochód. Nie pomyślał o tym. Jeśli teraz zaczną jej szukać w szpitalu...

Bill zmarszczył brwi:

- Cholera, zupełnie zapomniałem, że teraz jeździ wozem, który wypożyczyli jej ze stacji obsługi. Nawet go nie widziałem. Nie wiesz, Molly, jaka to marka?

- Nie wiem... - odparła Molly.

Edgar Highley odetchnął z ulgą.

- Nawet gdyby państwo wiedzieli, jak wygląda ten samochód, to jego poszukiwania byłyby tylko stratą czasu. Proponuję, żebyście zadzwonili teraz do niej do domu. Jeśli jej tam nie ma, pojedźcie i zaczekajcie na nią. Zniknęła zaledwie przed godziną. Kiedy się z nią zobaczycie, spróbujcie ją przekonać, żeby wróciła do szpitala. Będzie pani mogła z nią tu zostać, pani Kennedy. Doktorze, jeśli uważa pan, że pani DeMaio będzie się dzięki temu czuła rażniej, może mi pan asystować przy zabiegu. Najważniejsze, żebyśmy jak najszybciej zlikwidowali przyczynę krwotoków. Pani DeMaio jest naprawdę poważnie chora.

Molly przygryzła wargę.

- Rozumiem. Ogromnie panu dziękuję, panie doktorze. Jest pan bardzo miły. Bill, pojedźmy do Katie. Może już tam jest, tylko nie podnosi słuchawki.

Odwrócili się, by odejść. Uwierzyli mu. Jeszcze co najmniej przez kilka godzin nie zaczną przeszukiwać szpitala, a tych kilka godzin było wszystkim, na czym mu zależało.

Spojrzał na pielęgniarkę. Na swój głupi, bezmyślny sposób nawet okazała się pomocna. Oczywiście Katie nie połknęła pastylki, on zaś miał wszelkie powody, by jej ją dać.

- Jestem pewien, że wkrótce odnajdziemy panią DeMaio - powiedział do siostry Renge. - Proszę mnie natychmiast zawiadomić, kiedy to się stanie. Będę w domu. - Uśmiechnął się. - Mam do zrobienia trochę notatek.

- Musimy przejąć dokumentację doktora Highleya, zanim zdąży ją zniszczyć. Czy pańskim zdaniem trzyma wszystko w gabinecie? Jiro Fukhito wpatrywał się z osłupieniem w Richarda. Zgłosił się do prokuratury gotów złożyć ważne zeznanie, ale oni wysłuchali go ze zniecierpliwieniem, a potem doktor Carroll zapoznał go ze swoją nieprawdopodobną teorią.

Czy to możliwe? Fukhito przypomniał sobie, jak często w jego własnym umyśle rodziły się różne podejrzenia, które jednak natychmiast niknęły w obliczu wiary w medyczny geniusz Highleya. Tak, to było możliwe.

Dokumentacja. Pytali go o dokumentację.

- Edgar Highley w żadnym wypadku nie trzymałby w szpitalu dowodów mogących świadczyć przeciwko niemu - powiedział powoli. - Oficjalna dokumentacja może być w każdej chwili zajęta przez sąd, na przykład w związku z oskarżeniem wniesionym przez pacjenta. Wiem, że często zabierał różne teczki do domu, choć nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego to robi.

- Natychmiast przygotuj nakazy rewizji - polecił Scott Charleyowi. - Zajmiemy się jednocześnie domem i gabinetem. Ja i Richard pojedziemy do domu, ty i Phil do szpitala. Zatrzymamy Highleya pod zarzutem składania fałszywych zeznań. Jeśli go nie będzie, weźmiemy dom pod obserwację i przyszpilimy go jak tylko się zjawi.

- Niepokoi mnie tylko to, że nawet teraz może przeprowadzać na kimś swoje eksperymenty - powiedział Richard. - Jestem pewien, że ekspertyza laboratoryjna wykaże, iż włosy znalezione przy ciałach Vangie i Edny należą do niego. - Spojrzał na zegarek. Zbliżała się dziewiąta trzydzieści. - Skończymy to jeszcze dzisiaj - zawyrokował.

Żałował, że nie ma z nimi Katie. Ucieszyłaby ją wiadomość, iż Chris Lewis właściwie przestał być już głównym podejrzanym. Jej przeczucie okazało się słuszne, podobnie jak jego, dotyczące Highleya.

- Czy jestem jeszcze potrzebny? - zapytał Fukhito wstając z miejsca.

- Na razie nie, panie doktorze - odparł Scott. - Skontaktujemy się z panem później. Gdyby przypadkiem doktor Higley zadzwonił do pana, zanim go aresztujemy, proszę mu o niczym nie mówić. Czy to jasne?

Jiro Fukhito uśmiechnął się ze smutkiem.

- Edgar Highley i ja nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie miałyby żadnego powodu, by dzwonić do mnie do domu. Wybrał właśnie mnie, bo wiedział, że ma mnie w garści. Nie pomylił się. Jeszcze dziś wieczorem przeanalizuję wydarzenia ostatnich lat i spróbuję ustalić, ile razy odsuwałem od siebie podejrzenia, które nasuwały mi się w związku z trudnymi do wyjaśnienia przypadkami. Szczerze mówiąc, boję się wyniku moich obliczeń.

Z tymi słowami wyszedł z gabinetu. Idąc korytarzem, dostrzegł na jednych z drzwi tabliczkę z napisem „K. DeMaio”. Katie DeMaio. Czy przypadkiem nie miała właśnie dzisiaj zgłosić się do szpitala? Cóż, i tak będzie musiała przełożyć zabieg na inny termin, skoro Edgar Highley ma zostać zatrzymany przez policję.

Jiro Fukhito pojechał do domu.

Płynęła przed siebie ciemnym korytarzem. Gdzieś daleko, na samym końcu, pojawiło się światło. Kiedy tam dotrze, wreszcie będzie jej ciepło. Ciepło i bezpiecznie. Coś ją jednak powstrzymywało. Musi jeszcze coś zrobić, zanim umrze. Musi ujawnić, kim naprawdę jest doktor Highley. Czuła, że z palca wciąż kapie jej krew. Leżała na podłodze. Było jej bardzo zimno. Przez te wszystkie lata dręczyły ją koszmary o tym, że umrze w szpitalu, ale w sumie nie było nawet najgorzej. Bała się samotności. Najpierw samotności bez ojca, potem samotności bez Johna. Bała się bólu. Zawsze jesteśmy sami. Rodzimy się i umieramy w samotności. W gruncie rzeczy nie ma się czego bać. Może udałoby się jej napisać na podłodze nazwisko doktora Highleya? To szalenie. Koniecznie trzeba go powstrzymać. Powoli, z wysiłkiem, Katie poruszyła ręką. W dół, w bok, znowu w dół. H...

Dotarł do domu kwadrans po dziewiątej. Wspaniała świadomość, że oto usunął ze swojej drogi ostatnie zagrożenie, napełniła go bezbrzeżną radością. Jadł niecałą godzinę temu, ale zdążył już o tym zapomnieć. Może Hilda zostawiła coś na przekąskę.

Rzeczywistość okazała się wspanialsza niż nadzieje. Fondue. Hilda robiła wspaniałe fondue. Było to chyba jej najwybitniejsze kulinarne osiągnięcie. Zapalił mały gaz pod naczyniem. W koszyku, przykryta serwetką, leżała chrupiąca francuska bułeczka. Przyrządzi sobie sałatkę; w lodówce powinna być słodka kapusta. Poleciał Hildzie, żeby kupiła całą główkę.

Czekając, aż fondue podgrzeje się do odpowiedniej temperatury, uzupełni teczkę Katie DeMaio. Zależało mu, żeby jak najprędzej z tym skończyć. Chciał skoncentrować się wyłącznie na dwóch pacjentkach oczekujących na jutrzejszy zabieg: dawczyni i biorczyni. Był pewien, że uda mu się powtórzyć ostatni sukces.

Ale czy to wystarczy? Czy nie byłoby znacznie bardziej interesujące, gdyby biorczyni otrzymała nie jeden, a dwa zarodki, pochodzące od dwóch różnych dawczyń?

Udoskonalona przez niego teoria odpornościowo - reakcyjna z pewnością ległaby w gruzach. Jak wiele czasu by to zabrało? Jakie problemy mogłyby się pojawić?

Poszedł do biblioteki, wysunął szufladę biurka i wyjął spod fałszywego dna teczkę Katie DeMaio, po czym dokonał ostatniego wpisu:

Pacjentka zjawiała się w szpitalu około szóstej po południu. Ciśnienie wynosiło 100/60, zawartość hemoglobiny nie więcej niż 10g/dl. O siódmej lekarz podał jej dwie tabletki kumadyny, o wpół do dziewiątej zaś wstrzyknął dożylnie 5 ml

heparyny. Pani DeMaio obudziła się na chwilę i półprzytomna zapytała: „Dlaczego zabił pan Vangie Lewis?”

Lekarz wyszedł po dodatkową porcję heparyny. Z oczywistych powodów nie mógł pozwolić, by pani DeMaio powtórzyła to pytanie przy świadkach. Kiedy wrócił do pokoju, łóżko było puste. Prawdopodobnie pacjentka uświadomiła sobie, co się dzieje, i spróbowała podjąć ucieczkę. Lekarz odnalazł ją i podał dożylnie dodatkowe 5 ml heparyny. W ciągu nocy pacjentka wykrwawi się na śmierć.

Dokumentacja jest już pełna.

Odłożył pióro, wstał, przeciągnął się, podszedł do ściennego sejfu i otworzył go. Skąpane w blasku kryształowego żyrandola płowóżółte teczki nabrały niemal złotego odcienia.

One naprawdę były złote. Stanowiły niezaprzeczalny dowód jego geniuszu. Wyjął je wszystkie i ułożył na biurku, a następnie, niczym król Midas rozkoszujący się swymi skarbami, przesunął dłonią po nazwiskach. Jego wielkie sukcesy, Berkeley i Lewis. Zatrzymał się na chwilę przy tych, które były porażkami: Appleton, Carey, Drake, Elliot.. . Wiele się dzięki nim nauczyło. Wszystkie przyczyniły się do jego triumfu, nawet te, które umarły lub pozbyły się swoich nie narodzonych dzieci. Stanowiły teraz część historii.

Lewis. Konieczne było uzupełnienie. Do teczki Vangie dodał relację ze spotkania z doktorem Salemem.

Fondue powinno już być gotowe. Obrzucił teczki niezdecydowanym spojrzeniem. Schować je do sejfu, czy może sprawić sobie przyjemność czytając zawartość niektórych z nich? Chyba jednak poczyta. Ten tydzień dał mu się solidnie we znaki. Potrzebował odprężenia, by z nowymi siłami przystąpić do opracowywania składu nowego leku, który zastosuje w kolejnym przypadku.

Gdzieś z daleka dobiegł zawodzący jęk policyjnej syreny niesiony przez przeszywający do szpiku kości wiatr. Przybierał coraz bardziej na sile, by w pewnej chwili raptownie umilknąć. Highley podbiegł do okna, odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Radiowóz zatrzymał się przed jego domem!

Czyżby odnaleziono Katie? Powiedziała im coś? Błyskawicznie wrócił do biurka, zgarnął teczkę, wrzucił je do sejfu, zamknął go i zasłonił drzwiczki.

Spokój. Potrzebny mu spokój. Ciało lepiło się od potu, usta i kolana miał jak z gumy. Musi nad sobą zapanować. Przecież zawsze może skorzystać z ostatniej deski ratunku.

Jeśli Katie coś powiedziała, to było już po wszystkim.

Ale przecież policja mogła tu przyjechać z jakiegoś innego powodu. Istniała jeszcze szansa, żeby ich przechytrzyć. Być może Katie umarła i znaleziono tylko jej ciało. Przypomnij sobie pytania i oskarżenia, jakim musiałeś stawić czoło po śmierci Claire - pomyślał. - Do niczego nie doprowadziły. Nie istniał żaden dowód.

W głowie eksplodowały mu jednocześnie wszystkie ewentualności i konsekwencje, jakie mogły za sobą pociągnąć. Tak samo działo się podczas porodu, kiedy nagle pojawiały się komplikacje i trzeba było podjąć nieodwracalną decyzję.

A potem to nadeszło: lodowaty spokój, poczucie siły, boska wszechwiedza, która nigdy nie zawiodła go podczas żadnego zabiegu. Czuł, jak umysł i ciało poddają się wspaniałemu wrażeniu.

Rozległo się ostre, głośne pukanie do drzwi. Bez pośpiechu przygładził włosy. Jego palce, suche i ciepłe, poprawiły węzeł krawata, po czym podszedł do frontowych drzwi i otworzył je.

Siedząc w radiowozie pędzącym w kierunku domu Edgara Highleya, Scott metodycznie analizował to wszystko, co w ciągu minionych godzin usłyszał od Chrisa Lewisa, Gertrudy Fitzgerald, Gany Krupshak, Jiro Fukhito, Anny Horan i Maureen Crowley.

Ich oświadczenia całkiem jednoznacznie kierowały ostrze podejrzeń w stronę doktora Edgara Highleya, czyniąc go potencjalnym oszustem, hochsztaplerem i mordercą.

Nie dalej niż trzy godziny temu te same poszlaki świadczyły przeciwko Chrisowi Lewisowi.

Scottowi przyszły na myśl bierki, gra, w którą często grywał jako dziecko. Chodziło w niej o to, by po kolei usuwać patyczki z rozsypanego na stole stosiku, tak jednak, żeby poruszając jeden, nie dotknąć pozostałych. Najłżejsze potrącenie oznaczało przegraną. Scott był w tym bardzo dobry, ale problem polegał na tym, że mimo największych starań i tak niemal za każdym razem następowało jakieś poruszenie.

Podobnie miała się sprawa z poszlakami. Ułożone w stos sprawiały imponujące wrażenie, ale kiedy brało się je pojedynczo, natychmiast traciły na znaczeniu.

Richard siedział obok niego z tyłu samochodu. Upór, z jakim badał działalność Highleya, sprawił, że teraz pędzili przez Parkwood z wyjąca syreną. Richard dolał jeszcze oliwy do ognia, twierdząc, że jeśli Highley zorientuje się, iż podejrzewania skierowały się przeciwko niemu, może zniszczyć wszystkie obciążające go dowody.

Edgar Highley był znakomitym lekarzem i wybitnym położnikiem. Wiele wpływowych osób żywiło dla niego ogromną wdzięczność za to, że dopomógł przyjść na świat ich dzieciom. Gdyby śledztwo zamieniło się w polowanie na

czarownice, prokuratura okręgowa stałaby się obiektem zacieklej ataków ze strony prasy i opinii publicznej.

- Śmierdzi jak cholera.

Scott nawet nie wiedział, że powiedział to na głos. Pograżony głęboko w myślach Richard spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co śmierdzi?

- Ta cała historia, a najbardziej przypuszczenie, że Highley stanowi połączenie geniusza i mordercy. Jakie mamy na to dowody? Gertrude Fitzgerald myśli, że Highley otwierał szufladę po to, żeby wyjąć z niej mokasy. Chrisowi Lewisowi wydaje się, że widział Highleya w Essex House. Ty z kolei podejrzewasz, że dokonywał medycznych oszustw. Nawet gdyby doszło do sformułowania aktu oskarżenia, w co mocno wątpię, to dobry prawnik wyciągnie go z tego jeszcze przed rozprawą. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy nie zawrócić.

Richard chwycił Scotta za ramię.

- Na litość boską, nie rób tego! Musimy zdobyć jego dokumentację.

Scott uwolnił ramię z uchwytu i zgarbił się w kącie radiowozu.

- Pomyśl tylko o kobietach, które umarły w szpitalu Westlake - przekonywał go Richard. - Już choćby z tego powodu warto zainteresować się tą sprawą.

Samochód wziął ostry zakręt. Znajdowali się już w eleganckiej zachodniej części Parkwood.

- Dobra! - prychnął Scott. - Nie chcę być złym prorokiem, ale wydaje mi się, że jutro o tej porze obaj będziemy gorzko żałować naszej wycieczki.

- Wątpię - odparł krótko Richard. Oddałby w tej chwili wszystko, żeby tylko przestać odczuwać niepokój, który

usadowił się gdzieś głęboko w jego wnętrznościach. Niepokój nie mający nic wspólnego z tą sytuacją.

Chodziło o Katie. Okropnie się o nią bał. Dlaczego? Radiowóz zatrzymał się na podjeździe.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Scott z kwaśną miną.

Dwaj funkcjonariusze siedzący na przednich fotelach wyskoczyli z samochodu. Kiedy Richard otwierał drzwi, odniósł wrażenie, że w jednym z okien poruszyła się zasłona.

Scott dotknął maski czarnego samochodu z nalepką LEKARZ na szybie.

- Jeszcze ciepły. Chyba niedawno przyjechał.

Młodszy policjant, który prowadził radiowóz, zastukał mocno do drzwi. Czekali na odpowiedź. Scott przytupywał niecierpliwie, starając się rozgrzać zziębnięte stopy.

- Może skorzystacie z dzwonka? - zaproponował zgryźliwie. - Zdaje się, że właśnie po to jest.

- Widział nas - odparł Richard. - Wie, że tu jesteśmy. Policjant uniósł już rękę, by zapukać po raz drugi, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich Edgar Highley.

- Doktor Highley? - zapytał Scott.

- Tak. Czym mogę służyć? - Głos był zimny i lekko zdziwiony.

- Panie doktorze, jestem Scott Myerson, prokurator okręgowy. Mamy nakaz przeszukania tego domu, a dodatkowo muszę pana poinformować, że jest pan podejrzany w związku z nie wyjaśnionymi zgonami Vangie Lewis, Edny Burns i doktora Emmeta Salema. Ma pan prawo skontaktować się z adwokatem, może pan też nie odpowiadać na żadne pytania. Wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu.

Podejrzany. A więc nie są pewni. Nie znaleźli Katie. Dysponują wyłącznie poszlakami. Cofnął się i otworzył szerzej drzwi, wpuszczając ich do środka.

- Nie rozumiem powodów tego wtargnięcia, ale nie mam także zamiaru stawiać oporu - powiedział głosem, w którym było wyraźnie słycać tłumioną z trudem wściekłość. - Proszę, zechcą panowie wejść. Odpowiem na wszystkie pytania. Możecie także przeszukać mój dom. Ostrzegam jednak, że po skontaktowaniu się z moim prawnikiem wystąpię zarówno przeciwko prokuraturze okręgu Valley, jak i każdemu z panów z osobna.

Opuszczając szpital Jezusa Chrystusa w Devon, zagroził, że poda ich do sądu, jeśli na zewnątrz przedostanie się choćby jedno słowo na temat skandalu, którego był głównym uczestnikiem. Groźba chyba podziałała, gdyż przeglądając swoje akta personalne w klinice królowej Mary w Liverpoolu nie znalazł żadnej wzmianki na ten temat.

Celowo zaprowadził ich do biblioteki. Wiedział, że siedząc za masywnym elżbietańskim biurkiem sprawia imponujące wrażenie. Najważniejsze, by zbić ich z tropu i odwieść od zamiaru zadawania zbyt dociekliwych pytań.

Gestem, który łatwo można było uznać za pogardliwy, wskazał skórzaną kanapę i fotele. Z zaproszenia skorzystali jedynie prokurator i doktor Carroll. Scott wręczył mu informację o przysługujących mu prawach, a on z kwaśną miną złożył podpis u dołu strony.

- Chcielibyśmy zacząć rewizję - powiedział uprzejmie starszy policjant. - Gdzie trzyma pan dokumentację swoich pacjentów?

- W gabinecie, rzecz jasna! - prychnął. - Ale proszę się nie krępować. W szufladzie biurka trzymam osobiste notatki.

Wstał, podszedł do barku i nalał do kryształowej szklanki nieco chivas regal, dodając lodu i odrobinę wody. Nie zaproponował drinka żadnemu z pozostałych. Gdyby zjawili się minutę wcześniej, w szufladzie biurka leżałaby także teczka Katie. Policjanci wyglądali na ludzi znających swój

fach; mogli trafić na skrytkę w podwójnym dnie szuflady, ale nigdy nie uda im się znaleźć sejfu - chyba że rozebraliby dom cegła po cegle.

Usiadł koło kominka w obitym prążkowanym welwetem fotelu, pociągnął łyk szkockiej i zmierzył intruzów lodowatym spojrzeniem. Dopiero teraz zauważył, że Hilda rozpałała ogień w kominku. Później zje tutaj fondue i napije się wina.

Rozpoczęło się przesłuchanie. Kiedy po raz ostatni widział Vangie Lewis?

- Jak już powiedziałem pani DeMaio...

- Czy jest pan pewien, że w poniedziałek po wizycie u doktora Fukhito pani Lewis nie przyszła do pańskiego gabinetu?

- Jak już powiedziałem pani DeMaio...

Nie mieli żadnych dowodów. Absolutnie żadnych.

- Gdzie pan był w poniedziałek wieczorem?

- W domu. Dokładnie tu, gdzie mnie teraz widzicie. Wróciłem do domu zaraz po godzinach przyjęć.

- Odbierał pan jakieś telefony?

- Wydaje mi się, że nie.

Sprawdził w biurze zleceń, że nikt wtedy do niego nie dzwonił.

- Czy we wtorek wieczorem pojechał pan do mieszkania Edny Burns?

Pogardliwy uśmiech.

- Skądże znowu.

- Będziemy chcieli pobrać od pana próbki włosów.

Próbki włosów. Czyżby przy Ednie lub w jej mieszkaniu znaleziono jakieś włosy? A co z Vangie? Ale przecież był u Edny w środę, razem z policją, Vangie natomiast zawsze przychodziła do szpitala w tym samym płaszczu. Nawet jeśli przy martwych kobietach natrafiono na jego włosy, z łatwością będzie można to wyjaśnić.

- Czy wczoraj po godzinie piątej wieczorem był pan w hotelu Essex House w Nowym Jorku?

- Nie.

- Mamy świadka, który jest gotów zeznać pod przysięgą, że widział tam pana około piątej trzydzieści.

Kto go widział? Wychodząc z windy rozejrzał się po głównym holu. Miał całkowitą pewność, że nie było tam nikogo znajomego. Może próbują go nastraszyć? Tak czy inaczej, zeznania świadków dają się łatwo podważyć.

- Powtarzam, że wczoraj wieczorem nie byłem w Essex House, tylko w Carlyle. Często jeżdżę tam na kolację. Wczoraj nawet skradziono mi tam moją lekarską torbę.

Z własnej woli udzielił im dodatkowej informacji, co mogło sprawiać wrażenie, że stara się współpracować z policją. Niepotrzebnie wymienił wcześniej nazwisko Katie DeMaio. Może powinien im powiedzieć, że zniknęła ze szpitala? Najwyraźniej nie wiedzieli, że była jego pacjentką. Jej siostra jeszcze się z nimi nie skontaktowała. Nie, lepiej nic nie mówić. Kiedy sprawa wyjdzie później na jaw, będzie mógł tłumaczyć się pragnieniem zachowania tajemnicy lekarskiej. „Powiedziałbym wam o tym, ale nie ulegało dla mnie wątpliwości, że pani DeMaio opuściła szpital w stanie znacznego załamania nerwowego. Sądziłem, że nie życzyłaby sobie, aby ktokolwiek się o tym dowiedział”.

Chyba jednak niepotrzebnie wspomniał o kradzieży.

- Co znajdowało się w torbie? - zapytał od niechcienia prokurator.

- Zestaw pierwszej pomocy i trochę leków. Przypuszczam, że złodziej doznał sporego zawodu.

Powiedzieć o dokumentacji? Lepiej nie. Prokurator prawie go nie słuchał.

- Przynieś to z samochodu - polecił młodszemu funkcjonariuszowi.

Co ma przynieść z samochodu? Highley zacisnął palce na poręczy fotela. Czy to jakiś podstęp?

Czekali w milczeniu. Po chwili policjant wrócił z niewielkim pakunkiem zawiniętym w szary papier i wręczył go Scottowi, który rozwinął papier, odsłaniając zniszczony mokasyn.

- Czy poznaje pan ten mokasyn, doktorze?

Zwilżył językiem wargi. Ostrożnie. Tylko ostrożnie. Który to mokasyn? Od tego wszystko zależało. Pochylił się i przyjrzał mu dokładnie. Lewy, ten z mieszkania Edny. Nie znaleźli jego torby.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym go poznać?

- Pańska pacjentka Vangie Lewis nosiła go bez przerwy od kilku miesięcy. Bywała u pana kilka razy w tygodniu. Nie zwrócił pan na to uwagi?

- Pani Lewis nosiła dość sfatygowane obuwie. Nie przyglądałem się aż tak dokładnie, żeby potem od razu rozpoznać jeden z jej pantofli.

- Słyszał pan kiedyś o doktorze Emmecie Salemie? Zacisnął usta.

- Chyba tak. Nazwisko wydaje mi się znajome. Musiałbym sprawdzić w notatkach.

- Czy nie pracował przez jakiś czas w szpitalu Jezusa Chrystusa w Devon?

- Naturalnie. Przyjechał tam w ramach wymiany naukowej. Rzeczywiście, teraz go sobie przypominam.

Jak dużo wiedzą o szpitalu w Devon?

- Czy wczoraj wieczorem odwiedził pan doktora Salema w hotelu Essex House?

- Wydaje mi się, że już odpowiedziałem na to pytanie.

- Czy zdawał pan sobie sprawę, że dziecko Vangie Lewis ma cechy rasy orientальной?

A więc o to chodziło.

- Pani Lewis była przerażona perspektywą porodu - odparł gładko. - Teraz rozumiem dlaczego. Wiedziała, że nie zdoła przekonać męża, że to on jest ojcem dziecka.

Następne pytania dotyczyły Anny Horan i Maureen Crowley. Byli blisko, zbyt blisko. Jak psy, które ujadając, coraz bardziej osaczają zwierzynę.

- Wiele młodych kobiet najpierw żąda przeprowadzenia aborcji, a potem obarcza winą lekarza. Obie panie stanowią typowy przykład takiego zachowania. Nie są to wcale rzadko spotykane przypadki. Możecie zapytać moich kolegów.

Richard przysłuchiwał się pytaniom i odpowiedziom. Scott ma rację - pomyślał ponuro. Razem wszystkie elementy łączyły się w spójną całość; osobno każdy z nich można było łatwo zakwestionować. Jeżeli nie uda im się udowodnić, że zgony pacjentek nie miały nic wspólnego z przyczynami naturalnymi, to nigdy nie zdołają zmontować sensownego oskarżenia przeciwko doktorowi Highleyowi.

Highley był niesamowicie spokojny i pewny siebie. Richard spróbował sobie wyobrazić jak jego ojciec, neurolog, zareagowałby na dochodzenie w sprawie śmierci któregoś ze swoich pacjentów. A Bill Kennedy? Jaka byłaby reakcja jego, Richarda, i to zarówno jako lekarza, jak i jako człowieka? Na pewno nie taka jak tego osobnika, który potrafił zdobyć się tylko na sarkazm i nie ukrywaną pogardę.

Dla Richarda nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest to tylko gra. Edgar Highley odgrywał przedstawienie. Ale jak to udowodnić? Z przerażającym uczuciem bezsilności zdał sobie sprawę, że w szpitalnej dokumentacji nie znajdą nic obciążającego. Highley był na to za sprytny.

Scott pytał teraz o dziecko Berkeleyów.

- Doktorze, z pewnością wie pan o tym, że pani Elizabeth Berkeley urodziła zielonookie dziecko. Czy w sytuacji, kiedy zarówno oboje rodzice, jak i wszyscy dziadkowie mają

niebieskie oczy, z medycznego punktu widzenia nie jest to co najmniej niezwykle?

- Oczywiście, ale wynika z tego prosty wniosek, że pan Berkeley nie jest ojcem tego dziecka.

Ani Scott, ani Richard nie spodziewali się tego stwierdzenia.

- Co naturalnie nie oznacza, że wiem, kto nim jest - dodał pośpiesznie Highley. - Jednak nie wydaje mi się, aby do obowiązków położnika należało wnikanie w takie sprawy. Jeśli pacjentka twierdzi, że ojcem dziecka jest jej mąż, przyjmuję to bez żadnych komentarzy.

Wielka szkoda - pomyślał. Wyglądało na to, że będzie musiał jeszcze trochę poczekać na należną sławę. W tej sytuacji nie wolno mu ujawnić prawdy o dziecku Berkeleyów. Na szczęście już niedługo odniesie kolejne sukcesy.

Scott spojrział na Richarda, westchnął i podniósł się z fotela.

- Doktorze Highley, kiedy jutro rano przyjedzie pan do pracy, przekona się pan, że zajęliśmy całą dokumentację szpitalną dotyczącą pańskich pacjentek. Jesteśmy głęboko zaniepokojeni ilością zgonów ciężarnych kobiet w szpitalu Westlake i prowadzimy w tej sprawie intensywne śledztwo.

Znowu znalazł się na bezpiecznym gruncie.

- Nie mam nic przeciwko temu. Zapewniam pana, że biorąc pod uwagę, jak skomplikowanymi przypadkami zajmujemy się w naszym szpitalu, śmiertelność wśród pacjentek jest wyjątkowo niska.

W domu czuć było zapach fondue. Miał na nie wielką ochotę. Był potwornie głodny. Jeśli go nie zamiesza, fondue na pewno się przypali. Jeszcze tylko kilka minut.

Zadzwoił telefon.

- Odbierze biuro zleceń - powiedział, ale już w następnej chwili uświadomił sobie, że popełniłby duży błąd.

Prawdopodobnie dzwoniło ze szpitala z informacją, że Katie DeMaio jeszcze się nie odnalazła i że jej siostra szaleje z niepokoju. W ten sposób prokurator i doktor Carroll dowiedzą się o jej zniknięciu. Podniósł słuchawkę.

- Doktor Highley.

- Panie doktorze, mówi kapitan Weingarden z Siedemnastego Komisariatu w Nowym Jorku. Niedawno aresztowaliśmy człowieka, którego wygląd odpowiada rysopisowi złodzieja, który wczoraj wieczorem skradł torbę z pańskiego samochodu.

Torba.

- Czy została odnaleziona?

Chyba jego głos zabrzmiał nienaturalnie, bo prokurator i doktor Carroll spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Prokurator podszedł do biurka i nie kryjąc się przyłożył do ucha drugą słuchawkę.

- Tak, odzyskaliśmy ją, panie doktorze. Właśnie o to chodzi. Niektóre z przedmiotów, jakie w niej znaleźliśmy, mogą stanowić dowody w znacznie poważniejszych sprawach niż zwykła kradzież. Czy mógłby pan opisać zawartość torby?

- Trochę lekarstw i zestaw pierwszej pomocy.

- A dokumentacja pacjentki niejakiego doktora Emmeta Salema, zakrwawiony przycisk do papieru i stary pantofel?

Czuł na sobie ostre, podejrzliwe spojrzenie prokuratora. Zacisnął na chwilę powieki, a kiedy ponownie się odezwał, jego głos był zupełnie spokojny.

- Czy pan żartuje?

- Przypuszczałem, że tak pan zareaguje. Współpracujemy z prokuraturą okręgu Valley w sprawie wczorajszego fatalnego wypadku doktora Emmeta Salema. Zaraz zadzwonię do prokuratora. Wygląda na to, że gagatek, którego złapaliśmy, zabił go, próbując dokonać kradzieży. Bardzo panu dziękuję, panie doktorze.

- Proszę nie odkładać słuchawki! - odezwał się pośpiesznie Scott Myerson.

Highley powoli cofnął słuchawkę znad widełek i położył ją na biurku. To koniec. Jeśli znaleźli torbę, to już koniec. Nie miał żadnych szans, żeby wyjść z tego cało.

Przycisk wymazany krwią Emmeta Salema. Historia choroby Vangie Lewis zawierająca informacje, które wprowadził do swoich tajnych notatek. Pantofel, ten nędzny, rozdeptany pantofel.

Noś tylko te buty, które są dobre na twoją stopę.

Opuścił wzrok na swoje stopy, w zamyśleniu przyglądając się matowej powierzchni eleganckich angielskich pantofli.

Teraz będą szukać tak długo, aż znajdą jego ukryte teczki.

Noś tylko te buty, które są dobre na twoją stopę.

Mokasyny nigdy nie były naprawdę dobre na stopy Vangie Lewis. Cała ironia sytuacji polegała na tym, że okazały się w sam raz na niego. Powiązały go ze śmiercią Vangie Lewis, Edny Burns i Emmeta Salema tak pewnie i jednoznacznie, jakby chodził w nich przez całe życie.

Zaczął w nim wzbierać histeryczny śmiech, grożąc przebicciem się przez warstwę niewzruszonego spokoju. Prokurator skończył rozmowę z Nowym Jorkiem.

- Doktorze Highley - powiedział Scott Myerson oficjalnym tonem - jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania doktora Emmeta Salema.

Jeden z policjantów, który usiadł przy biurku, zerwał się z miejsca. Highley dopiero teraz zauważył, że mężczyzna stenografował całe przesłuchanie, teraz zaś schował notes, a wyjął z kieszeni kajdanki.

Kajdanki. Więzienie. Proces. Motłoch wydający wyrok na niego, który rozwikłał tajemnice aktu narodzin.

Wziął się w garść i natychmiast poczuł przypływ siły. Przeprowadził operację, która, mimo całego jego mistrzostwa,

zakończyła się niepowodzeniem. Pacjent znalazł się w stanie śmierci klinicznej. Pozostało tylko wyłączyć aparaturę podtrzymującą procesy życiowe.

Doktor Carroll przyglądał mu się uważnie. Młody lekarz sądowy odnosił się do niego wrogo od ich pierwszego spotkania w środę wieczorem. Z pewnością przez cały czas coś podejrzewał, ale teraz on, Edgar Highley zemści się na nim, a tą zemstą będzie śmierć Katie DeMaio.

Policjant ruszył w jego stronę. Kajdanki błysnęły w świetle ognia płonącego w kominku. Highley uśmiechnął się uprzejmie do funkcjonariusza.

- Właśnie przypomniałem sobie, że jednak mam pewne dokumenty, które mogą panów zainteresować.

Podszedł do ściany i zwolnił ukrytą sprężynę. Fragment regału odsunął się na bok, odsłaniając sejf. Edgar Highley otworzył pancerne drzwiczki.

Mógłby chwycić teczki, podbiec do kominka i wrzucić je w płomień. Zanim zdążyliby go powstrzymać, pozbyłby się najbardziej obciążających dowodów.

Nie. Niech poznają jego geniusz i niech go oplakują.

Przeniósł teczki z sejfu na biurko. Wszyscy wpatrywali się w niego z napięciem. Carroll jak zahipnotyzowany podszedł do biurka, prokurator stał bez ruchu z ręką na słuchawce, policjant z kajdankami znieruchomiał na środku pokoju, a drugi właśnie wszedł do biblioteki. Prawdopodobnie myszkował po domu, zaglądając we wszystkie kąty. Psy osaczające zwierzyne.

- Jest jeszcze jedna sprawa, która z pewnością wzbudzi wasze zainteresowanie.

Wziął ze stolika swoją szklanę, pociągnął z niej od niechcienia i jeszcze raz podszedł do sejfu. Fiolka stała w głębi, przy bocznej ścianie. Umieścił ją tam w poniedziałek wieczorem, na wypadek, gdyby miała mu się przydać w

przyszłości. Ta przyszłość właśnie nadeszła. Nigdy nie przypuszczał, że to się skończy w taki sposób, ale przynajmniej w dalszym ciągu miał władzę nad życiem i śmiercią. Ostateczna decyzja należała wyłącznie do niego. Do pokoju dotarła woń spalenizny; z żalem uzmysłowił sobie, że to jego fondue.

Poruszał się szybko i pewnie. Otworzył fiolkę, a następnie wsypał kryształ cyjanku do szklanki. Kiedy uniósł ją w szyderczym geście, na twarzy Richarda pojawiło się zrozumienie.

- Nie! - krzyknął Richard i rzucił się w kierunku Highleya, który w tej samej chwili podniósł szklankę do ust i opróżnił ją jednym haustem. Richard wytrącił mu ją z ręki, ale było już za późno. Edgar Highley osunął się na podłogę, a czterej mężczyźni przyglądali się bezsilnie, jak jego ciałem wstrząsają konwulsyjne drgawki. Po minucie było po wszystkim.

- O, Boże... - jęknął młodszy policjant i wybiegł z pokoju przyciskając rękę do ust.

- Dlaczego on to zrobił? - zapytał drugi. - Przecież to paskudna śmierć.

Richard pochylił się nad ciałem. Na twarzy Highleya zastygł okropny grymas, z ust wyciekła strużka spienionej śliny, a lekko wyłupiaste szare oczy wpatrywały się nieruchomo w nicość. Mógł uczynić tyle dobra - pomyślał Richard. - Niestety, okazał się egocentrycznym geniuszem, który wykorzystał otrzymany od Boga talent na eksperymenty z życiem i śmiercią.

- Kiedy zacząłem rozmawiać z Nowym Jorkiem, zrozumiał, że tym razem nie uda mu się wymigać, nawet gdyby znowu kogoś zabił - powiedział Scott. - Miałeś rację, Richardzie.

Richard wyprostował się, podszedł do biurka i przyjrzał się nazwiskom widniejącym na teczkach. BERKELEY, LEWIS.

- Tego właśnie szukaliśmy.

Otworzył teczkę z nazwiskiem Berkeley. Tekst zaczynał się od następujących słów:

Dzisiaj zgłosiła się do mnie Elizabeth Berkeley, lat 39. Nigdy nie uda jej się zająć w ciążę. Postanowiłem, że będzie moją kolejną nadzwyczajną pacjentką.

- Tutaj wszystko jest - powiedział cicho.

Scott stał nad ciałem.

- I pomyśleć, że ten czubek był lekarzem Katie... - mruknął.

Richard odwrócił się raptownie w jego stronę.

- Co powiedziałaś? - zapytał ostro. - Highley leczył Katie?

- W środę była u niego na wizycie.

- Co takiego?

- Wspomniała mi o tym, kiedy... - Przerwał mu dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę. - Tak - powiedział. - Niestety, doktor Highley jest nieosiągalny. Mogę wiedzieć kto mówi? - Wyraz jego twarzy zmienił się raptownie. - Molly? - Richard wpatrywał się w niego z napięciem. - Nie, doktor Highley nie może podejść. Co się stało? - Słuchał przez chwilę, po czym zakrył mikrofon dłonią. - Jezus, Maria! - szepnął. - Dziś wieczorem Highley położył Katie do szpitala, a teraz ona zniknęła!

Richard wyrwał mu słuchawkę.

- Molly, co się dzieje? Dlaczego Katie poszła do szpitala? Co to znaczy, że zniknęła? - Po chwili: - Daj spokój, przecież dobrze wiesz, że nie uciekłyby do domu! Zaczekaj.

Odłożył słuchawkę na biurko i zaczął w pośpiechu wertować teczkę wydobyte z ukrytego w ścianie sejfu. Niemal

natychmiast znalazł tę, którą bał się ujrzeć: DEMAIO, KATHLEEN. Otworzył ją z pobladłą twarzą przeczytał błyskawicznie całą zawartość, po czym znowu chwycił słuchawkę.

- Molly, daj mi Billa! - zażądał. - Bill, Katie jest teraz w szpitalu Westlake. Ma krwotok. Zadzwoń do laboratorium, żeby przygotowali butelkę 0 Rh minus i niech przyszykują wszystko do transfuzji. Sala operacyjną ma być przygotowana do zabiegu. Spotkamy się na miejscu.

Przerwał połączenie.

To niesamowite - pomyślał. Wiesz, że właściwie jest już za późno, a mimo to nadal możesz normalnie funkcjonować.

- Zawiadomcie szpital - powiedział do policjanta stojącego przy biurku. - Niech wasi ludzie zostawią w spokoju gabinet Highleya i zaczną szukać Katie. Nie wolno im pominąć żadnej szafy ani żadnego pomieszczenia. Mają zagonić do pomocy cały personel. Liczy się każda sekunda.

Młodszy funkcjonariusz, który tymczasem wrócił z łazienki, nie czekając na polecenie, wystartował w kierunku drzwi.

- Jedziemy, Richardzie! - syknął Scott. Richard chwycił teczkę Katie.

- Musimy wiedzieć, co ten drań jej zrobił.

Zerknął na ciało Highleya. Zabrakło ułamka sekundy, by zapobiec jego śmierci. Czy z Katie będzie tak samo?

Siedział skulony obok Scotta w pędzącym przez noc radiowozie. Ponad godzinę temu Highley wstrzyknął jej heparynę. To szybko działający środek.

Katie, dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego uważałaś, że musisz być zupełnie sama? Nikt nie może być zupełnie sam, Katie. Byłoby nam ze sobą bardzo dobrze. Moglibyśmy osiągnąć to, co udało się Molly i Billowi. Wciąż mamy szansę, wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Wiedziałaś o tym, ale

staralaś się z tym walczyć. Dlaczego, Katie? Dlaczego? Gdybyś mi zaufała, gdybyś wspomniała choć słowem, że leczysz się u Highleya, zabroniłbym ci zbliżać się do niego. Dlaczego nie zauważyłem, że jesteś chora? Dlaczego nie zmusiłem cię, żebyś mi o tym powiedziała? Pragnę cię, Katie. Nie umieraj. Zaczekaj na mnie. Zaczekaj...

Dojeżdżali już do szpitala. Na parking wpadały jeden za drugim radiowozy. Wyskoczyli z samochodu i wbiegli do budynku. Phil, o twarzy poranej głębokimi bruzdami, dowodził akcją poszukiwawczą.

W głównym holu pojawili się także Bill i Molly.

- John Pierce jest już w drodze - poinformował ich z niesamowitym spokojem Bill. - To najlepszy hematolog w New Jersey. Jeśli chodzi o krew, to mają tu spory zapas, a w razie czego ściągniemy, ile trzeba, z banku krwi. Znaleźliście ją?

- Jeszcze nie.

Drzwi prowadzące na schody pożarowe otworzyły się gwałtownie i do holu wbiegł młody policjant.

- Jest na podłodze w kostnicy! Obawiam się, że już po wszystkim...

Kilka sekund później Richard tulił ją do piersi. Jej twarz i usta miały popielatą barwę. Nie mógł znaleźć pulsu.

- Katie! Och, Katie...

Bill położył mu rękę na ramieniu.

- Zanieśmy ją na górę. Jeżeli jeszcze jest jakaś szansa, nie wolno nam stracić ani sekundy.

Znajdowała się w tunelu, na którego końcu paliło się światło. Tam, na końcu tunelu, było ciepło. Łatwo zdoła tam dotrzeć. Ktoś ją jednak powstrzymywał. Usłyszała jakiś głos, głos Richarda:

- Trzymaj się, Katie! Trzymaj się.

Nie chciała wracać. Za nią była ciemność i chłód. Pragnęła dać się unieść ku światłu.

- Trzymaj się, Katie!

Westchnąwszy głęboko odwróciła się i ruszyła z powrotem.

W poniedziałek wieczorem Richard wszedł na palcach do pokoju Katie z tuzinem róż w ręku. Już w niedzielę rano udało się zażegnać największe niebezpieczeństwo, lecz Katie spała prawie bez przerwy, a w krótkich chwilach przytomności była w stanie powiedzieć najwyżej jedno lub dwa słowa.

Spojrzał na nią. Miała zamknięte powieki. Postanowił wyjść cicho z pokoju i poprosić pielęgniarkę o jakiś wazon.

- Najlepiej połóż mi je na piersi.

Odwrócił się gwałtownie.

- Katie! Jak się czujesz?

Przysunął sobie krzesło.

Otworzyła oczy i obrzuciła niechętnym spojrzeniem kroplówkę z krwią.

- Słyszałam, że wampiry pikietują wejście do szpitala. Przeze mnie będą bezrobotne.

- Już ci lepiej...

Miał nadzieję, że nie zauważyła, iż nagle zwilgotniały mu oczy. Jednak nie uszło to jej uwagi, gdyż podniosła wolną rękę i delikatnie otarła jego powieki.

- Powiedz mi, co się stało, zanim znowu zasnę. Jeśli tego nie zrobisz, obudzę się o trzeciej nad ranem i spróbuję sama ułożyć wszystko w całość. Dlaczego Edgar Highley zamordował Vangie?

- Przeprowadzał eksperymenty na swoich pacjentkach. Na pewno słyszałaś o tym angielskim dziecku z próbówki? On miał znacznie większe ambicje. Nie chciał poprzestać na pozaustrojowych zapłodnieniach z wykorzystaniem komórek rozrodczych pochodzących od naturalnych rodziców. Postanowił opracować metodę, która pozwalałaby wszczepiać bezpłodnym kobietom embriony pobrane od kobiet dokonujących aborcji, i udało mu się. W ciągu minionych

ośmiu lat nauczył się zwalczać reakcje odpornościowe matki - biorczyni.

Jeden eksperyment zakończył się całkowitym sukcesem. Pokazałem jego notatki fachowcom ze szpitala Mt. Sinai. Twierdzą, że zdołał dokonać przełomu w badaniach embrionalnych.

Jednak po tym sukcesie zapragnął posunąć się jeszcze krok naprzód. Anna Horan, której przeprowadził aborcję, twierdzi, że w ostatniej chwili postanowiła zrezygnować z zabiegu, ale on pozbawił ją przytomności i wbrew jej woli usunął zarodek z macicy. To prawda. W drugim pokoju czekała już Vangie Lewis, która miała być biorczynią. Vangie przypuszczała, że zostanie poddana jakiemuś leczeniu, które umożliwi jej zajście w ciążę. Highley nie oczekiwał, że płód utrzyma się tak długo w jej organizmie, choć zdążył już tak bardzo udoskonalić swoją metodę, że różnice rasowe nie stanowiły żadnego problemu.

Kiedy Vangie nie odrzuciła przeszczepu, ogarnęła go tak wielka fascynacja tym, czego dokonał, że postanowił doprowadzić do narodzin dziecka. Komu przyszłoby do głowy winić lekarza za to, że potomek państwa Lewis okazałby się częściowo Japończykiem? Mąż Anny Horan, naturalnej matki dziecka, jest rasy kaukaskiej.

- Udało mu się zneutralizować działanie systemu odpornościowego? - zapytała Katie, przypominając sobie skomplikowane tabele, jakie studiowała na zajęciach z biologii.

- Tak, i to bez żadnej szkody dla płodu. Znacznie większe niebezpieczeństwo groziło matce. W ciągu minionych ośmiu lat uśmiercił szesnaście kobiet. Vangie czuła się coraz gorzej. Na swoje nieszczęście w poniedziałek wieczorem zaraz po wyjściu z gabinetu doktora Fukhito wpadła na Highleya. Powiedziała mu, że ma zamiar zasięgnąć porady swego

dawnego lekarza z Minneapolis. Dla Highleya wiązałoby się z tym pewne ryzyko, gdyż szanse Vangie na zajście w ciążę naturalną drogą były jak jeden do miliona. Mógł to stwierdzić każdy ginekolog. Kiedy jednak wymieniła nazwisko Salema, wyrok zapadł. Highley doskonale wiedział, że Emmet Salem zorientuje się, co się stało, kiedy Vangie urodzi skośnookie dziecko, a potem przysięgnie, że nigdy nie miała romansu z żadnym Azjata. Salem przebywał w Anglii w czasie, kiedy umarła pierwsza żona Highleya, i wiedział o związanym z tym skandalu. No, na razie chyba wystarczy. Reszta może poczekać. Oczy same ci się zamykają.

- Wcale nie. Powiedziałaś, że Highley odniósł jeden pełny sukces. Czyżby udało mu się wszczepić zarodek innej kobiecie i doprowadzić do narodzin dziecka?

- Tak. Gdybyś w czwartek wieczorem została u Molly pięć minut dłużej i zobaczyła dziecko Berkeleyów, domyśliłabyś się, kto jest jego naturalną matką. Liz Berkeley urodziła dziecko Maureen Crowley.

- Dziecko Maureen! - Katie otworzyła szeroko oczy. Resztki senności zniknęły bez śladu. Spróbowała podciągnąć się na łóżku.

- Spokojnie. Uważaj, wyszarpniesz igłę. - Delikatnie pomógł jej się unieść i poprawił jej poduszkę pod głowę. - Highley prowadził szczegółowe notatki od chwili, kiedy przerwał ciążę Maureen i przeszczepił zarodek Liz. Opisywał wszystkie objawy i problemy, a także rodzaj i sposób dawkowania leków.

- Czy Maureen wie o tym?

- Wydawało mi się, że jedynym uczciwym rozwiązaniem jest ujawnić prawdę i udostępnić Berkeleyom notatki Highleya. Jim żył z przeświadczeniem, że żona okłamała go i poddała się sztuczemu zapłodnieniu. Wiesz też, co czuła Maureen. Myśl o tym, że zabiła własne dziecko, nie dawała jej

spokoju. Natychmiast pobiegła je zobaczyć. Jest teraz bardzo szczęśliwa. I tak oddałaby je do adopcji, a ponieważ widzi, że Maryanne niczego nie brakuje i że Berkeleyowie szaleją na jej punkcie, czuje się jak w siódmym niebie. Znosi się jednak na to, że stracisz dobrą sekretarkę; na jesieni idzie do college'u.

- A co z matką dziecka Vangie?

- Anna Horan i tak wciąż rozpacza, że zdecydowała się na aborcję. Nie było sensu mówić jej, że gdyby Highley nie zamordował Vangie, jej dziecko prawdopodobnie przyszedłoby jednak na świat. Na pewno uda jej się jeszcze zająć w ciążę.

Katie przygryzła wargę. Bała się zadać to pytanie, ale musiała poznać prawdę.

- Richardzie, chcę coś wiedzieć. Kiedy mnie znaleźliście, miałam obfity krwotok. Co zrobili, żeby go powstrzymać?

- Zwykle łyżeczkowanie. Chyba ci powiedzieli? Już nic ci nie grozi.

- I to wszystko?

- To wszystko, Katie. Jeśli chcesz, możesz mieć jeszcze dziesięcioro dzieci.

Położył dłoń na jej ręce. To jego ręka zawróciła ją z drogi ku śmierci, to jego głos nakłonił ją do powrotu.

Przez długą chwilę spoglądała na niego w milczeniu. Kocham cię - pomyślała. Och, jak bardzo cię kocham!

Jego zmartwiona mina zniknęła nagle, ustępując miejsca szerokiemu uśmiechowi. Bez wątpienia był bardzo zadowolony z tego, co zobaczył na jej twarzy.

Katie również się uśmiechnęła.

- Jest pan okropnie pewny siebie, doktorze - powiedziała z przekąsem.